SPECJALNE WYDANIE NA MAJÓWKĘ

POLITYKA.PL

POLITYKA

NAGRODY HISTORYCZNE POLITYKI im. MARIANA TURSKIEGO

TYGODNIK, nr 18 (3562), 28.04–5.05.2026 Cena 17 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
USA 5 USD, WIELKA BRYTANIA 4 GBP, KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Polacy nie lubią pracy

RAPORT s. 12

Ponadto:

- Pięciuset doradców prezydenta
- Mody na ogrody
- Polskie restauracje premium
- Ciąże na później
- WGI: matka afer
- Zakochany Bardella
- Mściciel z Bystrzycy
- Chińczyk z setką dzieci
- Najbrzydsze okładki książek

ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

ISSN 0032-3500
9 770032 350602 18>

Wydanie w sprzedaży do 5.05.2026

RAINBOW

R.pl



LAST MINUTE

LATO'26

eprasa.pl 1719f564a1



© JERZY ROMANOWSKI/EAST NEWS

26
Mody ogrodowe

Temat tygodnia

12 Martyna Bunda, Ewa Wilk
Dlaczego Polacy nie lubią pracy

Polityka

16 Rafał Kalukin **Burze w koalicji, burze w opozycji**
20 Anna Dąbrowska **15 rad prezydenta**
23 **Rafał Chwedoruk**, politolog, o szansach Morawieckiego, kłopocie z Trumpem i podziałach na polskiej prawicy

Społeczeństwo

26 Jędrzej Winiecki
Przydomowe ogrody: od dbałości do dzikości
30 Joanna Podgórska **Nowe gwiazdki dla polskich restauracji**
34 Marcin Kołodziejczyk
Hotel Gołębiewski w Pobierowie: kontrowersyjny gigant
38 Agata Szczerbiak
Coraz więcej kobiet mrozi swoje komórki jajowe
41 Katarzyna Kaczorowska
Samosąd w Bystrzycy Kłodzkiej

Rynek

52 Joanna Solska
Ziemniak z podziemia
55 Violetta Krasnowska **Pierwsza afera gospodarcza trzeciej RP**

Świat

68 Węgierski socjolog **Bálint Magyar** o tym, dlaczego Viktor Orbán nie użył siły, aby utrzymać władzę
72 Kinga Strzelecka-Pilch FRANCJA
Kandydat i księżniczka – o Jordanie Bardelli i kampanijnych romansach
75 Paulina Wilk **Chiński miliarder i jego setka amerykańskich dzieci**
78 Ziemowit Szczerek BUŁGARIA
Premier Rumen Radew – bardziej Fico niż Orbán

Nauka/projektpulsar.pl

80 Marcin Rotkiewicz
Marsjańskie halucynacje
83 Jak aplikacje prowadzą turystów i uprzykrzają życie mieszkańców, mówi geoinformatyk dr **Kamil Smolak**

Historia

86 Adam Krzemiński ESEJ
Zwycięstwo Habermasa
90 Nagrody Historyczne POLITYKI im. Mariana Turskiego:
Nominacje, część I
93 Tomasz Targański
Ostatnia z Jagiellonów

Kultura

100 Jakub Demiańczuk
Conan i inni – o szalonej estetyce fantastyki lat 90.
104 Aneta Kyzioł
Wysyp Hamletów
107 Rozmowa z duńskim filmowcem **Tobiasem Lindholmem**, autorem m.in. serialu „Dochodzenie"
110 Bartek Chaciński
Live Nation: kara dla monopolisty
112 WSPOMNIENIE **Światowiec Andrzej Olechowski**

Ludzie i style

118-121
- **Doule umierania**
- **Influencer Warchocki**
- **Breja, czyli szlop**
- **Legendarna księgarnia z Buenos Aires**
- **Kres targów winiarskich?**

Stałe rubryki

- **4** Przypisy
- **6** Ludzie i wydarzenia
- **96** Afisz • **113** Orliński
- **114** Chutnik i Plebanek
- **115** MEA PULPA Kuby Wojewódzkiego
- **116**, **122** Galeria POLITYKI
- **117** Do i od redakcji
- **122** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 1719f564a1



Gra w kurczaka

Mariusz Janicki

W polskiej polityce nastąpiły dwa spore zawirowania. Co ciekawe jedno z nich dotyczy partii, której jeszcze nie ma (Mateusza Morawieckiego), a drugie ugrupowania, którego już w zasadzie nie ma (Polska 2050). Mówi się, że to Jarosław Kaczyński spuścił z tonu po kolacji z byłym premierem, ale i Morawiecki musiał trochę nacisnąć hamulec, może także po zapoznaniu się z sondażami, które jego hipotetycznej nowej partii dały ok. 5–6 proc. poparcia. To wyraźnie mniej niż dostawały inne formacje na początku działalności, które – jak Polska 2050, wcześniej Kukiz'15, Wiosna, Nowoczesna – albo po kilku latach przestały istnieć, albo zeszły na zupełny margines. Nie jest łatwo założyć w Polsce nowy polityczny biznes.

Chyba wszyscy w Europie zazdroszczą Péterowi Magyarowi, który do partii Tisza, założonej w 2021 r., dołączył dwa lata temu i zdobył większość konstytucyjną – to swoisty polityczny rekord skuteczności (o rozliczeniach ekipy Orbána na s. 68). U nas powstają tzw. dziesięcioprocentowce, partie sezonowe, i mimo narzekań na męczący „duopol PO-PiS" zazwyczaj padają jak muchy. Wyborcy niby zapalają się, chcą nowości, publicyści ogłaszają nową epokę, rozszczelnienie systemu, a potem wraca stara polaryzacja, ponieważ ludzie najwyraźniej tego chcą.

Morawiecki mógł zatem dojść do wniosku, że może lepiej z pełnym odpaleniem swojego projektu jeszcze zaczekać, aby się za szybko nie znudził. Poza tym wolałby być wyrzucony z PiS, bo wtedy byłby ofiarą prezesa Kaczyńskiego, miałby założycielską legendę i zyskałby większą wiarygodność w oczach tego sławetnego „centrowego elektoratu", na który wszyscy liczą, tylko słabo go widać. Gdyby sam odszedł, dostałby stygmat „rozbijacza prawicy", w czasach kiedy trzeba pilnie odsunąć od władzy „najgorszy rząd w III RP", czyli Tuska.

Rzeczywiście, jak dotąd rozłamowcy, którzy w różnych latach opuszczali PiS, kończyli marnie i w pokutnych workach wracali do partii-matki. Dlatego Kaczyński nie chce iść na rękę Morawieckiemu i go wyrzucać. W efekcie te dwa pojazdy, choć nieco zwolniły, wciąż jadą na zderzenie – nazywa się to z angielska *chicken game* – i ktoś w ostatniej chwili musi ustąpić. Pytanie tylko, komu pierwszemu puszczą nerwy. W gorszej sytuacji jest Morawiecki, który nie ma żadnej pewności, czy Kaczyński w ostatniej chwili nie wytnie mu ludzi z list wyborczych, a wtedy będzie za późno na samodzielny start. Poziom zaufania jest zatem zerowy, zobaczymy zapewne jeszcze różne ocieplenia i ochłodzenia, aż do jakiegoś finału.

Drugi wir jest chyba jeszcze dziwniejszy. Partia, z której wypisała się grupa posłów, ma ministrów (i chce mieć wicepremiera), wypisani też mają ministra. Środowisko ze śladowym teraz poparciem społecznym (0,5 proc. plus 0 proc.) współrządzi, a bez niego obóz władzy straci większość w Sejmie. Premier Tusk nie może sobie pozwolić na to, aby jedna z formacji koalicyjnych bezkarnie zagłosowała za odwołaniem minister Pauliny Hennig-Kloski na wniosek opozycji, nawet jeśli sam miałby ochotę ją zwolnić, bo prestiż jego władzy spadłby w okolice zera. Gdyby trzymał się swoich wcześniejszych zapowiedzi, musiałby usunąć całą Polskę 2050 z rządu, bo pojedynczych posłów nie da się wyrzucić z koalicji, a po utracie większości zawnioskować o przedterminowe wybory.

I tu zapewne nastąpi „pewien kompromis", to nowe określenie z teki prezesa PiS. Polska 2050, mimo głębokiej niechęci do dawnej partyjnej koleżanki, zapewne się ugnie i nie poprze wniosku o jej odwołanie. Chociaż jakichś demonstracji i pojedynczych sprzeciwów nie da się wykluczyć, zwłaszcza że prawica wyraźnie dopinguje partię Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, aby się postawiła i wykazała „podmiotowość". Zatem i ta – rządowa – gra nerwów nie zakończy się na jednym głosowaniu (więcej o ostatnich wydarzeniach s. 16).

Te ostatnie turbulencje poza wszystkim pokazują, że układ polityczny jest znużony sondażowym remisem między władzą a opozycją (choć wciąż ze wskazaniem na tę drugą), że poszukuje się jakiegoś błyskotliwego ruchu, przełamania impasu, rozstrzygającego ciosu. Pisowska prawica jeszcze niedawno była absolutnie pewna powrotu do władzy w 2027 r., ale operacja „Czarnek" na razie przyniosła rozczarowanie, PiS nie rośnie, nastroje siadły, stąd zapewne śmielsze poczynania Morawieckiego. Obie Konfederacje ustabilizowały swoje wyniki, ale już nie idą w górę, a Koalicja Obywatelska utrzymuje pozycję lidera, tyle że ze słabymi partnerami. Zapanowała polityczna niepewność. Widać, że obecny układ sił jest nieefektywny, wzajemnie się blokuje, ma też wewnętrzne napięcia. Po obu stronach jest obawa, że wyborcy podejmą w końcu jakąś masywną decyzję, bo mogą nie chcieć jeszcze czterech lub dziewięciu lat walki dwóch pałaców i decyzyjnego marazmu.

Kiedy ostatnio premier Tusk napisał na X, że „doczekamy się Budapesztu w Warszawie", spotkała go krytyka, że przecież PiS już nie rządzi od blisko trzech lat. Jednak Tuskowi chodziło prawdopodobnie o to, że koalicja 15 października nie ma pełnej władzy, jak teraz Magyar na Węgrzech. Rzeczywiście, ostatni raz obóz demokratyczny miał rząd i prezydenta, dających jakąś sprawczość, ponad dekadę temu, w 2015 r. Od tamtego czasu albo był w opozycji, albo w połowicznym położeniu, jak od 2023 r., bo okazało się, że mimo rozmaitych „planów B" ustawowej naprawy ustroju, większych systemowych zmian nie da się przeprowadzić.

Tusk próbuje więc zapobiec zniechęceniu liberalnego elektoratu i rysuje obraz walnego zwycięstwa, które uwolni polityczne moce demokratów, np. przez możliwość odrzucania prezydenckich wet. Konkurs na zarażanie entuzjazmem trwa, choć widać, że silniki jadą na oparach i w zasadzie wszyscy czekają już na wybory.

eprasa.pl 1719f564a1

Albatros travel

Albatros 40 lat

Podróż przez Wietnam – zwiedzanie i relaks

Odkryj różnorodną przyrodę i kulturę Wietnamu od tętniących życiem ulic Hanoi po spokojne wody Delty Mekongu. Zamieszkaj w malowniczych resortach z dala od utartych szlaków, przemierzaj Ninh Binh łodzią i rowerem, odpoczywaj na wybrzeżu w Quy Nhon i poczuj wielkomiejski puls Ho Chi Minh City. Ta wycieczka to unikalne połączenie klasycznych atrakcji i autentycznych doświadczeń.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przelot do Hanoi, spacer po starej dzielnicy i kolacja powitalna. **Dz. 3** Hanoi: zwiedzanie miasta m.in. Mauzoleum Ho Chi Minha, Świątynia Literatury, Jezioro Hoan Kiem i teatr lalek wodnych. **Dz. 4** Hanoi – Ninh Binh: rejs między polami ryżowymi i wapiennymi klifami, wizyta w Jaskini Mua. **Dz. 5** Ninh Binh: wycieczka rowerowa i rejs do rezerwatu ptaków. **Dz. 6** Ninh Binh – Zatoka Ha Long i rejs. **Dz. 7** Zatoka Ha Long – Hanoi, przelot do Da Nang i przejazd do Hoi An. **Dz. 8** Wycieczka rowerowa z obiadem na wyspę Kim Bong: codzienne życie i rzemiosło w wiejskim Wietnamie. **Dz. 9** Hoi An: czas wolny lub możliwość wycieczki fakultatywnej do cesarskiego miasta Hué. **Dz. 10** Hoi An – Quy Nhon: Pomnik Matki Tu, artystyczna wioska Tam Thanh i My Lai. **Dz. 11** Quy Nhon: dzień wolny na plaży. **Dz. 12** Quy Nhon – przelot do Ho Chi Minh City. **Dz. 13** Całodniowa wycieczka do tuneli Cu Chi i dramatyczna historia Sajgonu. **Dz. 14** Ho Chi Minh City – Delta Mekongu: rejs po delcie i spacer po okolicy. **Dz. 15** Delta Mekongu: tętniące życiem targi Vinh Long, kurs gotowania, rowerem i łodzią przez autentyczny Wietnam, kolacja pożegnalna. **Dz. 16** Delta Mekongu – Ho Chi Minh City i wylot do Polski. **Dz. 17** Przylot do Warszawy.



NOWOŚĆ

17 dni | Wyloty z Warszawy 04/11 2026, 09/03 2027

od **12.498,-**



Opera w Weronie

Dwa wieczory z klasyką muzyki operowej spędzone w amfiteatrze w Weronie, połączone z wycieczkami do Brescii, Borghetto i nad jezioro Como.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Mediolanu. Jezioro Como oraz czas wolny. Nocleg w okolicach Werony. **Dz. 2** Wizyta w winiarni (dodatkowo płatna). Werona – zwiedzanie i czas wolny. Wieczór z operą. **Dz. 3** Renesansowa Mantua, średniowieczne miasto Borghetto oraz opera. **Dz. 4** Krótka wizyta w Brescii. Powrót z Mediolanu do Warszawy.

La Boheme i Nabucco **16/07 2026**
Nabucco i La Traviata **27/08 2026**
Aida i Turandot **09/09 2026**

4 dni | Wyloty z Warszawy | od **4.698,-**

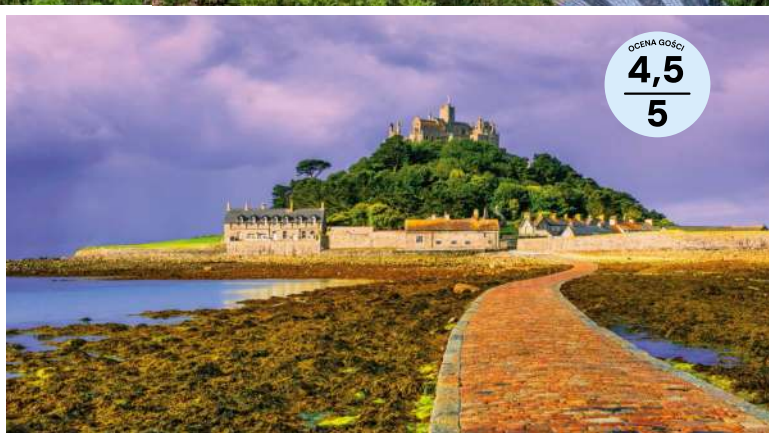

Południowa Anglia i Kornwalia

Fantastyczna wycieczka przez malownicze zakątki Anglii ze spektakularnym wybrzeżem, urokliwymi wioskami i owianymi legendami zamkami i skarbami kultury.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Londyn. Winchester i Bournemouth. **Dz. 2** Bournemouth – wrzosowiska w Dartmoor i kamienie runiczne – Newquay. **Dz. 3** Wyspa pływowa St. Michael's Mount – Penzance – Lands Ends czyli kraniec Ziemi – St. Ives. **Dz. 4** Wyspa pływowa St. Michael's Mount – Penzance – Lands Ends czyli kraniec Ziemi – St. Ives. **Dz. 5** Pociąg parowy z Paington do Kingswear. Rejs statkiem do Dartmouth Agathy Christie. **Dz. 6** Torbay – skamieliny na Wybrzeżu Jurajskim – Lyme Regis – Bristol. **Dz. 7** Bristol – Bath z listy UNESCO. Podróż powrotna z Londynu.

7 dni | Wyloty z Warszawy 12/05, 28/07, 22/09 2026 | od **6.798,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL15**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 1719f564a1

Łukasz Litewka: poseł od empatii

To była jedna z większych wyborczych sensacji: startujący z ostatniego miejsca na liście, mało komu znany młody samorządowiec z Sosnowca z przytupem dostał się do Sejmu, przeskakując w liczbie głosów lidera Nowej Lewicy Włodzimierza Czarzastego. Ba, słowo „przeskakując" to w tym wypadku daleko idący eufemizm, byliśmy raczej świadkami wyborczej demolki: 34-letni działacz dostał niemal dwa razy więcej głosów od szefa swojej partii. Nazywał się Łukasz Litewka. W ostatni czwartek zginął podczas jazdy na rowerze. Potrącił go samochód, który nagle zjechał na lewy pas drogi.

O kampanii Litewki z jesieni 2023 r. usłyszała cała Polska, ponieważ na wyborczych billboardach kandydat promował adopcję psów z miejscowego schroniska: po lewej stronie był Litewka, a po prawej zdjęcie zwierzaka, jego imię i adopcyjny numer telefonu. Rok później przed wyborami samorządowymi na płotach od Bałtyku do Tatr pojawiło się zatrzęsienie plakatów z kandydatami i zwierzętami, bo wielu chciało powtórzyć ten kampanijny manewr. Z tym że epigonów od Litewki różniła sprawa podstawowa: oni pod pozorem pomocy zwierzętom chcieli przede wszystkim zdobyć mandat, on walkę o mandat chciał wykorzystać jako pretekst, żeby zrobić coś dobrego.



I to być może jedna z przyczyn, dlaczego był tak powszechnie lubiany: został posłem, ale nie był politykiem.

Kiedy media obiegła szokująca informacja o jego śmierci, kondolencje popłynęły ze wszystkich stron politycznego sporu. I zawsze powtarzały się te same przymiotniki: szczery, pomocny, zaangażowany, bezpośredni, przyjacielski, empatyczny. Nie był partyjnym żołnierzem, nie uczestniczył w medialnych nawalankach, w wielkiej polityce bywał też bezpretensjonalnie nieporadny. Jak wtedy, gdy ślubowanie poselskie zakończył słowami: „Tak mi dopomóż Bóg", co prawdopodobnie nie było najlepszym wstępem do budowania relacji z nowymi kolegami i koleżankami z klubu Lewicy. Albo gdy poszedł na spotkanie z Karolem Nawrockim w sprawie poprawy warunków dla zwierząt w schroniskach.

Jako się rzekło, był w Sejmie, ale nie był politykiem – był społecznikiem. A społeczność zbudował wokół siebie gigantyczną, rozkręcając w mediach społecznościowych spektakularne akcje pomocy dla krzywdzonych zwierząt i potrzebujących pomocy ludzi.

Jaką miałby przyszłość w polityce, już się nie dowiemy. Pewne jest jednak, że w zjednywaniu ludzi nie miał sobie równych: w budowaniu zaufania, relacji, zaangażowania. A to w tej branży jest trudno dostępny kapitał. Wielka szkoda, że ta historia się skończyła. (MDAN)

Czekając na przełom

Polska jest w europejskiej czołówce, jeśli chodzi o liczbę śmiertelnych wypadków wśród rowerzystów. 155 zabitych w zeszłym roku powinno pobudzić rządzących do szybkich zmian w prawie.

JULIUSZ ĆWIELUCH: **– Czy śmiertelne potrącenie posła Łukasza Litewki doprowadzi wreszcie do zmian, które pozwolą chronić życie innych rowerzystów?**

ANDRZEJ JANOWSKI, PRAWNIK, CZŁONEK ZARZĄDU FEDERACJI ROWEROWEJ: – Już w warstwie językowej widać, jak podchodzi się do rowerzystów. Potrącić to można kogoś łokciem. Kiedy 1,5-tonowy samochód wjeżdża w kierującego 15-kilogramowym rowerem, to nie jest żadne potrącenie. Łukasz Litewka został zabity. Mówi się również: samochód potrącił. A przecież nie samochód potrącił, tylko zrobił to konkretny człowiek, który siedział za kierownicą.

We wpisach części internautów pojawiają się komentarze, że poseł jechał bez kasku, czytaj: sam sobie winien.

Kask przed niczym by go nie uratował. Nie przy zderzeniu czołowym. Mogła go uratować sensowna infrastruktura drogowa dla rowerzystów. Zwłaszcza że do wypadku doszło poza obszarem zabudowanym, ale w granicach miasta. Na drodze, która prowadzi z centrum miasta do ważnego obszaru rekreacyjnego, gdzie jest duży ruch rowerowy. Niestety, niewiele zrobiono, żeby rowerzystów w tym miejscu chronić. Droga jest długa i prosta, co pozwala kierowcom samochodów się rozpędzać. Gdyby była tam droga rowerowa albo chociaż progi zwalniające, takiej możliwości po prostu by nie było.

Mówił pan, że poprawa bezpieczeństwa rowerzystów wymaga pięciu kroków. To: zmiany prawne ułatwiające budowę dróg rowerowych, tworzenie dobrej jakości infrastruktury, edukacja i zmiany w karcie rowerowej, uporządkowanie ruchu na drogach rowerowych, zasada 1,5 m w trakcie wyprzedzania. I to wystarczy?

To zmniejszy nam liczbę śmiertelnych wypadków do poziomu dwucyfrowego. A to już byłby wielki sukces. On jest w zasięgu naszych możliwości. Tylko trzeba działać, a nie udawać, że coś się robi. Bez presji społecznej, bez eliminowania z dróg kierowców, którzy nie tylko nie dbają o bezpieczeństwo innych użytkowników, w tym rowerzystów, ale też często świadomie je naruszają, nic się nie zmieni.

Cała rozmowa na **polityka.pl**

eprasa.pl 1719f564a1

Diss na raka

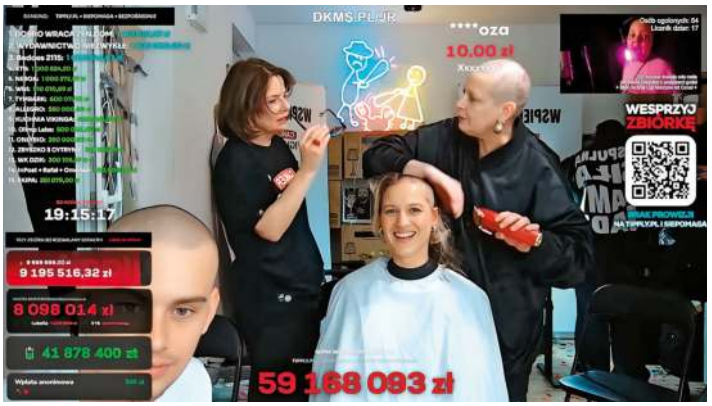

„To się zapisze w historii internetu", komentują… internauci. Bo takiej zbiórki w sieci jeszcze nie było: ani w Polsce, ani na świecie. Zaczęło się od Bedoesa, popularnego rapera, który we współpracy z fundacją Cancer Fighters i Mają Mecan, jedną z jej podopiecznych, nagrał hiphopowy „diss na raka". „Słuchaj, raku, dobrze, bo kończą ci się dni/ Atakujesz dzieci, to naprawdę wielki wstyd", rapuje 11-letnia Maja. „Diss" – od angielskiego *disrespect* – to słowny atak, zwykle wymierzony w kogoś, a nie w coś. Ale rak zasłużył sobie szczególnie. „Przyczepiłeś się do małej Mai?/ Żywisz się cudzymi marzeniami?/ Przepraszam bardzo za język, ale chyba bardzo dawno ci nie naje…", puentuje Bedoes w swojej zwrotce. To się rymuje.

Influencer **Łatwogang**, czyli 23-letni Piotr Garkowski (2,7 mln fanów na TikToku, ok. 1 mln na YouTubie i na Instagramie), zainspirowany utworem zorganizował bezprecedensową akcję charytatywną. Uruchomił dziewięciodniowy stream na YouTubie – nieprzerwaną transmisję połączoną ze zbiórką na rzecz Cancer Fighters. Wstępny pułap – czyli 500 tys. zł – błyskawicznie udało się przebić.

Akcja trwała do niedzieli – na liczniku było już ponad **180 mln zł**, gdy zamykaliśmy ten numer! Rekordziści motywująco świecili na ekranie, wśród nich Tymbark czy Budimex. „Każdy dokłada swoją cegiełkę. Każda cegiełka jest wielka. Tymi cegiełkami zbudujemy wielką fortecę dla tych małych dzieciaków" – tłumaczył Garkowski w TVN24.

Pojawiły się też głosy krytyki, głównie: zarzuty o tzw. *charity washing* – biznes poprawia sobie wizerunek, migający się od podatków influencerzy trochę też. A sama zbiórka znów wyręcza państwo.

W ogólnym rozrachunku, nomen omen, ludzki zryw jednak poruszył. W niewielkim mieszkaniu, które imitowało studio, przez dziewięć dni gościli artyści, influencerzy, celebryci. Podczas transmisji chętni tatuowali sobie „JR" („Jeb… raka"), 20 osób zrobiło to na wizji. Inni na znak solidarności z chorymi pozbyli się włosów, bo „łysina to najlepsza fryzura w Polsce": **Katarzynę Nosowską** ogoliła np. **Agata Kulesza**, a tuż potem Nosowska ogoliła prawie na zero aktorkę **Aleksandrę Domańską**. Łącznie ogoliło się ok. 90 osób. Cezary Pazura grał w piłkarzyki z Patecem (influencerem Jakubem Pateckim), a całość komentował Dariusz Szpakowski. Takich surrealistycznych spotkań i sytuacji było sporo.

Wiele osób łączyło się zdalnie: Magda Gessler dyktowała przepis na bigos (dobra kapusta dba o jelita, żeby im nie zaszkodził „pier… rak", wyjaśniła). Robert Lewandowski obiecał autografy od piłkarzy FC Barcelona. Dzień przed tragicznym wypadkiem telefon od Dody odebrał na wizji Łukasz Litewka. Poseł w swojej publicznej działalności nieraz dowodził, że zbiórki internetowe to polski sport narodowy. (AŻ)

Twierdza Piesiewicza

Afera Zondacrypto rozwinęła się w z góry przewidzianym kierunku. Dziesiątki tysięcy poszkodowanych, rachunek strat zaczynający się od 350 mln zł, ucieczka prezesa kryptowalutowej giełdy **Przemysława Krala** (według medialnych ustaleń zaszył się w Izraelu, wcześniej przezornie załatwiając sobie paszport tego kraju). Z kryzysem mierzy się też prezes PKOl **Radosław Piesiewicz**, który pół roku temu zrobił z Zondacrypto strategicznego sponsora komitetu olimpijskiego. Potem obiecał zimowym olimpijczykom rekordowe nagrody, również w tajemniczych tokenach. A teraz ma problem z ich wypłatą. Niektórzy sportowcy otrzymali przelewy, prawdopodobnie dzięki temu, że w kasie PKOl została jakaś resztówka z kilkunastu milionów złotych otrzymanych od województwa lubelskiego – Piesiewicz doszedł do władzy, powołując się na wpływy w PiS, a w lubelskim wciąż rządzi ważny polityk tej partii, Jarosław Stawiarski. I ratuje kolegę.

Za odwoływanie Piesiewicza mają się teraz wziąć członkowie komitetu. Ci sami (w tym medaliści olimpijscy), którzy trzy lata temu praktycznie przez aklamację wynieśli go do władzy omamieni wizją 300 mln zł, które Piesiewicz obiecywał wyciągnąć od spółek Skarbu Państwa. Popierali, ale się wstydzili – odmawiali rozmowy na temat tego, jak mogą tak prestiżowe stanowisko w polskim sporcie powierzyć człowiekowi, który z koszykówki uczynił prywatny folwark, głównie po to, by wyprowadzać miliony w formie prowizji od umów sponsorskich ze spółkami Skarbu Państwa. Nieco ponad rok temu, gdy w sprawie malwersacji finansowych Piesiewicza i wystawiania przez niego faktur za fikcyjne usługi pośrednictwa (tylko w ciągu dwóch lat skasował 7,3 mln zł) oficjalnie wszczęto śledztwo, działacze również grzmieli, że prezes kompromituje PKOl i że tak dalej być nie może. I co? I nic, skończyło się na pisaniu listów. Nawet nie podjęli próby odwołania Piesiewicza. A niedawno przegłosowali podwyżkę dla niego – obecnie zarabia 58 tys. zł miesięcznie brutto.



Pozbycie się Piesiewicza będzie trudne. W statucie PKOl tryb odwołania prezesa nie jest precyzyjnie wskazany, gdyż nie brano w ogóle pod uwagę, że będzie to konieczne. Gdyby jednak do takiej próby sił doszło, Piesiewicz wciąż może liczyć na licznych stronników w PKOl. Jednych obłaskawił stanowiskami (i pensjami), inni, tak jak on, to miłośnicy PiS. Trzecią grupę stanowią ci, co go popierają, bo wprawdzie bierze dla siebie bez umiaru, ale ze sportowcami i działaczami też się dzieli. Przynajmniej z wybranymi. (MP)

© AN, YOUTUBE.COM/@LATWOGANG8538, FACEBOOK/POLSKI KOMITET OLIMPIJSKI

eprasa.pl 1719f564a1

TYDZIEŃ W POLITYCE

PSL-owski języczek u wagi



Tomasz Nałęcz
Historyk, profesor UW, polityk;
doradca prezydenta RP w latach 2010–15

To fascynujące, jak niezmienne są dylematy polskiej polityki. Widać to zwłaszcza w roku stulecia zamachu majowego. Wtedy również stały naprzeciwko siebie dwie Polski. Jedna prawicowa, spojona nacjonalizmem i populizmem, zdominowana przez Narodową Demokrację Romana Dmowskiego. I druga – demokratyczno-lewicowa, bardziej różnorodna, zgodna tylko w swym oddaniu Józefowi Piłsudskiemu, głównemu architektowi odrodzonego państwa i nieprzejednanemu wrogowi endecji.

Żaden z tych dwóch obozów nie był w stanie samodzielnie sięgnąć po władzę. Każdy potrzebował sprzymierzeńca, a z arytmetyki sejmowej wynikało, że mógł nim być tylko kierowany przez Wincentego Witosa PSL Piast, skupiający wyborców o centrowo-prawicowych poglądach. Kiedy ludowcy wspierali demokratów i lewicę, prawica przegrywała, tak jak w wyborach prezydenckich z grudnia 1922 r. Kiedy jednak Witos zmieniał front, tak jak w maju 1926 r., dawało to władzę endecji, niebezpiecznie zmierzającej w kierunku autorytaryzmu. Obrońcy demokracji chwycili się wtedy ostatniej deski ratunku i wsparli zbrojny bunt Piłsudskiego, nie podejrzewając, że lekarstwo okaże się równie groźne jak choroba.

Sto lat dzielące nas od tamtych wydarzeń gruntownie przeobraziło Polskę i jej społeczeństwo. Najważniejszy dylemat pozostał jednak ten sam. Dzisiaj także koalicja demokratów ściera się z obozem nacjonalistyczno-populistycznym. Jest też PSL, nie tak już wpływowy jak w II RP, ale ciągle odgrywający rolę języczka u koalicyjnej wagi. Na szczęście dla obozu demokratycznego ludowcy różnią się od swych międzywojennych antenatów i od blisko czterech dekad nie wchodzą w sojusze z nacjonalistami i populistami.

W tej sytuacji strategia koalicji 15 października przed wyborami parlamentarnymi z 2027 r. narzuca się sama. Wszystkim partnerom powinno zależeć na dobrym wyniku PSL, bo on zwiększy szanse utrzymania się u władzy. Tym bardziej że w centrum sceny politycznej dzieje się coraz ciekawiej, a ludowcy wielokrotnie dowiedli, że potrafią wykorzystać takie okazje.

Tymczasem koalicjanci postępują inaczej. Dominujący podmiot, Koalicja Obywatelska, wyraźnie preferuje zbliżenie z lewicą i jej liderem Włodzimierzem Czarzastym. Pozwala mu nadawać ton w kolejnych kwestiach. Widowiskowo ściera się on z prezydentem Nawrockim, coraz bardziej przejmując sztandar walki z prawicą. Rozochocony, zaczął nawet podstawiać nogę PSL-owi, za obyczajowy konserwatyzm nielubiany przez wyborców lewicy. Zablokował jego ważną inicjatywę ustawodawczą, celnie szachującą prezydencki pomysł SAFE zero procent.

Przysparzanie przez KO mocy Czarzastemu ma zapewne pomóc mu w przejmowaniu wyborców Partii Razem, walczącej z koalicją 15 października. Tyle tylko, że tutaj uzysk, jeśli w ogóle będzie, to niewielki.

Znacznie więcej mogą zdobyć dla koalicji ludowcy, spychani dzisiaj na drugi plan, pozyskując wyborców o centroprawicowych poglądach. Nie ma więc co rzucać prezesowi Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi kłód pod nogi, bo jego ewentualne niepowodzenie wyborcze zemści się na całym obozie demokratycznym, pozbawiając go władzy.

Kraj bez strategii



© ARTUR RESZKO/PAP

Bez większego rozgłosu w ubiegłym tygodniu odbyło się kluczowe dla systemu obronnego Polski ćwiczenie z reagowania, kierowania i współpracy najwyższych władz, wszystkich poziomów administracji, najwyższych rangą wojskowych i pozamilitarnego aparatu bezpieczeństwa. Przygotowania trwały od miesięcy, ustalenia między BBN a rządem nie szły łatwo, sam moment wydarzenia miał pozostać tajny. Gdy jednak podczas audycji radiowej jednemu z ministrów wymsknęła się uwaga o jakimś wielogodzinnym szkoleniu z udziałem prezydenta i rządu, stało się jasne, że chodzi o „Kraj". To krajowe ćwiczenie systemu obronnego, najważniejsze z tych, w których nie strzela się na poligonach, ale próbuje symulować walkę o ciągłość państwa w godzinie próby. Aż trudno uwierzyć, że w kraju, który uważa się za lidera przygotowań obronnych, ostatnie takie sprawdzenie gotowości władz obyło się w 2019 r., przed wojną Rosji z Ukrainą; przed skokiem inwestycji w obronność, przy słabszej świadomości zagrożeń (np. ataków dronowych czy dywersji) i przy niższym poziomie gotowości sojuszniczej.

Nie do wiary też to, że mimo takiego wymogu podobnych ćwiczeń nie przeprowadzono od przyjęcia w 2020 r. – dziś zdezaktualizowanej już – Strategii Bezpieczeństwa Narodowego. Podobnie trudno zrozumieć, że mimo upływu ponad czterech lat Polska nowej strategii wciąż nie ma. Właśnie to stawia pod znakiem zapytania sensowność – a zdaniem niektórych znawców tematu nawet legalność – ćwiczeń „Kraj". Wszystko sprowadza się do hierarchii dokumentów, procesów i procedur, które nieprzypadkowo zaczynają się od zatwierdzenia strategii. Potem powinno nastąpić wydanie Polityczno-Strategicznej Dyrektywy Obronnej, której – uwaga – sprawdzeniem są właśnie ćwiczenia władz zwierzchnich i administracji.

Aktualnych SBN i PSDO nie mamy (po strategii z 2020 r. dyrektywa nie została wydana!). Na jakiej podstawie więc organizujemy ćwiczenia „Kraj"? – pytają generałowie Mieczysław Gocuł i Stanisław Koziej, wojskowi emeryci. W początkach funkcjonowania obecnego rządu, za radą gen. Gocuła, Władysław Kosiniak-Kamysz za cel stawiał sobie uporządkowanie dokumentów i wydanie strategii. Ale rządzący – obecni, tak jak poprzedni – nie dotrzymali zobowiązania. (MŚ)

eprasa.pl 1719f564a1

Dla wielozadaniowców
Monitory interaktywne

SMART®



www.irs.com.pl

tel . + 48 602 336 341

eprasa.pl 1719f564a1

Zła passa prezydenta

Donald Trump znów mógł zostać ofiarą. W sobotni wieczór pierwszy raz pojawił się na dorocznym balu waszyngtońskich korespondentów. To impreza głównie charytatywna, mimo obowiązkowych czarnych krawatów utrzymywana w luźnym formacie, tradycyjnie służąca nawiązaniu bliższych kontaktów między dziennikarzami i otoczeniem prezydenta. Trump, który ograniczył dostęp nieprzychylnych mu mediów do Białego Domu, unikał tego typu spotkań, tym razem jednak się pojawił. I mógł zginąć.

Strzały padły już w trakcie spotkania, które odbywało się w waszyngtońskim hotelu Hilton (tym samym, przed którym doszło do zamachu na prezydenta Ronalda Reagana w 1981 r.). Później okazało się, że uzbrojony po zęby 31-letni Kalifornijczyk Cole Tomas Allen próbował się przedrzeć przez kordon służb chroniących prezydenta i nawet oddał strzał do jednego z agentów, którego uratowała kamizelka kuloodporna.

Niedoszły zamachowiec przeżył, ale gdy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, jego motywy były niejasne. Już po fakcie współpracownicy Trumpa narzekali nieoficjalnie w rozmowach z mediami, że prezydent przyszykował „doskonałe przemówienie", „pełne humoru", które miało „przełamać jego złą passę".



Nietrudno się domyślić, że owa „zła passa" Trumpa dotyczy sytuacji na Bliskim Wschodzie. Przez poprzedni tydzień amerykańscy negocjatorzy Steve Witkoff i Jared Kushner siedzieli na walizkach, gotowi na kolejne rozmowy z Irańczykami w Pakistanie. W sobotę Trump ogłosił jednak, że nikt tam nie poleci, bo irańska odpowiedź na amerykańskie propozycje „jest bardzo daleka od oczekiwanej" i amerykańska „delegacja nie będzie lecieć 18 godzin", jeśli nie ma szans na porozumienie.

Tutaj krótkie résumé. W zeszłym tygodniu upłynął dwutygodniowy, wyznaczony przez Trumpa termin, po którym – w przypadku braku porozumienia – prezydent USA zapowiadał ponowne ataki na Iran. Amerykanie żądali przede wszystkim odblokowania cieśniny Ormuz i zamrożenia irańskiego programu nuklearnego. Irańczycy, sądząc z ich oficjalnych wypowiedzi, odpowiedzieli, że otworzą Ormuz, jeśli tylko Amerykanie zdejmą swoją blokadę na statki płynące z i do irańskich portów (przez ostatnie dni obie strony atakowały jednostki w pobliżu Ormuzu).

W sprawie nuklearnej Teheran oczekuje znacznie krótszego okresu „zamrożenia" programu nuklearnego – pięć zamiast 20 lat proponowanych przez Amerykanów – oraz prawa do zachowania na swoim terytorium wysoko wzbogaconego już uranu (Amerykanie chcieliby jego przekazania „pod opiekę" Rosjan). Trump uznał tę odpowiedź za „wysoce niesatysfakcjonującą" i odwołał wyjazd negocjatorów. Zaraz potem przyznał jednak, że 10 minut później Irańczycy („pod presją") przysłali znacznie lepszą propozycję, ale nadal niezadowalającą. Irańczycy zaprzeczają, że w ogóle podjęli negocjacje.

Jak wylicza Ali Vaez z International Crisis Group, Trump ma trzy nienajlepsze opcje do wyboru. Po pierwsze, zaakceptowanie porozumienia bliższego oczekiwaniom Teheranu, co może być odebrane jako porażka prezydenta. Po drugie, wznowienie działań zbrojnych, czego chyba Trump chce uniknąć, biorąc pod uwagę możliwą eskalację w regionie. I po trzecie, przeczekanie Irańczyków, którzy z powodu blokady tracą miliony dolarów niezarobionych na eksporcie ropy. Nie jest jednak pewne, kto bardziej traci na blokadzie, biorąc pod uwagę światowe ceny ropy. Równie niekorzystne dla Trumpa może być przedłużanie konfliktu bez spektakularnego sukcesu.

Prezydent Trump na razie tłumaczy impas w negocjacjach dezintegracją irańskiego systemu władzy – „nie wiadomo, kto tam podejmuje decyzje", przekonuje prezydent USA. Po irańskiej stronie istotnie ujawniły się podziały, szczególnie wobec politycznej i zdrowotnej słabości nowego najwyższego przywódcy, Modżtaby Chameneiego (potrzebuje protezy nogi i ma poparzoną twarz). Podział przebiega między kierownictwem Strażników Rewolucji, które nie chce kontynuowania rozmów bez uprzednich ustępstw ze strony Amerykanów, a frakcją cywilną, czyli przede wszystkim prezydentem Masudem Pezeszkianem i szefem MSZ Abbasem Aragczim, która chce rozmawiać bez warunków wstępnych.

Jednym z warunków wstępnych ze strony irańskiej było powstrzymanie wojny w południowym Libanie, ale zawieszenie broni na tym froncie jest coraz bardziej iluzoryczne. Przypomnijmy: dzień po amerykańsko-izraelskim ataku na Iran Hezbollah, czyli paramilitarna organizacja libańskich szyitów, w ramach solidarności z irańskim patronem zaatakował rakietami Izrael. W odpowiedzi izraelskie siły zbrojne zaczęły ostrzał, a potem inwazję lądową w południowym Libanie.

Pierwsze zawieszenie broni narzucone przez Trumpa miało obowiązywać do 26 kwietnia, ale prezydent USA w zeszłym tygodniu po spotkaniu z ambasadorami Izraela i Libanu (oczywiście bez udziału Hezbollahu) przedłużył je o kolejne trzy tygodnie. Nie zatrzymało to Izraela, który w sobotę atakował bazy Hezbollahu – w odpowiedzi na wcześniejsze uderzenia. W praktyce więc obie strony podtrzymują pozory zawieszenia broni, którego obowiązywanie potrzebne jest Trumpowi do rozmów z Irańczykami. Nie może więc dziwić, że – jak napisał „Wall Street Journal" – „Trump jest już bardzo znudzony Bliskim Wschodem".

ŁUKASZ WÓJCIK

© CEL AL GUNES/ANADOLU/GETTY IMAGES, PHILIP DULIAN/DPA/PAP, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1719f564a1



W pułapce z humbakiem

Świat przez kolejne dni pilnie śledził los humbaka z niemieckiego wybrzeża Bałtyku. Walenia po raz pierwszy zaobserwowano 3 marca w basenie portowym w Wismarze. Był wyraźnie zdezorientowany, kilkakrotnie utykał na mieliznach. Trzykrotnie udało się go uwolnić albo za pomocą koparek, albo za sprawą podnoszącego się poziomu morza. Wreszcie zatrzymał się pod miejscowością Poel. Humbaki żyją na otwartym oceanie, ale czasem trafiają do płytkich mórz. Ponadto walenie – naukowcy nie potrafią objaśnić przyczyn tego zjawiska – regularnie osiadają na płyciznach i umierają.

Niskie zasolenie Bałtyku wywołało u osłabionego humbaka poważne problemy skórne. Rany na grzbiecie, dodatkowo wysuszanym przez słońce, grożą zakażeniem. Przedstawiciele tego gatunku nie są także przystosowani do długotrwałego zalegania na dnie, w naturze ich ciała wypierane są przez wodę. Z tego powodu uznano, że np. wyciąganie linami byłoby zagrożeniem dla życia ssaka.

Akcję ratowniczą prowadziły instytucje publiczne, następnie za ich zgodą do jej zorganizowania wzięli się niemieccy miliarderzy sponsorujący grupę wolontariuszy. Zaplanowali kopanie 120-metrowego kanału, przełożenie humbaka na barkę i wywiezienie go na Atlantyk.

W grupie, w której skład wchodziły m.in. „osobowości internetowe", doszło do sporów. Na ich tle wycofała się mająca doświadczenie w pracy z wielorybami lekarka weterynarii z Hawajów. Jej lokalna koleżanka po fachu przeszła udar. Z kolei eksperci z chroniącej walenie Międzynarodowej Komisji Wielorybniczej zwrócili uwagę na iluzoryczne szanse uwolnienia i zaapelowali o powściągliwość w ratowaniu oraz o skupienie się raczej na opiece paliatywnej, sprowadzającej się do nieprzeszkadzania. O takiej kapitulacji nie chcą słyszeć demonstrujący na brzegu zwolennicy pilnych działań, podważający stanowisko specjalistów. Internet stanął na wysokości zadania. Podpowiadał, co powinno być zrobione. Oskarżał zaangażowanych specjalistów i wysnuł miszmasz teorii spiskowych. Policja w Wismarze odbierała po 250 telefonów dziennie od „zaniepokojonych obywateli".

Bardzo łatwo wpaść razem z humbakiem w emocjonalną pułapkę. To zupełnie naturalne, że los pojedynczego, pechowego i chorego zwierzęcia porusza empatyczną strunę. Zwłaszcza jeśli to zwierzak majestatyczny i w danym miejscu pojawiający się wyjątkowo. Humbak wpisuje się też w naszą hierarchię zwierząt. Dzielimy je na towarzyszące, często traktowane jak członkowie rodziny, dzikie, które czasem warto ratować, zwłaszcza jeśli coś im się stało z naszej winy. I użytkowe, zabijane bez żadnej refleksji miliardami. Stąd płynie przymus jakiejkolwiek interwencji, także ponad miarę, finansowy sens, wbrew opinii nauki i kosztem emocji istoty w agonii. (JW.)

Dożywotnio bez tytoniu

Czy to będzie ważny poligon doświadczalny? Brytyjski parlament przyjął ustawę zakazującą sprzedawania wyrobów tytoniowych osobom urodzonym po 1 stycznia 2009 r. Granica wieku, upoważniająca do zakupu, będzie podnoszona co roku o rok, więc dzisiejsi 17-latkowie i wszyscy młodsi nie będą mogli nigdy nabyć legalnie papierosów, również e-papierosów (przy okazji wprowadzono istotne obostrzenia dotyczące wapowania). Argumenty prozdrowotne są oczywiste: dziś pali 5,5 mln Brytyjczyków (większość wciąga się jako nastolatkowie i trzy czwarte tego żałuje), 64 tys. rocznie umiera z tego powodu, 400 tys. trafia do szpitala, palenie powoduje co czwarty przypadek raka i generuje miliardowe koszty. Oczywiste jest też, że wszystkie obecnie stosowane formy perswazji, od finansowej począwszy, coraz brutalniejsze i na granicy obrzydliwości (płuca palacza na opakowaniu) są mało skuteczne; w populacji pozostaje przynajmniej 10 proc. twardych



nałogowców, specjaliści od zdrowia publicznego nazywają ich „tytoniową końcówką".

Czy nowe obostrzenia te statystyki radykalnie poprawią? Po pierwsze, argumentują oponenci, przeczą zasadzie równości: jedni coś mogą, ci młodsi już nie; każda forma prohibicji bywa nieskuteczna, produkuje czarny rynek i przestępczość, a w tym przypadku efekty będą prawdopodobnie bardzo powolne. Czy nielepiej zatem wzmóc klasyczną pedagogikę społeczną? Nikt tego do końca nie wie.

Wszystkie te za i przeciw przećwiczył 2022 r. w Nowej Zelandii rząd Jacindy Ardern, ówczesnej charyzmatycznej popgwiazdy światowej polityki. Obok „dożywotniego zakazu" dla nastolatków prekursorska ustawa antytytoniowa przewidywała m.in. drastyczne ograniczenie liczby punktów sprzedaży wyrobów: do 600 w całym kraju. Przeszła przez parlament przy dużym poparciu opinii publicznej, ale karta się odwróciła. Partia Pracy straciła popularność i dramatycznie przegrała wybory na rzecz centroprawicowej Partii Narodowej (hasłem przewodnim były rosnące koszty utrzymania). A nowy premier Christopher Luxon za cenę koalicji z populistami wyrzucił ustawę do kosza. Obok lobby tytoniowego istotne były naciski drobnych sklepikarzy, którzy twierdzili, że zbankrutują, a szalę przeważyła potrzeba znalezienia środków w budżecie, aby zrealizować obietnicę obcięcia podatków. A rozczarowana sytuacją Ardern niedawno przeniosła się do Australii, tak jak tysiące jej rodaków. Jeśli chodzi o brytyjską ustawę, na razie tylko Nigel Farage zapowiedział, że jeśli jego skrajnie prawicowa Reform UK dojdzie do władzy – a szanse na to rosną – ustawa zostanie zniesiona. Wtedy pałeczkę przejmie Kanada? (WP)

eprasa.pl 1719f564a1

Praca zajmuje nam większą część życia. I nie da się jej oddzielić od całej reszty. Dominująca część z nas swojego zajęcia nie lubi, wielu nie widzi w nim sensu, większość czmycha w zawodowy niebyt, gdy tylko osiągnie wiek emerytalny. Podpowiadamy, jak to zmienić.



ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

eprasa.pl 1719f564a1

MARTYNA BUNDA, EWA WILK

Badania Instytutu Gallupa przeprowadzone na 1,8 mln pracowników w 73 krajach pokazują, że zdecydowana większość – bo niemal 70 proc. przebadanych pracujących – nie widzi obecnie sensu swojej pracy. W Polsce jest podobnie: pracować lubi zaledwie co trzeci spośród naszych rodaków. Sens swojej pracy dostrzegają głównie najstarsi. W rocznikach 50. aż 93 proc. respondentów; najmniej ów sens czytelny jest dla zetek, osób urodzonych w latach 1995–2010. To wyniki badań Maison & Partners w 2025 r.

Dodatkowo Polacy pracują niemal najwięcej w Europie – jeśli chodzi o liczbę godzin tygodniowo, ale jednocześnie są w tę pracę najmniej zaangażowani – mówią przekrojowe badania ADP „People at work 2024". Tylko 14,5 proc. pracowników deklaruje zaangażowanie w życie przedsiębiorstwa, przejmowanie się sprawami zawodowymi, traktowanie ich jak części życia. W badaniach na niższym miejscu – o jeden punkt procentowy – są jedynie Czesi. Można by przewrotnie powiedzieć, że nasi rodacy wyśrubowali swój *work-life balance*, równowagę pomiędzy prywatną a zawodową sferą życia. To koncept od dziesięcioleci lansowany przez niezliczone poradniki psychologiczne, zakładający, że praca nie powinna dominować nad czasem wolnym, co pozwala na efektywne wypełnianie obowiązków służbowych, a jednocześnie zapewnia czas na relaks, pasje, relacje rodzinne i zaangażowanie społeczne.

Sensowność swych zajęć częściej uznają kobiety niż mężczyźni. „To jeden z paradoksów wynikających z naszych badań. Kobiety odczuwają ją, mimo że częściej wykonują gorzej opłacaną pracę i rzadziej zajmują wysokie pozycje w hierarchii" – komentuje dla Ogólnopolskiego Panelu Badawczego Ariadna prof. Dominika Maison. „Z perspektywy psychologii pokazuje to, że sens pracy nie jest prostą funkcją statusu czy wynagrodzenia, ale wiąże się z relacyjnym i prospołecznym wymiarem danego zajęcia. Jednocześnie jest to sygnał ostrzegawczy: poczucie sensu może przez długi czas amortyzować nierówności, ale nie zastąpi realnego uznania, poczucia sprawczości i równego traktowania".

Przyczyny, dla których ludzie pracy nie lubią, badani szeregują następująco: przeciążenie emocjonalne, stres (24 proc. wskazań), niepokój (16 proc.), zdenerwowanie (15 proc.), ewentualnie smutek. Im pracownik młodszy, tym negatywne skutki psychiczne pracy odczuwa częściej (stres deklaruje tylko co dziesiąta osoba z roczników 50. i już co czwarta spośród najmłodszych). Zetki wśród emocji, które w ich życie wnosi praca, zaskakująco często wymieniają właśnie smutek.

Jeśli chodzi o najlepiej wykształconych, oczywiste jest, że lubią oni swoją pracę bardziej niż osoby z wykształceniem zasadniczym, jednak również ich odczucia okazują się zróżnicowane; niemal co trzeci pracownik deklaruje, że praca pobudza jego ciekawość, ale tyle samo skarży się na dominujący stres.

Grupa nazywana dziś w badaniach społecznych specjalistami (poniekąd odpowiednik niegdysiejszej inteligencji) rzadziej narzeka na swoją pracę, ale ona z kolei masowo emigruje z biur do domów. Ze statystyk prowadzonych w Stanach Zjednoczonych wynika, że już tuż przed covidem 70 proc. z nich co najmniej przez jeden dzień pracowało zdalnie, a aż połowa jeździła do biura nie częściej niż dwa razy w tygodniu; pandemia tylko pogłębiła ten trend. Badacze z Instytutu Gallupa dodają, że na niższych poziomach drabiny społecznej, tam, gdzie praca zdalna jest niemożliwa, pracownicy wdrażają zastępcze strategie ucieczkowe. Co czwarty spośród nich wpompowuje do systemu dodatkową adrenalinę, to psując drukarkę, to kasując ważne maile – rekompensuje sobie w ten sposób negatywne emocje, których doświadcza w pracy.

Współcześnie żyjącym rzeczywistość społeczna przyniosła jeszcze jedną, ważną i trudną zmianę: zburzyła znak równości pomiędzy wykonywaną pracą, zawodem, stanowiskiem a poczuciem tożsamości. Galicyjskie cmentarze pełne są nagrobków, na których przed nazwiskiem umieszczono zawód: pod kamiennymi płytami leżą Naczelnik Poczty i Dyrektorowa Banku Spółdzielczego (a identyfikacje zawodowe wypisane są większą czcionką niż nazwiska) – to już nieaktualne. Niemal nie zdarza się, żeby człowiek pełnił funkcję dyrektora banku od początku do końca kariery zawodowej.

Pokolenia starsze, częściej uważające swoją pracę za ważną, masowo znalazły też sens w transformacji, w której uczestniczyły – przebudowach firm i tworzeniu nowych, już w ramach wolnego rynku. Rachunek indywidualny często wychodził raczej na minus niż plus, bo z kierownika w PGR człowiek stawał się nagle długotrwale bezrobotnym. Jednak ten trud, ta ofiara miały – rzec można – metasens: urodzeni tuż przed wojną lub tuż po niej zostawiali w spadku kolejnym pokoleniom wolną i kapitalistyczną Polskę. Co ciekawe, ci, którzy ten sens swoich zawodowych karier lepiej dostrzegają, pouciekali z nich dość masowo, gdy tylko osiągnęli tzw. ustawowy wiek emerytalny.

I ta powszechna rejterada trwa. Roczniki 60./70. większość życia przepracowały w gospodarce rynkowej i zaczynają właśnie odchodzić na emerytury. Według rozległych badań nad osobami, którym do ustawowego progu zostało 5–10 lat (wyniki przedstawiono wiosną tego w obszernym raporcie zespołu pod kierunkiem prof. Piotra Szukalskiego „Przygotowanie do starości"), zaledwie 19 proc. przedemerytów jest zdeterminowanych, by pracować dalej, ponad połowa taką opcję odrzuca, a co trzeci – jeszcze nie wie. Badani wiążą swoją decyzję przede wszystkim, z tym, czy swoją pracę lubią, czy nie, a dopiero potem – biorą pod uwagę stan zdrowia, sytuację finansową, obowiązki opiekuńcze wobec młodszego pokolenia, partnerów albo starszych bliskich. Następnie pojawia się wątpliwość, czy na mój zawód jest jeszcze popyt.

Jest jeszcze jeden powód powszechnej ucieczki od pracy Polaków, gdy tylko dojdą do progu emerytalnego. To zjawisko, które można nazwać autoageizmem. W wielu przypadkach nikt poza samym starzejącym się pracownikiem nie dyskryminuje go, nie mobbuje, nie wypycha brutalnie z miejsca pracy. Gotów jest on porzucić karierę walkowerem, racjonalizując to tak: to nie moje czasy, już do nich nie pasuję, nie przeskoczę jeszcze jednych zmian w życiu.

Ale bynajmniej nie chodzi tu o trywialną niechęć do postępu cywilizacyjnego i nowin technologicznych; nawet obcowanie ▶

eprasa.pl 1719f564a1

▶ ze sztuczną inteligencją dla roczników 60+ jest do ogarnięcia. Chodzi o to, że w ostatnich dziesięcioleciach zmieniła się nie tylko istota pracy, w której ubyło sensu powiązanego z jej społeczną wagą i prestiżem – ale też jej forma. Pustoszejące z powodu formuły zdalnej, niedawno tętniące życiem (również towarzyskim) biura, apodyktyczny, folwarczno-korporacyjny styl zarządzania, coraz większe usztywnienie i formalizm w relacjach, do których płynnie przeszliśmy od biurowych wojen podjazdowych. Dziś znacznie bardziej niż jeszcze ćwierć wieku temu liczy się wydajność parametryzowana przez zimne algorytmy (i jakże często symulowana), znacznie mniej lojalność wobec firmy i kolegów.

A przedemeryci – entuzjaści dalszej roboty eksponują właśnie pożytek z kontaktu z drugim człowiekiem. Wyznają w badaniach zespołu prof. Szukalskiego: „Chciałabym pracować najdłużej, jak to jest możliwe, ponieważ naprawdę lubię swoją pracę, lubię kontakt z ludźmi, ludzie mnie inspirują, ja inspiruję ludzi. Albo: „Lubię, jak coś się dzieje. Lubię ludzi i to sprawia, że czuję się trochę potrzebna".

Pomysł, by sens pracy budować na dobrych międzyludzkich relacjach, w zaskakująco twórczy sposób rozwinęło pokolenie zetek. Ich rodzice pracowali w siermiężnych biurach, na drewnianych krzesłach, pod światłem jarzeniówek. Świat relacji pracowniczych, promowanych przez Google czy Facebooka, został już dobrze opisany: darmowe jedzenie, pralki, żeby nie trzeba było jechać do domu, by ogarnąć garderobę, hamaki, w których można uciąć sobie drzemkę.

Za motywem urządzania domu w biurze kryje się też jednak inny ciekawy trend; zetki mimochodem odkryły, że tam, gdzie sens pracy trudno jest uchwycić, może stać się nim właśnie przestrzeń. Design w biurach to już pełnoprawny trend: ma być pięknie – znacznie piękniej niż w domu. Współczesne projekty biur zamiast open space'ów mają raczej wspólny wielki stół do pracy, zwieszające się rośliny, koniecznie miejscowo otwarte sufity – ten oddech, luksus, którego nie uświadczy się w domu. Widoki z okien, kojarzone z amerykańskimi filmami o korporacjach prawniczych, też są dla każdego – żeby warto było przyjść do pracy.

Na tym samym trendzie bazuje *coworking*. Przestawianie tabelek w Excelu w dobrych wnętrzach samo w sobie nie nabiera sensu, ale wspólne bycie w lepszym miejscu – już tak. „Iść do pracy" oznaczać więc może godziny przesiedziane na kanapie ustawionej na wprost dużego okna z widokiem na pierzeję kamienic albo ze stopami na dywanie do złudzenia przypominającym trawę. W Polsce wciąż rzadko, ale na Zachodzie coraz częściej – zamiast biura w centrum – miejscem pracy jest opuszczona farma na uboczu. Zacierając granicę pomiędzy pracą a życiem, nadaje się jej nowy sens.

Pytanie, czy można jeszcze szukać sensu, po prostu porzucając dotychczasowe zajęcie i szukając nowego? Nawet wśród przedemerytów nie jest to obecnie postawa rzadka. Całkiem niemało spośród tych, którzy zamierzają dorobić jakoś do emerytury – 17 proc. – jest gotowych do radykalnej zmiany zawodowej trajektorii, nawet do założenia własnej firmy.

Stereotyp głosi, że emerytury wyczekują głównie kobiety, ponieważ nasze kanony kulturowe wymagają od nich podjęcia (wreszcie?) pełnowymiarowego zakrzątnięcia się wokół wnuków,

Przyczyny, dla których ludzie nie lubią pracy, badani szeregują następująco: przeciążenie emocjonalne, stres (24 proc. wskazań), niepokój (16 proc.), zdenerwowanie (15 proc.), ewentualnie smutek.



© SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 1719f564a1



Grupa nazywana dziś w badaniach specjalistami (poniekąd odpowiednik niegdysiejszej inteligencji) rzadziej narzeka na swoją robotę, ale ona z kolei masowo emigruje z biur do domów.

pogrążonych w przewlekłych chorobach partnerów, no i oczywiście niedołężniejących seniorów. Niespodzianka: cytowane badania kompletnie tego nie potwierdziły – tylu samo mężczyzn ile kobiet deklaruje taką „rodzinną" motywację. Wiele istniejących badań wskazuje, że społecznie dokonało się właśnie masowe porzucenie zawodu pełnoetatowej (choć nieopłacanej) babci, a większa dostępność placówek opiekuńczych idzie w parze ze zmianą stylu życia; kobiety w wieku „babcinym" dziś stały się najszybciej rosnącą grupą wśród klienteli biur podróży.

Ci, którzy są gotowi zmienić branżę, pójść na swoje, doświadczą z pewnością ożywczego wpływu ryzyka. Co ciekawe, ze statystyk wynika, że firmy zakładane po 50. roku życia mają największe szanse utrzymać się aż do emerytury założyciela.

Ale to nie jest droga dla każdego. Reszcie pozostaje tworzyć z tego, co jest – zarówno na szczeblu osób odpowiedzialnych w firmach za morale pracowników, jak i pośród nich samych. Badacze społeczni używają terminu „praca znacząca", by odróżnić ją od frustrującej roli trybiku w maszynie. Współcześnie sensu pracy najłatwiej doszukać się tam, gdzie pomaga się innym – bezpośrednio lub pośrednio, czyniąc życie lepszym i łatwiejszym. Na Zachodzie dobrze sprawdza się w tej roli wolontariat. Nieco wątpliwości budzi forma mu pokrewna, przypominająca go, ale opłacana przez pracodawcę. Dzień w miesiącu, kilka godzin w tygodniu – na przykład w schronisku dla zwierząt, w stowarzyszeniu osób z niepełnosprawnościami – wszędzie tam, gdzie potrzebne są ręce. Ciągle w ramach etatu w biurze. Niestety, niesie to ryzyko, że „przymusowy wolontariusz" w końcu poczuje się wykorzystywany – bo pracę dla firmy i tak trzeba zrobić, tyle że szybciej.

Inną dobrą metodą, wzmagającą poczucie sensu, jest wzmocnienie poczucia sprawstwa. Szerokie, prowadzone w Polsce badania nad kondycją psychiczną nauczycieli ujawniają, że najlepiej mają się ci, którzy zachowali poczucie wpływu na treść i formę tego, co robią. Realizują podstawę programową po swojemu, decydują, którym elementom poświęcić więcej czasu; słowem, mogą podejmować decyzje, od których coś zależy. Ta zasada działa także w innych zawodach, choć – jak pisaliśmy – rozwój technologii, w tym narzędzi kontroli, skutecznie ruguje owo poczucie, że coś w tym wszystkim od woli i kreatywności pracownika zależy.

Rzecz jasna, sens zawsze można znaleźć w pieniądzach. Cytowane tu pytania dowodzą, że poziom satysfakcji wzrasta wraz z wysokością dochodów – najwyższy odsetek osób zdecydowanie zadowolonych odnotowano wśród zarabiających powyżej 7 tys. zł netto. Ale też pokazują, że sens można skutecznie budować w inny, pozapieniężny, sposób.

Na razie wydaje się, że doszliśmy do niebezpiecznego progu – i jako Polacy, i jako współczesna cywilizacja. Pracujemy, ba, zasuwamy po 8 godz. dziennie, wielu – po 12 i 16. Ale koszt tego jest ogromny: ów brak poczucia sensu, sprawstwa, po prostu przyjemności, odkłada się na kondycji psychicznej w wymiarze indywidualnym. Depresja, stany lękowe, zaburzenia natury psychosomatycznej przybierają zatrważające rozmiary.

Wszystko to znajduje ponury wyraz w atmosferze życia społecznego, gęstniejącej od agresji, hejtu, uprzedzeń, poczucia niesprawiedliwości. Czas w końcu – jak to się dziś powiada – połączyć te wszystkie kropki, powiązać przyczyny ze skutkami. Bardzo wiele zależy od ludzi, którzy z racji stanowisk i pozycji społecznej pracę dają i organizują. Warto by było, żeby zamiast narzekać na niskie zaangażowanie pracowników, potrafili uczynić ich obowiązki i osiągnięcia znaczącymi to znaczy: mającymi znaczenie, społeczny sens. Ale ważny też jest sposób, w jaki patrzą na pracę sami zatrudnieni. Bo jeśli porzucić mrzonki o życiu jako wiecznych wakacjach, to niemal w każdej pracy da się odnaleźć sens. I zwykle nie trzeba rozładowywać stresu przez psucie drukarek czy kasowanie ważnych maili.

MARTYNA BUNDA, EWA WILK

eprasa.pl 1719f564a1

Szumy, trzaski, zgrzyty

RAFAŁ KALUKIN

Donald Tusk i Jarosław Kaczyński mierzą się ostatnio z podobnym problemem posprzątania na własnym zapleczu. O ile jednak premier nadal posiada narzędzia pozwalające przywrócić dyscyplinę w koalicji, o tyle prezes PiS został zapędzony przez Mateusza Morawieckiego w pułapkę.



Premier Tusk musi się uporać z konfliktem między Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz (pierwsza z prawej) **a Pauliną Hennig-Kloską. W grze: dymisja ministry, wyrzucenie Polski 2050 z koalicji i przyspieszone wybory.**

© MARYSIA ZAWADA/REPORTER

eprasa.pl 1719f564a1

Krajowa polityka ponownie ugrzęzła w wewnętrznych sporach toczonych po obu stronach barykady, chwilowo zacierając kluczowe fronty. Na ich rozwiązanie pozostaje coraz mniej czasu, gdyż po wakacjach wszystkie partie zaczną już wchodzić w tryb „prekampanii", co wymaga jednak wcześniejszego ustawienia szyków. Niewykluczone więc, że najbliższe tygodnie będą okresem kolejnych przepychanek, a może też dojść w którymś z głównych obozów do poważniejszego przesilenia. Pod wieloma względami trudniejsza wydaje się jednak sytuacja Jarosława Kaczyńskiego, nawet jeśli w ubiegłym tygodniu jakoś doszedł do porozumienia ze swoim coraz bardziej niesubordynowanym podwładnym Mateuszem Morawieckim. W istocie obnażyło ono jednak słabość prezesa, który zmuszony został oficjalnie uznać autonomię dawnego ulubieńca, chociaż dopiero co zaganiał go do szeregu pod groźbą wyrzucenia z partii jego stronników. W rezultacie były premier zajął wygodny przyczółek i – pomimo tonujących komentarzy o trwałej zgodzie w PiS – absolutnie nic nie wskazuje, żeby miał na tym poprzestać. Obserwując erozję przywództwa starego lidera, walczący o zajęcie jego miejsca polityk mógł się co najwyżej utwardzić w swoich ambicjach.

Napięcia w PiS już dawno przestały jednak zaskakiwać, stając się elementem krajobrazu. Podobnie w koalicji rządzącej od dawna takim źródłem kryzysu jest rozłamana Polska 2050. Co dało właśnie o sobie znać za sprawą wniosku o wotum nieufności dla szefowej resortu klimatu Pauliny Hennig-Kloski. Wrzucony przez Konfederację trochę na rympał z intencją wywołania zamieszania, faktycznie umożliwił napuszczenie na siebie obu skłóconych hufców. Do tego stopnia, że sam Donald Tusk poczuł się zmuszony publicznie zdyscyplinować Polskę 2050 groźbą wyrzucenia z koalicji, jeżeli przyłoży rękę do odwołania swojej byłej partyjnej koleżanki.

I mając na świeżo w pamięci przypadek Kaczyńskiego, raczej nie rzucał słów na wiatr. Tyle że przynajmniej na razie powinno obejść się bez radykalnych rozstrzygnięć, gdyż Hennig-Kloska niemal na pewno się obroni w sejmowym głosowaniu, które ma się odbyć w tym tygodniu. Źródła napięcia to jednak nie zniweluje, toteż rzucona ostatnio przez Tuska groźba najpewniej pozostanie aktualna jeszcze przez dłuższy czas, a może nawet premier sam postanowi przyspieszyć bieg zdarzeń. Z jego perspektywy pięcioczłonowa koalicja staje się bowiem coraz mniej funkcjonalna i jeśli należałoby coś z tym zrobić, to raczej wcześniej niż później.

Konfliktu w dawnym środowisku Szymona Hołowni na dobrą sprawę nie ma jak zażegnać, gdyż nie ma on nic wspólnego z racjonalnością. Obydwa skłócone kręgi nie mają praktycznie już żadnych szans na samodzielne przetrwanie, czego prawowita Polska 2050 Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz wciąż zdaje się jednak nie dostrzegać. Ich zdolności koalicyjne również są ograniczone, chociaż jakaś część posłów z klubu „Centrum" Hennig-Kloski ma widoki na to, że się ostatecznie załapie na listy KO. Nie widać też pomiędzy nimi istotnych programowych różnic, nawet jeśli usiłują ostatnio sprawiać takie wrażenie.

Bo tak naprawdę najważniejsze są tutaj emocje. Jak to często bywa w przypadku małżonków świeżo po rozwodzie, ich relację zdominowała nienawiść. Zasadniczo bezinteresowna, chociaż trochę też wzmocniona nierozwiązaną kwestią podziału majątku, czyli w tym przypadku posad. Bo chociaż oba kluby wnoszą do większości tyle samo głosów (po 15), niemal wszystkie stanowiska w rządzie i sejmowych komisjach – jeśli nie liczyć ministerialnej teki samej Hennig-Kloski – pozostały przy Polsce 2050. Rozłamowcy z „Centrum" chcieliby zatem wyprostować tę niesprawiedliwość, tylko że umowa koalicyjna ich nie obejmuje i niewiele mogą wskórać.

Pozostali koalicjanci już od dłuższego czasu z milczącym zdumieniem przyglądali się nieustającym utarczkom z udziałem niedawnych partnerów, którzy od chwili rozejścia nie marnowali żadnej okazji, żeby wywołać kolejne spięcie. Działo się to jednak przeważnie za kulisami, dopóki na widoku nie pojawiła się kwestia wotum nieufności dla Hennig-Kloski. Środowisko jej antagonistki poddane zostało pokusie przeczołgania secesjonistki, czemu nie potrafiło się oprzeć.

Wyglądało to jednak dosyć osobliwie, bo przecież kiedy na samym początku kadencji Hennig-Kloska jeszcze była u Tuska na cenzurowanym, jej dzisiejsi krytycy z Szymonem Hołownią na czele gotowi byli bronić koleżanki do upadłego. Teraz role się jednak odwróciły, bo to premier bronił swojej podwładnej z rządu, którą z kolei najostrzej zaatakował mało widoczny w ostatnim okresie Hołownia. Domagając się od niedawnej protegowanej, żeby „nie robiła łaski" i „wytłumaczyła posłom, dlaczego zasługuje na stanowisko", czemu towarzyszyła długa lista dowodów niekompetencji. Hennig-Kloska oczywiście nie przyjęła zaproszenia na rozżarzony grill, kierując się zarówno własnym interesem, jak i całej koalicji, która przecież powinna unikać wystawiania opozycji tak wysokich piłek. Ale dla dyszącej żądzą zemsty Polski 2050 to najwyraźniej kwestia drugorzędna.

Jeden z jej posłów zdążył już zresztą ogłosić, że nie podniesie ręki za Hennig-Kloską. I być może ktoś jeszcze pójdzie w jego ślady, chociaż więcej w tym na razie chęci rozróby niż realnego politycznego planu. Zemsta jest z pewnością słodka, ale mimo wszystko nie na tyle, żeby ryzykować rozpad koalicji i – co za tym idzie – utratę obfitej puli stanowisk. Nie tylko przecież w rządzie, ale też w administracji na rozmaitych szczeblach oraz w spółkach. A już tym bardziej nie miałoby sensu ryzykowanie przyspieszonych wyborów.

Tuskowi wyraźnie wyczerpuje się jednak cierpliwość wobec sprawiającego nieustanne problemy koalicjanta. Poza tym znane są jego problemy komunikacyjne w rządzie z Pełczyńską-Nałęcz, do czego co jakiś czas publicznie nawiązuje. Radzie koalicyjnych liderów co prawda udaje się czasem zebrać w pełnym pięcioosobowym składzie, ale najważniejsze kwestie omawiane są telefonicznie w trójkącie Donald Tusk – Włodzimierz Czarzasty – Władysław Kosiniak-Kamysz. Na domiar złego szykuje się już kolejna konfrontacja z Polską 2050. Tym razem w związku z forsowanym przez to ugrupowanie projektem podwyższającym próg podatkowy, któremu stanowczo sprzeciwia się minister finansów Andrzej Domański.

Sytuacja budżetowa jest bowiem trudna, a ostatnio dodatkowo pogorszyło ją dotowanie cen paliw, co kosztuje ponad półtora miliarda złotych miesięcznie i może się skończyć dodatkowym zwiększeniem deficytu. A to oznacza, że jeszcze trudniej przyjdzie poskładać „wyborczy" budżet na 2027 r. Jakiś specjalny prezent zapewne by się przydał, ale przecież nie ma mowy, żeby Tusk oddał wynikające z tego polityczne profity sprawiającemu problemy koalicjantowi. Po głosowaniu w sprawie Hennig-Kloski należy ▶

eprasa.pl 1719f564a1



© ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Sytuacja Jarosława Kaczyńskiego jest bardzo trudna, nawet jeśli chwilowo jakoś doszedł do porozumienia ze swoim coraz bardziej niesubordynowanym podwładnym Mateuszem Morawieckim. Rozpad PiS ciągle wydaje się możliwy.

▶ więc spodziewać się jego dyscyplinującej rozmowy z Pełczyńską-Nałęcz, żeby spuściła z tonu i zaakceptowała swoje miejsce w szeregu.

I jeśli szefowa Polski 2050 będzie się upierać przy swojej roli „lobbysty klasy średniej", może to wywołać ostrą ripostę. Niedawne ultimatum Tuska nie wzięło się znikąd i – jak słyszymy za kulisami – nie ogranicza się do jednego tylko głosowania. Premier podobno coraz częściej myśli o trwałym pozbyciu się problemu, rozważając skutki jednoczesnej dymisji Pełczyńskiej-Nałęcz oraz jej koleżanki z Polski 2050 Marty Cienkowskiej z resortu kultury. W taki jednak sposób, żeby nie utracić sejmowej większości.

Kalkulacja opiera się na tym, że obie polityczki nie są posłankami i po ewentualnej dymisji, praktycznie rzecz biorąc, spadną w polityczny niebyt. A to z kolei powinno wywołać chaos w pozbawionym politycznego przywództwa klubie parlamentarnym i zagrać na jego rozbicie. Jakąś część posłów przejąć, oferując im stanowiska i gwarancje przetrwania w nowym rozdaniu, innych sprowadzić do roli sejmowych „dietetyków" bez przydziału, którzy nie mając klarownych perspektyw na przyszłość, najczęściej popierają rządowe projekty, gdyż ich celem jest dociągnięcie do końca kadencji.

Taki plan ignoruje jednak nadal silne więzy wewnętrznej lojalności oraz jeszcze silniejszy resentyment wobec Tuska w środowisku Hołowni. Po selektywnym zaprzysiężeniu przez prezydenta sędziów Trybunału Konstytucyjnego pojawiła się również obawa, czy Karol Nawrocki następnym razem nie pójdzie dalej, odmawiając odwołania jakiegoś ministra bądź powołania nowego. Do tej pory nie było takiego precedensu, ale w rozchwianym ustroju dzisiaj wszystko jest możliwe. Gdyby zaś doszło do sporu kompetencyjnego na tym tle, klub Polski 2050 zapewne łatwiej by się zmobilizował do obrony swoich liderek i cały plan mógłby się posypać.

Ale krążą też inne scenariusze. Choćby ponowna próba wciągnięcia Hołowni do rządu jako wicepremiera i ministra kultury (w miejsce Cienkowskiej), który wciąż ma w klubie Polski 2050 kilkuosobowe grono oddanych zwolenników. Tak, żeby go ściślej związać z koalicją i zbudować przeciwwagę dla niesterowalnej Pełczyńskiej-Nałęcz. Tyle że nie wiadomo, czy Hołownia dałby się na to skusić, bo po zredukowaniu ambicji podobno docenił swoją obecną funkcję wicemarszałka Sejmu. Tak czy inaczej, obecny stan rzeczy na dłuższą metę wydaje się nie do utrzymania. Pytanie, czy problem Polski 2050 zostanie rozwiązany za pomocą kija, czy też może jednak marchewki.

Kaczyński niewątpliwie chciałby mieć takie dylematy. W jego rozgrywce z Morawieckim pogrożenie kijem nic nie dało, a oferowane przez niego marchewki również mocno przywiędły. Na nic bowiem zdał się oficjalny zakaz zapisywania się posłów PiS do organizowanego przez byłego premiera stowarzyszenia Rozwój Plus pod karą usunięcia z przyszłych list wyborczych. Przyzwyczajony przez lata do posłuszeństwa prezes musiał tym razem zmierzyć się z przykrym faktem, że blisko 50 parlamentarzystów zignorowało jego pogróżkę.

Obietnica miejsca na liście bez dodatkowych gwarancji już nie jest ponętna. Posłowie potrafią liczyć i doskonale wiedzą, ile byłoby mandatów do podziału w ich okręgach przy obecnych notowaniach. Obniżonych w stosunku do przegranych

eprasa.pl 1719f564a1

wyborów w 2023 r. średnio o 10 pkt proc., czyli niemal jedną trzecią, a dzisiaj nawet dobicie do poziomu 30 proc. z pierwszej tury wyborów prezydenckich wydaje się mało realne. Co prawda miał o to zadbać wytypowany na przyszłego premiera Przemysław Czarnek, i trzeba przyznać, że mocno się uwija, tyle że na razie bez poważnych efektów. Do czego przyczynił się również Morawiecki.

Po wskazaniu Czarnka wydawało się, że ugodzony tą decyzją były premier na jakiś czas wycofa się na „z góry upatrzone pozycje", żeby zaczekać na efekty wysiłków rywala. Misja nie należała w końcu do łatwych. Czarnek musi ostro licytować się z obiema Konfederacjami, a zarazem nie zrazić nadal wspierających PiS bardziej umiarkowanych wyborców. Gdyby okazało się to kwadraturą koła, Morawiecki dostałby pretekst, żeby po kilku miesiącach powiedzieć: „sprawdzam". A potem zażądać wycofania kandydata i zmiany kursu.

Tylko że Morawiecki nie zamierzał zbyt długo czekać, co pokazuje skalę jego determinacji. Czarnek nie zdołał się poważnie rozpędzić, kiedy jego partyjny oponent postanowił zabrać mu scenę, organizując własne stowarzyszenie. Czyli inaczej mówiąc – zorganizowaną frakcję ze strukturami w całym kraju. I nie przejmował się nawet tym, że ktoś mu zarzuci sypanie piachu w partyjne tryby. Chociaż tak było w istocie, bo nie jest tajemnicą, że wyborca PiS najbardziej alergicznie reaguje właśnie na kłótnie, których rozniecanie stało się zresztą dziecinnie proste. Wygląda jednak na to, że były premier zrobił to wszystko z premedytacją. Właśnie po to, żeby Czarnek nie miał sukcesu.

Podtekst był dla każdego oczywisty: Morawiecki nie ma skrupułów, gra wyłącznie na siebie i nie liczy się z interesem formacji. Tak bardzo, że jest gotowy świadomie jej szkodzić, kiedy sam znajduje się w odstawce. W jakimś sensie potwierdził więc ciągnącą się od lat opinię, że jest w PiS elementem obcym. Partia to dla niego po prostu wehikuł nieposkromionych ambicji, a samego trwania w polityce też nie uważa za istotną wartość. Jest zresztą na tyle zamożny, że może sobie pozwolić na rozgrywkę va banque.

Tym samym trudno Morawieckiego zastraszyć. Co najwyżej wyrzucić, ale tego zaszachowany Kaczyński nie jest w stanie zrobić bez kolejnych strat, bo – co pokazują badania – były premier obsługuje istotną część pisowskiego elektoratu. A kiedy jeszcze teraz policzył się w klubie, próba wyrwania zęba zapewne musiałaby się skończyć połamaniem całej szczęki. Morawiecki przyciągnął bowiem do swojej frakcji rozmaite kręgi, odpowiadając również na ogólne poczucie zagubienia i utratę wiary w polityczny instynkt prezesa PiS.

Można więc potraktować jego ruch jako element rozgrywki o sukcesję. Bo chociaż Morawiecki oficjalnie zabiega o premierostwo, wydaje się, że tak naprawdę jego głównym celem jest dzisiaj zajęcie miejsca Kaczyńskiego. Kwestia stawki jest przy tym kluczowa dla zrozumienia sytuacji. Gdyby bowiem Morawieckiemu faktycznie zależało na odzyskaniu fotela premiera, wcześniej czy później musiałby podporządkować się drużynie i pomóc jej osiągnąć jak najlepszy wynik w wyborach. Z kolei walka o przywództwo w PiS dyktuje mu odmienną strategię sabotowania wysiłków potencjalnych rywali, żeby na koniec wykazać ich słabość i przedstawić się w roli alternatywy. Krótko mówiąc: im gorzej, tym lepiej.

W tej sytuacji porozumienie z ubiegłego tygodnia należałoby potraktować jak krótkotrwały rozejm, wkładając pomiędzy bajki narrację o harmonijnie zespolonych „dwóch płucach" PiS. Bo tak naprawdę to tylko przyparty do muru Kaczyński poszedł na ustępstwo, zgadzając się na legalizację stowarzyszenia. Rozgrywający absolutnie na zimno swoją grę Morawiecki dostał potwierdzenie słabości prezesa. To oczywiście zaproszenie do podniesienia w przyszłości poprzeczki.

Zapewne zresztą nieprzypadkowo jeszcze tego samego dnia, kiedy próbowano fetować kompromis, wyciekła do mediów relacja z wcześniejszego spotkania, w trakcie którego partyjny weteran Ryszard Terlecki miał powiedzieć Kaczyńskiemu, że czas już odejść. Niezależnie od tego, jak naprawdę to wyglądało, intencja przecieku była dosyć oczywista: podkopać autorytet prezesa w oczach wyborców. Nie mógł więc zrobić tego żaden z „maślarzy" od Czarnka, którzy korzystają przecież z protekcji Kaczyńskiego. Jeśli komuś mogło zależeć na takim komunikacie, to jedynie ich oponentom.

I nie bardzo już wiadomo, jak Kaczyński mógłby wydostać się z pułapki, zatrzymując destrukcyjną dla partyjnych notowań działalność byłego premiera. Co najwyżej jedynie ustąpić przed szantażem i wycofać Czarnka, zastępując go nie tyle samym Morawieckim – skądinąd również wątpliwym w roli frontmana, gdyż nieakceptowalnym dla elektoratów konfederackich – ile kimś młodszym z jego frakcji. Tylko że wtedy byłby to już ostateczny dowód upadku przywództwa dobiegającego osiemdziesiątki prezesa, który dał się ograć swojemu niegdysiejszemu „zderzakowi".

RAFAŁ KALUKIN

REKLAMA



eprasa.pl 1719f564a1

Grad rad

Prezydent Nawrocki zorganizował sobie „strefę odsłuchu” – 556 osób w piętnastu radach. Sprawdziliśmy, kto naprawdę ma w niej głos.

ANNA DĄBROWSKA



Powołanie Rady Biznesu przy prezydencie RP

Zanim opadł kurz po powołaniu przez Karola Nawrockiego Rady Nowych Mediów, kilka dni temu powołał on kolejną – Radę Klimatu i Środowiska, która wzbudza równie duże kontrowersje. Do tej pierwszej zaprosił między innymi Rafała Ziemkiewicza – publicystę ułaskawionego przez prezydenta Andrzeja Dudę – oraz Pawła Swinarskiego, prawicowego influencera oskarżanego o rozpowszechnianie rosyjskiej dezinformacji. W ubiegłym roku publikował materiały sugerujące, że atak rosyjskich dronów na Polskę był „ukraińską prowokacją”, która miała nas wciągnąć w wojnę. W 2015 r. Swinarski został zatrzymany w związku z prowadzeniem plantacji marihuany w swoim mieszkaniu.

W Radzie, która ma zajmować się środowiskiem, znalazła się liczna reprezentacja środowiska łowieckiego. Wśród 38 powołanych osób jest między innymi Marcin Możdżonek, były siatkarz, a obecnie prezes Naczelnej Rady Łowieckiej Polskiego Związku Łowieckiego. Aktywnie propaguje myślistwo i współtworzył projekt nowelizacji prawa łowieckiego znoszący zakaz udziału w polowaniach osób poniżej 18. roku życia. Kolejnym członkiem rady został Maciej Perzyna, myśliwy i weterynarz z SGGW, znany z kontrowersyjnych komentarzy w sieci. Jak ten: „Dobić sarnę nożem? – źle. Pozwolić by z jelitami na wierzchu leżała kilka godzin, czy wieźć ją z tymi jelitami samochodem na śmierć 30 km dalej – !! Lewacka logika jest jak świnka morska, ani świnia, ani morska”.

Dobór wielu nazwisk do prezydenckich rad mówi sam za siebie. Pytanie, czy to budowanie zaplecza intelektualnego, czy raczej element „dekoracyjny”. Jaki plan na te rady ma Karol Nawrocki? Tworzy je szerokim gestem. W osiem miesięcy od objęcia urzędu powołał ich już 15, nierzadko hurtem: w grudniu 2025 r. powstało sześć, w marcu tego roku – kolejne pięć. Łącznie tych doradców przy prezydencie jest już 556. Dla porównania – Andrzej Duda kończył drugą kadencję z 12 radami i ok. 220 członkami.

Istnienie rad opiera się jedynie na wewnętrznym zarządzeniu prezydenta. Chodzi o statut Kancelarii Prezydenta RP, który w par. 3 daje głowie państwa prawo powoływania gremiów doradczych i samodzielnego określania zasad ich działania. W praktyce rady mogą powstawać bez żadnych ograniczeń, a ich skład, liczebność i tryb pracy zależą wyłącznie od decyzji prezydenta i jego kancelarii. Nie ma formalnych procedur naboru ani jasno określonych wymogów kompetencyjnych – wszystko odbywa się na zasadzie uznaniowej. Pracują za darmo zazwyczaj w Belwederze lub w Pałacu przy Krakowskim Przedmieściu.

Oficjalnie rady mają być „forum prezentacji i wysłuchania opinii różnych środowisk”. Nie podejmują decyzji, nie ponoszą odpowiedzialności. Rady są mieszanką ról eksperckich i prawicowego zaplecza politycznego. Im bliżej tematów tożsamościowych, parlamentarnych,

© TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 1719f564a1

bezpieczeństwa i mediów, tym wyraźniej widać dominację doboru politycznego nad fachowym. Potwierdza się to także w tym, kto stoi na ich czele.

12 marca Karol Nawrocki powołał 30-osobową Radę Bezpieczeństwa i Obronności, stawiając na jej czele Sławomira Cenckiewicza – wówczas jeszcze szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Już wtedy wyglądało to osobliwie: jeden z najważniejszych ministrów w otoczeniu prezydenta staje na czele ciała bez żadnych kompetencji decyzyjnych. Dziś, gdy Cenckiewicz podał się do dymisji, a szefem rady pozostaje, widać, że chodziło o miękkie lądowanie. Dostał też stanowisko etatowego doradcy ds. bezpieczeństwa.

Jak można usłyszeć w kancelarii, powody jego odejścia były dwa. Mimo wygranej przed sądem Cenckiewicz nie uzyskał automatycznie dostępu do tajemnic państwowych – sąd stwierdził jedynie, że służby, niezgodnie z prawem, cofnęły mu poświadczenie bezpieczeństwa. – *Wiedzieliśmy, że Sławek nigdy nie dostanie dostępu i w związku z tym dłużej nie dało się być szefem BBN. Do tego dochodziła wojenka między nim a szefem Biura Polityki Międzynarodowej Marcinem Przydaczem i szefem kancelarii Boguckim, którą ta dymisja jakoś może wyciszy* – mówi osoba z otoczenia kancelarii.

Panowie rywalizowali o to, który z nich będzie ważniejszy w relacjach z administracją Donalda Trumpa. Przydacz uważa, że to jego ministerialna domena, bo dotyczy polityki międzynarodowej, ale Cenckiewicz nie ustępował pola, bo jako szef BBN odpowiadał za prezydencką politykę bezpieczeństwa. – *Na osłodę dymisji Cenckiewicz dostał spełnienie swojego marzenia, czyli uruchomienie procedury odtajnienia aneksu do raportu z likwidacji WSI autorstwa Macierewicza* – mówi nasz rozmówca z Pałacu. Lech Kaczyński, Bronisław Komorowski i Andrzej Duda odmawiali ujawnienia tego „publicystycznego" aneksu.

14 kwietnia w Belwederze odbyło się posiedzenie Rady Bezpieczeństwa i Obronności, którym przewodniczył Cenckiewicz. O ironio, tematem posiedzenia były kwestie dotyczące możliwych usprawnień w obszarze ochrony informacji niejawnych, choć sam dostępu do takich informacji nie posiadał. Rady nie mają sformalizowanego obowiązku raportowania, nad czym pracują, a z dosłownie pięciu zdań z relacji tego posiedzenia trudno dowiedzieć się, co zostało na nim ustalone. Wiadomo, że w radzie zasiada były szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego Piotr Pogonowski. Pod koniec lutego tego roku usłyszał zarzuty „niedopełnienia obowiązków służbowych poprzez dopuszczenie, a następnie utrzymywanie wykorzystywania systemu Pegasus do prowadzenia kontroli operacyjnych, w sytuacji gdy system ten nie posiadał wymaganej prawnej akredytacji bezpieczeństwa teleinformatycznego".

Rada Bezpieczeństwa ma bardzo mocny polityczny profil, bo poza jej szefem zasiadają tu Mariusz Błaszczak i Michał Dworczyk. Jest też Stanisław Żaryn, znany głównie jako były rzecznik ministra koordynatora służb specjalnych Mariusza Kamińskiego oraz minister w kancelarii premiera Morawieckiego zajmujący się bezpieczeństwem przestrzeni informacyjnej.

Zdarzało się, że działania rad ze względów politycznych były blokowane. 16 października prezydent powołał jedną z pierwszych 42-osobową Radę Młodzieży. Jak można przeczytać na stronie kancelarii, „wspiera ją zastępca szefa KPRP Adam Andruszkiewicz" – były szef Młodzieży Wszechpolskiej, a obecny jej lider Marcin Osowski również w niej zasiada. Pracami rady kieruje Mikołaj Sobański-Jóźwiak. „Koordynacja ruchu młodych w kampanii Karola Nawrockiego to dla mnie ogromne wyróżnienie i wyzwanie" – pisał na X w trakcie kampanii prezydenckiej. Doświadczenie w szefowaniu ma: był przewodniczącym Młodzieżowej Rady Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku za kadencji Karola Nawrockiego. Krąg się zamyka.

Jego zastępcą jest Piotr Wasilewski. Za rządów PiS Narodowy Instytut Wolności przyznał milion złotych fundacji Służba Niepodległej, której Wasilewski był wiceprezesem – i nikt nie dopatrzył się konfliktu interesów w tym, że zasiadał jednocześnie w radzie NIW, która te pieniądze przyznawała. W 2021 r. i rok później fundacja Wasilewskiego dostała łącznie prawie milion złotych z Funduszu Patriotycznego na zakup dwóch mieszkań, w których miało powstać m.in. „centrum konferencyjno-szkoleniowe".

W radzie zasiadają też Mateusz Łukomski i Michał Barnaś, powiązani z Fundacją Centrum im. Władysława Grabskiego, założoną przez małżeństwo Marty i Mariusza Tenerowiczów. On jest byłym działaczem Ruchu Narodowego, w latach 2010–14 radnym Solidarnej Polski w sejmiku małopolskim. Bardzo ściśle współpracował z Andruszkiewiczem, który dziś szczególnie zajmuje się prezydenckimi radami – wręcza nominacje, często bywa na posiedzeniach, pilnuje. Sam Tenerowicz zasiada w Radzie Biznesu prezydenta, bo i owszem biznesowo jest całkiem sprawny. Razem z żoną założył jeszcze inną fundację, która dzięki dotacji 1,3 mln zł z resortu Przemysława Czarnka – w ramach programu „willa plus" – kupiła 90 m kw. w przedwojennej kamienicy na warszawskiej Ochocie. Zresztą beneficjentów tego programu jest więcej przy prezydencie. Tomasz Piesiecki z Rady do spraw Osób z Niepełnosprawnościami to wiceprezes Fundacji Megafon, która otrzymała miliony, i to mimo negatywnej oceny wniosku.

Wracając do Rady Młodzieży, to powołano w niej podzespół ds. nauki i szkolnictwa wyższego. Na szefową zespołu kandydowała przewodnicząca Parlamentu ▶

REKLAMA

KLINIKA KROJANTY

Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty – Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398·56·56
tel. (052) 398·56·57
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:
rwę kulszową, wypadnięcia dysków, chroniczne zespoły bólowe kręgosłupa i głowy, powikłania choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa, następstwa i powikłania urazów układu kostnego, wiązadeł i stawów, migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:
po wylewach, po operacjach ortopedycznych, po złamaniach



ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM

eprasa.pl 1719f564a1

▶ Studentów Rzeczypospolitej Polskiej Julia Bednarska-Leśniak. – *Julia była naturalną kandydatką na szefową tego zespołu, bo reprezentuje środowisko, którego sprawami mieliśmy się zajmować* – mówi Oskar Śliwka, przewodniczący NZZS. Jednak szefem, co zostało ustalone „na górze", miał zostać wspomniany już Łukomski. Jak opisuje inny nasz rozmówca z rady – Łukomski zebrał sobie tych, którzy mieli go wybrać. – *Dzień przed głosowaniem do zespołu dołączyły nagle nowe osoby, chyba wyłącznie po to, by zagłosować na Łukomskiego.*

Ktoś inny przyznaje, że pozbył się złudzeń co do wielośrodowiskowości rady. W praktyce kluczowe decyzje – zarówno o obsadzie stanowisk wewnętrznych, jak i o kształcie wydarzeń – są filtrowane przez jedno kryterium: polityczną zgodność z obozem prezydenta. I to ma swoje konsekwencje.

Śliwka przyszedł z pomysłem zorganizowania w Pałacu Prezydenckim lub Belwederze konferencji o ruchu studenckim – spotkania łączącego różne środowiska. Zaproponował zaproszenie historyka prof. Antoniego Dudka. Przypomnijmy: Dudek mówił o Nawrockim, którego zna dość dobrze, że jest „jednym z najbardziej niebezpiecznych ludzi, jacy weszli w ostatnich latach do polskiej polityki" – i z czasem dodał, że tylko utwierdzał się w tej ocenie. Pomysł konferencji upadł.

Patrząc na skład Rady Rodziny i Demografii, można mieć pewność, co będzie doradzać prezydentowi. W 25-osobowym składzie ma zająć się „analizą uwarunkowań dotyczących funkcjonowania polskich rodzin" i zastanawiać się nad tym, dlaczego Polacy nie chcą mieć dzieci. Wśród zaproszonych jest może czterech, pięciu niezależnych ekspertów (demografowie, ekonomiści), reszta powiązana jest z polityką. Pracom rady przewodniczyć ma Barbara Socha, była wiceministra rodziny w rządzie PiS i dziś etatowa doradczyni prezydenta. Sama chwali się na stronie kancelarii prezydenckiej, że aktywnie działa w Fundacji Mamy i Taty – tej samej, której prezes Marek Grabowski również zasiada w radzie.

Grabowski to postać znana w kręgach prawicy. Prezes sondażowni Social Changes – robiącej badania m.in. dla portalu wpolityce.pl, i jednocześnie szef Fundacji Mamy i Taty, organizacji słynącej z bliskiej współpracy z Ordo Iuris przy blokowaniu „Tęczowego Piątku". Za rządów PiS fundacja realizowała milionowe kampanie dla Ministerstwa Sprawiedliwości.

Ordo Iuris w radzie ma własnego reprezentanta w osobie Rafała Dorosińskiego. Bo demografii bez Ordo Iuris najwyraźniej w tym środowisku wyobrazić sobie nie można. Na uwagę zasługuje Szymon Grzelak, dyrektor Fundacji Homo Homini. To na prowadzonych przez jego Instytut Profilaktyki Zintegrowanej zajęciach dzieci dowiadywały się, że molestowane kobiety powinny prosić Boga o cud, a wyzywający strój jest prowokacją. Grzelak jest też zagorzałym krytykiem konwencji antyprzemocowej i edukacji zdrowotnej. Wśród zaproszonych do rady znalazła się też Aleksandra Wesołowska, prezeska Fundacji Bank Mleka Kobiecego – i córka Antoniego Macierewicza.

Prof. Iwona Chmura-Rutkowska z poznańskiego UAM, zaraz po tym, jak w grudniu powołano radę, pisała zaniepokojona na Facebooku: „Nigdy nie skreślałam ludzi a priori, wręcz przeciwnie uważam, że różnorodność doświadczeń i spojrzeń to wartość. Ale nie da się zrobić nowoczesnej zmiany starymi zardzewiałymi narzędziami, bez rzetelnych aktualnych danych i bez udziału samych zainteresowanych – młodych kobiet i mężczyzn". Bez tego już raczej wiadomo, jakie ta rada wyda prezydentowi rekomendacje.

Według Krzysztofa Izdebskiego, prawnika z Fundacji im. Stefana Batorego, działającego na rzecz przejrzystości życia publicznego, dla kancelarii prezydenta rady pełnią funkcję piarową. – *Jakieś nieliczne eksperckie nazwiska, które znajdujemy wśród pół tysiąca osób, mają pokazywać, że prezydent nie zamyka się tylko w swoim środowisku, ale też jest otwarty na głosy z zewnątrz.* Dodaje, że rady mogą być też tworzone jako dostarczyciele podkładki pod jakieś decyzje, a nie po to, żeby tam rzeczywiście toczyła się dyskusja. Izdebski dodaje, że może to być też ruch wizerunkowy dla członków tych rad. – *Bycie członkiem jakiejś rady przy prezydencie pewnie jakoś wzbogaca CV. Można mówić o swoich wpływach, np. przy okazji spotkań z innymi przedstawicielami podobnego środowiska.*

Nawrocki sam niedawno przyznał w Kanale Zero, że „Rady przy prezydencie – poza pojedynczymi osobami, które ja wskazuję jako te, którym ufam, które znam od wielu lat, to są pojedyncze osoby w wielu radach, są autorskim pomysłem tych, którzy za nie odpowiadają". To wyznanie godne uwagi: prezydent de facto umył ręce od własnych ciał doradczych.

Jedną z nielicznych osób, które Nawrocki osobiście poprosił o dołączenie do rady (Rolnictwa i Obszarów Wiejskich), był Jan Krzysztof Ardanowski – były minister rolnictwa za rządów PiS, który publicznie kazał prezesowi PiS przepraszać za „Piątkę dla zwierząt". Tuż po wyborach otrzymał propozycję pracy etatowej w kancelarii, którą odrzucił, bo musiałby się zrzec mandatu poselskiego. Ardanowski podkreśla, że czuje się „dłużnikiem swoich wyborców" i nie mógłby zamienić ich głosów na prestiżową posadę. Formuła rady była więc jedynym wyjściem, by prezydent mógł korzystać z jego niebywałego posłuchu wśród rolników. – *Rolnicy właściwie liczą się w tej chwili jedynie z Nawrockim. Uważają, że jeszcze ich nie oszukał* – mówi Ardanowski.

PiS ma kłopot, bo brakuje mu dziś prawdziwego wiejskiego lidera. Nie stanie się nim Przemysław Czarnek, bo profesor z miasta nie zdobędzie zaufania rolników. Wciąż liderem dla rolników pozostaje Ardanowski. Choć rada działa od połowy grudnia, to zebrała się pięć razy i są pierwsze efekty. To projekt ustawy o ochronie funkcji produkcyjnych wsi, który prezydent zgłosił do Sejmu. Ma on chronić rolników przed sądowymi pozwami o „zapachy i hałasy". Ardanowski stawia sprawę jasno: – *Jeżeli miałbym grać w teatrze, zamiast szykować rozwiązania, to odchodzę i prezydent Nawrocki o tym wie, bo mówię mu to osobiście, kiedy się spotykamy.*

Niewielu jednak ma szansę powiedzieć mu cokolwiek wprost, bo niewielu spotyka. System rad został wymyślony po to, by prezydent mógł twierdzić – jak w Kanale Zero – że ma „strefę swojego odsłuchu". Widać jednak, że jest ona starannie filtrowana przez polityczno-towarzyskie nominacje i kampanijne lojalności. To mechanizm wygodny: daje alibi szerokich konsultacji, nie zmuszając do zmiany zdania pod wpływem ekspertów. Jak zauważył Krzysztof Izdebski, prawdziwą ceną za udział w tym przedsięwzięciu jest wiarygodność – którą nieliczni tu zebrani niezależni eksperci ryzykują, użyczając swojego nazwiska decyzjom, na które mają wpływ co najwyżej symboliczny. Bo ta „strefa odsłuchu" ma być echem poglądów Karola Nawrockiego i jego otoczenia.

ANNA DĄBROWSKA

eprasa.pl 1719f564a1

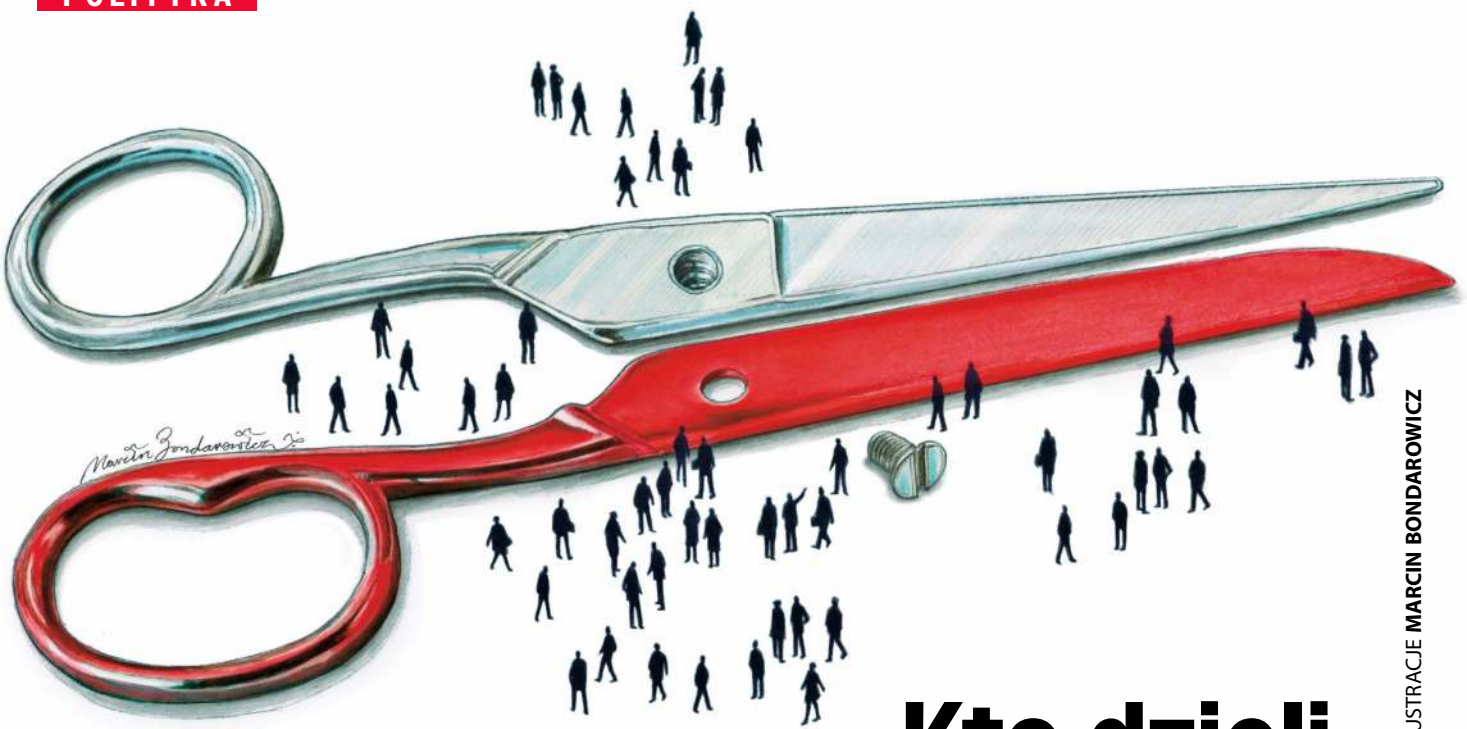

ILUSTRACJE **MARCIN BONDAROWICZ**

Kto dzieli, kto rządzi

Rafał Chwedoruk, politolog, o szansach Morawieckiego, kłopocie z Trumpem i podziałach na polskiej prawicy, i o tym, jak zmienia się scena polityczna.

JAKUB MAJMUREK: **– Czy porozumienie Kaczyński-Morawiecki przetrwa? Nie czeka nas jednak rozpad?**

RAFAŁ CHWEDORUK: – Nic tak nie łączy w polityce jak perspektywa sprawowania władzy. Dopóki nadzieja się tli, nikt z głównych graczy nie będzie skory do ostatecznych, nieodwracalnych rozwiązań. Znacząca część Polaków i Polek deklaruje prawicowe poglądy, ale warto zauważyć, że już dziś w Sejmie znajdują się trzy podmioty narodowo-konserwatywne, trudno sobie wyobrazić społeczną przestrzeń na czwarty. Na obecnym etapie stawką w ofensywie Morawieckiego są gwarancje biorących miejsc na listach PiS w nadchodzących wyborach.

Partia Morawieckiego nie miałaby więc racji bytu?

Nie ma dziś w Polsce żadnej istotnej niszy wyborczej między PiS a PO. Jeśli ktoś rozczarował się do PiS, a nie chce głosować na PO, to ma Konfederację i Koronę.

Ewentualny sojusz Morawieckiego z PSL nie byłby atrakcyjniejszy dla centrowego wyborcy?

Sojusz z Morawieckim w razie niepowodzenia wyborczego mógłby kosztować Władysława Kosiniaka-Kamysza przywództwo w partii. Więc nawet biorąc poprawkę na desperację jego i PSL, nie wydaje się on prawdopodobny. Wielu ludowców pamięta, że przez długi czas PiS dążył do anihilacji PSL i przejął licznych wyborców. W dramatycznym położeniu jest też dziś Morawiecki. Miał być reformatorem PiS, kimś, kto przesunie partię do centrum, zneutralizuje opór wobec niej w wielkich miastach. To się nie udało, bo Morawiecki w rządzie musiał realizować odległą od tych celów agendę. Dziś nie jest on już PiS potrzebny, bo nie przyciąga centrowych wyborców, a jednocześnie odstrasza zwolenników Konfederacji.

W Polsce wielkie emocje wywoływały wybory na Węgrzech. Czy klęska Orbána będzie miała wpływ na polską politykę? Jakie wnioski płyną z niej dla jej głównych aktorów?

Zarówno Kaczyński, jak i Tusk powinni wyciągnąć wnioski z klęski Orbána. Lider Fideszu nie odnowił partii, nie postawił na nowe twarze, po 16 latach rządów walczył o piątą kadencję i przegrał. Kaczyński od dawna zdaje sobie sprawę, że PiS potrzebuje innej twarzy, by wygrywać. KO wie, że Tusk na czele gwarantuje wysoki wynik, ale mobilizuje drugą stronę i zwiększa ryzyko klęski w starciu bipolarnym – tak jak stało się to w drugiej turze wyborów prezydenckich, gdzie mobilizacja była przecież nie przeciw mało wyrazistemu Trzaskowskiemu, a przeciw Tuskowi. Nie wiemy, jakie możliwości manewru wewnątrz KO ma Tusk, ale powinien poważnie zastanowić się, czy to on powinien być kandydatem na premiera.

Klęska Orbána pokazuje też, że kwestie wojny, bezpieczeństwa itd. niekoniecznie wygrywają wybory. W 2027 r. wybory mogą być o czymś zupełnie innym niż kwestia bezpieczeństwa. Jeśli do tego czasu w Europie opadnie zawierucha wojenna, to wróci problem aspiracji społecznych – na co PO nie potrafiła odpowiedzieć po 2011 r., co otworzyło PiS drogę do zwycięstwa w 2015 r.

A jak właściwie na najbardziej ogólnym poziomie wygląda dziś sytuacja na planszy politycznej w Polsce?

Z perspektywy „długiego trwania" nie zmienia się nic: podział socjopolityczny zarysowany na początku wieku trwa i nawet jeśli pojawiają się nowe inicjatywy, to ostatecznie muszą orientować się na któryś z jego dwóch biegunów.

W perspektywie średnioterminowej mamy dwa istotne nowe trendy: jeden po stronie rządowej, drugi po stronie ▶

eprasa.pl 1719f564a1

▶ opozycyjnej prawicy. Po stronie władzy to głęboki strukturalny kryzys PSL, grożący tej partii tym, że zniknie po raz pierwszy po 1989 r. z parlamentu. I to nie jak lewica w 2005 r. z powodu błędów taktycznych w układaniu list, ale z głębszych przyczyn.

Jakich?

Tradycyjna polska wieś, oparta na gospodarstwach rodzinnych, stanowiąca podstawę poparcia PSL, pomału znika. PSL próbował radzić sobie z tym, budując różne, często egzotyczne sojusze, np. z ruchem Kukiz '15, i „pożyczając" wyborców, którzy normalnie głosowaliby najczęściej na PO, ale z przyczyn taktycznych byli gotowi poprzeć ludowców. W 2027 r. to się może nie udać – i to jest problem dla strony rządowej.

A jaki nowy trend ujawnia się na opozycyjnej prawicy?

To, o czym już mówiliśmy, czyli podział. Oczywiście podziały na prawicy zawsze były, ale dawno nie mieliśmy podziału na trzy partie przekraczające próg. Nie wiadomo, rzecz jasna, czy on przetrwa do wyborów, czy np. Konfederacja Korony Polskiej nie spadnie ostatecznie pod próg, ale dziś podział jest największym problemem dla prawicy. To nieporównanie poważniejsze wyzwanie dla PiS niż Liga Polskich Rodzin czy rozłamy, w wyniku których powstawały takie twory, jak Solidarna Polska czy Polska Jest Najważniejsza.

Dlaczego prawica się dzieli? Dlaczego PiS traci na niej hegemonię?

Powiem coś niepopularnego po liberalnej stronie: dużą rolę odgrywają w tym gimnazja. Dualizacja prawicy zaczyna się od wejścia Janusza Korwin-Mikkego do Parlamentu Europejskiego w 2014 r. W tych wyborach głosowały pierwsze roczniki ukształtowane już w pełni w nowym modelu edukacyjnym, wykształcone w silnie indywidualistycznym, neoliberalnym duchu, jaki panował w polskiej szkole po reformie oświaty z czasów AWS, doświadczające przy tym darwinistycznej szkoły życia w gimnazjach.

Podział na prawicy ma bowiem charakter głównie pokoleniowy. PiS nigdy nie był w stanie zrealizować swojego strategicznego celu dywersyfikacji elektoratu, nie zdobył na trwałe istotnych przyczółków ani wśród młodych, ani wśród miejskiej klasy średniej, co odróżniało polską prawicę od Orbána, który od początku miał poparcie dużej części klasy średniej.

Po 2011 r., by przetrwać drugą kadencję w opozycji, PiS musiał się hermetyzować i w wyniku tego procesu stał się partią bardziej konserwatywną, niż miał być w założeniach i bardziej socjalną, niż wynikałoby to z poglądów i biografii jego liderów. Reformujący się potem PiS wygrywał w 2015 i w 2019 r., ale pojawił się problem związany z przepaścią między pokoleniem, które pamięta świat sprzed globalizacji, a tym, które go nie doświadczyło; między pokoleniem wychowanym w świecie nowych technologii a tym, które korzysta w dużo większym stopniu także z tradycyjnych środków masowego przekazu. Inaczej mówiąc: od PiS w pewnym momencie zaczęła się oddalać młodsza część polskiego społeczeństwa, dla której przekaz partii jest po prostu niezrozumiały.

Czy nowe partie prawicy skutecznie odwołują się do tego młodszego pokolenia?

Konfederacja Bosaka i Mentzena była w stanie nie tylko sięgnąć po młody, najbardziej wolnorynkowy elektorat zawsze popierający Korwin-Mikkego, ale też go utrzymać i poszerzyć. Dziś grupa jej wyborców jest bardzo zróżnicowana, w takich kwestiach jak aborcja prezentuje często zupełnie odmienne stanowisko niż partia, powołując się na bliskie jej hasła wolności osobistej. W ogóle inaczej niż liderzy tego środowiska elektorat Konfederacji to prawica w ogóle nieorientująca się na Kościół katolicki – i istnienie takich wyborców będzie miało bardzo istotne długoterminowe skutki dla polskiej polityki.

A Braun?

Braun jest pomiędzy Konfederacją a PiS, on łączy performatywny styl i antysystemowość Konfederacji z artykulacją różnych dość, powiedzmy, specyficznych kwestii w sposób akceptowalny dla wyborców PiS.

PiS postawił na Czarnka jako kandydata na premiera, który ma odzyskać odpływający ku Konfederacjom elektorat. To się może udać?

Sam fakt nominacji Czarnka pokazuje skalę desperacji PiS. W sytuacji gdy powiększa się strata do KO, powinien myśleć o przyciągnięciu nowych wyborców, w tym ludzi młodych. Tymczasem stawia na Czarnka, który był przecież ministrem, jest obciążony bilansem rządów PiS, a przy tym politykiem bardzo radykalnym, uczestniczącym w wojnach kulturowych, zawsze pełnych emocji. Jako kandydat na premiera będzie przyczyniał się do dalszej radykalizacji PiS.

Czarnek jest politykiem z Lubelszczyzny, więc regionu, gdzie w wyborach prezydenckich Braun miał największe poparcie obok Podkarpacia, i to w tradycyjnym elektoracie PiS: wiejskim i emeryckim. Istotną rolę odegrała tu kwestia Ukrainy, lęk nie tylko przed wojną, ale i konkurencją ze strony ukraińskich producentów rolnych, a także kwestie historii.

PiS, stawiając na Czarnka, liczy, że do wyborów problem Brauna zniknie i że kluczowa stanie się rywalizacja z Konfederacją. Wtedy okaże się, na ile Czarnek jest faktycznie politykiem użytecznym dla partii. Pamiętajmy też, że jego habilitacja wskazywała na bardzo prorynkowe poglądy, co mogłoby teoretycznie czynić z niego postać mogącą po wyborach budować jakieś porozumienie z Konfederacją.

Czy na tle Brauna, radykalizującego się PiS, Konfederacja nie zaczyna zmieniać się w oczach opinii publicznej w partię dla normalsów, niemalże centrową?

Konfederacja praktycznie od jakiegoś czasu stawała się funkcjonalnie, a nie ideologicznie, partią centrum, jako siła niezależna od PiS – mimo że w kwestiach światopoglądowych była bardziej radykalna od PiS. Klucz do normalizacji Konfederacji trzyma Tusk. To jego polityka zadecyduje, czy Konfederacja stanie się normalną partią, z którą można utworzyć rząd, czy ekstremistami, których trzeba otoczyć „kordonem sanitarnym".

Jaką rolę na prawicy odgrywa ośrodek prezydencki? Nawrocki może wybić się na prawdziwą niepodległość od PiS?

Prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż prezydent wybrany z poparciem PiS zwróci się przeciw partii. W historii III RP mieliśmy tylko jednego prezydenta, który próbował zmienić Pałac Prezydencki w osobne centrum władzy stojące ponad systemem partyjnym – Lecha Wałęsę. I miało to fatalne skutki dla polskiej demokracji i kariery samego Wałęsy. Wszyscy inni prezydenci, nawet jeśli mieli silną i samodzielną pozycję w polityce, współpracowali ze swoim partyjnym zapleczem.

Nawrocki będzie raczej budował mosty między PiS a różnymi środowiskami na prawicy, a nawet z PSL, jeśli ta partia przetrwa jako samodzielna. To, na ile będzie w stanie realizować ten scenariusz, zależy od tego, jak długo potrwa jego miesiąc miodowy, jak długo będzie postrzegany jako polityk spoza układu. PiS postawił na bardzo ryzykownego kandydata z wieloma obciążeniami. To ryzyko się opłaciło – choć niewiele brakowało,

eprasa.pl 1719f564a1



by skończyło się źle – ale z czasem wyborcy zaczną się uważnie przyglądać Nawrockiemu. I mogą się przekonać, że biorąc pod uwagę realne poglądy prezydenta, Andrzej Duda, nie wspominając Lecha Kaczyńskiego, są w porównaniu z nim politykami niemalże centrowymi.

Czy Nawrocki popełnił dotąd jakiś błąd, który mógłby przyspieszyć koniec jego miesiąca miodowego?

Polityczną dynamikę może mieć jego konflikt z kibicami piłkarskimi, związany z wetem do ustawy reformującej bardzo mocno represyjne przepisy dotyczące aresztów tymczasowych i dające mocną pozycję zeznaniom małych świadków koronnych. Nawrocki był bardzo mocno utożsamiany ze środowiskiem kibicowskim, które żyło w zmiennych stosunkach z PiS. Szczególnie minister Ziobro był wręcz znienawidzony na stadionach. Na weto część kibiców odpowiedziało bardzo krytycznymi transparentami i to może urosnąć do rangi politycznego symbolu, pokazującego, że prezydent zaczyna tracić poparcie najwierniejszych z wiernych.

A weto do SAFE nie było takim błędem?

Cała dyskusja wokół SAFE pokazała, jak mocno debata wokół kwestii obronności stoi w Polsce na głowie. Bo zamiast zastanowić się nad tym, jakie mamy realne potrzeby finansowe czy np. demograficzne możliwości, i potem dobierać do nich narzędzia, to spieramy się o narzędzia, jeden albo drugi SAFE.

Jednocześnie weto idzie w kontrze do zmieniających się nastrojów społecznych wobec Stanów Zjednoczonych i prezydenta Trumpa. Ten proces wzmacnia jeszcze napaść na Iran. Polacy jeszcze długo nie staną się społeczeństwem tak krytycznym wobec Stanów jako społeczeństwa Europy Zachodniej, ale nasza miłość do Ameryki przestaje być bezwarunkowa.

Nawet na prawicy?

Na pewno wyborcy prawicy, zwłaszcza PiS, Amerykę Trumpa najdłużej będą postrzegać jako pozytywny punkt odniesienia. Miejsca, gdzie prawica ma historycznie największe poparcie – Podhale, dawne łomżyńskie, Podkarpacie – to historyczne źródła migracji do Stanów. Jednocześnie w młodszym pokoleniu wyborców związek z Trumpem będzie szkodził PiS. Młode pokolenie żyje w kulturze obrazkowej i jakkolwiek Trump uzasadniałby wojnę, jakkolwiek krytykowałby ajatollahów, to obrazy bombardowań irańskich miast i widok cen paliwa na stacjach będą bardziej przekonujące.

Co te wszystkie problemy prawicy oznaczają dla obozu rządowego?

Granie na podziały na prawicy jest dziś podstawową taktyką Tuska, bo największym zagrożeniem jest powtórka konsolidacji prawej strony, jaką obserwowaliśmy w drugiej turze wyborów prezydenckich. W wyborach parlamentarnych, na szczęście dla Tuska, o wiele łatwiej jest stymulować i wygrywać podobne podziały.

Od tego, czy ta taktyka się uda, zależy powodzenie dwóch podstawowych strategii, jakie może wdrożyć Tusk. Pierwsza to budowanie mostów w kierunku jakiegoś porozumienia z Konfederacją albo mniejszościowego rządu z jej frakcją Mentzena. Jeśli będzie rosnąć znaczenie Radosława Sikorskiego, a KO będzie sobie przypominać, że w swoich początkach była partią konserwatywno-liberalną, to będzie znak, że ta strategia jest wdrażana. Druga zaś to próba walki o większość z Nową Lewicą.

Czy ten drugi wariant otwiera ponownie dyskusje o jednej liście koalicji?

Koncepcja jednej listy miała sens w 2023 r. PiS rządził wtedy długo, budził potężne napięcia społeczne, jedna lista była wtedy formą plebiscytu nad rządami PiS. Dziś jedna lista byłaby plebiscytem nad rządem Tuska, a to mogłoby być ryzykowne dla rządzących. Przekonał się o tym David Cameron przy okazji brexitu, przekonał się Tusk w drugiej turze wyborów prezydenckich. Dziś dyskusje o wspólnej liście byłyby dysfunkcjonalne dla KO i lewicy, wzmagałyby napięcia.

A co z Polską 2050 i PSL?

Jeśli chodzi o to, co zostało po Polsce 2050, pytanie brzmi tylko, ilu posłów w ramach indywidualnych strategii przetrwania zdoła dostać się na listy KO. Poważniejszy, strategiczny problem dotyczy ludowców. PSL i KO muszą odpowiedzieć sobie na fundamentalne pytanie: czy PSL powinien zaryzykować po raz trzeci start pod własnym sztandarem, czy KO powinna zaproponować PSL wspólny start w ramach wielkiej koalicji EPP – co wiązałoby się też z pewnym przesunięciem KO w prawo. I to jest dziś najsensowniejsza dla obu aktorów opcja.

A nie powstanie jakaś nowa partia, z którą mógłby się sprzymierzyć PSL? Partia Brzoski albo samorządowców, o których spekulują media?

Takie partie mają sens w warunkach strukturalnego kryzysu PO – tak jak Nowoczesna w 2015. Dziś nie ma do tego warunków, samorządowcy próbowali już budować partię, bez wielkich skutków. Dublowanie programu KO i walka o jej wyborców per saldo służyłyby PiS.

Lewica nie powtórzy scenariusza z 2015 r.? Czy powinna zbudować jedną listę?

Wszystko wskazuje, że lewica zasiądzie w przyszłym Sejmie. Marszałek Sejmu, klub, samorządowcy – to są wszystko poważne atuty. Lewicy bardzo też pomagają Donald Trump i ambasador Thomas Rose. Czarzasty zrobił coś w polskiej polityce bardzo rzadkiego: wszedł w publiczną polemikę z amerykańskim dyplomatą, w czym kibicuje mu wielu wyborców. Lewica ma tę wygodną pozycję, że może głosić rzeczy, których nie może powiedzieć KO, i to zwiększa jej możliwości oddziaływania w ramach koalicji rządowej. Dla Nowej Lewicy wyzwaniem jest pogodzenie agendy światopoglądowej i socjalnej, budowanie poparcia w wielkich miastach i w mniejszych tradycyjnie eseldowskich ośrodkach.

A Partia Razem? Może przekroczyć próg?

Raczej nie ma w Polsce elektoratu, do którego chciałaby dotrzeć Razem – jednocześnie socjalnego i silnie progresywnego, a przy tym pozostającego w ostrej kontrze do obecnego układu rządowego. Trudno wyobrazić sobie, by partia z liderami z jednego pokolenia dotarła np. do uboższych emerytów albo 50-latków z sektora publicznego. Musiałoby dojść do wstrząsu całego systemu partyjnego, by Partia Razem wyszła ponad to, co ma teraz.

ROZMAWIAŁ JAKUB MAJMUREK

eprasa.pl 1719f564a1

Otoczony tujami przydomowy ogród polski z wygolonym trawnikiem skazany jest na zdziczenie, bo to światowy trend.

Mody ogrodowe

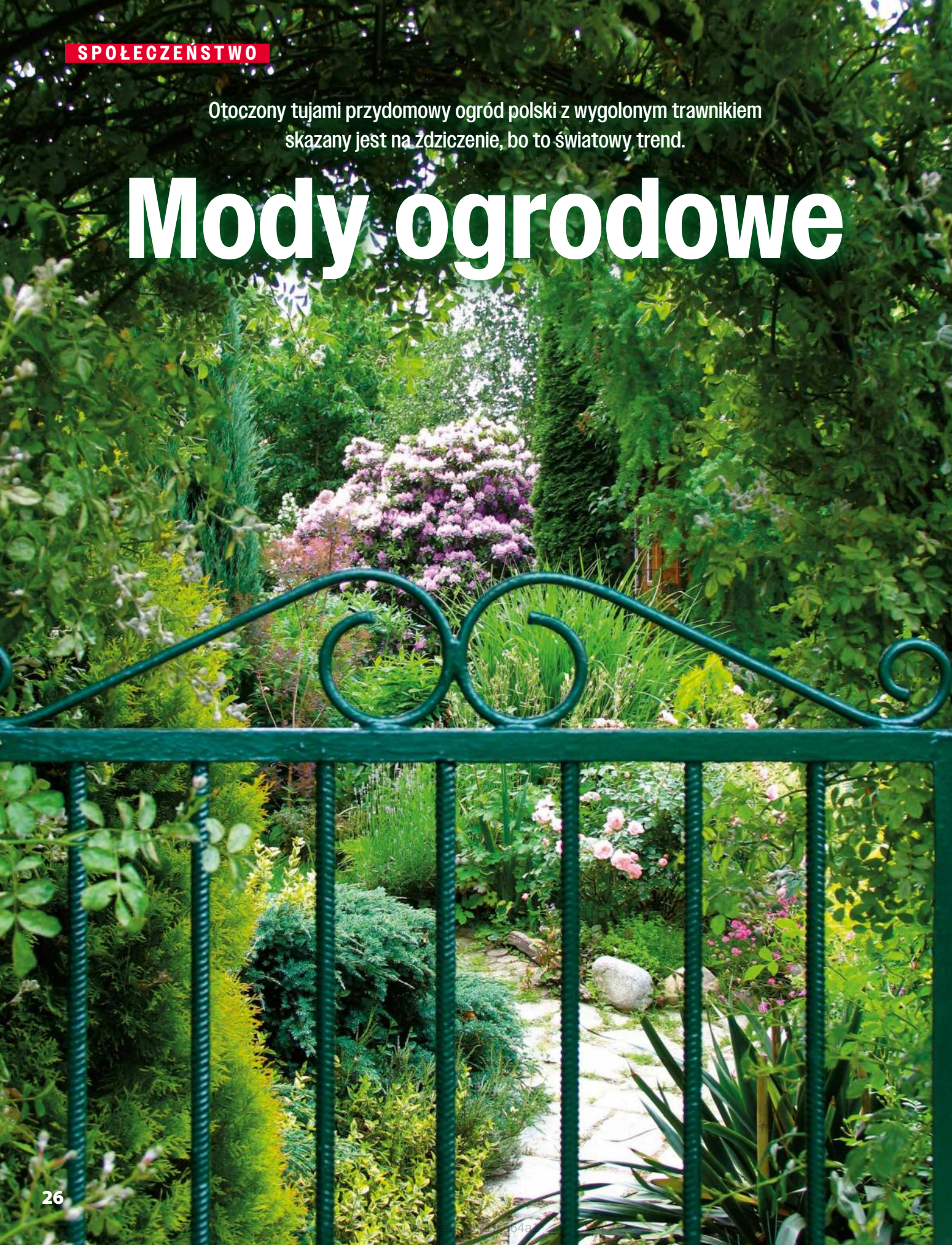

JĘDRZEJ WINIECKI

Początek wiosny przypomina, że ogrodnictwo to sztuka znoszenia presji. Wielu naraz. Dzika przyroda napiera chwastem i pędrakiem. Reklamy wciskają środki chemiczne chroniące przed dziesiątkami innych zagrożeń. Rynek zalany jest roślinami, wężami do podlewania, szpadlami, czy – to hit ostatnich sezonów – sekatorami na baterie. Grzech czegoś nie wziąć. A gra idzie o sporą stawkę.

Rynek samych produktów związanych z pielęgnacją ogrodów przydomowych i tarasów szacowany jest już na ponad 8,5 mld zł rocznie. Założenie ogrodu i jego wykonanie „na gotowo" przez firmę może kosztować niemal tyle ile budowa domu. Płaci się za inwentaryzację (obecnych roślin, siedlisk itd.), rozmowy z projektantami, przygotowane przez nich koncepcje. Wpływ na cenę usług ma to, czy działka jest płaska, czy ma pochyłości, jej wielkość, jakość zastanej gleby itd. W realizacji: hulaj dusza. Na liście mogą być wszelkie prace ziemne. W tym glebogryzarkowanie, wyrównanie terenu, ewentualne dowiezienie ziemi, rozluźnienie jej piaskiem albo wzbogacenie kompostem, uzyskanie spadków do retencjonowania wody opadowej, wykonanie przechowujących ją niecek i wszystkie prace związane z roślinnością, w tym zakup, transport i posadzenie. Do tego ściółkowanie korą, założenie trawnika, zabezpieczenie palikami.

Ile to kosztuje? Nawet w przypadku niewielkich działek kilkadziesiąt tysięcy. Trudno się dziwić, że na rabatach trwa wielka wojna ideologiczna, w której dzikość walczy z porządkiem. Chwast z tują, a zapylacze z opryskami. Ogród polski się zmienia, tak jak zmieniają się gusta i ambicje jego właścicieli. Gusta z kolei kształtują algorytmy serwisów społecznościowych i wybory sąsiadów.

Kontrolować czy obserwować

W świecie idealnym należałoby traktować ogród jako przestrzeń dla przyrody, pożyczoną przez człowieka na kilkanaście–kilkadziesiąt lat. O którą dba się tak, by przekazać ją kolejnym pokoleniom w stanie niepogorszonym. W praktyce ważniejsze są inne kwestie. Ogród ma regulować stres i wyciszać. Ma być przestrzenią do relaksu. Jednocześnie ma być zielonym salonem. – *Marzymy, że będziemy się spotykać przy grillu czy stole, zapraszać rodzinę, tworzyć wspólnotę i podtrzymywać więzi. Ogród ma też służyć jako wybieg dla dzieci i zwierząt domowych* – mówi Małgorzata Piszczek, architektka krajobrazu, edukatorka ogrodnicza i projektantka ogrodów uwzględniających potrzeby natury. No bo skoro rodzicielstwo jest wymagające, to rodzice chcą sobie życie możliwie uprościć. W ogrodzie dzieci mogą przebywać w przyrodzie i dzięki temu nie trzeba ich co tydzień wywozić na wycieczkę do lasu. Wreszcie ogród ma być przestrzenią szczelną. – *Kiedyś odizolowaną tujami, dziś coraz częściej laurowiśniami, z ogromnymi tarasami i trawnikiem. Lubimy też gromadzić urządzenia rekreacyjne, różne baseny i trampoliny, zmieniające ogród w plac zabaw. W porównaniu np. ze Skandynawią nasze ogrody są bardzo zainwestowane* – mówi Piszczek.

Branża to czuje. Małgorzata Kołodziejska z Leroy Merlin, jednej z głównych sieci zaopatrujących polskie ogrody przydomowe, informuje nas, że rynek „pozostaje stabilny i ma bardzo dobre perspektywy rozwoju". Także dlatego, że ogrody przestały być wyłącznie przestrzenią sezonową, stały się „naturalnym przedłużeniem domów", także miejscem pracy zdalnej czy realizacji pasji. Takie podejście wpływa na listę zakupów: rosną kategorie związane nie tylko z roślinami, ale również „z aranżacją, komfortem i funkcjonalnością przestrzeni zewnętrznych".

Przez lata dominował model ogrodów trawnikowych, poukładanych jak pudełeczku. – *Zdarza się, że ogród jest przestrzenią, nad którą staramy się zapanować, a kosząc co kilka dni, spełniamy się w tej kontroli. W naszym chaotycznym życiu chcemy mieć przynajmniej jedną przewidywalną rzecz i akurat pada na ogród* – mówi Małgorzata Piszczek. Z jej blisko 40-letniego doświadczenia wynika jednak, że w pewnym momencie prawie wszystkim taka kośba, kosiarki, podkaszarki i traktorki się nudzą. – *Klienci, którym kiedyś zakładaliśmy trawniki, którzy pielęgnowali ruń jak opętani, zmieniają ją teraz w wielogatunkowe murawy. Czują się przytłoczeni obowiązkiem ponad siły i przerabiają swoje ogrody w bardziej naturalnym kierunku.*

Ogród bezobsługowy

Sposobem na ucieczkę spod presji stało się marzenie o ogrodzie bezobsługowym. Model, w którym właściciel nie będzie musiał się napracować, a obejście będzie wyglądać na zadbane, wypromowały głównie społecznościówki. To o niego najczęściej pytają klienci wizytujący centra ogrodnicze lub zwracający się do projektantów. Szukają czegoś urządzonego jak najprościej. Z trawą, hortensją i świdośliwą. Nie ma więc mowy o nurzaniu się w zieloności. Zamiast „łąk szumiących i kwiatów powodzi" ma być trawnik o kształtach niedezorientujących robota koszącego. – *Na rabatach mają rosnąć rośliny, które spełniają estetyczne marzenia, nie rozrastają się nadmiernie i pasują do wyobrażeń o idealnym ogrodzie. Nie zwracamy za to uwagi na dobór zgodny z siedliskiem, odpornością na suszę czy inne trudne warunki* – stwierdza Małgorzata Piszczek.

Na taki pozornie bezpiecznie wyglądający wariant decydują się zwłaszcza ci, którzy dopiero rozpoczynają przygodę z ogrodem, bo np. trafili na przedmieścia rozlewających się metropolii. Ich dylematy poznaje Arleta Gołębiowska, autorka youtubowego kanału „Krzakowisko", od lat prowadząca warsztaty z projektowania bezproblemowych ogrodów. – *Część osób podchodzi do tego zadaniowo. Skoro poradzili sobie z budową domu, pilnowali ekip, podejmowali dziesiątki decyzji, zakładają, że ogród to kolejny etap, którego można się nauczyć. Ale są też osoby, które mają wiele obaw. Dom pochłonął już mnóstwo pieniędzy, a zagospodarowanie ogrodu to kolejna inwestycja. Nie wiedzą jednak, czy znajdą czas na pielęgnowanie ogrodu i czy to w ogóle polubią.*

Gdyby wygląd polskich ogrodów zależał jedynie od projektantów i architektów krajobrazu, twierdzi Arleta Gołębiowska, podążalibyśmy za promowanymi w Europie Zachodniej ogrodami naturalistycznymi i półdzikimi. Takie inspiracje specjaliści przywożą z londyńskich targów Chelsea Flower Show (tradycyjnie pięć dni pod koniec maja) czy z analizy projektów Holendra Pieta Oudolfa, globalnej gwiazdy branży. – *Ogrody* ▶

© JERZY ROMANOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 1719f564a1

▶ *preriowe świetnie pasują do domów typu nowoczesna stodoła, a niekoniecznie do klasycznego budownictwa. Tu jest miejsce raczej dla rabat angielskich, z różami i z większą ilością krzewów* – mówi Gołębiowska.

I podejrzewa, że gdyby decyzje mieli podejmować wyłącznie ogrodnicy, którzy ogrody zakładają i pielęgnują, to przydomowy krajobraz szedłby w kierunku ekologii, z małą ilością chemii i w stronę przyjaźni z naturą. – *Mają jednak bezpośredni kontakt z klientem, a klient oczekuje rezultatu. Drzewko ma nie chorować. Widzę mszycę, nich pan czymś popryska. Nie chcę mieć chwastów, niech pan położy jakąś matę. Bo nie wszyscy zdają sobie sprawę, że na uregulowanie ogrodu trzeba cierpliwie poczekać, i to dłużej niż rok.*

Dwa rodzaje drzew, dwa rodzaje ogrodów

Wiedząc to, ogrodnicy wykonawcy upraszczają sobie pracę, zwłaszcza jeśli klientowi to nie wadzi, a skłonny jest płacić. – *Nie poprawiają jakości gleby. Nie uprawiają jej, wolą ją wymienić. Rośliny sadzą w nieprzygotowanym podłożu. Nie dbają o retencję wody. Zamiast tworzyć dla niej niecki, odprowadzają ją do podziemnych zbiorników i sprzęgają z automatycznym systemem nawadniania. Postępują nieskutecznie, ignorując prosty fakt, że najważniejszym zbiornikiem wody pozostaje gleba* – punktuje Małgorzata Piszczek. – *Tylko gdzie ludzie mają się tego wszystkiego nauczyć? Bo przecież nie w szkole. W Skandynawii powszechnie potrafi się nazwać rośliny wokół siebie. Tymczasem w Polsce rozróżniamy przeważnie dwa rodzaje drzew: „drzewo" i „choinkę".*

Wypadkową tych marzeń i dysonansów widać w całym kraju. Także w ogrodach działkowych tracących swój pierwotny charakter. Powszechnie tworzone są ogrody, które Małgorzata Piszczek nazywa konfekcyjnymi. – *Projektanci słuchają dokładnie tego, co klient mówi, ale nie wsłuchują się w jego potrzeby. Fachowcy ulegają laikom i czują się zwolnieni z konieczności nawiązania do siedliska i krajobrazu. Bo ogród wcale nie kończy się na ogrodzeniu* – zwraca uwagę Arleta Gołębiowska.

Małgorzata Piszczek na jednej z grup na Facebooku trafiła na relację inwestora, który na granicy działki zbudował sobie betonowy mur. Na komentarze grupowiczów, że widok jest dość przykry, odpowiedział, że woli beton od „zaniedbanej" działki za płotem. – *Czyli to, co jest przyrodą akceptowaną w lesie lub na łące, za naszym płotem lub w jego obrębie staje się wyrazem zaniedbania. Jest czymś, co nie powinno istnieć i na co nie powinniśmy patrzeć.* Przedłużeniem tej postawy jest traktowanie roślin jak meble, które mają przede wszystkim dobrze wyglądać. – *Wolno im rosnąć. Niepokoimy się jednak, gdy zaczynają się zmieniać, rozrastać, starzeć się lub umierać.*

Tak skomponowane ogrody, w założeniu bezobsługowe, mogą jednak zaskoczyć koniecznością interwencji. Zwłaszcza wtedy, gdy właściciel chce utrzymać ich styl. Coś między kamieniami ściółkującymi rabaty prędzej niż później wyrośnie. – *To uruchamia analizę, czy trawnik rzeczywiście jest potrzebny i czy stokrotka, która pojawi się wśród źdźbeł trawy, na pewno jest niepożądanym intruzem* – zapewnia Arleta Gołębiowska. – *A gdy zaczniemy odpuszczać kontrolę, powstanie przestrzeń na poszukiwanie życia w ogrodzie. Przestaniemy z nim walczyć, z etapu eksterminacji przejdziemy do obserwacji i bycia przyrodnikiem.*

Drugim wariantem ogrodu wymagającego niewielkiej obsługi jest siedliskowy, który wybacza braki w pielęgnacji. Zbudowany z rodzimych roślin. Który nie wymaga przycinania i wyrywania roślin spontanicznych, czyli tzw. chwastów, bo te się wkomponują w istniejące rabaty. Jednocześnie warto stosować w nim materiały, które wybaczają niedostatki w utrzymaniu. Kostka betonowa na podjeździe (bo ten wygląda na obowiązkowy) kruszy się i brudzi. Jak coś wyrośnie w spoinach, wygląda na zaniedbaną. Naturalny kamień lub żwir z udziałem roślin wygląda jak droga w parku lub leśny dukt. – *Sposobem na organizację przestrzeni jest wyznaczanie stref w ogrodzie, a te, gdzie konieczne jest grabienie liści, jakieś cięcie czy czyszczenie, powinny być sprowadzone do minimum* – podpowiada Małgorzata Piszczek.



Najnowszy krzyk mody to ogrody bezobsługowe. Same sobie rosną.

Tu jednak jesteśmy na początku długiej drogi. Porusza los jeży i zapylaczy. Coraz więcej osób wie, że to nie tylko pszczoły. Powoli rusza dyskusja o nadmiernym oświetleniu ogrodów. Szkolne deficyty albo jakaś ogólnospołeczna amnezja sprawiają, że nie pamiętamy np., czego potrzebują motyle. Nie wystarczą im tylko kwitnące kwiaty. Ich gąsienice żerują na roślinach żywicielskich, często tych wyrywanych i uważanych za chwasty. Pozbywamy się kłód drzew, w których jest mnóstwo życia. Nie lubimy ich, bo gniją, co może być dowodem naszej niezaradności i dopuszczenia do bałaganu. Nie przepadamy za drzewami, zwłaszcza dużymi.

– *Okazałe drzewa nie muszą być zagrożeniem, nie trzeba się ich bać* – zachęca Tomasz Kryjan, podlaski arborysta. – *Trzeba im przede wszystkim jak najmniej przeszkadzać. Nie jeździć pod nimi samochodem, by nie zagęszczać gruntu. Jak jest sucho, a okresy bezdeszczowe stały się już ekstremalne, to podlewać. I generalnie nie grabić liści, zwłaszcza pod drzewami.*

W teorii ogród pozostaje „miejscem antropogenicznym", które – skorzystajmy ze sformułowania krakowskiego filozofa prof. Leszka Sosnowskiego – powinno zgrabnie łączyć „dziewiczą naturalność z dyskretną ingerencją człowieka".

Przy czym jakikolwiek by ogród był, to zazwyczaj znajdzie się w nim miejsce na warzywniak lub przynajmniej skrzynię z ziołami. Nie ma mowy o dawnej, bliskiej przemysłowej skali, gdy na zimę robiono słodkie i wytrawne zapasy dla siebie

eprasa.pl 1719f564a1





Podmiejska klasyka. Przystrzyżone drzewa i krzewy. Trawnik gładki jak stół.

i bliskich. – *Nie da się odłożyć zapasów do piwnicy, bo nowoczesne budownictwo piwnic nie przewiduje* – rozkłada ręce Arleta Gołębiowska. Zamiast czegoś pod budynkiem zakłada się więc osobne piwniczki. Ich inwestorzy liczą, że coś tam jednak odłożą. Nie chcą odcinać się od szansy na przechowywanie żywności. Nie zraża ich, że uzyskanie własnego plonu kosztuje wielokrotnie więcej niż na ryneczkach, bazarkach czy w dyskontach.

Także w cieszącej się wciąż wzięciem uprawie owoców idzie o ilości głównie symboliczne. Raczej z pojedynczych drzewek czy krzaków, z których najmłodsi zerwą jabłko lub borówkę, by mogli się przekonać, że owoce nie pochodzą jedynie ze sklepowych półek. Do łask wrócił poszukiwany w sklepach ogrodniczych i szkółkach agrest. – *Z jabłoni najlepiej sprzedają się stare odmiany, na czele z papierówką, malinówką i kosztelą* – informuje Piotr Kryjan, brat arborysty Tomasza i właściciel centrum ogrodniczego w podbiałostockich Nowodworcach. Jego klientów nie zrażają dotkliwe majowe mrozy, które nocami na Podlasiu w zeszłym roku dochodziły do -10 st. Ta nowa wiosenna normalność i skutek zmiany klimatu niszczy zawiązki owoców i w dwóch ostatnich sezonach doprowadziła do tego, że na bardzo wielu podlaskich drzewach nie pojawił się ani jeden owoc.

Tu ja, tu ty

Polskie ogrody są jak polska transformacja – puszczone na żywioł. – *W Holandii wszyscy mają podobne domy, a przy nich podobne nasadzenia. A u nas każdy dom jest inny. Także ogrodowe style są od Sasa do Lasa* – zauważa Arleta Gołębowska. Taka była wypadkowa ostatnich dekad. – *Jeszcze w latach 90. zaprojektowany ogród był fanaberią* – wspomina Małgorzata Piszczek. – *Mało kto zamawiał projekt, jeszcze rzadziej realizowała go wyspecjalizowana firma, dlatego z reguły tworzono projekty do samodzielnej realizacji.* Wtedy potrzeba takiego ogrodu wynikała z bliższego kontaktu z ziemią, z racji pracy na działkach czy w wiejskich ogrodach dziadków, a także z inspiracji zagranicznych lub osobistego doświadczenia np. w niemieckich centrach ogrodniczych. – *Wtedy jeszcze kochano rośliny i bardzo o nie dbano, pozostawały najważniejszą częścią ogrodu.* To były czasy, gdy w szkółkach i sklepach dominowały łatwe w uprawie iglaki. Później pojawiły się krzewy i drzewa liściaste. No i tuje. Dziś w szkółkach królują byliny, rośliny wieloletnie, które nie wytwarzają zgrubiałych części. Wpisują się w ogólnoeuropejskie mody, są proste w rozmnożeniu, dają się wdzięcznie zmarżować. Bo o ile drzewa czy krzewy spędzają pierwsze lata życia w szkółkach i kosztują odpowiednio do swojego wieku i rozmiaru (duże osobniki to już przedział tysięcy złotych), to byliny się wysiewa i w kolejnym roku są gotowe do sprzedaży.

Po drodze ogrody zakładane w latach 80. i 90. mocno się zmieniły. – *Często wyglądają jak ponure bory lub trudny do opanowania gąszcz* – mówi Małgorzata Piszczek. – *Są uwspółcześniane, przystosowuje się je do m.in. zmiany klimatu. Przechodzą też zmianę pokoleniową. Ich twórców zastępują dzieci, wnuki albo osoby, które kupiły dom z ogrodem. I bardzo często decydują się na poważne zmiany, chętnie pozbywają się wszystkiego, łącznie z drzewami i w ten sposób stworzyć nową przestrzeń i własną z nią relację.*

Wreszcie w polskim ogrodzie utrzymuje się podział na miasto i wieś. Miasto ciągnie do zieleni i do swobody, która cierpi w starciu z betonem. Wieś patrzy na to nieco inaczej. Arleta Gołębiowska, której działka sąsiaduje z uroczym nieużytkiem, mówi: – *Nie tęsknię do natury, bo otacza mnie z każdej strony i nie odczuwam jej deficytu. To, co dla mieszkańców dużych miast jest nieuchwytne, tutaj jest codziennością. Tłem, które nie przyciąga uwagi, bo po prostu jest.* Jej ogród odpowiada na inne warunki wyjściowe, nie ma więc za zadanie niczego udawać. Właścicielom tak tworzonych przestrzeni nie przeszkadzają proste linie i przystrzyżony w kulkę cis, bo wprowadzają czytelną strukturę i pewien porządek. W takich ogrodach ma być widać, że dzikie przeplata się z ludzkim, że miejsce nie jest opuszczone, porzucone i pozostawiane same sobie. Ani koszone wyłącznie przez samojezdnego robota.

JĘDRZEJ WINIECKI

© MAREK BAZAK/EAST NEWS

eprasa.pl 1719f564a1

Gwiazdy gastro teatru



Z jednej strony polskie restauracje z najwyższej półki osiągnęły światowy poziom, ale z drugiej cierpią na finansową zadyszkę. Tegoroczna edycja przewodnika Michelin może im podkręcić obroty.

JOANNA PODGÓRSKA

Współpracująca z Michelin Polska Organizacja Turystyczna ogłosiła w oficjalnym komunikacie, że Polska ma jedną z najdynamiczniej rozwijających się gastronomii i mamy właśnie przełomowy moment, który stawia nasz kraj jako ważny punkt na kulinarnej mapie Europy. Coś jest na rzeczy, bo po raz pierwszy inspektorzy kulinarni przewodnika rozjechali się po całej Polsce. Dotychczas odwiedzali głównie duże miasta: Warszawę, Kraków, Poznań, Gdańsk. Rezultaty ich peregrynacji mają być ogłoszone 28 maja. Po cichu świat restauracyjny liczy, że w maju sypnie gwiazdkami, nagrodami Bib Gourmond, które Michelin przyznaje za stosunek ceny do jakości, a przynajmniej rekomendacjami.

– *Mamy nadzieję, że bardzo dobre restauracje, także w mniejszych miastach, zostaną przez przewodnik zarekomendowane, bo im się to naprawdę należy* – ocenia Agnieszka Małkiewicz, założycielka platformy Made for Restaurants, łączącej liderów branży HoReCa. – *Restauratorzy potwierdzają, że gwiazdka czy nawet sama obecność w przewodniku Michelin, podbija zainteresowanie i rentowność. Ale muszą się potem sprawdzić w boju, sprostać fali uderzeniowej gości i dostarczyć im dania odpowiedniej jakości.*

Zagryzając wężymordem

To ma być rok przełomowy. Poprzedni datowany jest na 2013 r. „Szefowie kuchni zyskiwali status i uwielbienie do tej pory przynależne gwiazdom muzyki. (...) Otwierały się kolejne miejsca z ambitną i autorską kuchnią. Na restauracyjne stoły wróciły jarmuż, pasternak, wężymord, topinambur, kapłony, podroby

© MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1719f564a1



Przemysław Klima, szef krakowskiej, dwugwiazdkowej restauracji Bottiglieria 1881

i gęsina. Talerze dekorowano listkiem czosnku niedźwiedziego, kaparami z nasturcji czy łykowatym i gorzkim krwawnikiem, bo kucharze, zainspirowani Rene Redzepim, składniki do dań zbierali jak w kopenhaskiej Nomie, z trawnika obok knajpy. Na nowo odkrywaliśmy nasze zapomniane kulinarne dziedzictwo i sprawdzaliśmy, czym smakują dwa najmodniejsze wówczas przymiotniki: lokalny i sezonowy. Jedzenie stało się pożywką intelektualną i w szerokim ujęciu społeczno-historyczno-kulturowym dyskutowane" – pisała w POLITYCE Basia Starecka.

Cały świat odreagowywał wówczas zapaść ekonomiczną z 2008 r. „The Guardian" przekonywał, że kulinaria to nowy seks, narkotyk i religia – ostatnia rozrywka, jaką można się obsesyjnie raczyć bez społecznej dezaprobaty. Na stoły amerykańskich restauracji wróciły białe obrusy, zdjęte na czas kryzysu, gdy w modzie był egalitaryzm, a recenzenci kulinarni nagradzali fast foody. Polska gastronomia odreagowywała nie tylko kryzys, ale też dekady PRL, gdy szczytem kulinarnych marzeń był schabowy wielkości beretu. Później restauratorzy obawiali się podawać klientom dania, których nie znają i nie rozumieją, by nie poczuli się skonfundowani.

Kiedy Polacy, którzy zaczęli jeździć po świecie, stali się bardziej otwarci na nowe smaki, apetyty na wyrafinowaną kuchnię podkręcały superpopularne programy kulinarne. Popkultura wykreowała jedzenie jako nową formę rozrywki. Do Polski, po stażach w Londynie, Paryżu czy Skandynawii, wracali młodzi kucharze, przywożąc kreatywność, otwarte głowy i inną etykę pracy.

– *Na Zachodzie uczyliśmy się nie tyle gotować, ile pracować w kuchni: organizacji, podziału na sekcje, czystości, a przede wszystkim szacunku do klienta, który przychodzi do restauracji nie po to, by się najeść po korek, ale sprawić sobie przyjemność. I my tę przyjemność mamy mu dać* – deklaruje Marcin Przybysz, zwycięzca trzeciej edycji „Top Chef", szef kuchni w warszawskiej restauracji Epoka (wyróżnienie Michelin i trzy czapki Gault & Millau).

Romantyzm na widelcu

Rok 2013 to także pierwsza polska gwiazdka Michelin dla restauracji Atelier Amaro. Na kolejną dla restauracji Senses trzeba było czekać kilka lat. Następna była krakowska Bottiglieria Przemysława Klimy (dziś jedyny dwugwiazdkowy szef kuchni w Polsce). Przewodnik Michelin traktował Polskę powściągliwie, mimo że przybywało restauracji klasy fine dining, serwujących wyrafinowane menu degustacyjne, z daniami o wyglądzie jubilerskich cacek; z kelnerami, którzy barwnie i długo o nich opowiadają, tak że zanim skończą, człowiek zapomina, od czego zaczęli.

Dobrą passę przerwała pandemia; dla restauracji premium szczególnie trudna. Jubilerskie cacka nie nadają się na dowóz. Bez atmosfery i elokwentnych kelnerów fine dining tracił swój blask. Po pandemii Atelier Amaro i Senses – jedyne wówczas gwiazdkowe w Polsce – zniknęły z kulinarnej mapy Warszawy.

– *My adaptowaliśmy się do sytuacji, szykując np. hot dogi w japońskiej bułce z karczochami i robionymi u nas wędlinami. Dowoziliśmy klientom pieczywo własnego wypieku, sery, dorzucaliśmy do tego szampana w papierowym kubku. Były też dotacje. Udało się utrzymać zatrudnienie i wynagrodzenia* – wspomina Maciej Sondij, prowadzący warszawską restaurację Dyletanci. Jego zdaniem z prawdziwym kryzysem branża zmaga się teraz. I to nie tylko w Polsce. – *W dwu-, trzygwiazdkowych restauracjach, gdzie stolik trzeba było zamawiać nawet z półrocznym wyprzedzeniem, rezerwację można zrobić praktycznie z dnia na dzień. W polskich restauracjach klasy premium liczba gości spadła mniej więcej o jedną trzecią. Restauratorów przygniatają problemy finansowe.*

„Właściwie gdziekolwiek by ucho przyłożyć, tam czai się mniejszy lub większy problem, który wymaga od restauratorów nie lada ekwilibrystyki, by poskładać cały biznes niczym puzzle. Rosną ceny mediów, spada rentowność, zmienia się prawo, otoczenie wewnętrzne i zewnętrzne jest niestabilne – to wszystko powoduje, że prowadzenie restauracji to dziś nie tyle kulinarna pasja, ile sztuka zarządzania kryzysowego w trybie ciągłym. To stałe balansowanie między rachunkiem ekonomicznym a rachunkiem dla gościa, między przepisem na nowe danie a konceptem na przetrwanie" – czytamy w najnowszym raporcie Made for Restaurants.

W ubiegłorocznym Agnieszka Małkiewicz przyjrzała się restauracjom przez biznesowy pryzmat. Wnioski? W Stanach Zjednoczonych restaurator to przedsiębiorca, który z dumą mówi o zyskach, w południowej Europie restauracje to maszynki do zarabiania pieniędzy, a w Polsce kosztowne dzieła sztuki z zagubioną rentownością. Restauratorzy czują się bardziej twórcami, kreatorami, dbającymi o każdy drobiazg. „W ten oto sposób polscy restauratorzy idą własną, niepowtarzalną drogą, a ich *modus operandi* ma w sobie wiele z naszego narodowego romantyzmu" – podsumowuje.

Południe gotuje to samo

W otwarcie fine diningowej restauracji trzeba zainwestować średnio 2 mln zł, ale *sky is the limit*. Maciej Sondij zna przypadki, gdzie budżet sięgał 20 mln zł. ▶

eprasa.pl 1719f564a1

▶ A koszty prowadzenia takiego biznesu są wysokie. Sama pensja szefa kuchni z najwyższej półki to sumy od 10–15 tys. zł w górę. Do tego reszta personelu, na którego pensjach nie ma co oszczędzać, bo kiepski kelner potrafi zepsuć efekt najlepszej pracy szefa kuchni, plus ceny produktów najwyższej jakości, bez których cała zabawa traci sens. Nie bardzo jest gdzie ciąć.

– *Restauratorzy głośno nie narzekają, żeby nie psuć sobie wizerunku, nie uwalniać negatywnej energii. Wolą zaklinać rzeczywistość, że jest super. Nie jest* – ocenia Sondij. – *Myślę, że ludzie w niestabilnych, wojennych czasach zaczęli ograniczać wydatki. Czasy, gdy byli skłonni wydawać duże pieniądze na jedzenie, trochę się skończyły. Mam nadzieję, że niebezpowrotnie.*

W 2023 r. przewodnik Michelin wrócił do Polski po pandemicznej przerwie. Nie było to takie proste, trzeba było znaleźć finansowanie, bo Michelin działa w formule partnerstwa ze strukturami państwowymi; w naszym przypadku to współpraca z Polską Organizacją Turystyczną. Gwiazdki przekładają się na zyski z turystyki. Po 2023 r. pojawiły się kolejne – w Poznaniu, Gdańsku, Kościelisku. W sumie ma ich siedem polskich restauracji. Według Macieja Sondija, zważywszy na poziom naszej gastronomii z górnej półki, to żenująco mało. – *Warszawa ma tylko trzy gwiazdkowe restauracje, a spokojnie mogłaby mieć drugie tyle. Sam jestem gastroturystą i czasem, gdy odwiedzam dwugwiazdkowe lokale za granicą, łapię się za głowę. Po prostu nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że te miejsca trafiły do przewodnika.*

Inni eksperci z branży potwierdzają tę opinię. – *Od kilkunastu lat doświadczam, badam i analizuję to, co się dzieje na naszej scenie kulinarnej i mogę z całą pewnością stwierdzić, że jeśli chodzi o jakość, przeżywa ona bardzo dobry czas. Szefowie kuchni koncentrują się na produktach najwyższej jakości, sięgają do naszych korzeni, ale potrafią je filtrować przez międzynarodowe trendy* – ocenia Daria Pawlewska, współtwórczyni i pierwsza redaktor naczelna magazynu „KUKBUK".

Agnieszka Małkiewicz mówi wręcz o rewolucji, która wywindowała poprzeczkę naprawdę wysoko. – *Pokusiłabym się nawet o stwierdzenie, że Europa Północna stoi gastronomicznie wyżej niż południowa. Stawia na różnorodność, nie boi się kuchni etnicznych, a południe tkwi w swoich tradycjach. W Chorwacji czy nawet Hiszpanii większość restauracji serwuje to samo.*

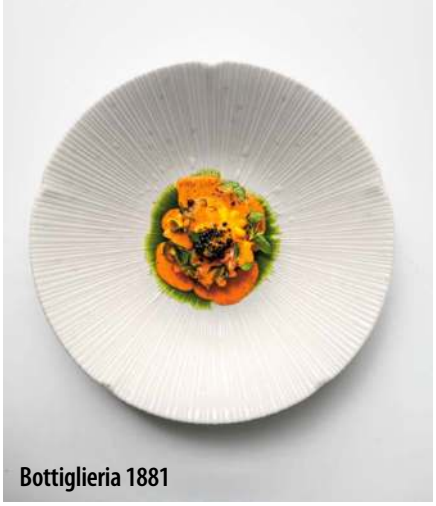
Bottiglieria 1881

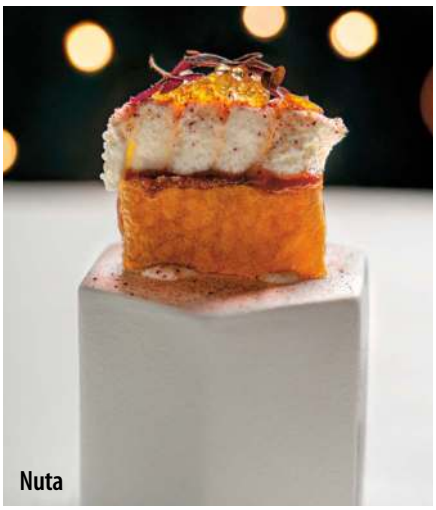
Nuta


Giewont


Epoka

Włosi, Francuzi czy Hiszpanie wychowywani są w przekonaniu, że ich kuchnia jest najlepsza na świecie. Nasi szefowie kuchni, napędzani pasją i ambicją, starają się udowodnić, że już grają w pierwszej lidze. – *Jest u nas coraz więcej miejsc, do których mam ochotę zapraszać zajmujących się gastronomią znajomych z zagranicy, bo naprawdę nie mamy się czego wstydzić* – deklaruje Małgorzata Minta, dziennikarka kulinarna, autorka bloga Minta Eats. – *Wreszcie wyleczyliśmy się z kompleksu, że polska kuchnia jest mniej ciekawa i gorsza. Kucharze poprzez dania potrafią opowiadać o naszej geografii, klimacie, historii.*

Nowe smaki starych potraw

Kuchnia polska to w sektorze fine dining trend od kilku lat najsilniej obecny; tradycyjna, rekonstruowana, w nowoczesnych interpretacjach, wzbogacana elementami innych kuchni. Pełna nieoczywistych smaków i kombinacji – ostrygi z barszczem, lody z mizerii, glazura z kwasu chlebowego, deser z kawiorem; granicą jest wyobraźnia kucharza.

Marcin Przybysz szuka inspiracji w starych książkach kucharskich. Dania w jego menu degustacyjnym sygnowane są datami ich wydania. Otwiera je pozycja z 1825 r. (kompot z bzu, ostrygi, pstrąg świeży, mizeria), zamykają wety (desery) z książki „Moda bardzo dobra smażenia różnych konfektów", pochodzącej z 1686 r.

– *Niby każdy wie, że polska kuchnia była kiedyś inna, ale ja mam misję pokazać, co to znaczy inna; jak wiele rzeczy było obecnych w naszej kuchni, które zatraciliśmy w czasach PRL. Kwiaty jadalne znane tu były od wieków, tak jak szparagi czy karczochy. 100 lat temu w Warszawie było mnóstwo barów z ostrygami. Część książek, z którymi pracuję, pochodzi z czasów, gdy Polski nie było na mapie, a napisane są w naszym języku. To znaczy, że naszym przodkom zależało na kulinarnej tożsamości. Ja chcę dzielić się tą wiedzą z kolejnymi pokoleniami.*

Pytani o inne trendy nasi rozmówcy też są zgodni – prostota. – *Szczęśliwie minęła moda na udziwnioną kuchnię molekularną, wszystkie te pianki, musy, pudry i inne kulinarne akrobacje. Dziś szefowie koncentrują się na surowcu. Danie składa się z dwóch, trzech produktów i naprawdę można cieszyć się ich smakiem* – deklaruje Daria Pawlewska. Z nostalgią wspomina pewien dodatek do dania – buraczki z czarną porzeczką. – *Niby mała*

© MATERIAŁY PRASOWE (5)

eprasa.pl 1719f564a1

Polskie gwiazdki

Warszawa
NUTA
(szef kuchni – Andrea Camastro)
ROZBRAT 20
(szef kuchni – Bartosz Szymczak)
HUB PRAGA
(szef kuchni – Witek Iwański)
Poznań
MUGA
(szef kuchni – Artur Skotarczyk)

Kraków
BOTTIGLIERIA 1881
(szef kuchni – Przemysław Klima – jedyna z dwiema gwiazdkami)
Gdańsk
ARCO by Paco Perez
(szef kuchni – Paco Perez)
Kościelisko
GIEWONT
(szef kuchni – Przemysław Sieradzki)

Wyróżnienie Bib Gourmand za stosunek ceny do jakości otrzymało od inspektorów Michelin 21 polskich restauracji, a 80 zyskało rekomendację przewodnika.



Restauracja Giewont w Kościelisku

rzecz, ale z jednej strony poczułam smak dzieciństwa, a z drugiej, że to coś zupełnie nowego. Sztuka polega na tym, by wziąć prosty (czasem wręcz prostacki) produkt i wynieść go na wyższy poziom. Swego czasu Modest Amaro podawał gościom pokrojoną w cieniutkie plasterki słoninę otoczoną popiołem ze spalonych obierek; efekt przypominał pieczonego w ognisku ziemniaka. Dziś topowi kucharze nie wahają się sięgać np. po kaszankę. Marcin Przybysz podaje ostrygi w imitującym muszlę czipsie z ziemniaka.

„Goście nie szukają rewolucji, tylko nowego smaku znanego świata – potraw, które mają w sobie nostalgię i świeżość. Wysoko oceniany jest chleb, który z popularnego czekadełka wzniósł się na wyżyny wykwintnego dania. Wypiekany na miejscu, podawany jeszcze ciepły, z autorskimi dodatkami, starszym gościom może przypominać smak dzieciństwa, a młodszych uczyć, że wypiek to prawdziwa sztuka" – czytamy w raporcie MfR. 78 proc. badanych klientów wymieniło pieczywo własnego wypieku jako najatrakcyjniejszą pozycję. Na drugim (70 proc.) znalazły się robione na miejscu przetwory.

– *Chyba po pandemii zostało w nas coś takiego, że szukamy tego, co autentyczne i zrozumiałe* – mówi Małgorzata Minta. – *Żyjemy w skomplikowanych czasach, to już niech jedzenie będzie wyrafinowane, ale zarazem proste; żeby nas nie przytłaczało.*

Giewont na szczycie

Silne trendy to także sezonowość i lokalność. Szefowie kuchni mają swoich zaprzyjaźnionych i zaufanych dostawców. Bywa, że raz, dwa razy w tygodniu sami zakładają gumiaki i zbierają z grządek zaopatrzenie dla swoich kuchni.

Z jednej strony restauratorzy narzekają na rosnące koszty, ale ich goście po kolacji też odczuwają luzy w portfelu. Cena menu degustacyjnego to suma rzędu od kilkuset do tysiąca złotych (bez wina). To nie jest zwykłe wyjście do restauracji, ale trwający kilka godzin spektakl. Przy czym – jak podkreślają rozmówcy – to nieprawda, że w finediningowych lokalach bywają wyłącznie najbogatsi. – *Jest grupa ludzi, którzy raz na jakiś czas pozwalają sobie na wyjście teatru czy opery. Kolację fine dining można porównać do takich wizyt* – mówi Maciej Sondij.

Klientela nie jest jednolita. – *Bywa aspirująca klasa średnia, traktując to jako hobby. Jest też nowa grupa klientów z pokolenia zetek, często z pieniędzmi rodziców. Dorasta pokolenie, które chodzenie do restauracji ma we krwi* – dodaje Agnieszka Małkiewicz. Nie bez znaczenia jest fakt, że finediningowe dania są bardzo instagramowe. Niektóre restauracje mają nawet specjalnie podświetlane fotobudki.

Według raportu MfR dla klientów, dla których przy wyborze lokalu nagrody kulinarne mają znaczenie, najsilniejszym magnesem są gwiazdki Michelin. O ich efekcie przekonała się restauracja Giewont z Kościeliska – jedyna gwiazdkowa spoza dużych miast.

– *To był pomysł trójki przyjaciół, którzy podczas wyjazdu w Alpy w położonym wysoko w górach kurorcie trafili do bardzo ekskluzywnej restauracji. I pomyśleli: dlaczego nie w Tatrach?* – opowiada Łukasz Broda, prezes spółki prowadzącej restaurację. Kupili budynek z widokiem na Giewont. Remont trwał cztery lata, bo efekt miał być spektakularny. A skąd się bierze na Podhalu topowego kucharza? – *Ze wsi pod Krakowem* – śmieje się Łukasz Broda. – *Przemek faktycznie stamtąd pochodzi, ale do pracy ściągnęliśmy go z restauracji w krakowskim Hotelu pod Różą, prowadzonego przez rodzinę Likusów.*

Przemek Sieradzki to na naszej scenie kulinarnej postać wyjątkowa – najmłodszy z gwiazdką Michelin. Jest niewiele po trzydziestce i nigdy nie pracował za granicą. Kończył technikum gastronomiczne, gdzie – jak sam przyznaje – niczego się nie nauczył. Wiedzę czerpał od polskich szefów kuchni, którzy wcześniej pracowali w gwiazdkowych restauracjach na Zachodzie. Ale sam zna je tylko jako klient. Do tej pory odwiedził 23. W Giewoncie tworzy menu podhalańsko-francuskie: moskole z foie gras, nowoczesna wersja kwaśnicy, pstrąg potokowy z czarną truflą.

– *Przed gwiazdką bywało różnie. Mieliśmy momenty zwątpienia* – przyznaje Łukasz Broda. – *Ludzie widzieli napis „restaurant", wchodzili i pytali o pizzę. Sprzedaż szła opornie, niewiele się działo. Pierwszy bum nastąpił, gdy dostaliśmy rekomendację Michelin w 2023 r. A po gwiazdce musieliśmy zainwestować w nowy system rezerwacji. Mamy gości z całej Polski, ale też sporo gastroturystów z zagranicy, staliśmy się jedną z lokalnych atrakcji. Z całej Polski pochodzi też personel. Zazwyczaj bywało tak, że jak ktoś coś osiągnął w Zakopanem, uciekał do większego miasta. U nas kierunek jest odwrotny. Każdy chce mieć w CV pracę w gwiazdkowej restauracji.*

Branża restauracyjna liczy, że wraz z majowymi rekomendacjami przewodnika dostanie nowy impuls. Daria Pawlewska ma jeszcze jedną nadzieję – na pierwszą gwiazdkę dla polskiej szefowej kuchni. Ma swój typ we Wrocławiu, ale lepiej nie zapeszać.

JOANNA PODGÓRSKA

eprasa.pl 1719f564a1

Wielkie może



Hotel Gołębiewski w Pobierowie. Wszystko największe – od kubatury po kontrowersje.

TEKST **MARCIN KOŁODZIEJCZYK**, FOTOGRAFIE **LESZEK ZYCH**

Jeszcze nieczynne, a turystyka już trwa. Niezorganizowana, podbramowa, ale liczna. Hotel w budowie, brama owinięta drutem, a setki ludzi przyjeżdżają robić zdjęcia. Od wschodu patrząc, Gołąb (jak się tu mówi) przypomina im piramidę Majów; od południa widać go na kilometry niby miasto zawieszone nad lasami; od plaży to transoceaniczny wycieczkowiec, który wpłynął na ląd.

„Destynacja brama" to nowy fenomen Pobierowa. Gołąb w budowie napędza turystę do wsi już od kilku lat. Wywołuje reakcje od śmiechu po nabożną ciszę. Ale przy okazji pomaga sprzedawać „osobonoclegi" w zasiedziałych pensjonatach i flądrę z frytką w restauracjach przy promenadzie. Wywołuje też niepokój. Bo kiedy ten polski moloch wreszcie się otworzy, może zassać turystę i pracownika nie tylko z Pobierowa, ale z całego Pomorza, wliczając niemieckie.

Wizja

Do środka nikogo nie wpuszczają, zrazili się. Kilka lat temu inwestycja była jak chory wieloryb, którego podgryzają rekiny. Krążyło powiedzenie: potrzeba ci cementu, weź z Gołębia. Z Pobierowa wyjeżdżały w Polskę całe transporty z kradzioną budowlanką. To był zły czas dla firmy – w 2020 i 2021 r. covidowy przestój, w czerwcu 2022 r. śmierć Tadeusza Gołębiewskiego, założyciela rodzinnego imperium.

Stary Gołąb (jak się mówi w Pobierowie) był barwną postacią – prosty człowiek i wielki pan jednocześnie. Ostentacyjnie jeździł starym Mercedesem, ale na budowę do wsi przylatywał helikopterem. Jadał w stołówce razem z robotnikami, sypiał na budowie. Potrafił wskazać palcem – tę ścianę dawać tam. A za tydzień przylatywał i mówił: nie, rozwalać i dawać, gdzie była. Projekt projektem, ale on wiedział wszystko lepiej – miało być na bogato. Wieczorami przychodził do pobliskich hoteli na whisky.

Stary Gołąb budził szacunek, mówią dziś pobierowscy hotelarze. Samotnik, wizjoner. Owiewał go nimb pieniędzy

eprasa.pl 1719f564a1



zarobionych od zera – od przybudówki za domem pod Wołominem, gdzie w latach 60. XX w. rozkręcał interes piekarski jako tępiona przez peerelowską władzę prywatna inicjatywa. Wytrzymał, zahartował się, został królem wafli do lodów i słonych paluszków. W 1989 r. wszedł w hotelarstwo – Mikołajki, następnie Białystok, Wisła, Karpacz. Wszędzie gigantomania jako trademark. Oprotestowywany, pozywany, uwikłany w urzędowe odmowy, miał swój złoty patent – najpierw samowolka budowlana, potem jej wieloletnie odkręcanie prawne. Aż do pełnego zwycięstwa, bo Stary Gołąb zawsze stawiał na swoim.

Kiedy wieczorami siadywał nad whisky w Pobierowie, widać już było po nim zmęczenie wojownika. Dobiegał osiemdziesiątki. Pobierowski hotel, perłę w swej koronie, budował od 2018 r., kilkakrotnie przesuwał otwarcie. Wokół inwestycji jak zwykle wrzało prawnie w dużej skali urzędowej, także prokuratorskiej. Iskrzyło w światku gminnym. Wszystko było na „może". Może Gołąb otworzy, a może sprzeda. Może zatrudni, a może zwolni. Swoim hotelem gigantem przysłuży się bogactwu gminy czy może przeora obowiązujące nici biznesowo-urzędowo-towarzyskie? Kiedy Tadeusz Gołębiewski spoczął na Cmentarzu Poległych w Radzyminie, tych „może" przybyło. Nad pobierowskim hotelem w budowie pochylili się jako spadkobiercy żona z dziećmi.

Nabór

Na budowie normalny rejwach wykończeniówki. Ludzie w kaskach łażą kilometrowymi tarasami wokół hotelu i sprawdzają mocowanie barierek. Wieś już się zorientowała, że wśród budowlańców zmiana warty – przyjechali Filipińczycy. Niezabawowi, oszczędni, rzadko zajdą na główną ulicę Grunwaldzką, gdzie są restauracje, bo mają wikt i opierunek w dawnym budynku koszarowym wyremontowanym przez Gołębiewskiego seniora. Ta sytuacja odradza w Pobierowie najstarsze „może": tak może wyglądać codzienność po otwarciu hotelu, turysta złapany w totalne *all inclusive* Gołębia zupełnie nie da zarobić promenadzie. Będzie leżał błogi nad pięcioma basenami (dwa na razie nielegalne, jeden nieplanowy – o dużo za duży), zje w kilku hotelowych restauracjach, pójdzie do tamtejszych barów, klubu nocnego, kina, aquaparku albo zejdzie z klifu na najbliższą hotelu plażę (schody tymczasowe, sprawa w gestii Urzędu Morskiego).

Na stronach internetowych hotel ogłosił rekrutację. Szukają na wszystkie stanowiska, od holowego po księgowość i „inspektorat służby pięter". Motto: „Gdzie Gościnność i Rozrywka Tworzą Piękne Chwile". Hotele Gołębiewski należą do Gołębiewski Holding, to zmiana wprowadzona już po śmierci nestora. Dzięki temu można się powoływać na 60 lat historii (wliczając założycielskie wafle i paluszki). Prezesem został syn Jarosław, a głównym udziałowcem żona Grażyna. Pobierowo – chwali się dziś holding – będzie największym hotelem w Europie.

Tajemnicą pobierowskiego poliszynela jest – miał to przyznawać Tadeusz na whisky – że pani Gołębiewska była wściekła, gdy kupił tu ziemię pod hotel. Biznesowo osierocił wtedy Łebę, z którą był już po słowie. Jednak dla niego była to zwykła gra lobbystów: gmina Rewal, w której leży Pobierowo, dała więcej niż Łeba. Rewal kupił od Agencji Mienia Wojskowego 30 ha po jednostce rakietowej, a w 2017 r. sprzedał ziemię Gołębiowskiemu za 50 mln zł w przetargu, w którym startował wyłącznie Gołębiewski (CBA potwierdziło legalność transakcji). W umowie gmina dorzucała od siebie nową ulicę do hotelu i nową kanalizację ściekową (obie oficjalnie w budowie, ale budowania za bardzo nie widać). Sprzedaż poszła gładko, jednak poważne tarapaty prawne – dla Gołębia i ówczesnego wójta gminy Roberta Skraburskiego (zwanego tu Skraburem) – zaczęły się natychmiast.

Dziś, kiedy pobierowski Gołąb kończy się budować i może zostanie otwarty w czerwcu 2026 r. (a może nie, bo miał ▶

eprasa.pl 1719f564a1

▶ być otwarty już w 2021 r., ale ciągle przesuwano termin) i ogłasza nabór ludzi do pracy, ta sprawa już w kurorcie wychłodła. Hotel jest możliwym faktem. A promenada szykuje się do sezonu – od rana trwa mycie okien, zamiatanie, malowanie, ustawianie maszyn do gier i ław piwno-rybnych – za tydzień wszystko tu będzie huczeć i piszczeć elektroniką, a powietrze zdominuje zapach smażeliny.

Nabór do Gołębia nikogo już nie elektryzuje. Nabory Gołąb ogłaszał już kilka razy.

Wunderbar

Doraźna sonda wśród turystów przedotwarciowych (bramowych) do pobierowskiego hotelu Gołębiewski ujawnia zagorzałych entuzjastów i zaprzysięgłych malkontentów. Pierwsi zamieszkaliby w tym wspaniałym obiekcie natychmiast, gdyby tylko okazało się to możliwe. Drudzy mówią: nie moja bajka, moloch bez gustu. Pojawia się także słowo „szajs", którym – mimo że to germanizm – opisuje wrażenia z oglądania hotelu Polak spod Bydgoszczy. Natomiast turyści z Niemiec, przeważnie pary emerytów, fotografują Gołębia z niemym oczarowaniem. Natychmiast udostępniają w social mediach. W ten sposób od blisko 10 lat gigant z Pobierowa ma wartą miliony darmową reklamę jeszcze przed otwarciem. Wunderbar (wspaniały) – szepce małżeństwo spod Berlina. Ta skala, ten rozmach; wunderbar.

Takiej hotelowej gigantomanii ani polskie, ani niemieckie wybrzeże Bałtyku nigdy nie znało. Pokoi 1,2 tys., gości maksymalnie 3 tys., standardowa „dwójka" o powierzchni ponad 60 m kw. Cena za dobę nie wiadomo jaka, bo tajemnica, ale już mówi się wśród hotelarzy w Pobierowie, że 3 tys. zł. Wiadomo to z przecieków, bo w małym środowisku nic się nie ukryje – w połowie kwietnia wizytowali Gołębiewskiego operatorzy biur podróży, byli wpuszczani pojedynczo i tylko do jednego pokazowego pokoju. Potem lądowali na kawie w pobliskich hotelach i zaczynała się szeptanka. Że korytarzem Gołębia mógłby spokojnie przejechać autobus, że w recepcji zmieściłyby się trzy autobusy. Że pokoje ociekają luksusem, a wystrój łóżek jest królewski. Więc biura podpisywały umowy bez zbędnych pytań, na pniu. Wiadomo, że hotel szykowany jest „pod Niemca" (jak się tu mówi). Całe Pobierowo jest „pod Niemca", tu każdy, nawet najbłahszy uliczny napis tłumaczony jest najpierw na niemiecki. Tu zwykłe saunowanie zwie się „Sauna Zeremonien Mit Dem Sauna Meister" (ceremonia z saunamistrzem), wiele promenadowych atrakcji jest „Ganzjahrig Geoffnet" (czynne cały rok), a kebab nazywa się „Berlin".



Panorama Pobierowa, w głębi widać bryłę hotelu

Przed wojną Pobierowo (wtedy Poberow) było wśród Berlińczyków jedną z ulubionych miejscowości Pomorza. Istniała nawet specjalna linia autobusowa Poberow–Berlin. Tu swój domek miała Eva Braun, kochanka Hitlera. Po wojnie do poniemieckich domów wypoczynkowych wysyłano przodowników pracy w nagrodę za wyrobione normy. Ale jeszcze przez kolejne dekady całe polskie Wybrzeże było parterowym zaściankiem z klasycznym domkiem typu Brda jako symbolem wakacji. Zaczęło się to zmieniać jakieś 20 lat temu – polscy hotelarze i właściciele pensjonatów podpatrywali skandynawskie wzory architektoniczne; delikatne, wpasowane w krajobraz domki. Pojawiały się też wysokościowe hotele, jeden z nich stoi po drugiej stronie miejscowości – nie wzbudzał tyle emocji, ile Gołębiewski. Bo Gołąb pod względem architektury nawiązuje do centrum Las Vegas.

Klein-Dubai (mały Dubaj), mówią też Niemcy. Bałtyckie miasta za pobliską granicą – z kameralną, kurortową atmosferą podobną do sopockiej – niepokoją się w oficjalnych komunikatach możliwym otwarciem hotelu Gołębiewski. Boją się, że Stary Gołąb pod koniec życia zagrał *va banque*, żeby splajtować wszystkich wokół.

Czołówka

Konstanty Tomasz Oświęcimski, wójt Rewala, cieszy się z hotelu Gołębiewski w Pobierowie. Wyciąga z komputera gusowskie dane, a z nich wynika, że gmina ma sukces – w 2025 r. zajęła trzecie miejsce wśród gmin nadmorskich (po Gdańsku i Kołobrzegu) w liczbie noclegów („udzielono 683,8 tys. noclegów"). To daje 195 turystów na jednego stałego mieszkańca gminy w ciągu dwóch letnich miesięcy! I to jeszcze przed otwarciem Gołębia, który może ruszy w tym roku! Czołówka zestawienia, cieszy się wójt.

Oświęcimski, były poseł (2007–15), z wykształcenia magister administracji, zasiadał już na wójtowskim fotelu Rewala na początku lat dwutysięcznych. Jego następcą był właśnie Robert Skraburski, który odebrał Gołębia Łebie i sprowadził do Pobierowa. W tamtym czasie wydawać się mogło, że w Pobierowie spotyka się dwóch godnych siebie wizjonerów – Skrabur i Stary Gołąb. Mieszkańcy i turyści zapamiętali takie nietypowe działania piarowskie Skrabura, jak to:

eprasa.pl 1719f564a1



Czy po otwarciu Gołębia wystarczy turystów dla nas – zastanawiają się restauratorzy z promenady

w środku dnia na pełnej ludzi plaży Pobierowa pojawia się wielka ciężarówka, z której dwóch ubranych na biało mężczyzn wytacza na piasek wielki, biały koncertowy fortepian. Zaczynają grać Chopina. Oczywiście rekcja turystów jest w 100 proc. przewidywalna – każdy wyciąga komórkę, kręci filmik i wrzuca do internetu. Darmowa reklama gminy. Z takiej samej reklamowej „szeptanki" w sieci korzysta potem przez lata Gołębiewski w budowie.

Jednak w 2017 r., kiedy Gołąb ląduje w Pobierowie z projektem hotelu-giganta, CBA zawiesza Skrabura w obowiązkach wójta, a premier Szydło zdejmuje z funkcji. Powód – podejrzenie niegospodarności. Gołąb nie ma z tym nic wspólnego, ale zamieszanie wokół dopiero co poznanego Skrabura powoduje (tajemnica biznesowego Pobierowa), że zastanawia się, czy nie zrezygnować z budowy. Skraburski się trochę zakiwał, mówią dziś incognito znający go ludzie z pobierowskiej socjety. Mówią nieco wybaczająco i ze zrozumieniem.

Otóż jako wójt Skraburski zdobył dla gminy 50 mln zł dotacji z puli marszałka województwa na rewitalizację gminnej wąskotorówki. Część tych pieniędzy miała potem wyciec z urzędu gminy w niejasnych kontekstach, a banki nie paliły się do ratowania kredytami niewiarygodnego finansowo Rewala. Skraburski, jak opisywały wtedy media, zaciągnął pożyczkę w parabanku na drakoński procent, którego gmina nie była w stanie obsłużyć. Stworzył się zaklęty krąg zadłużenia. Gołębiewski, jego pieniądze i jego nowy hotel plus spodziewane wpływy z podatków od nieruchomości i opłat klimatycznych od turystów (4,5 mln zł rocznie jeszcze bez Gołębia) miały być dla gminy jak złoty spadochron.

I gdyby wszystko poszło idealnie z planem, może by się udało.

Flądra

Ale nie poszło. Już na najwcześniejszych, papierowych etapach budowy, Gołębiewski zaczął mieć niemal dokładnie takie same kłopoty jak przy wszystkich wcześniejszych inwestycjach. Miał to już dobrze przećwiczone, więc brnął do przodu z nowym hotelem, licząc, że wszystkie niedociągnięcia i samowolki jak zwykle ogarnie prawnie po fakcie. Miał za sobą część lokalnego biznesu hotelarskiego. Jeśli ktoś mógł stracić na budowie giganta, to najwyżej właściciele małych rodzinnych pensjonatów.

Stary Gołąb obiecywał, że przeprowadzi za sobą do Pobierowa Forum Ekonomiczne z Krynicy i Karpacza – a wraz z nim solidnego, bogatego gościa hotelowego z Europy. Z takim gościem już tylko krok do marzenia każdego nadmorskiego hotelarza – może udałoby się przedłużyć sezon z dwóch letnich miesięcy do okrągłego roku? Pobierowo dojrzało na horyzoncie kolejne pozytywne „może".

Wtedy na przeszkodzie stanęli urzędnicy państwowi. Gdyby zalegalizowali samowolkę budowlaną, położyliby własne głowy pod spodziewane bogactwo kurortu. Tym razem Gołąb „poszedł za grubo" (jak się tu nieoficjalnie mówi). Zbyt eksponowana budowa, wielkie zainteresowanie mediów, nie można było przymknąć oka. Poszło o ciecze. Z prostych obliczeń wynikło, że moloch może pozbawić wody całą okolicę (wielokrotne niedoszacowanie potrzeb w planie budowy). Może też rozsadzić sieć kanalizacyjną Pobierowa. Nadzór budowlany z Gryfic i szczeciński regionalny zarząd gospodarki wodnej nie podpisały się pod zgodami dla nowego hotelu Gołębiewski.

Więc w kwietniu 2026 r. Pobierowo się zastanawia: a może znowu nie otworzą?

Najnowsza wiadomość jest taka, że może hotel otworzą częściowo. Dobrych nowin jest więcej. Konstanty Oświęcimski, wójt Rewala, mówi, że gmina prawie już spłaciła zadłużenie i może uda się to całkowicie do przyszłego roku. Były wójt Skraburski, mianowany przez Tadeusza Gołębiewskiego dyrektorem hotelu w budowie, może stracić stanowisko na rzecz dyrektorki Gołębia z Karpacza. Inny właściciel – inne zasady. W lutym 2026 r. Sąd Apelacyjny w Szczecinie złagodził wyrok Skraburskiemu – z półtora roku bezwzględnego więzienia do roku w zawieszeniu na dwa lata. Uchylono mu zakaz pełnienia funkcji publicznych.

A może dla wszystkich wystarczy turysty – zastanawiają się restauratorzy z promenady. Nie ma co do tego wątpliwości Przemysław Studziński, sołtys Pobierowa. Urodził się tu, zna miejscowość jak nikt, sam prowadzi pensjonat. Mówi, że baza noclegowa wsi obliczona jest na każdą kieszeń – od plecakowca do milionera. Na przykład on ma już stałych gości, którzy wracają co roku. Podobną bazę osobową mają inni właściciele pensjonatów. Gołąb nie powinien nikogo przestraszać, przekonuje sołtys, Gołąb może przecież podzielić się swoimi gośćmi z okolicą.

A przy głównej ulicy Pobierowa ktoś wywiesił ogłoszenie: „Sprzedam dwa pensjonaty".

TEKST MARCIN KOŁODZIEJCZYK
FOTOGRAFIE LESZEK ZYCH

eprasa.pl 1719f564a1

Zamrożone marzenia



ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

Im bardziej spada w Polsce dzietność, tym więcej kobiet mrozi swoje komórki jajowe. W oczekiwaniu na związek, miłość i mężczyzn gotowych do ojcostwa.

AGATA SZCZERBIAK

Social freezing, profilaktyczne zamrażanie komórek jajowych z tzw. społecznych powodów, w świetle polskich przepisów odpada. Ale, jak to u nas, teoria zderza się z praktyką. Mrożenie „na lepszą przyszłość" staje się w kraju coraz bardziej dostępne, bo jest odpowiedzią na pogmatwaną rzeczywistość, no i bezwzględną demografię.

Największym czynnikiem ograniczającym płodność u kobiet jest wiek. – *30-latki zgłaszają się z zapytaniem, co mogą zrobić, bo są w maksymalnie płodnym okresie życia i powiedziałabym, że tak 40 proc. z nich nie ma partnera* – tłumaczy dr Anna Knafel, ginekolożka z Krakowa. – *Często planują zajść w ciążę w przyszłości, ale boją się, że będą już za „stare", a aktualnie nie są na nią gotowe lub po prostu nie mają partnera. Albo nie wyobrażają sobie obecnego*

eprasa.pl 1719f564a1

partnera w roli ojca swoich dzieci – dodaje Anna Jabłonka-Cieślik, lekarka, która pracuje w jednym z warszawskich ośrodków leczenia niepłodności.

– *Na Zachodzie, głównie w USA, matki często finansują taki zabieg 20-letnim córkom w ramach urodzinowego prezentu. W Polsce ginekolodzy wciąż niespecjalnie informują o tym, że można zabezpieczyć swoją płodność. Młode kobiety dowiadują się o tym z mediów społecznościowych i wtedy zaczynają drążyć temat* – dodaje. Jedna koleżanka przyprowadza do kliniki następną, a ta mówi o swoim doświadczeniu jeszcze kilku znajomym. Rozmawiają o tym na forach.

W Polsce sytuacja wokół mrożenia komórek jest delikatna jak każda kwestia związana z ingerencją medycyny w płodność. Co prawda drzwi do pokoju zabiegowego uchylono, ale nie otwarto ich całkowicie. Od prawie dwóch lat chore na raka mogą przed rozpoczęciem leczenia skorzystać z refundacji i zamrozić komórki na koszt państwa. Od tego czasu zainteresowanie procedurą zachowania płodności wzrosło w niektórych klinikach o 300, 400 proc. Mówimy o ponad tysiącu zarejestrowanych i raportowanych do Polskiego Towarzystwa Medycyny Rozrodu i Embriologii pobrań rocznie. Mało. Zwłaszcza że potrzeby są naprawdę duże, bo w Polsce diagnozuje się coraz więcej nowotworów w okresie największej płodności pacjentów – w 2021 r. było to ponad 13 tys. zachorowań u osób w wieku 20–44 lata.

Stało się jednak coś jeszcze. Dyskusja o możliwościach onkomrożenia spowodowała wzrost zainteresowania komercyjnymi procedurami. Aby z nich skorzystać, należy to uzasadnić, czyli mieć wskazania medyczne. Ustawa o leczeniu niepłodności nie podaje listy konkretnych powodów, więc lekarze i kliniki stworzyli własne. Najczęściej kwalifikowane są chore na endometriozę, które mogą przy rozległych, multidyscyplinarnych operacjach stracić rezerwę jajnikową.

Po badaniach okazuje się, że z wiekiem, zwłaszcza z przekroczeniem 35. roku życia, związany jest niższy poziom rezerwy jajnikowej, czyli liczby pęcherzyków z komórkami jajowymi pozostałych w jajnikach. I to jak najbardziej jest powód, by mrozić.

Rodzimy się z określoną pulą komórek i wraz z życiem nam ich ubywa. W dniu narodzin dysponujemy 100 proc., a w wieku dojrzewania zostaje nam połowa. Kiedy mamy dwadzieścia kilka lat, ten potencjał wynosi ok. 22 proc., gdy osiągamy trzydziestkę, to już tylko 5 proc., w wieku 40–45 lat spada do 1–3 proc. – *Nasza wiedza o biologii reprodukcyjnej jest znikoma. Powinniśmy nagłaśniać te statystyki, by kobiety nie traciły czasu* – apeluje doktor Knafel.

Barbara Kreft, 37-latka z Gdańska, o tej statystyce dowiedziała się dość boleśnie. Marzyła i wciąż marzy o tym, by mieć dzieci, ale jej związki się rozpadały. Wiele lat randkowała, korzystając przy tym z popularnych aplikacji, gdzie można już zaznaczać swoje preferencje co do chęci bycia rodzicem, choć większość relacji kończyła się szybko, po pierwszym spotkaniu. Wskaźniki demograficzne potwierdzają zresztą, że dzietność w Polsce spada, a rośnie liczba singli.

Barbara po 35. urodzinach postanowiła sprawdzić swoją rezerwę jajnikową. Wyszła w normie, poczuła się uspokojona. – *Kolejny raz poszłam się zbadać rok później. Przeżyłam szok, bo rezerwa znacznie się zmniejszyła. W wieku 35 lat wynosiła 1,83, a po roku była już poniżej 1* – opowiada. Rozmawiała z koleżankami z internetowego forum, doradziły mrożenie jajeczek. – *Będziesz miała względny spokój, namawiały. Bałam się, że za kolejnych 12 miesięcy nie będę już miała co zamrażać* – mówi.

Ten zabieg to też kwestia statusowa. Stać na niego mieszkanki dużych miast. Wykształcone, z klasy średniej, ze stabilną pozycją zawodową, często na wyższych stanowiskach. – *Mają średni status do wysokiego. Są w stanie sobie pozwolić na procedurę komercyjną i dużo czytają, douczają się* – przyznaje dr Knafel. Sam koszt jednej procedury to 6–7 tys. zł. Plus kilkaset złotych na leki do stymulacji, no i abonament za przechowywanie komórek – do 1 tys. zł rocznie.

Różne to są historie, niektóre dramatyczne. Przychodzą trapione wewnętrznym konfliktem katoliczki. Albo pary, a po czasie okazuje się, że pan rezygnuje. – *W świecie, gdzie kobiety są traktowane instrumentalnie, one zaczynają dostrzegać siebie i swoje potrzeby* – mówi Anna Jabłonka-Cieślik. Gdyby jednak spojrzeć na tę grupę kobiet z innej strony niż emancypacyjna, widać też rodzaj paniki wynikającej z mijającego czasu. Te kobiety nie są częścią nurtu dyskusji o rodzicielstwie jako cierpieniu, końcu świata. Tylko 6 proc. z nich mówi: teraz ważniejsza jest kariera, dlatego chcę poczekać. 60 proc. deklaruje, że zamraża, bo nie jest w związku.

W klinikach lekarze nazywają ten zabieg baby later (ang. „dziecko, ale później"). Pobranie nasienia u mężczyzny nie trwa długo, ale już uzyskanie komórek jajowych nie jest szybkim procesem. Potrzeba tu dwóch tygodni, żeby wystymulować jajniki. I nie wiadomo, czy się powiedzie. Pacjentki przyjmują zastrzyki hormonalne raz lub kilka razy dziennie w celu stymulacji pęcherzyków jajnikowych, czyli wypełnionych płynem woreczków, w których przechowywane są komórki jajowe. Pod koniec takiego tygodnia ciało jest zmienione, brzuch jest większy, robi się twardy. Gdy pęcherzyki osiągną określoną wielkość, jajniki w znieczuleniu ogólnym się nakłuwa, ściąga z nich płyn pęcherzykowy, a w nim embriolog szuka komórek jajowych (oocytów). Zamrażane są tylko te dojrzałe.

Nowy sposób, czyli mrożenie szybkie, w temperaturze do –196 st. C, pozwala uniknąć tworzenia się kryształków lodu na zewnątrz i wewnątrz komórki, dzięki czemu mniej tracą na jakości. Struktura jajeczka jest bowiem delikatna i łatwo może zostać bezpowrotnie zniszczona.

Uważa się, że sukces to ok. 10–20 komórek, które dają szansę na dwa prawidłowe zarodki – i na żywe urodzenie. – *Są takie pacjentki, które po pierwszej procedurze uważają, że już uzbierały wystarczającą w ich ocenie liczbę oocytów. Często mówią, że to była superprzygoda* – mówi Anna Jabłonka. Niektóre decydują się na powtórzenie stymulacji i punkcji jajników. – *Mam kilka pacjentek, które podchodziły do procedury dwa czy trzy razy i uzbierały ok. 10–12 komórek.*

Dla wielu kobiet ten medyczny proces stanowi często intensywną podróż, pełną niepewności. Jest i radość, i nadzieja, i rozczarowanie. Niektóre opisują, że doznania przypominają PMS, ale pomnożony razy dziesięć. Inne, że czuły wtedy taką moc, że rozstawiały podwładnych po kątach. Większość jest zdziwiona, że nie było tak źle, jak przewidywały. – *Jak mają te 15 komórek, to psyche się uspokaja i wracają do normalnego życia* – dodaje Anna Knafel. Z zamrożonymi komórkami jest też po prostu łatwiej o tyle, że z zarodkiem nic ▶

eprasa.pl 1719f564a1

▶ w Polsce nie wolno zrobić. Ma on prawo się narodzić, a właściwie nakaz, więc po 20 latach niewykorzystany przechodzi do przymusowej adopcji. Natomiast z komórkami jajowymi czy z plemnikami zawsze możemy powiedzieć: niszczymy. A nawet jeżeli ciąża zdarzy się za pięć lat, zamrożone komórki są młodsze, mają tych kilka lat mniej. Ryzyko wad genetycznych jest wtedy mniejsze, choć obciążenia związane z ciążą u pacjentki, która jest starsza, takie jak nadciśnienie czy cukrzyca, zdarzają się częściej.

Natalii Kusiak, która prowadzi podkast „Pierwsza randka", początkowo mrożenie kojarzyło się z czymś bardzo ekskluzywnym, porównywalnym z ceną samochodu, i z piekła rodem, jeśli chodzi o doznania ciała. Miała 35 lat, kiedy zamroziła komórki. – *Od czterech lat jestem w związku, ale wiadomo, że zawsze coś się może wydarzyć. Kiedy zaczęłam czytać o tej możliwości, byłam w takim miejscu, że nie wiedziałam, czy chcę mieć dzieci. Stwierdziłam, że potrzebuję więcej czasu na podjęcie tej decyzji. Teraz już wiem, że jednak chcę. Tylko że jeszcze nie w tym roku, może za dwa lata* – opowiada. I dodaje: – *Pamiętam, że przed zabiegiem miałam w swoim otoczeniu pary, które zaczynały próbować, mijały lata i okazywało się, że są problemy. Bo to nie jest tak, że zachodzimy w ciążę jak za pstryknięciem palców.*

Natalia Kusiak zamroziła 16 komórek w jednej turze. Zdziwiło ją, że na formularzu, który wypełniała przed pierwszą wizytą, pojawiło się pytanie o nazwisko partnera, potencjalnego ojca dziecka. To był obowiązek. – *To są moje komórki i ja za swoje pieniądze je mrożę i potem za swoje prywatne środki chcę z nich skorzystać, ale wobec polskiego prawa wciąż muszę mieć mężczyznę, by o tym zadecydować. Przedpotopowe te zapisy* – podsumowuje.

Barbara Kreft w trakcie swojej procedury przeżyła szok. Wiedziała, że im większa liczba zabezpieczonych komórek jajowych, tym wyższa szansa na ciążę. Za pierwszym razem udało się pobrać 10, a zamrozić ostatecznie pięć komórek. – *Musiałam sobie to wszystko w głowie poukładać. Przepłakałam trochę czasu* – wspomina. Za drugim razem szła do kliniki jak zbity pies. Zamrożono cztery komórki. – *Teraz jestem na etapie zastanawiania się, czy dalej w to iść* – dodaje. W grę wchodzi kalkulacja. W pierwszej rundzie pięć, w drugiej cztery, gdyby w trzeciej udało się jeszcze cztery albo trzy, to dawałoby w sumie 12 – i wtedy może poczułaby ulgę, że jest zabezpieczona.

Poczucie niesprawiedliwości w ogóle jest w tej grupie dość duże. Tłumaczy ginekolożka Aneta Knafel: – *Pacjentki, które mają medyczne wskazania, endometriozę czy przedwczesną menopauzę z niską rezerwą jajnikową, mogłyby wejść w koszyk świadczeń medycznych, ale to się nie dzieje. One za taką procedurę muszą sobie same zapłacić. Gdyby objęła je refundacja, byłby to rodzaj wyrównania ich szans na macierzyństwo.*

Przed uregulowaniem rynku leczenia niepłodności w 2015 r. kobiety w Polsce mogły się „mrozić", nawet jeśli były singielkami. Ten regres kłuje w oczy. Powstała nawet petycja zainicjowana przez Stowarzyszenie na rzecz Leczenia Niepłodności i Wspierania Adopcji Nasz Bocian, w sprawie otwarcia embrio frizingu dla wszystkich kobiet w imię prawa rodzicielstwa dla każdego. Przywołano kontekst europejski: Polska pozostaje jednym z niewielu krajów, które nie uwzględniają tych możliwości w swoim prawodawstwie. Temat się jednak nie poniósł, petycję podpisały dokładnie 1423 osoby, więc być może mniej niż liczba zabiegów mrożenia komórek przeprowadzanych komercyjnie w Polsce przez rok.

Ze zwykłym ubezpieczeniem jest tak, że wykupujemy je z intencją, by go nigdy nie wykorzystać. Podobnie z zamrożonymi komórkami. Większość kobiet nigdy po nie nie wraca. Mówią o tym zarówno badania amerykańskie, jak i holenderskie. Według pierwszego swoje zamrożone jajeczka wykorzystuje 6 proc. kobiet, bo po prostu zachodzą w ciążę w sposób naturalny. Drugie badanie wskazuje na odsetek 25 proc. kobiet, które wracają do klinik w ciągu 10 lat od wykonania procedury. Natalia Kusiak też tego nie planuje. Ma partnera, więc chciałaby, przez kwestie finansowe i romantyczne, spróbować metodą naturalną. Barbara Kreft też ma nadzieję, że nigdy nie będzie musiała wracać do kliniki po komórki. – *Nie chciałabym być wiekową mamą, więc maksymalnie mogę poczekać do 40., 42. roku życia. Jeśli nie uda mi się do tego momentu, to podejrzewam, że zdecyduję o zniszczeniu komórek* – deklaruje.

Magdalena Zwara, 39-latka z Pomorza, też swoich komórek nie wykorzystała. – *Ja całe życie chciałam zostać mamą. Trafiałam na mężczyzn, którzy nie do końca chcieli założyć rodzinę. Kiedy miałam już 36 lat, weszła czysta kalkulacja. Zaczęłam liczyć, ile czasu mi zostało* – mówi. Zamroziła 14 komórek w jednej z pomorskich klinik. – *Zrobiłam to, licząc na pojawienie się partnera, a potem poczułam, że mam już coraz mniej nadziei, że kiedykolwiek go znajdę* – dodaje. Zrobiła więc krok dalej. Klinika, z którą współpracowała w Polsce, nakierowała ją na klinikę łotewską.

Łotwa jest jednym z najpopularniejszych kierunków dla singielek szukających dostępu do zabiegów zapłodnienia pozaustrojowego, ponieważ w przeciwieństwie do Polski zezwala na in vitro dla kobiet samotnych oraz par jednopłciowych. – *Oni wiedzą, z czym my się tu mierzymy. Są przygotowani. Zatrudnili nawet anestezjolożkę z Ukrainy, która pięknie mówiła po polsku* – opowiada Magdalena. To na Łotwie znowu przeszła ponowne pobranie komórek, a potem in vitro. Zabieg trwa ok. 15–20 min, lekarze pokazują na ekranie, jak dochodzi do zapłodnienia. – *Takie mi się to wydawało nawet momentami upokarzające, że pracuję w Polsce, zostawiam podatki, cała moja rodzina, wszyscy znajomi korzystają z ochrony zdrowia, a ja muszę jechać do innego państwa, żeby spełnić swoje marzenie* – dodaje. Koszt był bardzo wymierny i wyniósł 33 tys. zł plus 15 euro miesięcznie za przechowywanie zamrożonych komórek.

Upokarzające musiało też być trzymanie tego w tajemnicy. Bo Magdalena długo nikomu nie mówiła, że sama stara się o dziecko. Wyjazdy do innego kraju na trzy dni w środku tygodnia trzeba było zgrabnie kamuflować. – *Kiedy ciąża była potwierdzona, pewna, powiedziałam całej rodzinie, jaka jest sytuacja, i na szczęście nie zderzyłam się z negatywną opinią, oceną, zarzutami* – dodaje.

– *Nie chciałabym, żebym publicznie widniała jako Barbara Kreft, ta kobieta, która mroziła komórki jajowe* – przyznaje z kolei inna bohaterka tego tekstu. Dlatego postanowiła zmienić nazwisko, nie podawać swojej prawdziwej tożsamości. W USA ponad 14 lat temu, przed otwarciem procedury dla wszystkich kobiet, mówienie o mrożeniu komórek również wiązało się z ogromnym poczuciem wstydu. Dziś, kiedy liczba zabiegów sięga tam prawie 40 tys. rocznie, przyszła większa normalizacja. Na normalizację nad Wisłą wciąż czekamy.

AGATA SZCZERBIAK

eprasa.pl 1719f564a1



Prawo broni

Tragedia w Bystrzycy Kłodzkiej nie jest czarno-biała. Instruktor strzelectwa Borys B. twierdzi, że strzelał w obronie własnej i cudzej. Sąd będzie miał twardy orzech do zgryzienia z tym samosądem.

KATARZYNA KACZOROWSKA

W ciele Krzysztofa L. patomorfolog naliczył pięć ran postrzałowych. Dwie w brzuchu i podbrzuszu. Kolejne dwa strzały były w nogi. Konkretnie uda. Śmiertelny okazał się ten w klatkę piersiową – kula rozerwała tętnicę. Sprawca, instruktor strzelectwa, strzelał z karabinka AR-15, kaliber 5,56. To broń wojskowa. Z tego się nie strzela na postrach. Krzysztof L. zmarł natychmiast.

Taki obraz

10 kwietnia tego roku, ok. 22.30. Głosy niosą się odbijane od ścian czteropiętrowych bloków Osiedla Szkolnego w Bystrzycy Kłodzkiej. Na filmie nagranym telefonem komórkowym, najprawdopodobniej z okna na trzecim piętrze, widać drzewa przed blokiem, światła latarni i niewyraźne sylwetki kilku postaci na trawniku.

– Leż, k...! Słychać strzał. – Chcesz w zęby? – Mówiłem ci, odejdź stąd, tak? Kolejne strzały. Jeden po drugim. – O, kurde – wyrywa się kobiecie nagrywającej film. Po kilku sekundach słychać kolejne krótkie zdania. – Ej, żyjesz, mordo? – Wyp... – Odejdź stąd. – Wyp... – K... je... – Dzwoń po karetkę! – Mordo, żyjesz? – Dzwoń po karetkę! Karetka, już!

W policyjnym żargonie mowa jest o zajściu. Na jego miejscu szybko pojawiają się policja i karetka. Ciało 26-letniego Krzysztofa L. zostaje odgrodzone specjalnym parawanem na wypadek, gdyby jakiś ciekawski chciał zobaczyć niemającą szans powodzenia reanimację. Przy ciele zastrzelonego mężczyzny policjanci znajdują kastet. W kolejnych dniach media poinformują, że do Krzysztofa L. strzelał o dwa lata od niego starszy Borys B., instruktor strzelectwa, były żołnierz zawodowy. I że to on zadzwonił do znajomego policjanta, by powiedzieć mu, co się wydarzyło w piątkowy wieczór na osiedlu, na którym sam mieszka. Prokuratura poprzez rzecznika Mariusza Pinderę przekaże, że kiedy funkcjonariusze przyszli zatrzymać Borysa B., wychodził z mieszkania. Spakowany. Z większą ilością gotówki przy sobie. Jakby szykował się do wyjazdu za granicę.

Sprzeczne wersje

Wiadomo, że 16-letni Miłosz, 18-letni Jakub i 26-letni Krzysztof krążyli tamtego dnia po osiedlu. Pijani. Jakub w jednym z chętnie udzielanych wywiadów dla kolejnych mediów i youtuberów powie, że wypili w sumie litr whisky. Tak, byli pijani, ale nikogo nie zaczepiali. Ale wrzaski i wyzwiska tamtego wieczora niosły się między blokami. A świeże ślady krwi na chodniku przed jednym z osiedlowych sklepów – Cygaretką – jasno wskazywały, że doszło tam do bójki. Z tego sklepu jest w prostej linii jakieś 100, może ▶

© KRZYSZTOF ZATYCKI/AGENCJA WYBORCZA

eprasa.pl 1719f564a1

▶ 200 m do miejsca tragicznej w skutkach strzelaniny albo – jak mówią inni – egzekucji.

Tamtego wieczora Borys B. wyszedł z psem na dwór. Spacerując, natknął się na trzech pijanych mężczyzn. Podobno najstarszy z nich obrażał jego kuzyna. Doszło do ostrej wymiany zdań. Borys B. wrócił do mieszkania. Zostawił psa, wziął karabinek automatyczny i wyszedł na podwórko. To wtedy ponownie spotkał się z Krzysztofem, Jakubem i Miłoszem. I to wtedy Krzysztof L. miał iść w jego stronę z kastetem w dłoni. Borys B. miał zaś krzyczeć do niego, że przecież mu mówił, że ma odejść. A potem padły strzały.

Jakub B. w wywiadach zaprzeczał, że razem z młodszym Miłoszem uciekli wtedy z miejsca zdarzenia. Przekonywał, że reanimowali kolegę, a po karetkę nie zadzwonili, bo obaj zgubili telefony. Opowiadał też, że Borys B. szukał na nich zemsty za te krzyki, co niosły się po osiedlu.

Instruktor strzelectwa, który – jak twierdzą jego znajomi – zdał egzaminy do szkoły oficerskiej i planował powrót do wojska, w prokuraturze bronił się, twierdząc, że działał w obronie koniecznej.

– *Zeznania uczestników tego zdarzenia są sprzeczne* – mówi dzisiaj Mariusz Pindera, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Świdnicy, gdzie prowadzone jest śledztwo i gdzie Borys B. po zatrzymaniu usłyszał zarzut zabójstwa z art. 148 par. 1 Kodeksu karnego. Na tej podstawie złożono do sądu w Kłodzku wniosek o areszt tymczasowy. I sąd zgodził się na to – na dwa miesiące.

Kat czy ofiara?

Kiedy Borysa B. przewożono do kłodzkiego sądu, przed budynkiem zebrali się jego znajomi, ale też wiele przypadkowych osób, skandując jego imię. Niektórzy krzyczeli nawet: „Brawo, panie Borysie!". Murem za Borysem B. stanęło Stowarzyszenie Strzelecko-Kolekcjonerskie „Trzy Twierdze", skupiające blisko 4 tys. członków, z czego 1,6 tys. z pozwoleniem na broń. Borys B. współpracował z tym stowarzyszeniem jako instruktor strzelectwa. Błyskawicznie ruszyła zbiórka na pomoc prawną dla aresztowanego. Założona na 70 tys. zł 22 kwietnia miała na koncie 463 127 zł, które wpłaciło 9509 wspierających.

Komentarzy jest ponad 350. Oddają nastroje zmieniające się pod wpływem kolejnych informacji. „Jeżeli prawdą jest, że on wrócił do domu po broń i wtedy doszło do konfrontacji między nimi, to działa to na jego niekorzyść. Powinien wiedzieć, że od tego są służby. Powinien zadzwonić na policję i poinformować ich o zagrożeniu na osiedlu, o grupie wandali, a nie samemu wychodzić i wymierzać karę. (...) Nie wyobrażam sobie, by ludzie, którzy mają stosowne pozwolenie, latali z długą jednostką broni po ulicy. Powinien mieć świadomość, że broń to dyscyplina i kolosalna odpowiedzialność. Nie może być tak, że wychodzi szeryf na miasto i odwala partyzantkę".

„Przecież policja była wzywana. Wcześniej pobili przypadkowego człowieka, i co? I nic! Borys miał prawo iść i po broń, i wyjść z domu. Polskie prawo nie zabrania wychodzenia z domu, kiedy ktoś drze się pod blokiem. Nie on był agresorem i widać to na nagraniu z telefonu".

15 kwietnia organizatorzy zrzutki poprosili o rozwagę w ocenie tego, co się zdarzyło w piątkowy wieczór w Bystrzycy Kłodzkiej – nie tylko mieszkańcy tego niewielkiego miasteczka na Dolnym Śląsku się podzielili. Dla jednych Borys B. stał się ofiarą chuliganów, dla innych szeryfem wymierzającym samowolnie sprawiedliwość. Pod zrzutką pojawiły się wpisy z prośbą o zwrot wsparcia dla instruktora. Jeden z darczyńców napisał w komentarzu: „Jeżeli choćby część oświadczenia prokuratury okaże się prawdą, to ja ze strzelcem nie chcę mieć nic wspólnego".

Marcin Przybysz, prezes Stowarzyszenia Strzelecko-Kolekcjonerskiego „Trzy Twierdze", na swym kanale na YouTube znany jako Leśny Dziadek, wzywając do rozwagi – bo przecież zginął człowiek – zapewnił, że ci, którzy poproszą o zwrot pieniędzy przekazanych na pomoc prawną dla Borysa B., dostaną je z powrotem. W rozmowie z POLITYKĄ zapowiedział, że obrońcy instruktora planują konferencję prasową przed prokuraturą w Świdnicy tuż przed majówką. Do tego czasu ani on, ani adwokaci nie będą się wypowiadać publicznie poza już udzielonymi wywiadami.

Nieoficjalnie POLITYKA dowiedziała się, że Borys B. do tej pory miał w sumie pięciu adwokatów, niektórzy już zrezygnowali. W tej sprawie nie ma łatwych odpowiedzi.

Kiedy sprawa wydawała się prosta – Borys B. siedział już w areszcie, a przez media oficjalne i społeczne przetaczała się dyskusja na temat granic obrony koniecznej – na Facebooku pojawił się drastyczny film z września zeszłego roku.

Czterech mężczyzn i kobieta wyzywają klęczącego przed nimi mężczyznę. Prowodyr, krzycząc, oddaje mocz na ofiarę, zmuszając ją do otwarcia ust. W tle słychać śmiechy, wulgaryzmy i przekleństwa: „Pokaż mordę! Otwieraj pysk, k... j...!". Ten najbardziej agresywny i roześmiany to Krzysztof L. Potwierdziła to prokuratora. Policja zatrzymała tych trzech mężczyzn i kobietę. Czwartego nie zatrzymała, bo już nie żył. Nikt do aresztu jednak nie trafił. Prokurator zdecydował o dozorze policyjnym dla wszystkich, wobec części zastosowano też poręczenie majątkowe.

Jak ujawniła prokuratura – poza nieżyjącym Krzysztofem L. – nikt z zatrzymanej, a następnie puszczonej wolno czwórki nie miał związku ze strzelaniną z 10 kwietnia. W sieci zaś pojawiły się następne komentarze: „Wieść gminna niesie, że tatuś zastrzelonego aktualnie przebywa w zakładzie karnym, zarąbał człowieka siekierą... a tatuś drugiego to szef dużej sieci sklepów i to mu zapewnia bezkarność" czy „Ten, co nie żyje, sikał na tego małolata na tym nagraniu. Syn to ten, co wywiady daje".

Prokurator Pindera: – *Nie komentujemy komentarzy. Zajście z września zeszłego roku dotyczyło rozliczeń finansowych pomiędzy jego uczestnikami.*

Taka gmina?

Renata Surma, burmistrzyni Bystrzycy Kłodzkiej, zna matkę i babcię Borysa B., ale jego już nie. Pytana o sytuację w mieście i gminie, bo Bystrzyca to gmina miejsko-wiejska, która liczy niewiele ponad 9 tys. mieszkańców, deklaruje, że jest spokojnie i życie toczy się dalej.

Gmina jest biedna. Stopa bezrobocia w powiecie kłodzkim, obejmującym również Bystrzycę, według danych Głównego Urzędu Statystycznego w lutym tego roku wynosiła 14 proc. Dla Polski oszacowano ją na 6 proc. W gminie udało się jednak kilka lat temu wygospodarować środki na zatrudnienie czterech strażników miejskich.

– *Przypomnę jednak, że to pracownicy samorządowi, a nie policjanci. A ludzie, zamiast nagrywać filmiki, powinni*

© KRZYSZTOF ZATYCKI/AGENCJA WYBORCZA

eprasa.pl 1719f564a1



Od stycznia na Osiedlu Szkolnym policjanci interweniowali 32 razy

zawiadamiać odpowiednie służby – mówi burmistrzyni Surma.

– *Na organizowane przez nas spotkania dotyczące bezpieczeństwa do tej pory przychodzili policjanci, urzędnicy, ale mieszkańców, których to bezpośrednio dotyczy, było jak na lekarstwo* – mówi jeden z urzędników miejskich. Przyznaje jednak, że urząd miał sygnały od mieszkańców dotyczące Osiedla Szkolnego – chodziło o sklepy sprzedające alkohol. I zgody na monitoring okolicy.

Renata Surma: – *Bystrzyca to spokojne miasto. Przyjeżdżają do nas turyści i nic nikomu się nie dzieje.*

Od stycznia na Osiedlu Szkolnym policjanci interweniowali 32 razy. Żadna z tych interwencji nie dotyczyła bójek czy wybryków chuligańskich. W reportażu „Uwaga" TVN jeden z występujących powiedział, że tamtego feralnego piątku zadzwonił na 112, bo zaczynała się bójka, i poprosił o pomoc. Miał usłyszeć w słuchawce: „Jakoś się dogadajcie".

Z raportu Komendy Głównej Policji z 2025 r., dotyczącego społecznej oceny jej pracy, wynika, że 61,2 proc. osób pozytywnie ocenia policjantów w swojej okolicy.

Granice obrony

W 2017 r. ówczesny minister sprawiedliwości przedstawił projekt rozszerzenia przepisów dotyczących obrony koniecznej. Zbigniew Ziobro, razem z ówczesną premier Beatą Szydło, zapowiadali, że karze nie podlegałby ten, kto przekraczałby granice obrony koniecznej, „odpierając zamach polegający na wdarciu się do mieszkania, lokalu, domu albo przylegającego do nich ogrodzonego terenu lub odpierając zamach poprzedzony wdarciem się do tych miejsc, chyba że przekroczenie granic obrony koniecznej było rażące".

Obowiązujące przepisy stanowiły, że „nie popełnia przestępstwa, kto w obronie koniecznej odpiera bezpośredni, bezprawny zamach na jakiekolwiek dobro chronione prawem". Sąd miał prawo do nadzwyczajnego złagodzenia kary lub odstąpienia od jej wymierzenia w razie przekroczenia granic obrony koniecznej. Przepisy uznawały też, że nie podlega karze, kto „przekracza granice obrony koniecznej pod wpływem strachu lub wzburzenia usprawiedliwionych okolicznościami zamachu". Premier Szydło przekonywała 9 lat temu, że poszerzenie przepisów jest wsparciem dla ludzi uczciwych, a Ziobro dodawał, „że przyrodzonym prawem człowieka jest odparcie siły siłą, zaś sądy w praktyce orzeczniczej nie do końca rozumieją granice obrony koniecznej".

Prof. Mikołaj Małecki, prawnik z Uniwersytetu Jagiellońskiego i autor bloga „Dylematy karnisty": „Obrona konieczna to nie samosąd. Prawo do samoobrony nie uprawnia do robienia z siebie samozwańczego szeryfa". I wyjaśnia, że Kodeks karny nie przewiduje, by prawo ustępowało przed bezprawiem, a zaatakowany ma prawo użyć broni palnej, gdy zagrożone jest jego życie. Przyznaje też, że sądy mają problem z przepisami o obronie koniecznej. – *Działa tu pewien efekt psychologiczny: ktoś przeżył, ktoś zginął. Skoro jedna strona konfliktu przeżyła, a druga nie, to pewnie ten, który ocalał, przesadził. To rozumowanie jest wadliwe, ponieważ o legalności obrony nie decydują jej skutki, lecz jej sposób* – mówi prof. Małecki. I dodaje, że trzeba to oceniać, biorąc pod uwagę okoliczności zdarzenia: czy ktoś, kto był atakowany, miał prawo odepchnąć, uderzyć czy strzelić do agresora. Nieważne, jakie będą skutki obrony, liczy się to, czy sposób obrony był współmierny do zagrożenia. Jednocześnie prof. Małecki przyznaje, że sprawa z Bystrzycy jest dziwna, a prawo do obrony koniecznej nie upoważnia do „robienia porządku" z pijakami awanturującymi się na osiedlu. A już na pewno nie uprawnia do robienia z nimi porządku za pomocą karabinu. Od pilnowania tego porządku jest policja i straż miejska.

Karnista z Uniwersytetu Warszawskiego dr Piotr Kładoczny, związany z Helsińską Fundacją Praw Człowieka: – *Cóż, mamy w Polsce obecnie coś, co można nazwać specyficznym etosem broni. Buduje się wokół jej posiadania pozytywny wydźwięk, związany oczywiście po części z wojną za wschodnią granicą. Przypomnę też, że moda na szeryfów kojarzona jest politycznie. Były minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro pokazał się przecież kiedyś z pistoletem...*

Kładoczny dodaje, że kiedy bystrzycka strzelanina dosłownie wybuchła medialnie, jego żona sprawdziła, jak sprawa jest pokazywana w jednej z prawicowych telewizji. – *Nikt nie podważał prawa Borysa B. do użycia broni. Podkreślano, że miał ją legalnie, miał więc prawo jej używać. I w końcu użył w sytuacji, którą uznał za zagrożenie* – mówi karnista. I przyznaje, że tragedia w Bystrzycy pokazuje słabość instytucji państwa, niszczonych w ostatnich latach, a przez to tracących wiarygodność.

Pytany o to, jak na obronę konieczną patrzą prawnicy, wspomina, że ponad 20 lat temu przewodniczący Komisji Kodyfikacji Prawa Karnego prof. Stanisław Waltoś rozesłał do prokuratorów i sędziów wydziałów karnych ankietę z pytaniem o to, co jest dla nich największym problemem prawnym. – *I na pierwszym miejscu znalazła się obrona konieczna. Tyle tylko, że propozycje podejścia do tego problemu podzieliły się po połowie. Jedni postulowali, by ograniczyć prawo do niej, a drudzy – by poszerzyć* – przypomina dr Kładoczny. I dodaje, że życie ludzkie jest dobrem szczególnie chronionym.

Pogrzeb Krzysztofa L. odbył się 22 kwietnia. W nekrologu bliscy pożegnali go słowami: „Pan Bóg zabiera człowieka wtedy, gdy widzi, że zasłużył sobie na niebo".

KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl 1719f564a1

Czyste Powietrze do remontu

Zmiany w programie dofinansowującym wymianę pieców i termomodernizację miały zapobiec oszustwom. Tyle że przy okazji spadła liczba wniosków. Na co teraz mogą liczyć właściciele domów?



© SHUTTERSTOCK

W 2025 r. program mający poprawić jakość powietrza w Polsce przeszedł poważne zmiany. Ich główny cel: zmniejszyć ryzyko oszustw i wyłudzeń. Ministerstwo Klimatu i Środowiska przekonywało, że wnioski o dofinansowanie były wcześniej akceptowane praktycznie bez weryfikacji, co prowadziło do poważnych nieprawidłowości. Lista zarzutów była długa: fikcyjne faktury, zawyżanie kosztów przez wykonawców (aby maksymalnie wykorzystać limit dotacji), brak nadzoru nad jakością remontów. Do tego firmy widma, które znikały po zainkasowaniu wysokiej zaliczki, stanowiącej nawet połowę wartości całej inwestycji. Niektórzy wymieniali tylko piec, bez ocieplenia budynków, co prowadziło do tzw. rachunków grozy.

Poprzedniej zimy przyjmowanie wniosków do Czystego Powietrza zostało wstrzymane. Program odwieszono w kwietniu 2025 r., a Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (NFOŚiGW) przekonywał, że udało się go uszczelnić i uczynić bardziej sprawiedliwym. Podstawowa zasada się nie zmieniła: Czyste Powietrze wciąż ma pomagać w wymianie źródła ciepła i w termomodernizacji budynku. Wysokość wsparcia jest uzależniona od dochodów, a dla najuboższych wynosi nawet 100 proc. poniesionych kosztów (bez VAT). Jednak w ubiegłym roku wprowadzono wiele zmian.

Pojawiła się reguła: jedno dofinansowanie na jeden budynek. Aby ubiegać się o wsparcie, trzeba być właścicielem bądź współwłaścicielem nieruchomości przez minimum trzy lata (wyjątkiem są spadki lub darowizny). Ma to ukrócić przepisywanie domów na osobę bez dochodów lub z niskimi zarobkami, aby uzyskać wyższą dotację. Dużo dokładniej kontrolowane są faktury, aby wykonawcy nie zawyżali kosztów. Firmy wykonujące inwestycję wciąż mogą dostać w ramach programu zaliczki, ale teraz już na maksymalnie 35 proc. budżetu modernizacji (a nie 50 proc. jak wcześniej).

Pojawili się również operatorzy programu Czyste Powietrze – głównie gminy – pomagający osobom starającym się o dotację. Kto chce skorzystać z wyższego bądź najwyższego poziomu dofinansowania, musi zwrócić się do takiego operatora. Ma on uchronić właściciela przed oszustami, pomagając wybrać wykonawcę, który solidnie przeprowadzi prace, a jednocześnie nie będzie zawyżał faktur.

Wielki remont Czystego Powietrza miał pomóc w walce z nadużyciami, ale na razie przyniósł bardzo negatywne skutki: drastycznie spadła liczba wniosków o dofinansowanie. Tymczasem w Polsce wciąż są co najmniej 2 mln starych pieców węglowych, zwanych kopciuchami. W 2024 r. do programu złożono ok. 280 tys. wniosków, a w roku ubiegłym zaledwie 55 tys. Przyczyn załamania jest wiele, ale najważniejsza to nieufność właścicieli starych domów: boją się nieuczciwych wykonawców i zwrotu dotacji. Takie problemy mają już niektórzy uczestnicy starej edycji programu, choć sami padli ofiarą oszustów.

Zamieszanie wokół Czystego Powietrza sprawiło, że wiele osób zwyczajnie się go boi. Inni chcieliby wystąpić o pomoc, ale zniechęcają ich koszty obowiązkowego od 2025 r. audytu energetycznego. Część wydatków na ten cel (do 1,2 tys. zł) można odzyskać w ramach programu, ale resztę trzeba ponieść samemu. Niektórzy nie są gotowi na tak dużą inwestycję jak gruntowna termomodernizacja połączona z wymianą źródła ciepła. A tylko ona pozwala w wielu przypadkach spełnić wymogi obniżenia zużycia energii przez budynek określone w programie.

NFOŚiGW w ostatnich miesiącach prowadził szerokie konsultacje, zastanawiając się, co zmienić w Czystym Powietrzu. Bo co do tego, że reforma ubiegłorocznej reformy jest potrzebna, nikt nie ma wątpliwości. Niedawno Polski Alarm Smogowy wyliczył, że przy obecnym tempie wymiana wszystkich kopciuchów w naszym kraju potrwa jeszcze 40 lat! Zarzutów

eprasa.pl 1719f564a1

wobec Czystego Powietrza jest wiele: niewydolna obsługa, opóźnienia w płatnościach, długa weryfikacja wniosków, za mało operatorów czy słabe wsparcie dla najuboższych, którzy przecież mieli być głównymi beneficjentami programu.

Pierwsze zmiany w Czystym Powietrzu planowane są w lipcu, kolejne nieco później, bo trzeba uzyskać zgody w Europejskim Banku Inwestycyjnym, który wspiera program. Prawdopodobnie już niedługo zostanie złagodzone kryterium dotyczące długości posiadania domu. Okres trzech lat może zostać skrócony np. do roku. Trudno bowiem uzasadnić zaostrzenie zasad – niektórzy kupują domy w złym stanie i powinni móc jak najszybciej przeprowadzić ich remont ze wsparciem Czystego Powietrza. Inne możliwe ułatwienie to więcej czasu na rozliczenie prefinansowania (zaliczek wypłacanych bezpośrednio wykonawcom). Obecnie trzeba to zrobić w ciągu 120 dni; planowane jest wydłużenie tego okresu do 180 dni. Urzędnicy są też gotowi wprowadzić bon pokrywający koszty audytu energetycznego dla osób korzystających ze wsparcia operatora.

Spore wątpliwości budzą maksymalne kwoty dotacji ustalone przez NFOŚiGW dla poszczególnych prac. Takie limity mają zapobiegać sztucznemu pompowaniu kosztów, ale z powodu inflacji rzeczywiste ceny – zarówno materiałów budowlanych, jak i robocizny – nieustannie rosną. Fundusz zapowiada waloryzację tych stawek raz w roku, a być może nawet częściej.

Trwa również dyskusja nad wprowadzeniem większej elastyczności w Czystym Powietrzu, aby np. dotacja przysługiwała też na samą wymianę źródła ciepła (nawet jeśli nie poprawi to znacząco parametrów budynku), gdy właściciel nie jest gotowy na przeprowadzenie pełnej termomodernizacji. Eksperci Funduszu zastanawiają się też nad stworzeniem listy rekomendowanych wykonawców oraz nad możliwością podpisywania umów trójstronnych – między Funduszem, właścicielem a firmą przeprowadzającą inwestycję. Chodzi o to, żeby zwiększyć bezpieczeństwo starających się o dotację. Nie powinni oni odpowiadać za błędy czy oszustwa wykonawcy.

Z pewnością walka z nadużyciami w Czystym Powietrzu była i jest potrzebna, bo poprzedni rząd nie wprowadził odpowiednich mechanizmów zabezpieczających. Jednak gwałtowny spadek popularności programu to poważny problem, skoro nadal jest on bardzo potrzebny. Jeśli nie odwrócimy negatywnej tendencji, program będzie co prawda dalej działał (wnioski można składać do końca 2030 r.), ale jego znaczenie mocno zmaleje, a zła jakość powietrza w Polsce, zwłaszcza w okresie zimowym, pozostanie powszechnym zjawiskiem. Pierwszy remont Czystego Powietrza miał zwiększyć odporność programu na oszustwa. Teraz potrzebny jest remont tego remontu, aby odbudować zaufanie i odbiurokratyzować tę inicjatywę. Na razie musimy poczekać na szczegóły zmian – te wchodzące w życie w lipcu powinny zostać oficjalnie ogłoszone już niedługo.

Cezary Kowanda

REKLAMA

STREFOWANIE
W REKUPERACJI

alnor®
systemy wentylacji

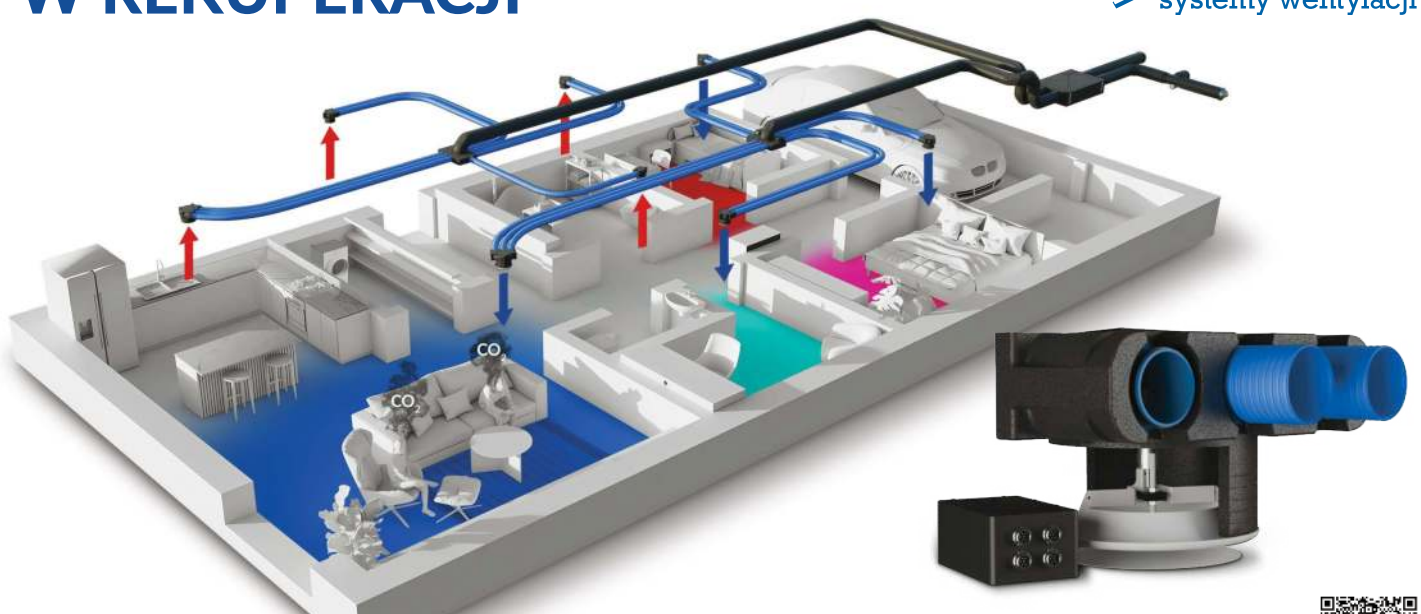

ALNOR SYSTEMY WENTYLACJI SP. Z O.O.

Dowiedz się więcej:

Aleja Krakowska 10,
05-552 Wola Mrokowska, Polska

Tel.: +48 22 715 80 39

handlowy@alnor.com.pl
rekuperacja@alnor.com.pl

rekuperacja.alnor.com.pl
www.alnor.com.pl

eprasa.pl 1719f564a1



© ALUPROF

Dom i ogród jednością

Dzięki pergoli możemy stworzyć przyjemną przestrzeń do pracy, zabawy czy odpoczynku. A nowoczesne rozwiązania pozwolą z niej korzystać przez cały rok.

Wiosna to czas, gdy zwracamy szczególną uwagę na otoczenie domu. Budząca się do życia przyroda zachęca nie tylko do prac w ogrodzie, ale też do inwestycji w rozwiązania, dzięki którym będziemy mogli w pełni korzystać z jego dobrodziejstw. Coraz częściej taras i ogród przestają być sezonowym dodatkiem, a zaczynają pełnić funkcję całorocznej przestrzeni codziennego życia. To zmiana, którą wyraźnie widać także w Polsce – zarówno w projektach indywidualnych, jak i deweloperskich. Jednak ewolucja dotyczy także istniejących budynków. Potwierdzają to dane „European Garden Monitor", według których w ostatnim roku aż 43 proc. polskich właścicieli domów zainwestowało w modernizację swoich ogrodów. Taki wynik plasuje Polskę w ścisłej europejskiej czołówce.

Jednym z najpopularniejszych rozwiązań jest pergola, która jeszcze kilka lat temu była traktowana jako dość drogi dodatek i ciekawostka. Teraz staje się pełnoprawną częścią domu. Od funkcji osłony nad tarasem przeszła długą drogę: dziś to złożony system konstrukcyjny, zintegrowany z automatyką, przeszkleniami, a nawet rozwiązaniami inteligentnego domu. Zmienił się także sposób jej postrzegania. Z rozwiązania o charakterze głównie dekoracyjnym stała się narzędziem służącym do powiększenia przestrzeni mieszkalnej.

To jeden z powodów, dla których zarówno architekci, jak i inwestorzy uwzględniają ją już na etapie projektowania. – *Coraz częściej klienci nie traktują pergoli jako dodatku, lecz jako naturalne przedłużenie domu. To przestrzeń codziennego życia, równoważna z salonem czy kuchnią, tylko że otwarta na światło i zieleń. Widać to nie tylko w projektach indywidualnych, ale też w realizacjach deweloperskich, gdzie pergola staje się standardem. Dziś oczekujemy, że przestrzeń wokół domu będzie elastyczna, gotowa do użytku przez cały sezon* – mówi Agata Brandt, kierowniczka Działu Wsparcia Technicznego w Aluprof Sun Shading Solutions.

Pergola pozwala zaaranżować taras lub fragment ogrodu jako komfortową, zadaszoną strefę do codziennego korzystania. Chroni przed słońcem i deszczem, ale jednocześnie nie zamyka przestrzeni – pozwala korzystać z otoczenia w bardziej funkcjonalny sposób. Może być np. letnią jadalnią, miejscem pracy na świeżym powietrzu, strefą treningową albo po prostu przestrzenią do relaksu. Takie rozwiązania szczególnie doceniają osoby, które chcą zwiększyć możliwości wykorzystania swojego ogrodu lub tarasu bez konieczności rozbudowy domu.

Pergola to instrument bardzo elastyczny, który można dopasować do wielkości działki. Coraz częściej staje się samodzielnym elementem architektury ogrodowej. Umieszczona wśród zieleni pełni funkcję pawilonu, altany lub zacisznego miejsca do pracy czy wypoczynku. Może być montowana również w wersji przyściennej, co zwiększa możliwości wykorzystania tego typu rozwiązań w budownictwie jednorodzinnym, ale także w obiektach komercyjnych, jak ogródki w kawiarniach i restauracjach. Opcja instalacji pergoli na jednej ścianie lub w wersji narożnej jest doskonałym sposobem na zagospodarowanie wnęk tarasowych. Pozwala to zaoszczędzić sporo miejsca i stanowi doskonałe rozwiązanie także dla tych osób, które chcą stworzyć funkcjonalną strefę wypoczynkową nawet na niewielkim tarasie.

Dach pergoli z ruchomych lameli umożliwia regulację ilości wpadającego światła od góry – od pełnego słońca (np. wiosną, jesienią czy w chłodniejsze dni) po przyjemny cień w czasie upałów. W chłodniejsze dni lub podczas deszczu szklane panele boczne lub dyskretne osłony typu screen zamienią taras w przytulny azyl, chroniąc przed wiatrem i wilgocią, ale nie odbierając widoku na naturę. Wybierając najlepszą dla swoich potrzeb pergolę, warto zwrócić uwagę na nowoczesne rozwiązania, takie jak przeszklenia, które świetnie sprawdzą się także w loggiach i na tarasach, panele przesuwne ze stałymi lamelami oraz screeny, skutecznie redukujące ilość wpadających promieni słonecznych.

Innowacyjnym rozwiązaniem, które uzupełnia pergolę, są panele przesuwne z ruchomymi lamelami. Zapewniają większą prywatność i pozwalają dowolnie zacienić pergolę z bocznych stron. Całość dopełnia zintegrowane oświetlenie LED, które tworzy nastrojową atmosferę i zwiększa funkcjonalność pergoli, umożliwiając komfortowe korzystanie z przestrzeni na świeżym powietrzu również wieczorami. Przed zakupem pergoli warto skonsultować się ze specjalistami, bo rynkowa oferta jest bardzo bogata. Nagrodą za tę odrobinę wysiłku będzie przestrzeń, w której przyjemnie spędzimy czas – w taki sposób, o jakim marzymy.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl 1719f564a1



Mistrzowska promocja

Pergola tarasowa

z oświetleniem LED
GRATIS*

* Regularna wartość zestawu oświetlenia LED wynosi 3 559 zł.
Dotyczy pergoli SB 400, SB 450, SB 550.



© WIŚNIOWSKI

Jakość w cenie

Jak znaleźć odpowiednie okna, markizy czy bramy garażowe? Warto zainwestować w nowoczesne rozwiązania, które łączą oszczędność energii z estetyką i trwałością.

Wybierając materiały do budowy czy remontu domu, coraz większą uwagę zwracamy na ich jakość. Wiemy, że nie warto kierować się tylko ceną, bo teoretycznie tańsze rozwiązania zwiększają później koszty eksploatacji, a przy tym wymagają szybszej wymiany, która okazuje się nie tylko skomplikowana, ale i droga. Jakie kryteria brać pod uwagę przy poszukiwaniu produktów, aby wymarzony dom okazał się dobrym miejscem do życia przez długie lata?

W przypadku okien dachowych kluczowa jest wysoka termoizolacyjność, skoro koszty ciepła nieustannie rosną, a ostatnie wydarzenia na Bliskim Wschodzie doprowadziły do eksplozji cen gazu ziemnego, powszechnie używanego w Polsce do celów grzewczych. Dobre parametry może zapewnić konstrukcja z wyższym profilem skrzydła oraz trzyszybowym pakietem. Wpływa na ochronę ciepła, a co za tym idzie, oznacza mniejsze zużycie energii potrzebnej do ogrzania poddasza. Równie ważną kwestią jest bardzo dobre tłumienie hałasu. Zwłaszcza gdy dom znajduje się blisko ruchliwej drogi, linii kolejowej czy lotniska. Interesującym rozwiązaniem jest specjalna dźwiękoizolacyjna folia, która ogranicza przenikanie hałasu do wnętrza.

Bezpieczeństwo okien zapewnia zewnętrzna szyba hartowana – dobrze, żeby posiadała dożywotnią gwarancję na gradobicie. Wewnętrzna antywłamaniowa szyba klasy P2A zwiększa ochronę przed złodziejami. Ogranicza też ryzyko zranienia w przypadku pęknięcia. Automatyczny nawiewnik zapewnia świeże powietrze, a równocześnie zwiększa oszczędność energii cieplnej. Warto również sprawdzić, jaka jest długość oferowanej gwarancji. W przypadku okien dachowych renomowanych producentów dostępna jest ochrona aż na dziesięć lat.

Okna fasadowe również powinny cechować się wysoką energooszczędnością i rozwiązaniami zwiększającymi bezpieczeństwo. Parametr Uw pokazuje, ile ciepła przenika przez całe okno. Im niższa jego wartość, tym lepiej. Pod tym względem dokonał się ogromny postęp. Dostępne dzisiaj okna zapewniają znacznie mniejszą utratę ciepła niż te sprzed dekady czy dwóch. Zgodnie z obowiązującymi normami współczynnik Uw dla nowych okien fasadowych może wynosić maksymalnie 0,9 W/(m2·K). Są jednak również dostępne produkty o niższym Uw. Biorąc pod uwagę, że okna będą służyć przez wiele lat, warto wybierać takie, których Uw wynosi maksymalnie 0,7 W/(m2·K). Czasem sprzedający podają wartość współczynnika Ug, mierzącego przenikanie ciepła

eprasa.pl 1719f564a1



FAKRO | INNOVIEW

zeskanuj kod
i poznaj zalety
okien pionowych

Okna FAKRO INNOVIEW powstały z połączenia drewna i aluminium, co wpływa na ich wyjątkową trwałość i daje możliwość tworzenia ogromnych przeszkleń. Naturalne drewno zapewnia ciepły klimat wnętrza oraz ponadczasową estetykę, a wysoka energooszczędność obniża rachunki za ogrzewanie. Okna są unikatowe, ponieważ każde wytwarzane jest na indywidualne zamówienie z szeroką możliwością personalizacji.

OKNA | MARKIZY | BRAMY

fakro.pl

eprasa.pl 1719f564a1

przez samą szybę. Jednak aby lepiej porównywać produkty, należy pytać o parametr Uw.

Popularność w ostatnich latach zyskują okna będące połączeniem drewna i aluminium. – *Naturalne drewno od wewnątrz pomieszczenia zapewnia ciepły klimat oraz odznacza się najwyższą estetyką. Wewnętrzna powierzchnia okna wykonana jest z litego drewna o wysokiej gęstości, co wprowadza do wnętrza naturalny charakter i podnosi standard wykończenia. Natomiast aluminiowa okładzina izoluje drewnianą ramę okna od niekorzystnego wpływu czynników zewnętrznych. Aluminium nie reaguje na wilgoć, stabilizuje pracę profilu drewnianego i pozwala uniknąć konieczności okresowego odnawiania powłok zewnętrznych* – mówi Maksymilian Kłapacz, starszy menedżer produktu FAKRO.

Pożądanym uzupełnieniem okien są markizy. Montowane na oknach pionowych markizy zewnętrzne zwiększają komfort przebywania w domu podczas upalnych dni. Absorbują promienie słoneczne jeszcze przed szybą i emitują ciepło na zewnątrz, chroniąc tym samym przed nagrzewaniem wnętrza. Markizy skutecznie zacieniają wnętrze, przy jednoczesnym zapewnieniu widoczności na zewnątrz. Dzięki temu możemy np. wygodnie pracować w pomieszczeniu. Przy zaciągniętej markizie rozkład natężenia światła wewnątrz jest równomierny i zdecydowanie bardziej przyjazny dla naszych oczu. Markizy zmniejszają również koszty, bo ograniczając nagrzewanie budynku, pozwalają ograniczyć działanie klimatyzacji, a w niektórych przypadkach nawet z niej zrezygnować. To rozwiązanie zarówno ekonomiczne, jak i ekologiczne.

Markizy mogą być sterowane manualnie lub elektrycznie. Warto wybierać modele wyposażone w czujnik, który w zależności od natężenia promieniowania słonecznego automatycznie uruchamia rozwijanie markizy lub jej zwijanie. Markizy pełnią też funkcję moskitiery, chroniąc wnętrze przed uciążliwymi owadami. To szczególnie przydatne wieczorem czy w nocy, gdy pragniemy wychłodzić i przewietrzyć pomieszczenia, korzystając ze spadku temperatury, ale równocześnie nie chcemy zostać pogryzieni przez komary.

Dużo większą uwagę niż kiedyś poświęcamy bramom garażowym. Stanowią bardzo ważny element budynku, a ich parametry wpływają na energooszczędność całego domu. Dobrej jakości bramy charakteryzują się współczynnikiem przenikania ciepła na poziomie 1,3 W/(m2·K) lub niższym. Jednym z najważniejszych elementów bramy garażowej jest panel – to on odpowiada za stabilność, izolacyjność, akustykę oraz wytrzymałość całej konstrukcji. W nowoczesnym domu brama garażowa jest integralną częścią architektury, zatem trzeba precyzyjnie dopasować ją do elewacji i charakteru budynku.

Warto zwrócić uwagę na produkty, w których powłoki są malowane proszkowo. Taka procedura zapewnia wysoką odporność na promieniowanie UV. Dzięki temu kolor nie blaknie i nie wymaga dodatkowych zabezpieczeń powierzchni. Brama jest również odporna na uszkodzenia mechaniczne i zarysowania, a jednocześnie łatwa do utrzymania w czystości. Proces lakierowania proszkowego gwarantuje także powtarzalność koloru w każdej partii produkcyjnej.

Jednym z najczęstszych problemów związanych z instalowaniem bram garażowych jest konieczność dopasowywania elementów na końcowym etapie montażu. Dobrym wyjściem może być wybór bramy producenta, który oferuje jeden spójny system. Wówczas monter pracuje na gotowych rozwiązaniach. W praktyce oznacza to szybszy i bardziej przewidywalny montaż – bez przeróbek, bez ryzyka błędów i bez wpływu na warunki gwarancji. Na jakość montażu i późniejszego użytkowania w dużej mierze wpływają elementy, na które często nie zwracamy specjalnej uwagi, jak prowadnice, ościeżnice, system prowadzenia czy rolki prowadzące. To właśnie te komponenty stanowią integralną część konstrukcji bramy segmentowej i odpowiadają za jej stabilność, płynną pracę oraz bezpieczeństwo użytkowania.

Bramę garażową można potraktować jako pierwszy krok w kierunku rozwiązań smart home, czyli inteligentnego domu. Choć ten temat nie jest nowy, w praktyce zaledwie ok. 10 proc. inwestorów decyduje się na zaawansowane, zintegrowane systemy obejmujące cały dom. Dlaczego? Nie brakuje czynników zniechęcających do takiej inwestycji. Akcesoria inteligentnego domu postrzegamy często jako skomplikowane, niebezpieczne, kosztowne i wymagające angażowania wyspecjalizowanych firm.

Tym bardziej lepiej zacząć od pierwszego, łatwego kroku. – *Upraszczamy technologię już na poziomie produktu. Inteligentne funkcje nie wymagają dodatkowych sterowników ani rozbudowanej instalacji – bramy garażowe są fabrycznie wyposażone w moduł Wi-Fi i przygotowane do szybkiego uruchomienia. Proces konfiguracji został maksymalnie skrócony i uproszczony. Użytkownik może rozpocząć proces dodawania urządzenia np. poprzez zeskanowanie kodu QR znajdującego się na bramie, bez konieczności zaawansowanej konfiguracji* – wyjaśnia Marcin Strzelec, dyrektor ds. rozwoju produktów WIŚNIOWSKI.

Dzięki temu inteligentna funkcjonalność przestaje być wyzwaniem technologicznym, a staje się naturalnym rozszerzeniem produktu. Brama garażowa to w tym modelu pierwszy, intuicyjny krok w kierunku smart home. To urządzenie, z którego korzysta się codziennie i które w prosty sposób pokazuje realne korzyści: wygodę, bezpieczeństwo i zdalną kontrolę. Jeśli pierwsze doświadczenie z technologią jest szybkie i bezproblemowe, znacznie chętniej będziemy rozwijać nasz dom o kolejne inteligentne narzędzia.

Takie podejście odpowiada na realne potrzeby użytkowników. Z badań wynika, że pierwszym krokiem w stronę systemów smart są najczęściej elementy związane z bezpieczeństwem i dostępem do domu, takie jak właśnie bramy garażowe, drzwi czy wideodomofony. Możliwość zdalnego otwierania drzwi, kontrola dostępu domowników, wpuszczenie kuriera czy natychmiastowe powiadomienia o różnych zdarzeniach to funkcje, które szybko przekładają się na codzienny komfort. I pokazują, że smart home ma sens nie jako kosztowny gadżet, lecz konkretne rozwiązania ułatwiające życie.

Cezary Kowanda

eprasa.pl 1719f564a1

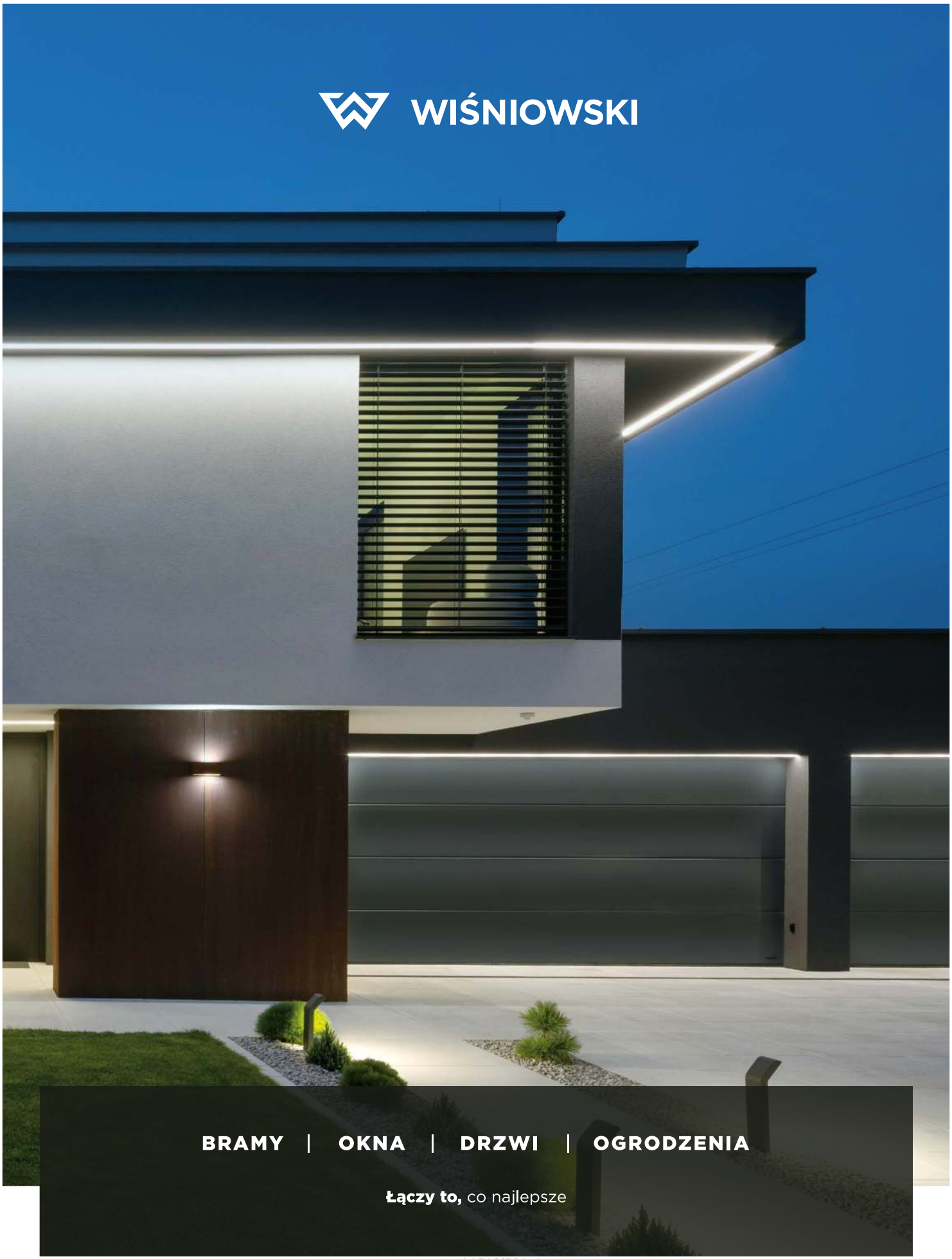

eprasa.pl 1719f564a1



Gorące kartofle

JOANNA SOLSKA

Mamy więcej odmian ziemniaka niż Francuzi serów, ale polscy konsumenci znają tylko jedną: to ziemniak ogólnoużytkowy, przeważnie niesmaczny i pochodzi z ziemniaczanego podziemia.

W Radzikowie w banku genów Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin znajduje się 1,8 tys. odmian. Dr hab. Krzysztof Treder z Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin w Boninie, wirusolog i biolog molekularny, uważa bank ziemniaczanych genów za polskie dobro narodowe, które powinniśmy

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1719f564a1

chronić. Najstarszą odmianą polskiego kartofla, jaką możemy odtworzyć dzięki bankowi genów, jest Marius wyhodowany w dawnym zaborze pruskim w 1893 r. przez hrabiego Henryka Dołkowskiego. Naukowcom nie wydaje się, żeby nam dzisiaj smakował, warzywo jest gorzkie.

Dziś geny istotne dla konsumenta, odpowiadające za kolor miąższu (Polacy wolą biały niż żółty), smak, zawartość skrobi krzyżuje się w instytucie z odpornością na suszę, mokre lato czy krótki okres wegetacji, z jakim mamy do czynienia tej wiosny. Powstają nowe odmiany, lepiej dostosowane do coraz gorszych warunków klimatycznych. Ale nie docierają na polskie stoły, bo rolnicy się nimi nie interesują.

Na etapie manipulowania genami ziemniak powstaje in vitro, w probówce. – *Z jednej probówki w ciągu roku można wytworzyć milion roślin potomnych, wolnych od wszelkich patogenów* – zapewnia dr Treder. Moglibyśmy błyskawicznie wprowadzić do rolnictwa odmianę wymagającą o wiele mniej wody, co znacznie poprawiłoby opłacalność plantacji. Przecież z powodu ocieplenia klimatu już 25 proc. upraw ziemniaka musi być nawadnianych!

Walory odmiany wyhodowanej in vitro sprawdza się na prawdziwym polu. IHAR ma dwie takie plantacje, w Strzękocinie na Pomorzu i w Zamartem koło Chojnic. Dr Piotr Kamiński, prezes Hodowli Ziemniaka Zamarte, dumny jest z Longiny, odmiany świetnie nadającej się na frytki przyrządzane w domu. Longinę z probówki chętnie kupują Niemcy i Holendrzy, posadzą ją u siebie.

Ziemniaczane góry

Jeszcze niedawno polskie ziemniaki były chętnie kupowane przez klientów zachodnich. Już ich nie chcą, boją się chorób, z którymi nasi rolnicy nie mogą się uporać. Zwłaszcza bakteriozy pierścieniowej, która gnębi już tylko nas i Rumunów. Jesienią, gdy okazało się, że znów dotknęła nas kartoflana klęska urodzaju, bo zbiory według GUS okazały się o 19 proc. wyższe niż zwykle, polscy rolnicy narzekali, że Bruksela ich dyskryminuje. Handel między członkami Wspólnoty odbywa się przecież bez przeszkód, niemieckie czy cypryjskie ziemniaki mogą zalewać polski rynek bez żadnej biurokracji, a nasi rolnicy, żeby móc je sprzedać do innego kraju unijnego, muszą przedstawić świadectwo fitosanitarne, że są zdrowe. Więc eksport zanika, z prośbami o zbadanie ziemniaków plantatorzy się nie zgłaszają.

Nie dopisują też rodzimi konsumenci, niegotujący w domu, więc kupujący coraz mniej najpopularniejszego niegdyś warzywa. Wolą pizzę i kebaby – to wersja plantatorów, którzy o prawdziwych przyczynach zanikającego apetytu na rodzime ziemniaki nie mówią. Polskich ziemniaków nie chcą kupić nawet przetwórnie, które mogłyby je przerobić na skrobię i mąkę ziemniaczaną. Też wolą milczeć o przyczynach.

Największą przetwórnią ziemniaków na mąkę ziemniaczaną, krochmal i inne produkty, poszukiwane nie tylko przez przemysł spożywczy, jest Pepees w Łomży, spółka giełdowa. W ubiegłych latach narzekała na brak surowca, teraz nie chce skupić nadmiaru kartofli. Na pytanie POLITYKI, co jest tego powodem, nikt z zarządu spółki odpowiedzieć nie chce, choć czekamy ponad tydzień. Z nieformalnych wypowiedzi wynika, że w surowcu jest zbyt mało skrobi, nie nadaje się do przetwórstwa. Ziemniaczany przemysł potrzebuje lepszych odmian, którymi rolnicy się nie interesują.

Wiosną ziemniaki często przechowywane w niewłaściwych warunkach jeszcze bardziej straciły na atrakcyjności. Są marnej jakości, sporo trzeba wyrzucić. W magazynach zalegają setki tysięcy ton. Rolnicy oczekują więc pomocy od państwa. Niech uruchomi skup interwencyjny, coś trzeba przecież zrobić z niesprzedanym towarem, którego ceny, jak twierdzą, spadły nawet do 20 gr za kilogram.

Rolnicze lobby sprzedaje nam wielką ściemę. Nawet dr Nowacki, założyciel Stowarzyszenia Ziemniak Polski, uważa, że żadnej klęski urodzaju nie ma. Polska ma liche ziemie, lecz dobre warunki do uprawy ziemniaka, powinniśmy go uprawiać więcej. Ale to nie mogą być takie, jakimi rolnicy karmią nas obecnie. Ogólnoużytkowe, czyli do niczego. Ani na talerz, ani do przetwórstwa.

W stanie wojennym Jerzy Urban, rzecznik rządu, zachęcał do jedzenia ziemniaków, zapewniając, że mają więcej witaminy C niż cytryny. Dorabiał ideologię do faktu, że cytrusów w uspołecznionym handlu nie było, natomiast ziemniaków nie brakowało nigdy. W kwietniu 2026 r. cytryn w sklepach jest pełno, a dr Treder wygłasza peany na temat ziemniaków, których nie powstydziłby się Urban. – *To najlepsze źródło potasu i witaminy C, której nawet po ugotowaniu mają więcej niż cebula* – zapewnia. – *Natomiast kalorii mają mniej niż ryż czy makaron. Zalecane są dla sportowców jako super food, bo dostarczają energii do regeneracji organizmu. A zawarta w nich skrobia na drugi dzień po ugotowaniu już nie jest przez ludzki organizm trawiona, więc ziemniaki nie tuczą. Oczywiście, jeśli nie odsmażymy ich w dużej ilości tłuszczu.*

Kiedy Urban zachwalał ziemniaki, jedliśmy ich według GUS 143 kg rocznie na osobę, teraz spożycie spadło poniżej 90 kg i nadal leci w dół. Stowarzyszenie Ziemniak Polski alarmuje, że w domach spożywamy zaledwie 60 kg na osobę rocznie, a licząc razem z przetwórstwem, tylko 85 kg; to jednak i tak więcej niż w innych europejskich krajach.

Klęskę urodzaju ziemniaków przeżywa cała Europa, bo wielu rolników zrezygnowało z uprawy zbyt taniego zboża na rzecz ziemniaków, ale naszych dotyka ona bardziej. Same apele, żeby oznaczać swojskie ziemniaki jako „produkt polski", nie pomogą. Biało-czerwona flaga zatknięta w skrzynkę zabłoconych ziemniaków nie wygląda zachęcająco.

Kiedy dr Treder robi zakupy w Dino, Biedronce czy Kauflandzie, żadnej z odmian, które bada w Instytucie (i poleca), nie znajduje. Wśród kadry naukowej z wczesnych odmian najbardziej lubiana jest Werbena i Piwonia, a na placki ziemniaczane najlepszy jest Jurek, ewentualnie Bielik. Przy testach kulinarnych sprawdzają się też Meluzyna oraz Hetman, utarte z nich ziemniaki nie ciemnieją. Dr Treder w żadnym polskim sklepie tych odmian nie widział. Nie znają ich też szefowie polskiej gastronomii.

Ziemniak marki ziemniak

W Polsce drugą młodość przeżywają bary mleczne. W Warszawie modę na nie wylansował przed laty Kamil Hagemajer, były finansista, dając drugie życie Barowi Prasowemu. Obecnie w jego warszawskiej sieci Jadłodajnia Centralna jest już 15 barów mlecznych. Przybywa im konkurentów. Klientami barów mlecznych są zarówno mięsożercy, jak ▶

eprasa.pl 1719f564a1

▶ i wegetarianie, obie grupy łączy apetyt na placki ziemniaczane, idzie ich coraz więcej. Nie zawsze są w menu, ponieważ... brakuje ziemniaków.

Firma Hagemajera kupuje ziemniaki na tony. Zwykle na giełdzie. – *Nawet tam nie mam wyboru, bo dostawcy oferują zwykle jeden gatunek, bez nazwy* – twierdzi przedsiębiorca. Mam obowiązek dostać od nich certyfikat, że plantacja jest nadzorowana, ale kiedy o niego poprosiłem, rolnik bardzo się zdziwił. O tym, że na giełdzie wybiorę sobie odmianę odpowiednią na placki czy na farsz do pierogów, nie ma mowy. Jest jedna, ziemniak marki ziemniak. Teraz kartofle są marnej jakości, wodniste, często zgniłe, czasem wyrzucić trzeba nawet połowę. Klienci są zawiedzeni, bo placków ziemniaczanych często brakuje.

Kuchnia podlaska opiera się na ziemniakach. Region jest biedny, a na marnych ziemiach udają się tylko kartofle, stąd takie upodobania kulinarne. Na Podlasiu odbywa się nawet coroczny festiwal ziemniaka. Kiedy w XIX w. zaraza ziemniaczana wywołała tam głód, ruszyła wielka emigracja do Ameryki. Z Podlasia głównie na Greenpoint, który jeszcze do niedawna bardzo przypominał Mońki, uważane za stolicę ziemniaka. Henryk Sienkiewicz zatytułował swoją nowelę „Za chlebem", ale tak naprawdę zaraza pozbawiła ludzi ziemniaków, dlatego emigrowali. Podobnie jak z Irlandii.

Obecnie tradycyjne potrawy z ziemniaków stały się jedną z atrakcji turystycznych Podlasia. Zrobione z kartofli babki ziemniaczane, kartacze czy kiszki poleca Damian Klinicki z Izby Gospodarczej Gastronomii Polskiej w Białymstoku. Chcą ich spróbować wszyscy, którzy dotarli do Supraśla. Znana jest z nich miejscowa Spiżarnia Smaków. Ale nawet na Podlasiu trudno o ziemniaki odpowiednie do zrobienia lokalnych specjałów. Ziemniak to ziemniak; o 1800 odmianach w banku genów nikt tu nie słyszał, nawet o odmianach Jurek czy Bielik, które byłyby najlepsze do podlaskich specjałów.

Pani Ela, właścicielka Spiżarni Smaków, narzeka, że nie przyjął się nawet uproszczony schemat znakowania surowca, jakie proponowało Stowarzyszenie Polski Ziemniak, według kryterium kulinarnej przydatności. Na trzy rodzaje – A, B i C. C, jako zawierający najwięcej skrobi, do wyrobu lokalnych specjałów podlaskich byłby najbardziej przydatny, A oznaczać miał ziemniaka sałatkowego, a B nadawałby się do gotowania na zwykły obiad. Nawet jednak taki prosty podział się nie przyjął, ziemniaki traktowane są tak, jakby wszystkie były takie same, ogólnoużytkowe. Więc Elżbieta na targowiskach kartofli nie kupuje, ma stałego dostawcę, nazwy odmiany jednak nie zna.



Nie przyjął się uproszczony schemat znakowania ziemniaków według kryterium kulinarnej przydatności na trzy rodzaje. A oznaczać miał ziemniaka sałatkowego, B nadawałby się do gotowania na zwykły obiad. C, zawierający najwięcej skrobi, sprawdzałby się w plackach czy pyzach.

Niemiec sprzeda polskie kartofle

Charles de Gaulle mawiał, że trudno jest rządzić krajem, który ma 300 gatunków serów. A przecież Francuzi nie pomylą camemberta z ementalerem. My mamy 1800 odmian ziemniaków, a ogromna większość społeczeństwa, nie wyłączając polityków, nie potrafi wymienić nawet trzech, nie mówiąc o tym, który do czego się nadaje.

– *Prawie 70 proc. ziemniaków w naszym kraju jest uprawianych w podziemiu gospodarczym, z niecertyfikowanych sadzeniaków* – szacuje dr Wojciech Nowacki, emerytowany naukowiec z IHAR, założyciel Stowarzyszenia Ziemniak Polski. Rolnicy w charakterze sadzeniaków używają kartofli, które zebrali jesienią na własnym polu, niewolne od bakterii i innych patogenów, ale tańsze od kwalifikowanych. Nowymi odmianami się nie interesują, kupowanie drogich kwalifikowanych sadzeniaków uważają za zbędny koszt. Dlatego nie rejestrują swoich upraw. W razie wykrycia choroby musieliby wstrzymać się z uprawą do czasu uporania się z zarazą, więc mamy tzw. szare pyry.

To właśnie jest główną przyczyną upadku eksportu ziemniaków i panoszenia się bakteriozy. Plantacje zaś takie jak Zamarte, oferujące zdrowe sadzeniaki nowych odmian, ledwie przędą, bo nie mają klientów. Może się okazać, że bank genów nie jest w Polsce nikomu potrzebny.

– *Niecertyfikowany materiał siewny, nawet jeśli pochodzi z dobrych odmian, po dwóch latach się „wyradza"* – ostrzega dr Treder. Zanikają walory danej odmiany, ziemniak staje się ogólnoużytkowy, marny, chory i niesmaczny. Takie przeważnie trafiają na nasze stoły. Jeśli więc nawet na targowisku sprzedawca zapewnia nas, że ma Irgi czy Irysy, ale pochodzą one z nierejestrowanej plantacji, to warzywo nie ma już zalet, o których opowiadały nasze babcie. Została tylko nazwa. Właściciele sklepów są ostrożniejsi niż bazary, nie kuszą nazwami odmian. Łatwo bowiem byłoby udowodnić, że dostawca i sklepikarz używają ich bezprawnie, co jest karane. Więc wszędzie królują ziemniaki marki ziemniak.

Wojciech Nowacki mówi rzeczy, których polski rolnik słucha niechętnie. Że żadnej klęski urodzaju nie ma, a skup interwencyjny nie jest potrzebny. Jeśli państwo ma dopłacać, to raczej do zakupu kwalifikowanych sadzeniaków, żeby na polskim rynku wreszcie pojawiły się ziemniaki, które konsumenci będą mogli traktować jako warzywo wysokiej jakości. Jeśli tego nie zrozumiemy, wkrótce zrobią to Holendrzy, Duńczycy i Niemcy, którzy już oferują nam odmiany jak z polskiego banku genów.

JOANNA SOLSKA

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 1719f564a1

Matka afer



ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

Dlaczego państwo nie potrafi skutecznie rozliczyć żadnej dużej afery gospodarczej, gdzie straty liczone są w setkach milionów złotych? Skazać może i tak, ale odebrać zagarnięte pieniądze, to już za dużo.

VIOLETTA KRASNOWSKA

Dzień ogłoszenia wyroku w sprawie upadku Domu Maklerskiego Warszawskiej Grupy Inwestycyjnej (DM WGI) – pierwszej afery gospodarczej III RP. Ponad półtora tysiąca klientów straciło wtedy 349 mln zł. Pod salą sądową poszkodowani. Starsza pani wspomina, jak 1 kwietnia 2006 r. dostała na pięknym złotym papierze raport o swoich zyskach. Były imponujące. – *Córka mówiła: Mamo, idź i szybko wyjmij te pięniądze!* – wzdycha.

Nie poszła, a już 4 kwietnia 2006 r. dobijała się wraz z innymi klientami do zamkniętych drzwi domu maklerskiego WGI, po tym, jak „Rzeczpospolita" podała, że została cofnięta mu licencja m.in. za wprowadzanie klientów w błąd co do stanu ich rachunków i niekorzystne zarządzanie powierzonym kapitałem. – *Teraz mija równo 20 lat* – zauważa kobieta. Podchodzi druga pani, jak mówi, też dawna klientka. Nie chodziła na rozprawy, ale na ogłoszenie wyroku przyszła. Pyta: – *A co ten wyrok nam da?*

Młode wilki z Jaguarem

Dom maklerski WGI założyło w kwietniu 2005 r. trzech kumpli ze szkoły, młode wilczki wczesnego kapitalizmu: 28-latek Łukasz K., dziennikarz po średniej szkole, jego kolega Andrzej Maciej S., po studiach dziennikarskich, i Maciej Dominik S., po ekonomii, z otwartym doktoratem, i to on, wydaje się, był tam mózgiem. Była wielka akcja marketingowa, finansowanie turnieju golfowego o Puchar Prezydenta Kwaśniewskiego, gdzie jedną z nagród był luksusowy Jaguar S-Type. W otoczeniu pojawiły się duże nazwiska z ekonomii, z tytułami naukowymi, które uwiarygadniały biznes. Były znane twarze z telewizji. Potem na procesie wszyscy mówili, że co prawda zasiadali w radach, ale nie byli należycie informowani o sytuacji.

Na początku procesu jeden z pełnomocników poszkodowanych zaproponował sędzi, ▶

eprasa.pl 1719f564a1

▶ aby w ramach pracy obejrzała film dokumentalny o Bernardzie Madoffie, który oszukał ludzi w USA na 65 mld dol., akurat nadawany w TV. U Madoffa było słynne „17 piętro", gdzie jego najbliższy współpracownik wypisywał fikcyjne zyski do sprawozdań dla klientów. Finalnie Madoffowi zlicytowano cały majątek, skazany został na 150 lat więzienia, gdzie zmarł.

Klienci DM WGI dostawali do wyboru różne opcje inwestowania na giełdzie – agresywne, z możliwym większym zyskiem lub też bardziej ostrożne. Tylko że to wszystko od początku był pic, bo nie było żadnej gry giełdowej. Pieniądze klientów wrzucano do jednego worka i przelewano do spółki WGI Consulting, oficjalnie zajmującej się wydawaniem broszur dla klientów. A ta przesyłała je do domu maklerskiego Vachovia w USA, która nimi grała na amerykańskiej giełdzie wedle własnego uznania. Pomijając nawet, że dom maklerski nie może tak działać, to nie ma też możliwości wyliczenia zysków ani strat konkretnego klienta. W raportach wymyślano zwykle zyski. Choć gdy ktoś przyszedł z raportem, domagając się tych pieniędzy, dostawał tyle, ile było w nich napisane. Co też pokazuje, na jak glinianych nogach stał ten biznes.

Wszystko zaczęło się sypać już po pół roku, w październiku 2005 r. Wtedy do domu maklerskiego przyszedł klient, który zainwestował 3 mln zł. Skarżył się, że przestał dostawać raporty, i ostrzegł, że zawiadomi nadzorcę, czyli Komisję Papierów Wartościowych i Giełd, poprzedniczkę KNF. Jak potem ujął to zdarzenie sąd: „zarząd zdecydował się uciszyć rozgoryczonego klienta, próbując zrekompensować mu wszystkie nieprawidłowości. Aby uczynić swoją propozycję atrakcyjną, wiceprezes Łukasz K. wręczył mu raport, z którego wynikało, że na rachunku ma kwotę o 200 tys. zł wyższą, niż wpłacił". I „nakłaniał do zatajenia informacji o nieprawidłowościach". Klient jednak odrzucił tę ofertę i powiadomił Komisję, weszła kontrola, zakończona w kwietniu 2006 r. odebraniem licencji i zawiadomieniem prokuratury.

Młode wilki z WGI zrobiły to, co po nich będą kopiować szefowie Amber Gold i inni. Poprosili klientów o cierpliwość i zobowiązywali się, że do końca maja 2007 r. się rozliczą. A już, jak później wyszło na jaw, przez ten czas wyprowadzali pieniądze. Przelali 6,6 mln dol. z pieniędzy klientów najpierw do spółki WGI Europe, którą założyli w Wielkiej Brytanii, a stamtąd do banku w Szwajcarii. Dzięki pomocy Szwajcarów ustalono, że ostatecznie trafiły na ich prywatne konta. Formalnie jako kredyty, których miała im udzielić ich własna firma WGI Europe. Bez żadnych warunków, zabezpieczeń, terminów spłat, zresztą kredyty nigdy niespłacane. Tak młode wilki przejęły 6,6 mln dol. Plus z konta prowadzonego w USA na konto prezesa Macieja S. i wiceprezesa Łukasza K. trafiło jeszcze po 1,6 mln dol.

Co zostało w kraju? Po podliczeniu sum wierzytelności zgłoszonych do syndyka straty klientów sięgnęły prawie 340 mln – dziś to ok. 700 mln zł. Syndykowi udało się odzyskać niecałe 40 mln zł. Reszta zniknęła.

Puste akcje i Villa Radość

Wszczęto śledztwo. Trzem kumplom, założycielom WGI, prokuratura zabrała paszporty i nałożyła poręczenie majątkowe po 200 tys. zł. W ramach zabezpieczenia na poczet przyszłych grzywien zajęła ich udziały w niedziałającej spółce Manhattan. Jedynym realnym majątkiem, na którym prokuratura zrobiła zabezpieczenie pod przyszłe zobowiązania, była Villa Radość należąca do prezesa Macieja S. To luksusowa rezydencja (ponad 1000 m kw.) z basenem, w lesie, na działce o powierzchni blisko 4 tys. m kw., warta była wtedy realnie 9–10 mln zł. Prokuratura zrobiła zabezpieczenie na 3 mln zł.

Śledztwo trwało siedem lat, wiele zarzutów się przedawniało, ale w grudniu 2012 r. do sądu trafił akt oskarżenia. Prokuratura oskarżyła twórców WGI o niegospodarność. Ruszył proces. Oskarżeni poszli w zaparte i twierdzili, że sumy podawane w raportach to rzeczywiście nie były kwoty realne, ale że to były informacje o „potencjalnych przyszłych zyskach".

I sąd to kupił. Sędzia Anna Bator-Ciesielska z Sądu Okręgowego w Warszawie w 2020 r. uniewinniła oskarżonych, stwierdzając, że działali w ramach ryzyka gospodarczego. Oddała im paszporty i pieniądze z poręczeń majątkowych plus odsetki. Dwa lata później sędzia Jerzy Leder z sądu apelacyjnego rozniósł jej wyrok na strzępy. „Ludzie czekali na sprawiedliwość i się jej nie doczekali" – grzmiał. Mówił, że nie wiadomo, dlaczego sąd uznał za wiarygodne wyjaśnienia oskarżonych, że chcieli dobrze, a zupełnie pominął dowody ich obciążające. I podsumował, że „nie da się skontrolować wyroku w takim brzmieniu. Trzeba go skasować, nie ma go". I nakazał nowy proces. Sala była pełna poszkodowanych, rozległy się brawa.

W maju 2023 r. ruszył nowy proces, a w marcu tego roku zapadł wyrok – po sześć lat więzienia dla Macieja S., prezesa, i Łukasza K., wiceprezesa – po pięć lat bezwzględnego więzienia, uznając wysoki stopień społecznej szkodliwości czynów, którymi doprowadzili ponad tysiąc klientów do straty 248 mln (dziś byłoby to ok. 700 mln zł). Sędzia Anna Wierciszewska-Chojnowska stwierdziła, że wyjaśnienia oskarżonych, iż winni są inni, nie zasługują na wiarę, o czym świadczy choćby „pożyczka" 6,6 mln dol., której nawet nie starali się spłacić. Mają też zapłacić po 50 tys. zł grzywny i po 10 tys. zł kosztów procesu.

Zaś co do zwrotów przez nich pieniędzy poszkodowanym klientom – to zupełnie inna sprawa, stwierdziła sędzia, dodając, że z tego, co wie, zapadł w tej sprawie wyrok w sądzie cywilnym.

Gdzie są nasze pieniądze?

Chodzi o wyrok z 2016 r. z powództwa Komisji Papierów Wartościowych i Giełd wniesionego w imieniu 901 klientów, kiedy sędzia wydziału cywilnego Magdalena Kubczak stwierdziła, że właściciele DM WGI mieli zarządzać pieniędzmi klientów, a nie zarządzali, mieli zgodnie z umowami zwrócić klientom ich wkłady, nie zwrócili, a do tego starali się wyprowadzić majątek. I zasądziła solidarnie od całej trójki wypłatę z odsetkami od 2009 r. na rzecz – i tu zaczęła wymieniać po nazwisku – temu milion, temu 790 tys. zł. Przez godzinę wyczytywała nazwiska 596 osób i nazwy firm inwestorów. I zasądziła jeszcze pokrycie kosztów sądowych w sumie niemal 200 tys. zł. Nie było braw ani entuzjazmu. Sędzia spytana już po rozprawie, ile to w sumie pieniędzy, przyznała, że nie liczyła. Bo te kwoty to w sumie abstrakcja. Skazani złożyli apelację, która do dziś czeka na wyznaczenie terminu jej rozpatrzenia.

A i tak ten wyrok objął tylko połowę poszkodowanych, tych, którzy stracili 75 tys. zł i więcej. Sprawy mniejszych inwestorów zostały przekazane do sądów rejonowych, gdzie w ciszy „umarły". Bo sądy domagały się od KNF opłacenia pozwów – 10 proc. od wartości roszczenia – czego ten nie robił, bo stał na stanowisku, że jako instytucja państwa jest zwolniony z opłat. Sądy umorzyły więc taśmowo kilkaset spraw, a KNF się nie odwołał.

eprasa.pl 1719f564a1

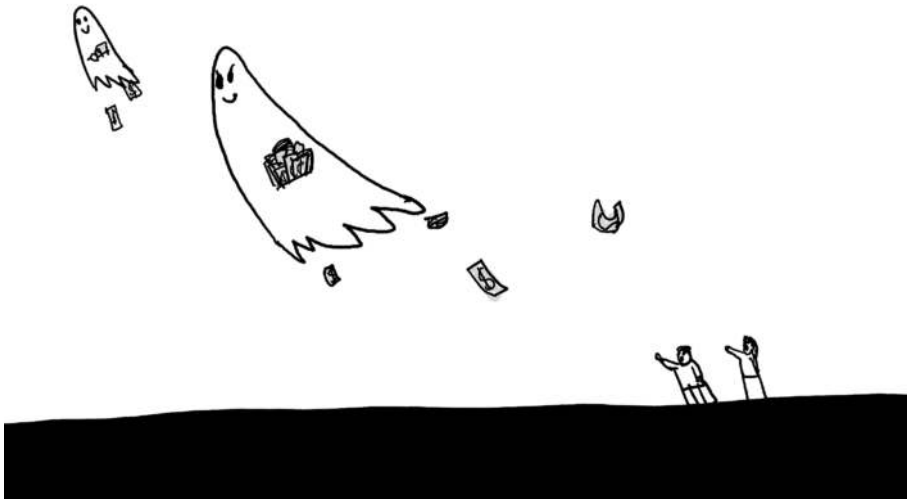

Rzecznik prokuratury pytany po zakończeniu śledztwa, gdzie jest 300 mln zł, które zniknęły, odparł tylko: „Nie udało się tego ustalić". Nikt specjalnie nie drążył też sprawy przelewów milionów dolarów na prywatne konta młodych wilków. Nie zrobiono nic, by je odebrać. Na procesie to też był temat poboczny. Prezes DM WGI Maciej S. skwitował sprawę krótko: „Środki otrzymane z tytułu udzielonych pożyczek zostały wykorzystane zgodnie z naszą (...) prywatną wolą".

Villa Radość, wydawałoby się najpoważniejsze zabezpieczenie przyszłych roszczeń, praktycznie uciekła spod przyszłej egzekucji. „Rzeczpospolita" przed laty opisała, jak próbowano ją przejąć. Jeszcze trwało śledztwo, kiedy nieruchomość zmieniała właścicieli, przechodząc z rąk do rąk członków rodziny prezesa Macieja S. W księdze wieczystej pojawiły się liczne zapisy na hipotece pod wzięte kredyty i pożyczkę 5 mln zł od ojca Macieja S. – w sumie na 15 mln zł. Pojawiły się też umowy dzierżawy i poddzierżawy rezydencji zawarte ze spółkami, w tym zagranicznymi (należącymi m.in. do żony Macieja S.). Szansa na spieniężenie prokuratorskiego zabezpieczenia jest w takiej sytuacji praktycznie zerowa.

Przez te wszystkie lata poszkodowani prosili prokuraturę, a potem sądy, o zabezpieczenia majątków młodych wilków, by było z czego ściągać. Pisali, że mogą uciec z majątkiem. Bez skutku. Np. w 2014 r. Sąd Rejonowy dla Warszawy-Woli odmówił zabezpieczenia majątku oskarżonego, stwierdzając, że do tego muszą nastąpić okoliczności, które mogłyby świadczyć, że oskarżony w toku procesu wyzbywa się majątku lub też podejmuje czynności zmierzające do jego ukrycia. Choć jak zauważył sąd – takie stanowisko nie wynika z treści żadnego przepisu prawnego. Poszkodowani się denerwowali: ale gdy się wyzbywa majątku lub ukrywa, to już nie będzie co zabezpieczyć.

Nie ma na koszty

Zresztą same sądy przekonały się już, jak to jest z egzekucją z majątków byłych właścicieli DM WGI – skąd zniknęło w 2006 r. 300 mln, gdy postanowiły odebrać zasądzone koszty procesu.

Chodziło o kilka tysięcy złotych od każdego. Wysłano do nich komorników sądowych. Łukasza K., wiceprezesa WGI, komornik znalazł w wynajmowanym mieszkaniu. „Skazany nie pracuje, nie osiąga żadnych dochodów, nie ma żadnego majątku, jego sytuacja majątkowa i osobista nie pozwala mu zatem na zapłatę należności" – napisał komornik do sądu.

Uzasadniał: „W toku postępowania egzekucyjnego stało się oczywiste, że nie uzyska się sumy wyższej od kosztów egzekucji w wysokości 54 zł". I umorzył postępowanie egzekucyjne jako bezskuteczne, a sąd to klepnął.

Ze ściągnięciem należności od prezesa WGI Macieja S. była długa batalia. Chodziło o orzeczoną prawomocnie grzywnę w wysokości 150 tys. zł i prawie 44 tys. zł kosztów procesów dwóch instancji. Najpierw S. napisał o odroczenie: „Zarówno ja, jak i moja żona jesteśmy zatrudnieni na 1/4 etatu z wynagrodzeniem w wys. 462,50 brutto. Nie posiadamy żadnego majątku i mieszkamy w wynajętym mieszkaniu. Mamy 8-letnią córkę. W utrzymaniu pomaga nam rodzina żony, jak i moja". Sędzia zgodziła się tylko na rozłożenie na raty i wysłała kuratora sądowego pod adres korespondencyjny w celu zorientowania się w sytuacji majątkowej Macieja S.

Zanotował: „Znajduje się tam dość rozległa posesja, na której stoi duży, elegancki dom. Teren jest ogrodzony". Zadzwonił do furtki, w domofonie odezwała się matka Macieja S. Powiedziała, że syn „od niepamiętnych czasów" nie mieszka pod tym adresem, ale nie chciała podać jego aktualnego adresu. Pozwoliła zostawić wezwanie w skrzynce. Ale, pisał kurator sądowy, nikt się z nim nie skontaktował. Dodał, że tak samo było dwa lata wcześniej, kiedy został wysłany do przeprowadzenia wywiadu środowiskowego. Też wszystko odbyło się przez domofon, matka stwierdziła, że nie jest upoważniona do udzielania informacji o adresie syna.

Gdy na konto sądu nie wpłynęła nawet złotówka, sędzia poleciła wszcząć egzekucję komorniczą. Ale komornik napisał, że „egzekucja z ruchomości, wierzytelności i kont bankowych okazała się bezskuteczna", i sąd musiał jeszcze zapłacić koszty postępowania egzekucyjnego – razem 45,84 zł. Wtedy jednak sędzia poszedł dalej i zarządził wykonanie kary zastępczej aresztu – 150 dni – z nakazem doprowadzenia pod przymusem. „Dotychczasowe postępowanie skazanego świadczy o lekceważącym stosunku do sprawy i uchylaniu się od obowiązków wynikających z wyroku" – uzasadniał sędzia. I trzy lata po uprawomocnieniu się wyroku adwokat wysłał do sądu dowód wpłaty 150 tys. zł z prośbą o odwołanie czynności zatrzymania Macieja S.

Żeby to inni sędziowie szli tym torem. Tymczasem, przypomnijmy, apelacja w sprawie zapłaty poszkodowanym czeka od lat na wyznaczenie terminu rozprawy. Wiadomo już, że do ostatniego wyroku skazującego właścicieli DM WGI na więzienie i grzywny apelację złożą skazani. Gdy jedna z poszkodowanych złożyła wniosek o możliwość podawania danych osobowych skazanych, upubliczniania ich wizerunku, sędzia Anna Wierciszewska-Chojnowska powiedziała, że nie, bo w świetle prawa są niewinni.

Maciej S. prezesuje firmie taty, która przejęła spore nieruchomości w Warszawie, i reklamuje się jako doradca. Mówi, że wyroki nieprawomocne to nie wyroki. Szyld z nazwiskiem Łukasza K., jego prawej ręki, widnieje na kryształowych drzwiach prowadzących do elegancko urządzonej firmy w centrum Warszawy, choć nie ma go w oficjalnym rejestrze. Zostałam przekierowana do pobliskiej restauracji, ponoć należącej do niego, ale nieoficjalnie to „cichy wspólnik". Oficjalnie żaden z nich nic nie ma. I po aferze, i po pieniądzach.

VIOLETTA KRASNOWSKA

eprasa.pl 1719f564a1

AUSTRIA

Zabytki zatopione w naturze



Austria jest nam bliska, ale wciąż mało ją znamy. Zapraszamy więc w podróż przez cztery wspaniałe miasta, których zwiedzanie można połączyć z wycieczkami pieszymi i rowerowymi po okolicach. Tamtejsze krystalicznie czyste jeziora przyniosą orzeźwienie w gorące dni – warto to uwzględnić, planując letnie wojaże.

Nieważne, czy urlop jest długi, czy krótki. Ważne, żeby był niezapomniany i... bezpieczny. Wydarzenia ostatnich miesięcy sprawiły, że wybierając kierunek wyjazdu, myślimy nie tylko o atrakcjach, ale także o spokoju. Gdy czytamy ostrzeżenia dotyczące kolejnych popularnych kierunków podróży, nawet tych nieodległych od Europy, jeszcze bardziej doceniamy miejsca, w których możemy odpoczywać bezpiecznie. Takim z pewnością jest Austria. Kraj, który choć znajduje się blisko Polski, wciąż pozostaje nie do końca odkryty. Owszem, Austria kojarzy nam się ze świetnym kierunkiem dla narciarzy, a jej stolica to jedno z najbardziej znanych i podziwianych miast europejskich. Tyle że poza Wiedniem i stokami narciarskimi Austria oferuje znacznie więcej. Także wiosną, latem i jesienią.

W pierwszym odcinku naszego przewodnika po Austrii szczególnie zachęcamy do odwiedzenia czterech znanych, wciąż jednak nie do końca odkrytych przez Polaków miast. Graz słynie nie tylko ze wspaniałych zabytków, ale też imponującej oferty kulinarnej. W Klagenfurcie, dzięki bliskości Włoch i Słowenii, spotykają się austriacki charakter z włoską finezją i słoweńskimi aromatami. Alpejski Innsbruck to niezwykłe połączenie miasta i wysokich gór. Wreszcie Salzburg, miasto Mozarta – warte odwiedzenia szczególnie teraz, kiedy świętuje 270. urodziny tego genialnego kompozytora, a zarazem 30. rocznicę wpisu Starego Miasta na listę światowego dziedzictwa UNESCO. W ramach jednego wyjazdu można połączyć zwiedzanie tych czterech miast, przeznaczając na każde tyle czasu, ile chcemy!

Do Austrii i po Austrii? Najlepiej pociągiem!

Koleje austriackie należą do jednych z najlepszych w Europie. Są punktualne, wygodne i przystępne cenowo – zwłaszcza gdy rezerwujemy bilety z wyprzedzeniem lub korzystamy z wolniejszych, ale za to tańszych połączeń regionalnych. Proponujemy zatem trasę, która zaczyna i kończy się w Wiedniu, a przebiega przez cztery piękne miasta ze wspaniałą historią – czyli wspomniane wcześniej: Graz, Klagenfurt, Innsbruck i Salzburg. Czas trwania takiej podróży można dopasować do własnych potrzeb i możliwości. Wystarczy przedłużony weekend, ale aby w pełni doświadczyć wyjątkowości Austrii, warto wygospodarować na taką wycieczkę przynajmniej tydzień. Tym bardziej że austriackie miasta łączą imponujące zabytki (w tym zamki i kościoły) z urzekającą przyrodą, zachęcającą do pieszych i rowerowych wycieczek po okolicy.

Do punktu startowego naszej wycieczki, czyli Wiednia, kursują bezpośrednie pociągi PKP InterCity z: Warszawy (przez Katowice; dwa dzienne: Sobieski i Polonia, oraz jeden nocny – Chopin), Krakowa (trzy dzienne – Danubius, Prater i Porta Moravica, oraz jeden nocny – Carpatia, który zaczyna trasę już w Przemyślu i zatrzymuje się m.in. w Rzeszowie i Tarnowie), Poznania (Danubius)

Materiał powstał w komercyjnej współpracy z Narodowym Biurem Promocji Austrii

Lebensgefühl Austria

eprasa.pl 1719f564a1



Salzburg podziwiany z Mönchsbergu

oraz z Wrocławia (Danubius i Porta Moravica). Im wcześniej zarezerwujemy miejsce, tym większa szansa na zdobycie biletu w promocyjnej cenie. Pociąg o nazwie Porta Moravica może być wyjątkowo użyteczny, bo nie kończy trasy w Wiedniu, ale jedzie dalej – aż do Grazu. W przypadku wyboru innych połączeń, aby dotrzeć do Grazu, potrzebna jest przesiadka. To jednak żaden problem.

Z Wiednia do Grazu kursuje co najmniej jeden pociąg na godzinę – od wczesnego ranka do późnego wieczora. To głównie wygodne i nowoczesne składy Railjet (państwowych kolei ÖBB), ale także połączenia prywatnego przewoźnika Westbahn. Podróż trwa ok. 2,5 godz. Wcześniejsza rezerwacja pozwala skorzystać z atrakcyjnych promocji. Jest też opcja wolniejsza i tańsza,



Słynne salzburskie kulki Mozarta (Mozartkugeln)

© TOURISMUS SALZBURG GMBH (2)

która nie wymaga planowania z wyprzedzeniem. Koleje ÖBB oferują bilet o nazwie Einfach-Raus-Ticket. Można z niego korzystać po godz. 9 od poniedziałku do piątku, a w weekendy – przez całą dobę. Nie ma żadnych ograniczeń wiekowych – bilet dostępny jest dla każdego.

Tani bilet

Einfach-Raus-Ticket to wyjątkowo tania możliwość podróżowania, zwłaszcza w przypadku większych grup. Bilet ważny przez jeden dzień kosztuje 38 euro (dla jednej lub dwóch osób). Każda kolejna osoba płaci tylko 4 euro. W ramach jednego biletu może podróżować maksymalnie pięć osób – koszt Einfach-Raus-Ticket to wówczas 50 euro, wychodzi zatem zaledwie 10 euro na podróżnego. Przejazd z Wiednia do Grazu na podstawie Einfach-Raus-Ticket trwa 4,5–5 godz. i wymaga jednej, dwóch lub trzech przesiadek. Można korzystać z pociągów regionalnych ÖBB (oznaczonych w rozkładzie jazdy symbolami R, CJX i REX) oraz aglomeracyjnych (S-Bahn). Co ważne, to również świetna oferta dla rowerzystów, bo istnieje wariant Einfach-Raus-Radticket, kosztujący zaledwie 10 euro więcej i umożliwiający przewóz jednośladów.

Kolejny etap podróży jest wyjątkowo krótki: z Grazu do Klagenfurtu można dostać się w zaledwie 40–50 min dzięki pociągom Railjet (ÖBB) lub Westbahn. Szybki skład łączy stolice Styrii i Karyntii przynajmniej raz na godzinę. Na przejazd z Klagenfurtu do Innsbrucka trzeba już zarezerwować więcej czasu, ale wynagrodzą nam to imponujące widoki. Podróż trwa około pięciu godzin i wymaga jednej lub dwóch przesiadek. Do dyspozycji są pociągi Railjet, ICE i EC. Następny przejazd jest za to zdecydowanie krótszy. Z Innsbrucka do Salzburga możemy dostać się już w niespełna dwie godziny dzięki połączeniom Railjet. W przypadku tego etapu podróży można również wybrać opcję z Einfach-Raus-Ticket. Wówczas przejazd potrwa około pięciu godzin – z dwiema przesiadkami.

Ostatni etap podróży – z Salzburga do Wiednia – nie jest żadnym problemem, bo to wyjątkowo popularna trasa, obsługiwana kilka razy na godzinę. Do wyboru mamy

eprasa.pl 1719f564a1

dwóch przewoźników – oprócz kolei ÖBB na tej linii kursują również składy Westbahn. Pociągi IC i Railjet (obsługiwane przez ÖBB) dojeżdżają do głównego dworca Wien Hauptbahnhof, a Westbahn kończy bieg na stacji Wien Westbahnhof, również położonej w centrum stolicy Austrii. Dzięki konkurencji między przewoźnikami łatwiej znaleźć tańsze bilety, nawet jeśli rezerwuje się je z niewielkim wyprzedzeniem.

W odwrotnym kierunku

Kolejową trasę po Austrii możemy również odbyć w odwrotnym kierunku i rozpocząć ją od Salzburga, kierując się potem przez Innsbruck i Klagenfurt do Grazu. W takim przypadku wyjątkowo użyteczny będzie nocny pociąg Chopin z Warszawy, przez Katowice, do Monachium, który zatrzymuje się w Salzburgu. W ten sposób można dostać się z Polski do miasta Mozarta bez przesiadki, i do tego rozpocząć zwiedzanie rano, będąc wypoczętym po nocy spędzonej w kuszetce lub wagonie sypialnym. Pociąg ten przyjeżdża do Salzburga o godz. 8.30, a zatem o porze idealnej na pyszne śniadanie. Kto rozpoczyna austriackie kółeczko od Grazu, a kończy je w Salzburgu, ten może punktualnie o godz. 20.30 wsiąść do składu odjeżdżającego do Polski. Dzięki temu w pełni wykorzysta swój ostatni dzień niezapomnianego austriackiego urlopu.

Jeśli nie chcemy rezerwować osobno biletów na każdy odcinek podróży i za każdym razem szukać najtańszych ofert, możemy skorzystać z wygodnego rozwiązania o nazwie Interrail. To bilet pozwalający na podróżowanie po wybranym kraju europejskim przez kilka



Instalacja przy wejściu do Kryształowych Światów Swarovskiego w Innsbrucku

dni dowolnymi pociągami. Jedyny warunek: nie można w tym kraju na stałe mieszkać. Do wyboru jest kilka opcji. Najtańsza obejmuje przejazdy w trzy wybrane dni w ciągu jednego miesiąca. Są też rozwiązania na cztery, pięć, sześć i osiem dni – zawsze w trakcie jednego miesiąca. Interrail pozwala zatem na robienie przerw – nie trzeba podróżować dzień po dniu.

Elastyczna opcja

Interrail idealnie nadaje się do dłuższych przejazdów, w przypadku których kupowanie pojedynczych biletów, zwłaszcza w szczycie sezonu, może okazać się kosztowne. Dzieci, młodzież i seniorzy korzystają ze zniżek. Interrail nie zawiera cen miejscówek gwarantujących podróż na siedząco w pociągach takich jak Railjet – trzeba je kupować osobno, ale w Austrii nie są one obowiązkowe w przypadku przejazdów krajowych. Dobrze się w nie zaopatrzyć, jeśli podróżujemy w wyjątkowo popularne dni (np. piątki i niedziele po południu czy na początku lub pod koniec długiego

Ceny Interrail w Austrii (w euro; druga klasa)

Ważność (w ciągu miesiąca)	Dorośli (28–59 lat)	Dzieci (do 11 r.ż.)	Młodzież (12–27 lat)	Seniorzy (powyżej 60 lat)
3 dni	165	0	124	149
4 dni	196	0	147	177
5 dni	223	0	167	201
6 dni	247	0	185	222
8 dni	292	0	219	263

Źródło: Interrail

eprasa.pl 1719f564a1



Pałac Hofburg w Innsbrucku

weekendu). Miejscówki na większość pociągów dalekobieżnych kosztują 3 euro i można je rezerwować już pół roku przed datą podróży.

***

Austria i rower: świetne połączenie

Pociągiem z rowerem? Tak, wszystkie dzienne składy PKP InterCity z Polski do Austrii to umożliwiają! Liczba miejsc dla rowerów jest ograniczona, warto więc wcześniej zarezerwować bilety. Ale można też pojechać do Austrii bez swojego pojazdu i wypożyczać rowery na miejscu – zarówno w wersji tradycyjnej, jak i ze wspomaganiem elektrycznym. To tym bardziej kuszące, że rowerzyści mają do wyboru ogromną liczbę szlaków, od najłatwiejszych do najbardziej wymagających.

Miłośnicy rowerów znajdą w regionie Grazu atrakcyjną ofertę wycieczek rekreacyjnych i trekkingowych. Przygotowano aż 18 tras przeznaczonych dla rowerów elektrycznych, z których większość prowadzi bezpośrednio ze stolicy Styrii na łono natury, zabierając aktywnych turystów do najpiękniejszych miejsc wycieczkowych i lokali gastronomicznych. Główną arterią rowerową jest popularna trasa rowerowa Murradweg R2, która przecina region od górskich terenów Grazu na północy do równin basenu Grazu na południu.

Wyjątkowo atrakcyjny dla rowerzystów jest także Klagenfurt, położony nad jeziorem Wörthersee. Na Placu Neuer Platz z fontanną Lindwurmbrunnen rozpoczynają się trasy rowerowe prowadzące we wszystkich kierunkach. Szlak wokół jeziora Wörthersee biegnie wzdłuż północnego brzegu przez miejscowość Pörtschach aż do Velden – oferując wspaniałe widoki i miejsca do kąpieli, idealne na orzeźwiający, letni odpoczynek. Szlak rowerowy wzdłuż rzeki Glan prowadzi do Maria Saal, z historycznym tronem książęcym Herzogstuhl i gotycką katedrą, a następnie dalej do średniowiecznego miasta zamków Friesach. Na wschód trasa wiedzie przez Grafenstein – aż do popularnej trasy rowerowej Drauradweg. Osoby bez własnego roweru mogą skorzystać z publicznego systemu wypożyczalni Nextbike, z licznymi stacjami w mieście, lub zamówić rower wcześniej w punkcie informacji turystycznej Klagenfurt am Wörthersee.

Przygoda na kołach

Również region Innsbrucka jest rajem dla rowerzystów. Można dołączyć do lokalnych przewodników rowerowych podczas jednej z wycieczek na rowerach elektrycznych, które od lata 2021 są częścią bezpłatnego programu. Każdy znajdzie coś dla siebie; od początkujących po zaawansowanych, od treningu technicznego z cennymi wskazówkami po wycieczki do najpiękniejszych miejsc w regionie. Co ważne, program wycieczek rowerowych na e-bike'ach jest zawarty w pakiecie usług bezpłatnej karty Welcome Card dla odwiedzających. Ponadto oferuje atrakcyjne warunki wypożyczenia rowerów u wybranych partnerów. Do wyboru są liczne trasy – jak ta po płaskowyżu Mieminger z widokiem na dolinę Inntal i pasmo górskie Wettersteingebirge, bardziej wymagająca trasa Nordkette Almenrunde Mountainbike z widokiem na pasmo górskie Nordkette czy trasa

© INNSBRUCK TOURISMUS/SWAROVSKI KRISTALLWELTEN, INNSBRUCK TOURISMUS/KATHRIN BAUMANN

eprasa.pl 1719f564a1

Tschirgantrunde z widokiem na płaskowyż Mieminger Plateau oraz dolinę Inntal.

W regionie Innsbrucka można przeżyć górską przygodę również na dwóch lub trzech kołach: np. zjeżdżając z Muttereralm do doliny na mountainkarcie. A dla tych, którzy dopiero stawiają swoje pierwsze kroki, w strefie dla dzieci i początkujących legendarnego Bikeparku Innsbruck – tuż obok stacji górskiej kolejki Muttereralmbahn – znajduje się teren treningowy. Zaawansowani rowerzyści mogą zaś liczyć na mnóstwo zabawy na licznych singletrackach. Przejazd kolejką Muttereralmbahn jest również wliczony w bezpłatną kartę Welcome Card plus dla gości.

Pieszo przez kraj

Również osoby preferujące piesze wycieczki znajdą w Austrii mnóstwo możliwości, aby realizować swoją pasję. Z Grazu można bezpośrednio udać się do regionu, który jest rajem dla miłośników wędrówek. Od Hebalm przez Gleinalm aż po Schöckl znajdują się wspaniałe trasy wędrówkowe, które mogą sprawić, że serce każdego miłośnika przyrody zabije mocniej. Niewiele jest wszak regionów, które

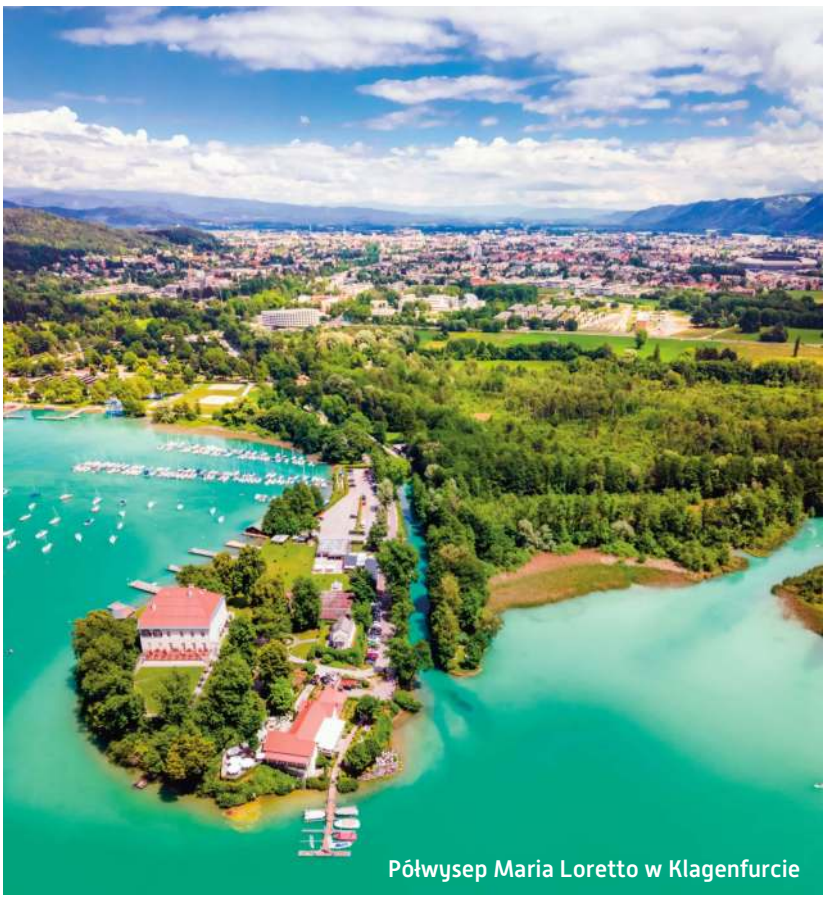

Półwysep Maria Loretto w Klagenfurcie



Turkusowe wody jeziora Wörthersee

oferują taką różnorodność krajobrazów i wrażeń przyrodniczych w bezpośrednim sąsiedztwie międzynarodowej stolicy kultury i rozrywki. Tuż obok Grazu znajduje się bowiem Schöckl, całoroczny obszar rekreacyjny, raj dla miłośników wędrówek, plac zabaw pełen przygód i zarazem kulinarna atrakcja. Dzięki swojej charakterystycznej formie Schöckl dominuje w krajobrazie, wznosząc się na wysokość 1445 metrów nad poziomem morza. A dzięki wspomnianej różnorodnej ofercie rekreacyjnej lokalna góra Grazu jest doskonałym celem wycieczek dla rodzin.

W okolicach Klagenfurtu również nie brakuje przepięknych tras. Jedna z nich prowadzi do Klagenfurter Hütte przez dolinę Bärental. Klasyczne podejście zaczyna się na parkingu Johannsenruhe w malowniczej dolinie Bärental. Szlak wytyczono wygodnymi zakosami do schroniska na wysokości 1664 metrów. Doświadczeni wędrowcy mogą jednak skrócić trasę bardziej stromymi fragmentami

eprasa.pl 1719f564a1



Festiwal Aufsteirern w Grazu

lub dodatkowo zdobyć szczyt Kosiak (2024 metrów). Dla całej rodziny idealne będą zaś mniej wymagające trasy – np. Bodental. To naturalna dolina wysokogórska na wysokości ok. 1000 metrów. Od gospody Gasthof Sereinig prowadzą urozmaicone szlaki do tajemniczego jeziora Meerauge, na łąkę Märchenwiese lub dalej w kierunku przełęczy Loiblpass. Żądni przygód mogą połączyć wycieczkę z wizytą w imponującym wąwozie Tscheppaschlucht.

Drzewa z brodami

Wyprawa na łono natury jest także nieodzownym elementem wizyty w regionie Innsbrucka. Popularny program wycieczek górskich, oferujący szeroki wybór łatwych i trudnych tras, ma coś do zaproponowania każdemu, niezależnie od tego, czy są to rodziny z dziećmi, miłośnicy spokojnych wędrówek, miłośnicy przyrody czy zdobywcy szczytów. Dzięki łącznie 18 planom wycieczkowym każdego dnia urlopu można doświadczyć czegoś nowego i w towarzystwie lokalnych przewodników odkrywać zapierające dech w piersiach góry. Niektóre szlaki na Rangger Köpfl są przystosowane do wózków dziecięcych, dzięki czemu nawet najmłodsi alpiniści mogą się wybrać na wycieczkę. Na Geisterweg na wędrowców czekają osobliwe „drzewa z brodami" – ponoć te „mówiące" świerki dodają odwagi swoimi opowieściami i zagadkami... Ponadto bezpłatna karta Welcome Card plus dla gości obejmuje darmowy przejazd kolejką górską.



Graz, stolica najbardziej zielonego landu – Styrii

Letnie orzeźwienie gwarantowane

Austria nie ma co prawda dostępu do morza, ale nie znaczy to, że brakuje jej miejsc idealnych do letniego orzeźwienia. Kiedy temperatury rosną, region Grazu pokazuje, jak ożywcze może być lato. W wąwozie Kesselfallklamm szumi woda, w jaskini Lurgrotte panuje chłodna cisza, a małe jeziora zachęcają do kąpieli. W ten sposób powstaje letnia świeżość z charakterem – naturalna, różnorodna i po prostu kojąca.

Jedną z największych atrakcji Klagenfurtu jest przepiękne jezioro Wörthersee. To jedno z najcieplejszych alpejskich jezior Europy, w którym woda latem nagrzewa się nawet do 27 stopni. Wörthersee jest wyjątkowo czyste, a w samym Klagenfurcie znajduje się kilka kąpielisk (m.in. Strandbad Klagenfurt, Loretto Bad, Maiernigg). Można również skorzystać z rejsów statkami; na aktywnych zaś czekają wypożyczalnie łodzi, SUP-ów, rowerów wodnych i motorówek.

Także w regionie Innsbrucka znajduje się wiele jezior i basenów. Na przykład orzeźwiające jezioro Mieminger Badesee, z trampoliną wodną i wyspami do pływania, czy basen leśny Barwies, ze zjeżdżalnią i placem zabaw, które zachęcają do ochłody i skoków do wody – a wszystko to na tle pasma górskiego Mieminger Kette. Również jezioro Natterer See pozwala na spędzenie przyjemnych dni w wodzie i nad wodą dzięki aquaparkowi i wypożyczalni łodzi. A co najważniejsze: dzięki bezpłatnej karcie Welcome Card plus dla gości można liczyć na znacznie niższą cenę wstępu do tych oraz innych jezior i basenów. Tak oto w wakacyjnym budżecie zostanie jeszcze wystarczająco dużo pieniędzy na sporą porcję lodów. Bo Austria latem pozwala odpocząć na wiele sposobów.

CEZARY KOWANDA

© ÖSTERREICH WERBUNG/MICHAEL STABENTHEINER, KLAGENFURT AM WOERTHERSEE/FRANZ GERDL, IVENTS KULTURAGENTUR/ULRIKE RAUCH, STEIERMARK TOURISMUS/HARRY SCHIFFER

eprasa.pl 1719f564a1

Salzburg. Rzym Północy to coś więcej niż miasto Mozarta

Kilkusetletnie kawiarnie, których bywalcami byli Mozart czy Michael Haydn, starówka celebrująca 30-lecie wpisania na listę dziedzictwa UNESCO i oferta kulturalna, która bynajmniej nie żyje przeszłością.


© TOURISMUS SALZBURG GMBH

Czwarte największe miasto Austrii to niewątpliwie jedna z muzycznych stolic Europy. Miejsce narodzin i życia Mozarta świętuje w tym roku 270. rocznicę narodzin kompozytora, której będą towarzyszyć wydarzenia specjalne. Poza koncertami w jednej z najbardziej charakterystycznych budowli miasta – twierdzy Hohensalzburg, mozartowski jubileusz można świętować w trakcie warsztatów z tworzenia słynnych czekoladek Mozartkugel, wymyślonych ponad 100 lat temu w działającej do dziś Cafe Fürst. Wraz z Mozartem jubileusz świętuje w tym roku teatr marionetek Salzburger Marionettentheater. Instytucja 10 lat temu została wpisana na listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego UNESCO i zaprezentuje z tej okazji autorską inscenizację „Czarodziejskiego fletu".

Muzyczne życie Salzburga kręci się nie tylko wokół słynnego obywatela miasta. Festiwal Salzburski od ponad 100 lat oferuje szerokie spojrzenie na muzykę klasyczną – często prezentując klasyczne dzieła w nowatorskich interpretacjach najwybitniejszych współczesnych artystów. Przeciwwagą dla tradycyjnych muzycznych atrakcji jest Electric Love Festival, zrzeszający fanów muzyki elektronicznej na salzburskim torze wyścigowym. Tegoroczna impreza odbędzie się 9–11 lipca. Dwa tygodnie wcześniej Sommerszene Festival przyjrzy się scenie awangardowej – interdyscyplinarne performanse, współczesny teatr i taniec zamienią Salzburg w otwarte artystyczne laboratorium. Ze sztuką współczesną można obcować tu przez cały rok – choćby w jednym z dwóch budynków Museum der Moderne.


© TOURISMUS SALZBURG GMBH

Przed Mozartem i wielką architekturą okolice Salzburga słynęły z bogactwa naturalnego – w dosłownym rozumieniu – z soli, od której pochodzi nazwa miasta. W tutejszej kopalni poza procesem wydobycia „białego złota" zobaczymy niezwykłe formacje skalne i przepłyniemy po słonych wodach podziemnego jeziora. Pod powierzchnią ziemi znajduje się także pobliski Świat Lodowych Olbrzymów w Werfen – labirynt zamarzniętych jaskiń liczy łącznie 42 kilometry długości. Góry warto podziwiać nie tylko „od środka" – na owiany legendą masyw Untersberg dostaniemy się kolejką linową, która z przedmieść Salzburga wynosi odwiedzających o 1320 metrów wyżej w niecałe 10 minut.

Salzburg przyciąga niezależnie od sezonu. Przez cały rok możemy przechadzać się po Rzymie Północy, ruszyć na górski szlak lub ośnieżony narciarski stok czy zjeść kolację przy akompaniamencie muzyki Mozarta w ramach Mozart Dinner Concerts. Do miasta dotrzemy nie tylko samolotem czy autem, ale także bezpośrednim nocnym pociągiem z Warszawy.

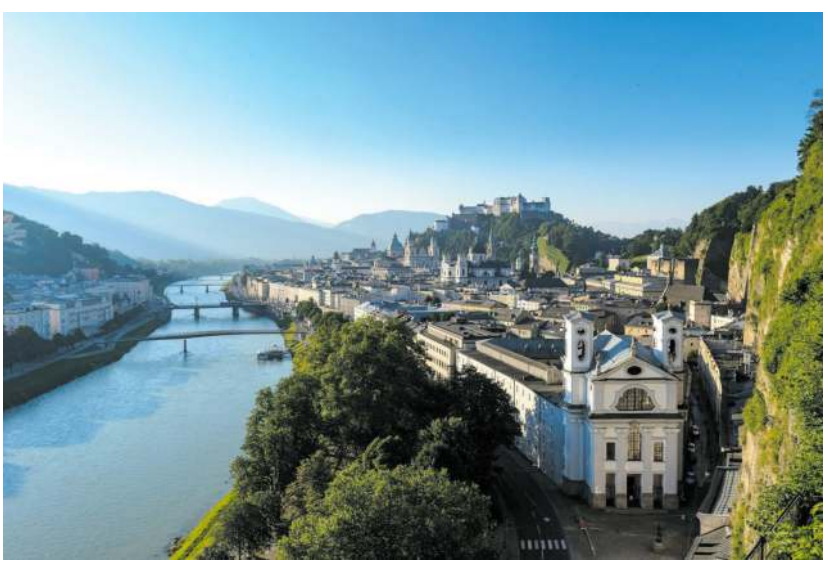
© TOURISMUS SALZBURG GMBH

Więcej informacji na: **www.austria.info**

Austria

eprasa.pl 1719f564a1



© HARRY SCHIFFER



© REGION GRAZ/STUDIO DRAUSSEN

Graz. Metropolia zatopiona w naturze.

Z góry Schlossberg spogląda na miasto kilkusetletnia wieża zegarowa. Ze szczytu rozciąga się widok na charakterystyczne czerwone dachy, ultranowoczesną architekturę i alpejskie wzgórza okalające Graz.

W fasadę XIX-wiecznej kamienicy grackiego Starego Miasta „wlewa się" ogromna obła konstrukcja, pokryta pleksiglasowymi płytami – to futurystyczna siedziba galerii Kunsthaus, znana jako „Friendly Alien". Kompleks łączy się z barokowym pałacem Thinnfeld, a w zasięgu wzroku leżą ruiny średniowiecznego zamku Schlossberg. By do nich dotrzeć, wystarczy przedostać się na drugą stronę rzeki Mury, choćby mostem przechodzącym przez Murinsel – pływającą na wodzie sztuczną wyspę, zaprojektowaną przez nowojorskiego artystę Vito Acconciego. Po drodze mijamy nowoczesne kawiarnie, zielone stoki góry zamkowej i zastępy studentów grackich uniwersytetów. To Graz w pigułce – otoczona naturą, nowoczesna stolica designu, o długiej i bogatej historii.

Drugie największe miasto w Austrii od wieków pełni rolę centrum kulturalnego. Mimo to metropolię łączy nierozerwalna więź z otaczającą ją naturą, a rozpoczynające się w centrum Grazu szlaki są żywym uzasadnieniem motta regionu: „z miasta na wieś w 10 minut". W takim czasie dotrzemy z obrzeży Grazu do Skansenu Austriackiego w Stübing, gdzie spędzając czas na świeżym powietrzu, poznamy wiejską architekturę całego kraju i tradycje poszczególnych regionów. Bliżej centrum warto wspiąć się na szczyt Plabutsch, z którego rozciąga się widok na miejską panoramę. Graz to także baza wypadowa dla rowerzystów. Do najpopularniejszych tras należą Lipzzaner Tour, w pobliżu słynnej stadniny koni lipcańskich, czy szlak dookoła jeziora Thalersee, prowadzący przez sady, winiarnie i… muzeum Arnolda Schwarzeneggera.

Trudno nie wspomnieć o gracckiej scenie gastronomicznej – miasto uznawane jest za kulinarną stolicę Austrii. Lokalne targi oferują regionalne wina i wyroby z okolicznych pól, na bazie których przygotowywane są tradycyjne styryjskie potrawy. Gastronomiczne spektrum rozciąga się od niezobowiązujących śniadaniowni po restauracje odznaczone gwiazdką Michelin. Szersze spojrzenie na gracką kuchnię oferują kulinarne festiwale. Flagowym wydarzeniem sezonu jest Vollmond – seria wakacyjnych kolacji, przyrządzanych w nietypowych lokalizacjach przez zaproszonych szefów kuchni. Poza jedzeniem na kalendarz eventowy składają się wydarzenia kulturalne pod hasłem „open air, open mind", jak choćby: Festiwal Muzyki Kameralnej (27 lipca – 6 września), festiwal kultury folkowej Aufsteirern (19–20 września), skupiony na street arcie i współczesnych sztukach cyrkowych event La Strada (31 lipca – 8 sierpnia) czy dni Riverdays (27 czerwca – 3 lipca), poświęcone sportom wodnym na rzece Mura.

Bookując nocleg w jednym z wybranych hoteli, pensjonatów i domów letnich, otrzymacie bezpłatną kartę GenussCard, która umożliwia darmowy udział w wycieczkach i dostęp do atrakcji na terenie Grazu i okolic.

Więcej informacji na: **www.austria.info**

Austria

eprasa.pl 1719f564a1

Innsbruck. Most na rzece Inn łączy miejski lifestyle z alpejską naturą.

Średniowieczni podróżni przemierzający Europę z terenów dzisiejszych Włoch na północ, musieli przedostać się przez Alpy. Za przełęczą Brenner na wędrowców czekał malowniczo usytuowany most na rzece Inn.



© INNSBRUCK TOURISMUS/ERWIN HAIDEN

Stolica Tyrolu znana jest na świecie jako dwukrotny gospodarz zimowych igrzysk olimpijskich i dom skoczni Bergisel, gdzie co roku odbywa się trzeci konkurs Turnieju Czterech Skoczni. Sporty zimowe to jednak zaledwie ułamek lokalnych atrakcji. 130-tysięczny Innsbruck tętni życiem przez cały rok, łącząc miejskie udogodnienia z bliskością alpejskiej natury. Spływy raftingowe przez centrum miasta, alpejskie zoo czy zabytkowa architektura – to tylko kilka powodów, by zajrzeć tu w dowolnym momencie roku.

Na wysokości 574 m n.p.m. znajduje się jedna z najlepiej zachowanych starówek w Austrii. Zobaczymy tu Goldenes Dachl – Złoty Dach – czyli wykusz pałacu Neuer Hof, pokryty 2738 złoconymi dachówkami, pałac Hofburg czy gotycki kościół Hofkirche. Z tym ostatnim sąsiaduje muzeum tyrolskiej sztuki ludowej, a po drugiej stronie ulicy znajdziemy salę koncertową – Haus der Musik, gdzie dzień można zwieńczyć jazzowym koncertem. Hasło Innsbrucka „Jeden region – dwa światy" podkreśla, że kulturowe bogactwo łączy nierozerwalna więź z alpejską naturą. Zielone sąsiedztwo poczujemy, nie ruszając się z miasta znanego z wyjątkowo czystej wody, która płynie z kranów i fontann. Każda kropla zanim dotrze do szklanki, pokonuje około dziesięcioletnią podróż przez mineralne „filtry" alpejskich skał.

Zaledwie cztery minuty spaceru dzielą starówkę i stację kolejki Nordkettenbahnen, którą w pięć minut dotrzemy do Alpenzoo, jednego z najwyżej położonych ogrodów zoologicznych w Europie, specjalizującego się w gatunkach alpejskich. Kolejne trzy minuty jazdy wystarczą, by znaleźć się w dzielnicy Hungerburg, położonej ponad 300 metrów nad centrum miasta. Szlakami pieszymi można ruszyć stąd na krótkie spacery po okolicznych stokach lub długie trasy trekkingowe w wyższe rejony Alp – od kilkukilometrowych ścieżek po kilkudziesięciokilometrowe pętle, prowadzące przez mierzące ponad 2500 metrów szczyty pasma Nordkette. Fani mniej wymagającej turystyki górskiej mogą w Hungerburgu przesiąść się do kolejki linowej, która dociera do Seegrube (1905 m n.p.m.), a stamtąd do najwyżej położonej stacji – Hafelekar (2269 m n.p.m.). Zimą te rejony pełnią funkcję dużego ośrodka narciarskiego. W okolicy wytyczone są liczne trasy rowerowe na każdym poziomie trudności – od łatwych przejażdżek przez płaskowyż Mieminger po szosowe „rodeo" Kühtai i downhillowy Innsbruck Bikepark. W okolicy funkcjonuje mnóstwo wypożyczalni rowerów, oferujących także modele elektryczne.

Wybierając się do Innsbrucka, nie zapomnijcie o wyrobieniu bezpłatnej karty Welcome Card, która gwarantuje nieodpłatny transport komunikacją miejską w całym regionie, przejazdy wybranymi kolejkami linowymi, zniżki na lokalne atrakcje czy bezpłatne wycieczki górskie – zarówno rowerowe, jak i piesze.



© INNSBRUCK TOURISMUS/MARKUS MAIR

Więcej informacji na: **www.austria.info**

Austria

eprasa.pl 1719f564a1

Klagenfurt am Wörthersee. Między Alpami a Adriatykiem.

Górski trekking czy miejski spacer? Swojska kuchnia czy nowoczesny fine-dining? Kąpiel w turkusowej wodzie czy rowerowa wyprawa? W Klagenfurcie nie musisz wybierać – wszystkie opcje są w zasięgu ręki.



© KLAGENFURT AM WÖRTHERSEE/FRANZ GERDL

Podróżnicze dylematy i związane z nimi długie dysputy to często pierwszy etap planowania wakacji. Urlop w stylu włoskim – dobre jedzenie, kawiarnie, relaks nad wodą – czy może alpejski aktywny wypoczynek – trekking, rower, przerwa w urokliwym górskim miasteczku? Karyntia jest najbardziej wysuniętym na południe regionem Austrii i zaspokoi potrzeby wszystkich wakacyjnych osobowości. Jej stolica – Klagenfurt nad jeziorem Wörthersee – leży na styku trzech kultur. To tutaj alpejskie krajobrazy spotykają włoską architekturę i słoweńskie wpływy, składając się na specyficzny klimat Alpen-Adria.

W okolicach Klagenfurtu nie brakuje też plaż, dzięki bliskości Wörthersee – największego jeziora Karyntii. Zbiornik liczy niemal 20 km^2 powierzchni, a jego wody osiągają temperaturę nawet 28 stopni, co czyni jezioro jednym z najcieplejszych w Europie. Turkusowa woda cieszy oko dzięki niezwykłej przejrzystości – jakościowo klasyfikowana jest jako woda pitna. Wörthersee to nie tylko miejsce do plażowania – w pobliskich miejscowościach z łatwością wynajmiemy SUP-y czy rowery wodne. Rozciągający się na niemal 17 km szerokości zbiornik jest też popularnym miejscem do żeglowania. Lokalne restauracje przyciągają także pary, oferując romantyczne kolacje z alpejskim jeziorem w tle.

Z renesansowej starówki, pełnej kawiarni i butików, nad wodę dotrzemy w kilka minut, idąc wzdłuż kanału Lendkanal. Trasę pokonamy również, pedałując – Klagenfurt ma świetnie rozwiniętą sieć wypożyczalni rowerów miejskich. Jednośladem warto wyjechać poza centrum, choćby ścieżką rowerową wokół Wörthersee lub szlakiem wzdłuż rzeki Glan do Maria Saal, gdzie w ramach postoju obejrzymy gotycką katedrę. Sieć karynckich tras rowerowych liczy ok. 1,3 tys. km. Część z nich można również pokonać pieszo lub wybrać się na jeden z malowniczych szlaków trekkingowych w północnych Karawankach – pełnym wodospadów i majestatycznych skał pasmie górskim na austriacko-słoweńskim pograniczu.



© KAERNTEN WERBUNG/FRANZ GERDL

Po aktywnym dniu pora na zasłużony posiłek. Karyntia słynie z kuchni łączącej wpływy adriatyckie i alpejskie rzemiosło. Idealnym miejscem, by doświadczyć pełnej palety lokalnych smaków, jest Benediktinermarkt – targ będący miejscem spotkań serowarów, winiarzy, rybaków i rolników. Docierają tu także producenci z Włoch i ze Słowenii. Lokalne produkty stanowią bazę dań w miejskich restauracjach, nagradzanych czapkami Gault-Millau czy polecanych w przewodnikach Michelin.

W Klagenfurcie nie brakuje też rodzinnych miejskich atrakcji, takich jak: park miniatur Minimundus, wieża widokowa Pyramidenkogel czy Reptilienzoo Happ – zoo poświęcone wyłącznie gadom. Dostęp do wielu z nich daje bezpłatna karta Wörthersee PLUS Card. Odwiedzając region, warto pobrać aplikację All in ONE, która ułatwia przeglądanie lokalnych atrakcji, zakup biletów i zarządzanie kartą PLUS.

Więcej informacji na: **www.austria.info**

Austria

eprasa.pl 1719f564a1



Péter Magyar wśród swoich zwolenników w Tatabanyi

Mafia do rozbiórki

Rozmowa z węgierskim socjologiem Bálintem Magyarem o tym, dlaczego Viktor Orbán nie użył siły, aby utrzymać władzę. I jak teraz będzie wyglądał demontaż jego systemu.

eprasa.pl 1719f564a1

ALEKSANDER KACZOROWSKI: **– Jak to się stało, że Viktor Orbán tak gładko pogodził się z porażką?**

BÁLINT MAGYAR: – Kto panu to powiedział? Orbán zrobił niemal wszystko, żeby nie oddać władzy. W ostatniej chwili cofnął się przed użyciem siły. Nie dlatego, że nie chciał, tylko dlatego, że musiał. Trzy tygodnie przed wyborami kapitan Bence Szabó z jednostki zajmującej się zwalczaniem cyberprzestępczości ujawnił, że członkowie służb specjalnych mają dość wykorzystywania ich przez reżim do walki z opozycją. Chodziło m.in. o próbę zinfiltrowania sieci informatycznej partii Tisza. Dwa tygodnie przed wyborami oficer armii kpt. Szilveszter Pálinkás opowiedział z kolei, jak syn Orbána organizował misję wojskową w Czadzie (oficjalnie: aby walczyć z terroryzmem i zapobiegać migracjom – przyp. red.). Gaspar Orbán to chrześcijański fundamentalista po elitarnej szkole wojskowej w Anglii. Powiedział Pálinkásowi, że należy jechać do Afryki, choćby miała zginąć połowa uczestników misji.



Bálint Magyar (rocznik 1952) – węgierski socjolog, niespokrewniony ze zwycięzcą wyborów na Węgrzech, w czasach komunizmu działacz opozycji demokratycznej, współzałożyciel i przewodniczący w latach 1998–2000 liberalnego Związku Wolnych Demokratów, były minister edukacji. Autor wydanej również w Polsce książki „Węgry. Anatomia państwa mafijnego" (2015).

Jaki z tego wniosek?

Propaganda rządowa straszyła ludzi, że Péter Magyar wyśle żołnierzy na Ukrainę, gdy tymczasem rząd już w 2023 r. rozważał wysłanie żołnierzy do Czadu! Nic dziwnego, że armia miała dość reżimu. Orbán półtora miesiąca przed wyborami wypłacił sześciomiesięczne wynagrodzenie żołnierzom, policjantom i funkcjonariuszom służb specjalnych. Chciał kupić lojalność struktur siłowych, mieć je po swojej stronie. Wiedział, że jeśli odroczy wybory pod pretekstem zagrożenia ze strony Ukrainy albo jeśli unieważni wybory w razie niekorzystnych dla siebie wyników, wybuchną protesty społeczne. Przygotowywał się, żeby je stłumić.

Dlaczego tego nie zrobił?

Ponieważ zrozumiał, że ani służby specjalne, ani armia, ani policja nie wykonają jego rozkazów. W dniu wyborów, gdy ludzie zdali sobie sprawę z rozmiarów sukcesu opozycji, Orbán nic już nie mógł zrobić. Ale to nie znaczy, że nie miał takiego zamiaru. Spóźnił się, to wszystko.

Jego reżim do ostatniej chwili wydawał się stabilny, a on sam nietykalny. Nie było tak?

Musimy zacząć od początku. Viktor Orbán w 2010 r. wygrał wybory parlamentarne, zdobył dwie trzecie głosów i rok później wprowadził nową konstytucję. Następnie zaczął konsolidować swój reżim. W praktyce zbudował państwo mafijne, które miało dwa cele: monopolizację władzy i wzbogacenie członków rodziny politycznej Fideszu. Orbán kierował aparatem państwowym jak organizacją przestępczą. Podporządkował sobie sferę polityczną, gospodarkę, samorządy lokalne, instytucje kulturalne i naukowe. Zmonopolizował media i zamienił je w machinę propagandową. Częściową autonomię zachowały jedynie media społecznościowe. Natomiast partie opozycyjne zostały zmarginalizowane, spacyfikowane, zniszczone finansowo albo też były tworzone i sztucznie podtrzymywane przy życiu przez władze.

Jak w Rosji Władimira Putina?

Tak. W efekcie stały się częścią polityczno-przestępczego ekosystemu. Orbán, dysponując większością konstytucyjną, mógł przeforsować w parlamencie praktycznie każdą decyzję. Mimo to od 2015 r. rządził za pomocą dekretów. Trzy razy wprowadził stan wyjątkowy. W 2015 r. z powodu kryzysu migracyjnego. W latach 2019–20 z powodu pandemii. Wreszcie w 2022 r., po agresji Rosji na Ukrainę. System rzeczywiście wydawał się zabetonowany na wieki.

I co się stało?

Były dwie podstawowe przyczyny, które doprowadziły do kryzysu władzy. Po pierwsze, pogorszyła się sytuacja gospodarcza. Bruksela częściowo zamknęła dostęp do funduszy unijnych. Nastąpiło gwałtowne zmniejszenie aktywów i bogactwa, które Orbán rozdzielał według własnego uznania. Od czasu pandemii Covid-19 w ciągu ostatnich pięciu lat nasz roczny wzrost PKB wynosił między 0 a 1 proc. Tymczasem apetyt mafii wciąż rósł. Po wyssaniu pieniędzy z systemu opieki zdrowotnej, edukacji, opieki społecznej, infrastruktury miejskiej, doszło do załamania i stagnacji. Ludzie władzy zaczęli wkraczać nawet w te segmenty gospodarki, które dotąd były domeną lokalnych, małych i średnich przedsiębiorców, wciąż popierających reżim. Teraz to oni zaczęli mieć kłopoty.

Ale nie wszyscy tracili?

Tylko państwo mafijne wciąż się bogaciło. Lőrinc Mészáros, oligarcha w cudzysłowie, a tak naprawdę skarbnik Orbána, w ciągu 12 lat, zaczynając niemal od zera, stał się najbogatszym człowiekiem na Węgrzech. Jego majątek jest czterokrotnie większy niż majątek brytyjskiej rodziny królewskiej! A to jest, przepraszam bardzo, wiejski, praktycznie niepiśmienny, instalator gazowy. Nawet w 2025 r., kiedy wzrost PKB wyniósł 0,4 proc., czyli równowartość 250 mld forintów, majątek Mészárosa wzrósł dwa razy bardziej – o kolejne 500 mld forintów (prawie 6 mld zł). Majątek oligarchów z najbliższego otoczenia Orbána w ubiegłym roku powiększył się o dalsze 2 do 3 bln forintów. Każdy by zrozumiał, że to oni są źródłem problemów i przyczyną pogorszenia się sytuacji finansowej kraju.

A druga przyczyna kryzysu władzy?

To aspekt moralny. System Orbána wyniósł na sztandary obronę dzieci przed rzekomą deprawacją ze strony środowisk LGBT. Tymczasem w 2023 r. doszło do skandalu związanego z ułaskawieniem człowieka władzy, który krył pedofilskie przestępstwa swojego zwierzchnika. To była moralna katastrofa systemu.

W tym czasie tradycyjne partie opozycyjne były już tak zdyskredytowane, że na ich wiece przychodziło najwyżej kilka tysięcy osób. Ale w proteście na Placu Bohaterów, zorganizowanym w lutym 2024 r. pod hasłem „Potwory są wśród nas", wzięło udział co najmniej 80 tys. osób. Zorganizowali go influencerzy z mediów społecznościowych. Okazało się, że ludzie chcą zmiany reżimu, tylko nie ma dla nich oferty politycznej. Właśnie w tę lukę wszedł Péter Magyar.

I teraz powinien pan zapytać, dlaczego władze nie zdołały stłumić jego ruchu.

Dlaczego?

Po pierwsze – i najważniejsze – ponieważ go zlekceważyli. Po drugie, ponieważ nie docenili roli mediów społecznościowych. Oczywiście rząd finansował własne podkasty czy ▶

© VAKOS STILLER/THE NEW YORK TIMES AGENCY/EAST NEWS, MARK MILSTEIN/NORTHFOTO/ZUMA PRESS/ALAMY STOCK PHOTO

eprasa.pl 1719f564a1

▶ influencerów, ale poza nimi istniały też bardzo popularne, niezależne inicjatywy. Kiedy Péter Magyar w lutym 2024 r. pojawił się w youtubowym programie „Partizan", obejrzało go 4 mln ludzi. W kraju o populacji nieprzekraczającej 10 mln! Tak więc jego popularność zaczęła szybko rosnąć.

Myślę, że wtedy nawet sam Magyar nie był jeszcze pewny, czy wejść do polityki. Postanowił jednak zorganizować demonstrację w dniu święta narodowego 15 marca 2024 r. Przyszło na nią 100 tys. ludzi. Zbliżały się wybory do Parlamentu Europejskiego oraz wybory samorządowe. Magyar odpuścił wybory lokalne, ponieważ nie mógł wybrać odpowiednich kandydatów w zaledwie trzy miesiące. Skupił się na wyborach do Parlamentu Europejskiego. Przejął kanapową partię Tisza i zdobył z nią 29,5 proc. głosów.

To była jedna z tych pseudopartii, tolerowanych przez władze?

Tak. Dla reżimu to był szok. Ruszyła kampania oszczerstw wymierzonych w Magyara.



„Kłamca Fidesz" – billboard w Budapeszcie. Partia Orbána to organizacja przestępcza, której spoiwem był dostęp do zasobów państwa.

Ale nie zadziałała.

Ponieważ na jego wiece przychodziło coraz więcej osób. Już przed wyborami do Parlamentu Europejskiego Magyar objechał prowincję, odwiedził ok. 200 miejscowości, organizował nawet trzy wiece dziennie. Przemawiał z platformy miniciężarówki, to miało wielkie symboliczne znaczenie.

Ludzie mieli okazję zobaczyć go na żywo.

I – co jeszcze ważniejsze – zobaczyć się nawzajem. Proszę to sobie wyobrazić. Idziesz na wiec i widzisz, że nie jesteś sam. Nie siedzisz już w mieszkaniu, scrollując na telefonie.

Tylko spotykasz sąsiadów.

Właśnie. Kiedy oszczerstwa nie zadziałały, władze próbowały zakazać Magyarowi udziału w wyborach. Pretekst się znalazł, gdy lider opozycji pokłócił się w barze z facetem, który nagrywał go telefonem komórkowym. Magyar wyrwał mu telefon i wrzucił do Dunaju. Wszczęto przeciwko niemu postępowanie karne.

To była prowokacja?

Nie wiem. Péter Magyar był już wtedy posłem do Parlamentu Europejskiego, więc władze zwróciły się do Strasburga o uchylenie immunitetu. Parlament odmówił, ponieważ było jasne, że chodzi o wykluczenie lidera opozycji z wyborów. Wówczas zaczęto planować operacje specjalne. W ciągu ostatniego półtora roku mieliśmy fałszywe alarmy bombowe w ponad 200 węgierskich szkołach. Władze próbowały powiązać to z Ukrainą. Straszono ludzi, że w razie zwycięstwa opozycji ich synowie pójdą na front.

Miesiąc przed wyborami siły specjalne zatrzymały samochody przewożące ukraińskie złoto i gotówkę z austriackiego banku. To był państwowy zamach terrorystyczny wymierzony w Ukrainę. Ale i to nie pomogło rządowi. W końcu rosyjskie służby doradziły Orbánowi przeprowadzenie operacji specjalnych, takich jak rzekome ukraińskie ataki na gazociągi. Kilka dni przed wyborami na terytorium Serbii – niedaleko miejsca, przez które przebiega gazociąg – znaleziono dwa plecaki z materiałami wybuchowymi. To już był jawny absurd.

Dlaczego to nie podziałało na Węgrów?

Ponieważ zwolennicy opozycji od dawna bili na alarm, że władze planują prowokacje. Gdy zachodnie służby specjalne ujawniły rozmowy telefoniczne i powiązania Orbána z Rosją, z reżimem Putina, to ułożyło się w całość. Dziś wszyscy rozumieją, że stawką wyborów 12 kwietnia nie była zmiana rządu, tylko zmiana systemu.

Czy Péter Magyar zdemontuje system Orbána?

Tak, ma przecież większość konstytucyjną. Zmiana reżimu będzie się opierać na trzech filarach. Pierwszym jest przywrócenie porządku prawnego i konstytucyjnego. Drugim – likwidacja państwa mafijnego. A trzecim – zniesienie stosunków wasalnych z Rosją.

I przywrócenie relacji z Ukrainą?

Tak, ale to musi potrwać. Magyar jest ostrożny w deklaracjach. Wie, że nie może w jeden dzień odwrócić wielomiesięcznej, antyukraińskiej propagandy Fideszu. Ona była tak przytłaczająca, że po wyborach doszło już do przypadków samobójstw. Niektórzy naprawdę się boją, że rząd pośle ich wnuki lub dzieci na front, na Ukrainę!

Od czego powinien zacząć Magyar?

Już zaczął. 21 kwietnia wezwał do dymisji sześciu kluczowych ludzi Viktora Orbána. To prezydent kraju, prokurator generalny oraz przewodniczący Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego, Urzędu Kontroli Państwowej i Urzędu Ochrony Konkurencji. Cała ta szóstka ma zrezygnować do 31 maja albo zostaną odwołani przez nowy parlament. Ponadto Magyar zapowiedział powstanie dwóch urzędów, które zajmą się przypadkami korupcji na wysokim szczeblu i odzyskiwaniem skradzionych aktywów.

Orbán ucieknie z Węgier?

Nie sądzę.

Odzyska władzę?

Też nie. Jeśli pozostanie liderem Fideszu, posłowie tej partii staną się celem postępowań karnych. Większość parlamentarna może w każdej chwili pozbawić ich immunitetu.

Więc będą pod presją, żeby pozbyć się lidera?

Tak, ale wtedy Fidesz się rozpadnie. Nie można być w biznesie narkotykowym, uprawiać koki, po czym powiedzieć sobie: Dobra, teraz będziemy sadzić ziemniaki. To tak nie działa. Fidesz to organizacja przestępcza, której spoiwem był dostęp do zasobów państwa. Péter Magyar wie, że musi zniszczyć mafijny system Orbána. Na jego wiecach najczęściej śpiewano popularną węgierską piosenkę. Jest w niej taka fraza: „Nie widać słońca zza więziennych krat".

ROZMAWIAŁ W BUDAPESZCIE ALEKSANDER KACZOROWSKI

© FERENC ISZA/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1719f564a1

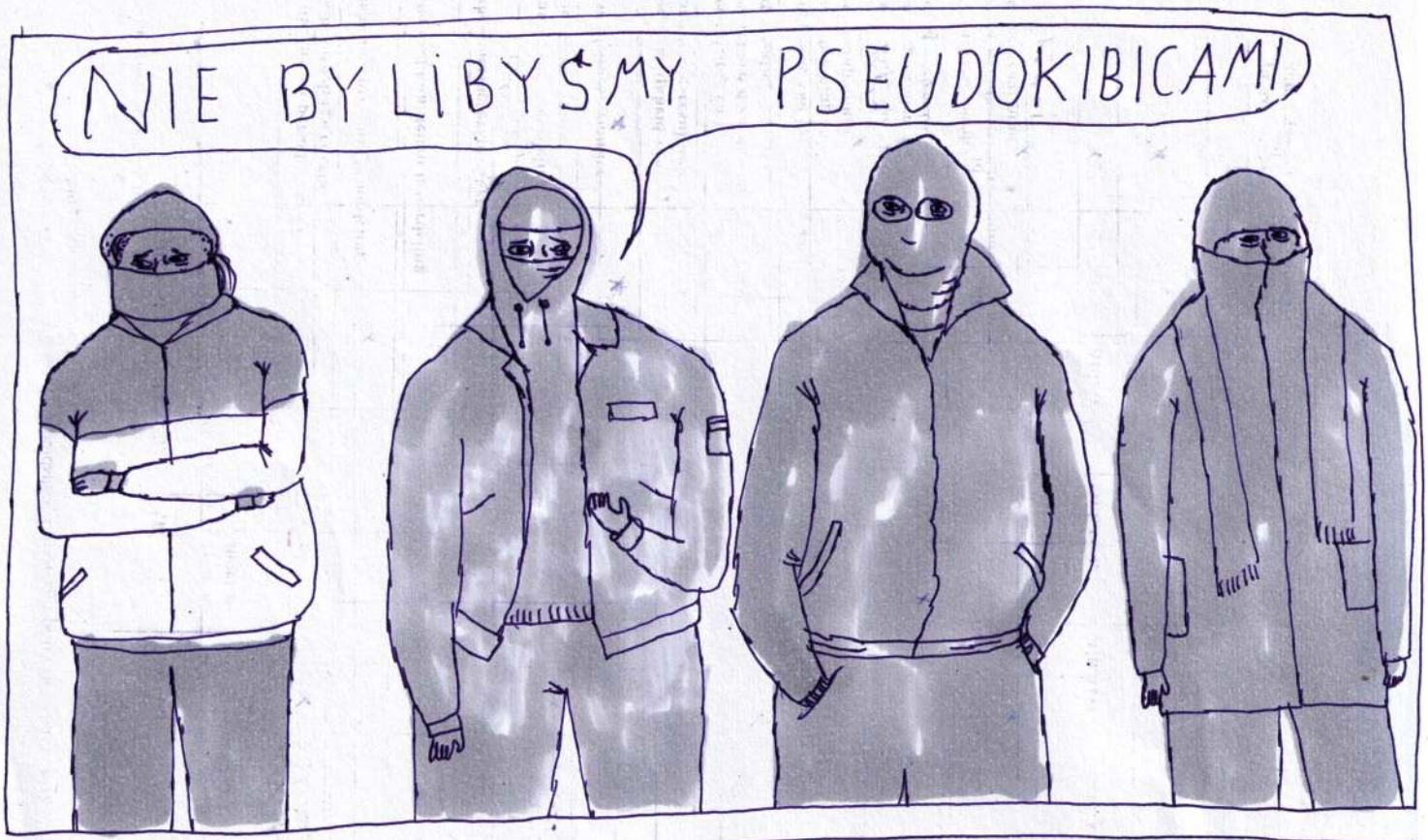



JANEK KOZA DLA tokfm

Na każdy temat z każdej strony

tokfm

eprasa.pl 1719f564a1





Księżniczka Maria Karolina Burbon-Sycylijska na Festiwalu Telewizyjnym w Monte Carlo. Obok: Jordan Bardella z Marine Le Pen.

Królestwo obojga

Kolejny romans, kolejna żona, kolejna zdrada – to wszystko znaki, że we Francji rozpoczyna się kampania przed wyborami prezydenckimi.

KINGA STRZELECKA-PILCH

Dokładnie za rok we Francji odbędą się wybory prezydenckie. Głową państwa chce być 30-letni Jordan Bardella, przewodniczący prawicowego Zjednoczenia Narodowego. Bardella miał jednak stracić głowę dla księżniczki Marii Karoliny Burbon-Sycylijskiej. Ta z pozoru niewiele znacząca plotka wiele mówi o kampanii wyborczej, która właśnie się rozpoczęła.

„Serce męża stanu musi być w jego głowie" – mawiał Napoleon Bonaparte. Mimo to seksualne życie przywódców Francji od wieków jest wyjątkowo bujne, publicznie aprobowane i z ciekawością obserwowane przez Francuzów. Kilka dni temu zdjęcia pochodzące z typowej ustawki, przedstawiające spacerującego po Korsyce Bardellę z młodą księżniczką, znalazły się na okładce „Paris Match". A obok pretensjonalny tytuł: „Nieoczekiwana idylla". Przedstawmy postaci z tej fotografii.

Marine w szafie

Maria Karolina Burbon-Sycylijska to aspirująca influencerka, która na Instagramie publikuje pozowane zdjęcia. Zazwyczaj przedstawiają z pozoru bajkowe życie, zagraniczne podróże i markowe ubrania. Maria Karolina pochodzi z rodziny królewskiej – Burbonowie to dynastia wywodząca się z Francji. Jej włoska gałąź nosi tytuł Burbonowie Obojga Sycylii od Królestwa Obojga Sycylii (Sycylii i Neapolu), utworzonego na kongresie wiedeńskim w 1815 r.; które przetrwało tylko do zjednoczenia Włoch w 1861 r.

Pierwszym królem Obojga Sycylii był Ferdynand I Burbon, słynący z nienawiści do Napoleona. Bonaparte zrzucił go z neapolitańskiego tronu w 1806 r. Burbonowie byli wrogami rewolucyjnych, republikańskich wartości, a słynne słowa Henryka IV, pierwszego króla Francji z dynastii Burbonów – „Paryż wart jest mszy" – przekonwertowały dynastię na ortodoksyjny katolicyzm. Dziedziczką takiej tradycji jest 23-letnia dziś księżniczka Maria Karolina, córka księcia Karola, wciąż pretendenta do tronu Obojga Sycylii.

Towarzysz księżniczki ze zdjęć Jordan Bardella pochodzi ze skromnej włoskiej emigranckiej rodziny. Urodził się już we

© BENJAMIN GIRETTE/BLOOMBERG/GETTY IMAGES, VALERY HACHE AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1719f564a1

Francji, na przedmieściach Paryża, był wychowywany samotnie przez matkę. Rozpoczynał karierę polityczną w młodzieżówce Frontu Narodowego (poprzednika Zjednoczenia). Przeciwnicy zarzucają mu brak studiów wyższych i doświadczenia zawodowego. Europosłem jest od 2019 r., prezesem partii został w 2022 r. w wieku 27 lat i zastąpił na tym stanowisku Marine Le Pen. Wielu komentatorów uważa, że ta szybka kariera młodziutkiego Bardelli tłumaczy się jego związkiem z siostrzenicą Marine Le Pen, który trwał od 2020 r.

Warto przypomnieć, że założycielem Frontu/Zjednoczenia był ojciec Marine – Jean-Marie Le Pen (1928–2025). Zmianę nazwy partii córka motywowała złymi skojarzeniami z ojcem – oskarżanym o antysemityzm, rasizm, sympatię dla kolaborującego z Niemcami rządu Vichy.

Paradoksalnie, 57-letnia dziś Marine została przez Bardellę schowana do szafy, podobnie jak sama usunęła w cień swojego ojca i patrona. Dla partii Len Pen stała się ciężarem nie tylko ze względu na prorosyjskie sympatie, ale także z powodu wyroku z 2025 r., skazującego ją na cztery lata pozbawienia wolności oraz pięcioletni zakaz sprawowania funkcji publicznych za defraudację środków unijnych. Choć Le Pen złożyła apelację, której finał spodziewany jest 7 lipca, to i tak jest to dla niej prawdopodobnie droga bez powrotu – dwukrotnie przegrała już wybory prezydenckie w drugiej turze. I to z tym samym kandydatem Emmanuelem Macronem – w 2017 i w 2022 r.

Bardella swym medialnym związkiem z księżniczką odciął się przed wyborami od całej rodziny Le Pen. Teraz nie odgrywa już roli wiernego asystenta pani prezes, a próbuje pozycjonować się na niezależnego lidera, godnego urzędu głowy państwa. Partia zyskała dzięki niemu nowocześniejszy wizerunek, zwraca się do młodszych wyborców, a teraz również do nostalgicznych monarchistów...

Liczne badania przeprowadzone we Francji w ostatnich latach wskazują na wysoki poziom sympatii Francuzów dla korony – ok. 40 proc. ankietowanych przyznaje, że monarchia powinna wrócić do Francji. Zresztą system prezydencki daje francuskiemu prezydentowi szeroki, niemal monarszy wachlarz prerogatyw, a spektakularne życie w Pałacu Elizejskim (francuskim Białym Domu) przypomina pełen przepychu Wersal. Bardella podjął grę na tych sentymentach i rozpoczął prezydencką kampanię jako pierwszy, bo obóz ustępującego po drugiej kadencji prezydenta Macrona nie wystawił jeszcze własnego, atrakcyjnego kandydata.

Pary elizejskie

Jak to możliwe, że burzliwe życie prywatne, romanse i rozstania są politycznie premiowane we Francji? W Polsce obrazek ma być spójny – kandydat na urząd prezydenta musi posiadać żonę (najlepiej w zbliżonym do siebie wieku i po ślubie kościelnym), dzieci (minimum dwójkę), dobrze wyglądałby też domek jednorodzinny z uroczym ogródkiem i pies. Najlepiej zero skandali obyczajowych i niewyjaśnionych zakrętów. Życie seksualne kandydatów pozostaje tematem tabu.

We Francji odwrotnie. Siła seksualna i witalna jest w sposób jednoznaczny utożsamiana z polityczną charyzmą. W skrócie: jeśli prezydent/kandydat na prezydenta uprawia seks, to chwała mu za to, jest męski, paradoksalnie budzi zaufanie, ergo: nada się. Legenda głosi, że po śmierci Napoleona w 1821 r. członek cesarza został fachowo amputowany i zmumifikowany. Jego męskość stała się atrybutem nie tylko w sposób metaforyczny, ale i dosłowny.

Francuskie historie obyczajowe z ostatnich kampanii wyborczych pogrzebałyby natychmiast szanse jakiegokolwiek kandydata w Polsce. Nicolas Sarkozy (o napoleońskim wzroście), wywodzący się z Republikanów, wygrał wybory prezydenckie, pokonując socjalistkę Ségolène Royal – pierwszą kobietę w historii Francji, która dotarła do drugiej tury. Pięć miesięcy po zaprzysiężeniu Sarkozy rozstał się ze swoją drugą żoną Cecylią, nielubianą przez francuskie media i krytykowaną za stronienie od życia publicznego. Ale wakat na stanowisku pierwszej damy nie trwał długo.

Prasę kolorową obiegły zdjęcia świeżo wybranego prezydenta w towarzystwie o 12 lat młodszej włoskiej modelki Carli Bruni. Popularny magazyn „Paris Match" (do którego wrócimy później) umieścił na okładce fotografie z ich wspólnych wakacji w Egipcie. Uroda i rockandrollowa przeszłość Carli – związki z Mickiem Jaggerem, Erikiem Claptonem, nagie sesje zdjęciowe – wszystko to zelektryzowało Francuzów.

Wkrótce para wzięła ślub, Bruni została okrzyknięta przez światowe media nową Jackie Kennedy. Fantastycznie odnalazła się w Pałacu Elizejskim, nosiła eleganckie i klasyczne ubiory francuskich domów mody, rozwijała swoją karierę muzyczną, śpiewając i grając na gitarze, zagrała też jako pierwsza dama zwyczajną dziewczynę z sąsiedztwa, Paryżankę w filmie Woody'ego Allena „O północy w Paryżu". Co jakiś czas w plotkarskiej prasie pojawiały się zdjęcia pierwszej pary w kostiumach kąpielowych z korsykańskich plaż.

Bajka nie trwała jednak długo. Francuzi zaczęli widzieć w parze prezydenckiej odklejonych celebrytów żyjących ponad stan. Kryzys gospodarczy i zarzuty dotyczące nielegalnego finansowania kampanii ostatecznie przekreśliły szanse Sarkozy'ego na reelekcję. Wyrok w tej sprawie zapadł w ubiegłym roku: pięć lat pozbawienia wolności. Sarkozy jako pierwszy prezydent w historii trafił do więzienia, wyszedł z niego po kilkunastu dniach, obecnie posiada zakaz opuszczania Francji.

Dziewczyna pingwina

Sarkozy przegrał wybory z politykiem równie niewysokim i równie charakterystycznym, ale z lewicy: François Hollande'em, „normalnym prezydentem", jak o sobie mówił. Barokowe rządy króla Sarkozy'ego miały być zastąpione skromną służbą socjalistycznego urzędnika.

Ociężały Hollande bez medialnej prezencji i ze specyficznym chodem popełniał wiele gaf. Niedługo po jego zaprzysiężeniu Bruni wydała piosenkę „Le Pinguin", odebraną jako pamflet na prezydenta, w której śpiewała: „Wyuczył się swojej łaciny i akcentu, ale kiedy mówi, nic nie rozumiemy. Ten pingwin uwielbia, kiedy je się mu z ręki, stał się teraz suwerenem, ale ja go znam – nie posiada manier i jest źle wychowany. Jeśli kiedyś się spotkamy, pingwinie, nauczę cię, jak należy całować dłoń... Ten pingwin nie potrafi kochać swoich bliskich".

Tuż po wyborach w 2007 r. Hollande rozstał się z przeciwniczką Sarkozy'ego Ségolène Royal przez swój romans z o dekadę młodszą dziennikarką „Paris Match" Valérie Trierweiler, którą z kolei podczas kampanii prezydenckiej zaczął zdradzać z dwie dekady młodszą aktorką Julie Gayet (polscy widzowie znają ją z epizodu w „Niebieskim" Krzysztofa Kieślowskiego). Już jako prezydent wynajął mieszkanie blisko Pałacu Elizejskiego, w którym para spędzała potajemnie miłosne godziny. Na początku 2014 r. kolorową prasę ▶

eprasa.pl 1719f564a1

▶ obiegły zdjęcia prezydenta wymykającego się do ukochanej na skuterze.

Valérie Trierweiler z powodu doznanego szoku trafiła do szpitala, a niedługo potem opisała swoją krzywdę w książce „Merci pour ce moment" („Dziękuję za tę chwilę"). Publikacja wywołała we Francji duży skandal, ponieważ Trierweiler przedstawiła w niej prezydenta w niekorzystnym świetle, opisała jego hipokryzję, utajone prywatne poglądy (dalekie od głoszonych).

W efekcie Francja pozostała na okres prezydentury Hollande'a bez pierwszej damy – Gayet nigdy nie była przedstawiona oficjalnie jako jego partnerka i nie sprawowała funkcji reprezentacyjnych u boku prezydenta, z tego powodu francuskie media okrzyknęły ją „pierwszą dziewczyną Francji". Hollande, mimo głoszonej krytyki instytucji małżeństwa, poślubił Gayet, lecz dopiero w 2022 r.

Po Hollandzie wybory w 2017 r. wygrał Macron – jako najmłodszy polityk w historii Francji (miał wtedy 39 lat). I uwagę komentatorów od razu przyciągnęła żona nowego prezydenta Brigitte. To była historia rodem z „Madame" Antoniego Libery. Poznał ją jako 15-latek, kobieta była mężatką, matką trójki dzieci, miała 39 lat i była jego nauczycielką francuskiego w katolickim liceum.

Para jest małżeństwem od 2007 r., chwilę przed ślubem Brigitte rozwiodła się ze swoim dotychczasowym mężem. Dziś pierwsza dama ma 73 lata, jej mąż – 48. Związek budzi wiele kontrowersji nie tylko z powodu różnicy wieku – w sądzie rozpatrywana była sprawa posądzeń Brigitte o bycie mężczyzną, przez lata szerzą się też plotki o homoseksualizmie Macrona.

Ostatnio doszły do tego pogłoski o rzekomej przemocy domowej. W 2025 r. kamery uwieczniły pierwszą damę, która policzkuje męża na pokładzie prezydenckiego samolotu. W styczniu 2026 r. na szczycie w Davos prezydent występował publicznie w ciemnych okularach. Do obu przypadków odniósł się sam Donald Trump: „Zadzwoniłem do Macrona, którego żona traktuje wyjątkowo źle. Wciąż dochodzi do siebie po uderzeniu w szczękę", „Widzieliście go w tych pięknych okularach? Co się do diabła stało?".



Bardella z księżniczką na Korsyce – okładka „Paris Match"

Czego chcą Francuzi?

Nic takiego – po prostu kolejna ustawka? Podobnie jak to, że fotoreporterzy „Paris Match" znaleźli się „przypadkowo" na Korsyce w tym samym czasie, co Jordan Bardella i Maria Karolina.

Szarą eminencją, która łączy wszystkie te historie, jest Vincent Bolloré – 74-letni prezes rodzinnego koncernu Bolloré, który przejął od swojego ojca. Do niedawna Bolloré był właścicielem „Paris Match". To kolorowy i bogato ilustrowany tygodnik z aspiracjami i tekstami na wysokim poziomie, skoncentrowany jednak na życiu gwiazd, znanych nazwisk, politycznych elit, koronowanych głów, zwłaszcza monarchii brytyjskiej i Księstwa Monako. Założony w 1949 r. i wzorowany na amerykańskim tytule „Life", nadal jest jednym z najpoczytniejszych tytułów we Francji, z nakładem ok. 440 tys. egzemplarzy.

Rodzina Bolloré wywodzi się z szanowanej burżuazji, a swoje pierwsze kroki biznesowe stawiała 200 lat temu w branży papierniczej. Vincent rozwinął rodzinną firmę i poszerzył zakres jej działań o inne branże: logistyczną, komunikacyjną, energetyczną, ale i medialną. Koncern Bolloré kieruje grupą Canal+ i kreuje francuski odpowiednik trumpowskiego Fox News – CNews. Kontroluje też dużą stację radiową Europe 1, posiada udziały w wydawnictwie Hachette.

Zaledwie kilka dni temu ponad setka pisarzy opuściła wydawnictwo Grasset kontrolowane przez koncern (w tym kontrowersyjny pisarz Frédéric Beigbeder i Bernard-Henri Lévy) na znak protestu przeciwko Bollorému, który zwolnił redaktora naczelnego Oliviera Nory'ego po 25 latach pracy. „Nie chcemy być zakładnikami w ideologicznej wojnie, która ma na celu wprowadzenie autorytaryzmu w kulturze i mediach" – napisali autorzy protestacyjnego listu.

Tak się składa, że Bolloré wydał już Jordanowi Bardelli dwie propagandowe książki: „Czego chcę" w 2024 r. i „Czego chcą Francuzi" w 2025 r. Ta druga w praktyce była zapowiedzą startu Bardelli w przyszłorocznych wyborach prezydenckich: młody polityk opisuje w niej „zwykłe problemy zwykłych Francuzów" – z oczywistych względów recenzje były niezwykle nieprzychylne.

W przeszłości Bolloré jako konserwatywny katolik znany był ze swojej słabości do Sarkozy'ego. Z czasem odszedł od centroprawicy i zaczął popierać środowiska skrajnie konserwatywne. W 2001 r. próbował wspierać polityczny projekt prawicowego publicysty Érica Zemmoura „Rekonkwista", który skupiał się na tematach antyimigracyjnych.

64-letni Zemmour, głoszący rasistowskie hasła i wzywający do obrony wartości konserwatywnych, prezydentem Francji nie został. Za to w kampanii „Paris Match" opublikował na okładce dwuznaczne zdjęcia tego żonatego polityka w objęciach morskich fal i swojej 29-letniej szefowej sztabu Sary Knafo. Pikanterii dodaje fakt, że Knafo była w przeszłości związana z synem Sarkozy'ego. Sara Knafo, dziś już oficjalna partnerka prezesa swojej partii, z jej ramienia dostała się w 2024 r. do Parlamentu Europejskiego, a ostatnio kandydowała na mera Paryża.

Francuzi chcą okładki

Bolloré, z majątkiem szacowanym na ponad 10 mld dol., jest na 11. miejscu listy najbogatszych Francuzów. Z kolei najbogatszym Francuzem pozostaje Bernard Arnault, którego majątek jest szacowany na 183 mld dol. Arnault jest prezesem największego na świecie koncernu marek luksusowych LVMH (Louis Vuitton Moët Hennessy). Ale należą do niego także media – w 2007 r. został właścicielem dziennika ekonomicznego „Les Échos", a w 2015 r. kupił dziennik „Le Parisien". W 2024 r. Bolloré odsprzedał swoje udziały w „Paris Match" właśnie Arnaultowi. Nie stracił jednak możliwości wpływu na gazetę – naczelnym jest nadal wybrany i wspierany przez niego dziennikarz Jérôme Béglé.

„Nigdy nie wstydziłem się podkreślać, że być Francuzem to dla mnie zaszczyt. Być Francuzem to kochać cywilizację, która nigdy nie przestała zadziwiać świata" – pisał Bardella w swojej książce wydanej przez Bolloré'a. Ciekawe, czym zadziwi świat następna okładka „Paris Match"?

KINGA STRZELECKA-PILCH

© PARIS MATCH

eprasa.pl 1719f564a1



Ojciec setki dzieci

Chińscy miliarderzy seryjnie zamawiają w USA dzieci z dostawą do domu i amerykańskim obywatelstwem. Tamtejszy system surogacji sprzedaje masowe rodzicielstwo bez emocji i relacji.

PAULINA WILK

Xu Bo ma 49 lat i według magazynu „Forbes" fortunę przekraczającą miliard dolarów. Mieszka w Kantonie, jest właścicielem firmy Duoyi Network produkującej gry internetowe. W świecie zasłynął dwoma osiągnięciami: produkcją gry RPG Fantasy Westward Journey, która biła rekordy popularności już 20 lat temu, a ostatnio tym, że stał się biologicznym ojcem ponad setki dzieci.

Wszystko ujawnili jego prawnicy, gdy była partnerka, z którą procesuje się o 42 mln dol. i prawo do opieki nad dwojgiem z ich 11 dzieci, poinformowała, że Xu Bo ma już ponad 300 potomków, w większości niezarejestrowanych jako chińscy obywatele. Dementując te doniesienia, reprezentanci biznesmena powiadomili, że „ma ich tylko nieco ponad setkę".

Niedorzeczne z pozoru liczby okazały się prawdopodobne, gdy w toku publicznego sporu chińskiej pary, a także w przebiegu rutynowej sprawy w kalifornijskim sądzie, na jaw wyszło, że Xu Bo dąży do zbudowania gigantycznej dynastii.

Gdy latem 2023 r. do sądu w Kalifornii wpłynęły wnioski o uznanie ojcostwa czworga jeszcze nienarodzonych dzieci tego samego mężczyzny, sędzina uważniej przyjrzała się nietypowemu przypadkowi i wezwała Xu Bo na przesłuchanie wideo. Zgodnie z prawem stanowym dzieci przekazywane są pod opiekę osób, które usługę surogacji legalnie zamówiły. Taka osoba nie musi się nawet pojawić w USA, leci tam – jak w przypadku Xu Bo – jedynie materiał genetyczny wykorzystany do stworzenia zarodka, działają pełnomocnicy.

Na ogół prawa rodzicielskie przyznawane są rutynowo. Sędzinę zastanowiło jednak, że poza czterema jednoczesnymi wnioskami o uznanie ojcostwa dzieci z ciężarnych surogatek Xu Bo wcześniej złożył prośbę o uznanie praw rodzicielskich wobec ośmiorga innych dzieci, już narodzonych w wyniku surogacji w Kalifornii. Podczas przesłuchania Chińczyk powiedział, że planuje spłodzenie co najmniej 20 dzieci w USA. W szczególności zależy mu na chłopcach – jako bardziej wartościowych od dziewczynek – którzy mogliby odziedziczyć i rozwijać jego fortunę. Zapytany, kto wychowuje ósemkę dzieci już urodzonych z jego materiału ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1719f564a1

▶ genetycznego, odpowiedział, że nianie w domu w miejscowości Irvine w Kalifornii. Sam ich jeszcze nie widział, był zajęty pracą.

Sędzina odmówiła przyznania mu praw do nienarodzonych dzieci, co dla nich może oznaczać prawną próżnię i dorastanie w pieczy zastępczej.

W Chinach Xu Bo był wcześniej znany nie tylko z ojcowskich ambicji, ale także z promowania mizoginii i poligamii. W 2009 r. przez serwis randkowy poznał studentkę Tang Jing. Nie wzięli ślubu, ale żyli razem 14 lat i w tym czasie mieli spłodzić 11 dzieci. Po rozstaniu on zażądał zwrotu pieniędzy, jakie jej przekazywał w czasie związku. Ona broniła się, argumentując, że wspólnie podjęli decyzję o stworzeniu rozległej rodziny i środki wydała na utrzymanie dzieci, które sama wychowuje.

Przed laty Xu Bo publicznie informował, że chce mieć 50 synów „wysokiej jakości" i w tym celu rekrutował partnerki online: podawał kryteria, jakie przyszłe matki jego synów miały spełniać, a nazwę profilu w mediach społecznościowych zmienił na „Posiadanie wielu dzieci rozwiązuje wszystkie problemy". Lubił też mówić o sobie, że jest światowym „ojcem numer jeden". Twierdził, że ma już dzieci z 12 kobietami.

Śladem Elona

Nawet jeśli przypadek Xu Bo potraktować jako przejaw ekstremalnego egocentryzmu, inspirowany zresztą przykładem Elona Muska (dumnego ojca 14 dzieci z czterech matek, na którego chiński biznesmen nieraz się powoływał), to jest on reprezentantem szerszej tendencji i nowego rodzaju snobizmu chińskich elit.

Zamożni Chińczycy wśród wielu trofeów potwierdzających ich wyjątkowy status chcą mieć także dziecko z amerykańskim obywatelstwem. I są gotowi płacić za to ok. 300 tys. dol. Takie są średnie koszty uwzględniające opiekę nad surogatką, jej wynagrodzenie, procedury medyczne i prawne, prowizje agencji, a także ewentualne podróże do USA. To i tak średnio trzykrotnie mniej niż koszt wizy EB-5 dającej obcokrajowcom Zieloną Kartę w USA pod warunkiem zainwestowania w tamtejszą gospodarkę co najmniej 800 tys. dol.

Tymczasem zgodnie z 14. poprawką do konstytucji każde dziecko urodzone w USA nabywa amerykańskie



Biznesmen Xu Bo chce zbudować gigantyczną dynastię. Na razie ma „tylko nieco ponad setkę" dzieci.

obywatelstwo. Może później zostać wychowane w Chinach, a po powrocie do Stanów legalnie ściągnąć tam rodzinę. Posiadanie krewnego z amerykańskim paszportem to kolejny – po wysyłaniu dzieci na drogie prywatne uczelnie – sposób na wchodzenie do zaklętych elitarnych kręgów. Od lat Chińczycy starali się to robić, wyprawiając do USA ciężarne już żony i partnerki, by tam rodziły. Jednak zaostrzone – za prezydentury Donalda Trumpa – prawa i kontrole utrudniły turystykę porodową. Natomiast komercyjna surogacja pozostaje legalna w wielu amerykańskich stanach.

Najpopularniejszy dziś w świecie jest typ surogacji gestacyjnej, w której surogatka nie jest spokrewniona z dzieckiem – zostaje zapłodniona metodą in vitro, a zarodek powstaje zwykle z materiału genetycznego jednego lub obojga przyszłych rodziców. W USA nie ma regulacji federalnych, a najbardziej liberalne prawo obowiązuje m.in. w Nevadzie, Kolorado, New Jersey, Pensylwanii czy Kalifornii, w której rozwinęła się największa liczba agencji obsługująca klientów spoza USA – tam realizuje się nawet 75 proc. surogacji dla Chińczyków.

Choć nikt nie policzył, ile dokładnie dzieci przychodzi na świat w wyniku kontraktów z obcokrajowcami, wiadomo, że szybko wzrasta liczba klientów z Chin. Potwierdzają to przedstawiciele agencji surogackich, a w 2024 r. specjalistyczny magazyn medycyny reprodukcyjnej w USA opublikował badanie, z którego wynika, że w latach 2014–20 w kraju podwoiła się liczba surogacji na zamówienie obcokrajowców, przy czym aż 42 proc. takich usług zamówili Chińczycy.

Chłopcy lepsi

Typowi klienci? Wcale nie pary, ale pojedynczy mężczyźni po 42. roku życia. A gdy już zamawiają, to coraz częściej nie jedno, lecz kilkoro dzieci. Amerykańskie prawo nie ogranicza ani liczby takich umów zawartych przez dawcę materiału genetycznego, ani samego użycia materiału dla powstania wielu zarodków.

Chińczycy, decydując się na surogację, często precyzyjnie określają zamówienia na jajeczka i poddają geny dodatkowo płatnemu sprawdzeniu. Sperma zwykle pochodzi od chińskich dawców, a jajeczka zwykle od kobiet błękitnookich, wysokich, o włosach blond, a nawet z dyplomem prestiżowych uczelni. Według agencji klienci z Chin częściej chcą mieć synów, zgodnie z tradycyjną preferencją, na której skutek już dziś w Chinach na 104 mężczyzn przypada 100 kobiet.

Chiński biznesmen Wang Hui-wu, który dorobił się w branży edukacyjno-szkoleniowej, otwarcie poszukiwał w USA modelek jako dawczyń materiału genetycznego, by – w modelu odwrotnym do Xu Bo – stać się ojcem co najmniej 10 pięknych córek, które następnie zamierzał wydać za mąż za synów z wpływowych rodzin.

Niektóre agencje w reakcji na rozbuchane zamówienia azjatyckich klientów zaczęły stosować własne regulacje, np. maksymalnie dwie surogacje dla danej pary rodziców lub surogacje dla tych samych klientów nieczęściej niż co dwa lata. Kierują się przy tym etyką, troską o dzieci, a także obawą, że surogacja – z usługi wspierającej przede wszystkim osoby z niepłodnością czy pary homoseksualne – może stać się częścią biznesu produkującego dzieci na zamówienie lub handlu ludźmi.

Na początku roku policja interweniowała w rezydencji w Los Angeles, skąd zabrała 21 dzieci, w większości urodzonych z surogacji, a wychowywanych przez niezamężną parę Chińczyków – Guojuna Xuana i Silvię Zhang. Władze wszczęły dochodzenie, gdy do szpitala z ich domu trafił dwulatek z obrażeniami, które lekarze uznali za skutek silnego potrząsania lub pobicia. Do mediów wyciekły m.in.

eprasa.pl 1719f564a1



Elon Musk, jeden z najbogatszych ludzi na świecie i dumny ojciec 14 dzieci z czterech matek

nagrania z domu, w którym dzieci mieszkały. Wszystkie miały niewięcej niż trzy lata, były ogolone, ubrane w identyczne koszulki i spodenki. Trzymano je w pomieszczeniach przypominających szkolne klasy, gdzie lekcji udzielały im opiekunki. Z części nagrań można wnioskować, że dzieci były bite.

Tylko w drugim półroczu 2025 r. ich rodzicom („rodzicom"?) urodziła się co najmniej piątka nowych dzieci z surogacji w trzech różnych stanach. Co najmniej dwie surogatki nie zdecydowały się przekazać im dzieci i procesują się teraz o prawa rodzicielskie.

Chińska inwazja

Nowy boom na surogację trwa w Stanach od około dekady, ale dopiero nagłośnienie przypadku Xu Bo zwróciło uwagę na zjawisko, które nagle stało się wyzwaniem etycznym i potencjalnym zagrożeniem dla bezpieczeństwa USA. Pojawiły się głosy, że Chińczycy w ten nowy sposób wykorzystują luki prawne i penetrują amerykańską rzeczywistość.

W listopadzie 2025 r. republikański senator Rick Scott, były gubernator Florydy, zaproponował projekt regulacji nazywany SAFE Kids (Bezpieczne dzieci), która zakazuje surogacji dla obywateli wrogich wobec USA państw, w tym: Chin, Iranu, Rosji i Korei Północnej. Projekt jest krytykowany m.in. ze względu na łatwe do obejścia wyjątki dla małżeństw i nie ma większych szans w Kongresie. Zresztą nawet podejmowane przez samego Trumpa próby zmiany 14. poprawki wobec dzieci imigrantów na razie nie odniosły skutku.

Tymczasem chińska moda na surogację w USA rośnie ze względu na zmieniającą się sytuację w samej Azji. W Chinach surogacja jest nie tylko całkowicie zakazana, ale też potępiana moralnie. Gdy w 2011 r. wyszło na jaw, że chińska para wychowywała ośmioro dzieci urodzonych przez surogatki, za co zapłacili ok. 160 tys. dol., wylała się na nich krytyka także za to, że ich decyzję odczytano jako snobizm.

Choć w Chinach działa czarny rynek surogacji, to władze w ostatnich latach przeprowadziły co najmniej dwie pokazowe akcje rozmontowywania nielegalnych łańcuchów usług i karania winnych, pośredników i współpracujących z nimi szpitali. Rodziny, aby uniknąć stygmatyzacji, posuwają się do symulowania ciąży przez przyszłą matkę w czasie, gdy naprawdę ciężarna jest wynajęta – w kraju lub za granicą – surogatka. Ale chińskie prawo też ma luki i w praktyce nie zakazuje posiadania dziecka z surogacji za granicą, choć wyzwaniem może okazać się zameldowanie go w restrykcyjnym lokalnym systemie *hukou*.

Zainteresowanie surogacją wzrosło od 2016 r., kiedy Chiny po dekadach zrezygnowały z tzw. polityki jednego dziecka – teraz można mieć troje. Gdy prawo się zmieniło, wielu Chińczyków było już po wieku rozrodczym, a chciało mieć dzieci – stąd surogacja. Pomocne okazały się nieodległe kraje, takie jak Tajlandia, Kambodża czy Indie, w których można było surogację zamówić bez uciążliwych formalności. Jednak akurat w tym samym czasie regulacje w Azji zaczęły się zmieniać – dziś te kraje zakazują surogacji komercyjnej.

Skomplikowała się też sytuacja w Ukrainie – ważnym punkcie na mapie surogacji dla Chińczyków zainteresowanych miksowaniem swojego materiału genetycznego z europejskim. Od czasu inwazji Rosji w 2022 r. część zamówień przeniosła się do Gruzji i tam dziś także rodzą się dzieci wychowywane później przez chińskich rodziców. Jednak USA, które gwarantują klarowne procedury, legalną i profesjonalną opiekę, nie mają konkurencji.

Nazywam się Xu

Oczywiście to usługi zastrzeżone dla bardzo zamożnych, ale jak pokazuje demografia Chin po 2016 r., to właśnie sytuacja ekonomiczna decyduje o tym, czy ludzie w ogóle chcą dzieci. Potomstwu niechętni są młodzi bez stabilnej pracy, kobiety świadome nierównego ciężaru wychowania i wysokich kosztów edukacji. Wobec tego posiadanie dziecka – a raczej dziesiątek, nawet setek dzieci – urasta do symbolu luksusu i władzy. Megarodzicielstwo pojawia się w oderwaniu od kontekstu emocji i relacji. Na jednym z krążących w sieci filmów grupka biologicznych dzieci Xu Bo otacza go, po raz pierwszy wołając „tatusiu, tato!". Po czym maluchy stają przed kamerą i kolejno mówią: „Nazywam się Xu". Są niczym mała armia.

Ekstremalna wielodzietność staje się manifestacją przynależności do globalnej elity finansowej, ale także na nowo odkrytą, a znaną od wieków, formą wielkich wpływów – budowania dynastii poprzez geny i potencjalne mariaże. Technologia umożliwia już nie tylko zapłodnienie, ale personalizację zarodków i projektowanie ich pod konkretne zamówienie.

Ten rodzaj ambicji nie jest zastrzeżony dla Chińczyków. Usługami rodem z science fiction, rozwojem firm oferujących tzw. designer babies, interesują się inwestorzy z Doliny Krzemowej. Na razie amerykańskie prawo zakazuje edycji genów, ale biznes reprodukcyjny dostrzegł już nowe horyzonty.

PAULINA WILK

© AN, ANDREW HARNIK/GETTY IMAGES

eprasa.pl 1719f564a1

Bułgaria, baczność!



Zwycięzca bułgarskich wyborów Rumen Radew nie będzie nowym Viktorem Orbánem. Co nie oznacza, że Bułgaria wychodzi na europejską prostą.

ZIEMOWIT SZCZEREK

Najpierw nie o Radewie. Były premier i jedna z centralnych (oraz mocno kontrowersyjnych) figur bułgarskiej polityki – Bojko Borisow z partii GERB – miał zawsze do Europy przesłanie podobne do tego, jakie długie lata głosił Viktor Orbán albo Aleksandar Vucić: pozbądźcie się mnie, a przyjdą gorsi. Nacjonaliści, rusofile. I co? Z GERB zwyciężyła właśnie świeża partia ekspezydenta Bułgarii Rumena Radewa, polityka o opinii prokremlowca. A Europa zamarła: czy to nowy Orbán? Czy spełnia się zła wróżba Borisowa?

Nie bardzo, bo czasy się zmieniają. Orbán straszył, że jeśli zniknie on, to w jego miejsce przyjdą jeszcze bardziej prawicowe i nacjonalistyczne partie: Jobbik albo niemal otwarcie neofaszystowski Mi Hazank. Nic z tego. Jobbik przeszedł na pozycje centrowe i zniknął (nie był w stanie zebrać wystarczającej listy podpisów, by wziąć udział w ostatnich wyborach), a Mi Hazank ledwie znalazł się w parlamencie. A zamiast Orbána przyszedł nieco podobny do niego, lecz proeuropejski Péter Magyar.

Serbski prezydent Vucić straszył (i straszy) w podobny sposób. Ale trwające prawie półtora roku protesty przeciwko jego władzy pokazały, że Serbowie nie chcą wymieniać Vucicia na większych od niego nacjonalistów, a raczej na prodemokratyczną opozycję. A ta, owszem, ma w swoim łonie różnice programowe, ale daleka jest od „brunatnego zagrożenia", którym straszy Vucić, jeśli go zabraknie.

Bułgarskie strachy

Podobnie jest w Bułgarii. Tutaj postrachem dla Zachodu byli zawsze łagodni wobec Rosji socjaliści albo otwarcie prorosyjscy nacjonaliści. Straszył nimi Borisow, ojciec chrzestny bułgarskiej polityki, patron „styku polityki i biznesu", jak często eufemistycznie określa się korupcję. I nie miało znaczenia, że Borisow uosabiał permanentną destabilizację – od czasów pandemii wybory parlamentarne odbywały się siedem razy i ani razu nie doprowadziły do powstania rządu ze stabilnym zapleczem koalicyjnym. Borisow przyjął ostentacyjnie proeuropejskie i pronatowskie barwy, by być bardziej strawnym dla Brukseli – i ta strategia, trzeba przyznać, działała.

Z kolei symbolem prorosyjskich socjalistów był właśnie wieloletni (2017–26) prezydent Rumen Radew. I stało się to, przed czym straszył Borisow: Radew zrezygnował ze stanowiska prezydenta, założył partię Progresywna Bułgaria i na jej czele, w wyniku ósmych z kolei wyborów od pandemii, w głosowaniu z 19 kwietnia zdobył 44,6 proc. głosów – z takim wynikiem może już poważnie myśleć o stworzeniu stabilnego rządu. A GERB Borisowa, przeciwko któremu od lat co jakiś czas wybuchają społeczne protesty antykorupcyjne – to właśnie na ich fali popłynął Radew – zdobył najniższy w swej historii wynik: 13,4 proc.

Zachód zadrżał: czy chwilę po pozbyciu się kamienia w bucie w postaci

© STR/NURPHOTO/GETTY IMAGES

eprasa.pl 1719f564a1

Orbána, uwierającego całą proatlantycką społeczność, od razu właściwie zainstalował się w Unii Europejskiej i NATO nowy Orbán? Tych obaw bynajmniej nie rozwiały gratulacje złożone zwycięskiemu Radewowi przez rzecznika Kremla Dmitrija Pieskowa, który pochwalił jego zapowiedź o „podjęciu pragmatycznego dialogu z Rosją".

Wojskowy sznyt

Czy jednak Rosja nie zawiedzie się na Radewie? Urodzony w 1963 r. w Dimitrowgradzie, w południowej Bułgarii, ukończył bułgarską Wyższą Uczelnię Wojsk Lotniczych i Akademię Wojskową. A do tego szkolił się w lotniczej szkole oficerskiej w USA i ukończył amerykański Air War College w Alabamie. Jest doktorem nauk wojskowych oraz doświadczonym pilotem i dowódcą sił lotniczych w randze generała majora.

Ze służby wojskowej właściwie bezpośrednio wskoczył do polityki: w 2016 r. wystartował w wyborach prezydenckich jako kandydat formalnie niezależny, choć wspierany przez Bułgarską Partię Socjalistyczną. W drugiej turze pokonał wtedy kandydatkę rządzącego GERB. Kilka lat później zaczął się bułgarski polityczny chaos, napędzany przeplatającymi się protestami, upadkami kolejnych rządów, licznymi wyborami i powoływaniem przez Radewa kolejnych rządów tymczasowych.

Trudno powiedzieć, od czego to wszystko się zaczęło, ale ważnym momentem była sprawa Ahmeda Dogana, byłego szefa partii bułgarskich Turków, polityka, który nie schodzi z czołówek bułgarskich gazet. Np. w 2013 r. niedoszły zamachowiec przystawił mu pistolet do głowy podczas wystąpienia transmitowanego na żywo (broń nie wystrzeliła). Dogan jest również oligarchą, znanym z lekkiego podejścia do obowiązującego prawa, co niezmiennie drażni jego współobywateli.

Jedną z najgłośniejszych jego nonszalancji było to, że przy jednej ze swoich nadmorskich posiadłości zajął sobie fragment czarnomorskiego wybrzeża. Co prawda według bułgarskiego prawa wybrzeże jest własnością publiczną i teoretycznie każdy obywatel Bułgarii ma prawo swobodnego doń dostępu, ale praktycznie, cóż, jest z tym problem.

Przekonał się o tym dziennikarz Christo Iwanow. Wynajętą łódką dopłynął do zajętego przez oligarchę brzegu, skąd odepchnęło go kilku osiłków z prywatnej ochrony Dogana. I wtedy zaczęła się awantura: część ochroniarzy okazała się członkami oficjalnej służby rządowej, której ochrona Doganowi nie przysługiwała. A policja, której ochrona z kolei jak najbardziej przysługiwała Iwanowowi, nie zechciała się pojawić na miejscu zdarzenia mimo wezwania.Społeczeństwo zawrzało, a prezydent Radew (jak pamiętamy, związany z pozostającymi w opozycji socjalistami) wezwał rząd i prokuratora generalnego Iwana Geszewa, by sprawę zbadał. Geszew jednak zdecydował się na inny, dość niespodziewany krok: wysłał uzbrojoną policję do siedziby prezydenta. Siedzibę otoczono, doszło do aresztowań pracowników administracji i ich szantażowania, postawiono im wydumane zarzuty. W ten sposób Geszew próbował sprawie ukręcić łeb. Radew – człowiek o wojskowym sznycie, konkretny i zasadniczy – mocno się prokuratorowi postawił. Nastąpił klincz.

Ludzie w całym kraju wyszli na ulicę. Z początku policja próbowała działać wobec nich agresywnie, ale to tylko wzmogło protesty. I to wtedy właśnie rozpoczął się wyborczy kołowrotek, podczas którego bułgarski *strongman* Bojko Borisow pojawiał się politycznie raz na wozie, raz pod wozem – raz nawet w areszcie, oskarżony o wymuszenia, ale w końcu zwolniony z powodu braku dowodów.

Do tego doszły protesty przeciwko planowanemu wstąpieniu Bułgarii do strefy euro, co nastąpiło 1 stycznia 2026 r., choć bułgarski lew powiązany był z euro już od dekad, nie była to zatem zmiana rewolucyjna. Zresztą wprowadzenie euro ostatecznie nie przełożyło się na wzrost cen, a liczba zwolenników tej decyzji wzrosła po wprowadzeniu europejskiej waluty.

Cały ten korowód protestów, wyborów i powoływania nowych rządów skończył się wraz z przyjęciem przez prezydenta Radewa dymisji ostatniego premiera z GERB Rosena Żelazkowa. Potem było ustąpienie samego prezydenta, powołanie przezeń partii Progresywna Bułgaria, start kampanii wyborczej pod hasłem „zakończenia władzy oligarchów i bandytów" i zdecydowane zwycięstwo w kwietniowych wyborach. To, jak się wydaje, koniec trwającej kilka dekad epoki proeuropejskiego Bojki Borisowa. Ale, wbrew wielu obawom, Bułgaria raczej nie stoi dziś u progu zbliżenia z Rosją.

Kierunek, jaki do tej pory wyznaczał Radew, nie był stricte promoskiewski: zwycięzca zeszłotygodniowych wyborów dystansował się raczej od konfrontacyjnej polityki z Moskwą, próbując nie naruszać jednak pozycji Bułgarii ani w Unii Europejskiej, ani w NATO.

Fico, nie Orbán

Radew, owszem, próbuje grać na prorosyjskich sympatiach części Bułgarów, sprzeciwiając się pomocy wojskowej dla Ukrainy. Ale warto pamiętać, że niedługo przed wyborami – jeszcze jako prezydent – podpisał z Ukrainą umowę o współpracy w zakresie bezpieczeństwa. Nie zamierza też, jak Orbán, pomocy tej blokować. Jednocześnie rzuca sygnały sugerujące gotowość do odbudowy relacji z Moskwą, w tym powrotu do importu rosyjskich surowców energetycznych.

Nie oznacza to jednak trzęsienia ziemi w bułgarskiej polityce zagranicznej. Dotychczas podobne deklaracje Radewa pełniły przede wszystkim funkcję w polityce krajowej – były adresowane do sympatyzującej z Rosją części elektoratu i wykorzystywane w kampaniach wyborczych. Na polu międzynarodowym, zwłaszcza z partnerami zachodnimi, jego działania mają zdecydowanie bardziej umiarkowany i pragmatyczny charakter.

Czy będzie więc Radew drugim Orbánem? Abstrahując od wyjątkowej pozycji i charyzmy Węgra, który jako lider relatywnie niewielkiego państwa regionu potrafił przez lata odgrywać rolę wyraźnie większą, niż sugerowałby potencjał jego kraju, trafniejszym punktem odniesienia dla Rumena Radewa wydaje się przypadek słowackiego premiera Roberta Ficy.

Choć sama nazwa zaplecza politycznego Radewa może budzić skojarzenia z główną słowacką partią opozycyjną (Progresywna Słowacja), to w praktyce profil ideowy i sposób działania sytuują go bliżej Ficy niż Orbána. Podobnie jak Fico, Radew uważa się za lewicowca starego typu (nie *woke*, dość konserwatywnego), do pewnego stopnia prorosyjskiego (choć nie tak zajadle jak Fico), jednak próbującego nie psuć sobie relacji z Brukselą.

Od Orbána i Ficy dzieli Radewa jednak ważna rzecz: zarówno odchodzący premier Węgier, jak i premier Słowacji mają na koncie wiele korupcyjnych afer, a z takimi Radew pragnie walczyć. Przynajmniej na razie. Warto jednak pamiętać, że Fidesz kilkanaście lat temu również szedł po władzę z antykorupcyjnymi hasłami na sztandarach. ■

eprasa.pl 1719f564a1



Wpuszczeni w kanały

MARCIN ROTKIEWICZ

Wizja zamieszkanego Marsa rozpalała wyobraźnię kolejnych pokoleń. Poniżej: Percival Lowell w swoim obserwatorium w 1914 r. Dopatrzył się na Czerwonej Planecie rzekomych oaz i osad.

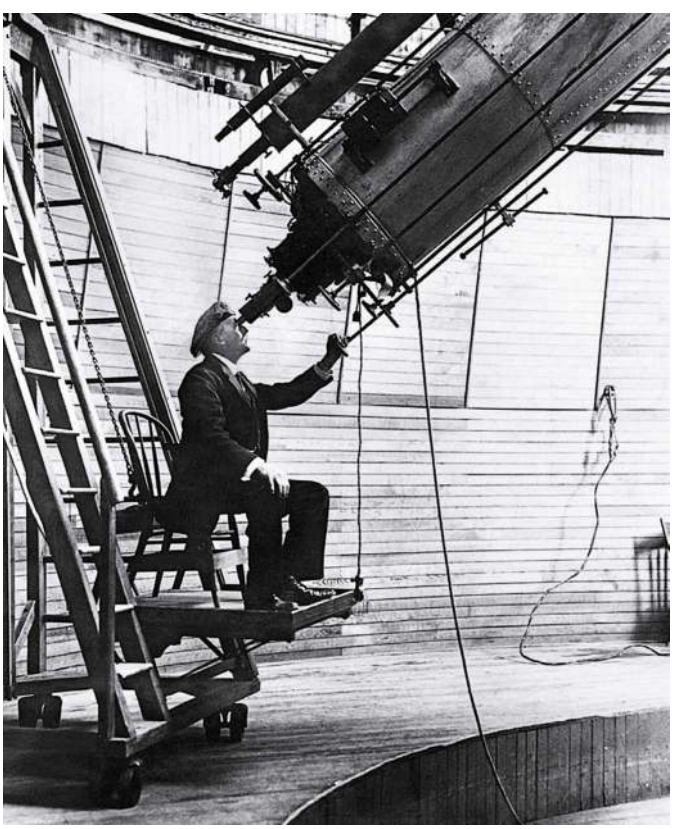

Zanim wysłaliśmy na Marsa sondy kosmiczne, widzieliśmy na nim kanały, miasta i cywilizacje. Wystarczyło kilka linii na mapie, by uruchomić globalną wyobraźnię.

Pod koniec marca rozpoczęła się emisja piątego sezonu „For All Mankind", serialu wysoko ocenianego nie tylko przez miłośników science fiction. Przedstawia on alternatywną wersję historii, rozpoczynającą się w 1969 r. Pierwszy „mały krok dla człowieka, ale wielki skok dla ludzkości" wykonuje na Srebrnym Globie nie Neil Armstrong, ale radziecki kosmonauta. W odpowiedzi Amerykanie tworzą pierwszą stałą bazę księżycową, przyspieszając kosmiczną rywalizację. W trzecim sezonie (alternatywne lata 90. XX w.) akcja przenosi się na Marsa, a najnowsza odsłona przedstawia Czerwoną Planetę jako pełnoprawną kolonię Ziemian – ich baza rozrosła się do tysięcy mieszkańców, co rodzi napięcia między osadnikami a dawną ojczyzną.

Taki przebieg akcji wydaje się całkowicie logiczny. I w serialu, i w rzeczywistości Mars stanowi kolejny, wręcz konieczny krok

© JPL-CALTECH/NASA, MAGITE HISTORIC/ALAMY/BE&W

eprasa.pl 1719f564a1

w eksploracji kosmosu – zaraz po Księżycu jest to najczęściej odwiedzany przez misje bezzałogowe obiekt w Układzie Słonecznym. Również te ryzykowne, z lądowaniem – ostatnią (udaną) przeprowadził łazik Perseverance w 2021 r., osiadając w rozległym kraterze Jezero (od tamtej pory przejechał już kilkadziesiąt kilometrów i ma jeszcze pokonać drugie tyle).

Jednak fascynacja Marsem nie zaczęła się wraz z rozwojem programów kosmicznych w drugiej połowie ubiegłego stulecia. Jej początki sięgają czasów co najmniej sto lat wcześniejszych, a kulminacja nastąpiła na przełomie XIX i XX w. Panowało wówczas przekonanie, że Marsa zamieszkują inteligentne istoty, co miało wynikać z prowadzonych naukowymi metodami obserwacji. Wśród propagatorów tej teorii szczególną rolę odegrał – dziś już raczej zapomniany – Amerykanin Percival Lowell. Jego niezwykłą historię opisał amerykański dziennikarz naukowy David Baron w wydanej 2025 r. książce „The Martians. The True Story of an Alien Craze that Captured Turn-of-the Century America" (w wolnym przekładzie: „Marsjanie. Prawdziwa historia szaleństwa na punkcie obcych, które opanowało Amerykę przełomu wieków").

Mowa trójkątów

Zaczęło się od błędnego tłumaczenia. Wieczorem 23 sierpnia 1877 r. uwaga astronomów skupiła się na całkowitym zaćmieniu Księżyca. Jednak 42-letni Giovanni Schiaparelli, dyrektor Obserwatorium Brera w Mediolanie, szybko znużył się tym zjawiskiem. Jego wzrok przyciągnął za to Mars, który znajdował się wówczas blisko Ziemi, jaśniejąc na wieczornym niebie. Z dachu późnobarokowego pałacu, korzystając z teleskopu około trzymetrowej długości, rozpoczął trwający kilka miesięcy cykl obserwacji, by stworzyć szczegółowe mapy powierzchni Czerwonej Planety.

Dostrzegł coś, czego inni dotąd nie widzieli. A to dlatego, że był z wykształcenia inżynierem i architektem. Był też daltonistą, co mogło wyostrzać jego percepcję kształtów i kontrastów. Dlatego obok ciemnych i jasnych obszarów, uznawanych wówczas za marsjańskie kontynenty i oceany, na mapach pojawiła się sieć prostych linii pokrywających planetę, które niekiedy się przecinały. A że łączyły marsjańskie morza, Schiaparelli nazwał je *canali*, co oznacza po włosku naturalne kanały. Gdy jednak w 1882 r. wieści o odkryciu dotarły do anglojęzycznej prasy – na czele z brytyjskim dziennikiem „The Times" – słowo to błędnie przetłumaczono jako *canals*, co w języku angielskim jednoznacznie sugeruje sztucznie wykopane struktury.

Astronomowie rzucili się do teleskopów, by zweryfikować odkrycie, a wyniki ich obserwacji okazywały się skrajnie sprzeczne. Prasa zaś ku irytacji poważnych naukowców zaczęła snuć fantastyczne spekulacje o wysoko rozwiniętej cywilizacji. Środowisko astronomiczne podzieliło się na „kanalarzy" i „antykanalarzy".

Jedną z najbardziej wpływowych postaci tej pierwszej grupy był Camille Flammarion – francuski astronom, filozof, dziennikarz i powieściopisarz, jeden z najgorliwszych propagatorów idei życia pozaziemskiego. Już w 1862 r., mając zaledwie 20 lat, opublikował książkę „Wielość zamieszkanych światów", w której zakładał, że życie we wszechświecie jest zjawiskiem powszechnym. Potrafił też zarażać swoim entuzjazmem, dzięki czemu jeden z wielbicieli podarował mu pięknie położony nad Sekwaną dawny zajazd pocztowy, który astronom przerobił na obserwatorium.

Dla Flammariona „kanały" Schiaparellego stanowiły potencjalny ślad obcej cywilizacji. Uważał też, że warto spróbować nawiązać z nią kontakt. W styczniu 1892 r. na łamach amerykańskiej prasy opublikował głośny esej, w którym zaproponował stworzenie międzyplanetarnego języka opartego na geometrii. Projekt zakładał wyrysowanie na powierzchni Ziemi, za pomocą elektrycznego oświetlenia, gigantycznych, szerokich na sto kilkadziesiąt kilometrów figur – trójkątów czy kół – i oczekiwanie, aż w odpowiedzi obserwujący nas Marsjanie odtworzą te same kształty.

Atmosferę podgrzało zdarzenie z lata 1892 r., gdy Mars i Ziemia ponownie znalazły się najbliżej siebie. Astronomowie z Obserwatorium Licka w Kalifornii dostrzegli na tarczy Czerwonej Planety dziwne świetliste punkty układające się w trójkąt. Amerykańska prasa oszalała. Gazeta „New York World" Josepha Pulitzera (to jego nazwisko noszą słynne nagrody dziennikarskie, które ufundował w 1904 r.) wprost pytała czytelników: czy to światła, o których pisał Flammarion? Tymczasem nawet francuski astronom podszedł do tych rewelacji ostrożnie, skłaniając się ku naturalnemu wyjaśnieniu zaobserwowanych jasnych punktów na powierzchni planety.

Marsjańskie wzgórze

Medialne marsjańskie wzmożenie ominęło osobę, która okaże się kluczowa dla tej historii – 37-letniego wówczas Percivala Lowella, przebywającego w odległej Japonii. Rodzina, z której pochodził, zaliczała się do amerykańskiej finansowej arystokracji. Jego przodkowie wnieśli znaczący wkład w rewolucję przemysłową w Stanach Zjednoczonych, budując potężne imperia tekstylne i przemysłowe miasta, takie jak Lowell czy Lawrence (od nazwisk ich rodów). Percival ukończył studia na Uniwersytecie Harvarda (podczas uroczystości rozdania dyplomów wygłosił esej o formowaniu się Układu Słonecznego) i miał się zająć, jako pierworodny syn, biznesami rodziców. Jednak czuł, że dusi się w świecie przemysłowej finansjery. Z egzystencjalnej nudy wyrwały go podróże. Zafascynowany Dalekim Wschodem wyjechał do Azji, gdzie głównie zgłębiał kulturę Japonii. Z czasem stał się cenionym podróżnikiem i pisarzem.

Jesienią 1892 r. musiał wrócić do USA z powodu tragicznej śmierci szwagra. Rok później otrzymał w prezencie grubą książkę Flammariona „La planète Mars et ses conditions d'habitabilité" („Planeta Mars i jej warunki do życia"). Lowell, płynnie władający francuskim, niemal natychmiast pochłonął lekturę i podjął decyzję o radykalnej zmianie drogi życiowej.

Nie mając formalnego wykształcenia naukowego ani doświadczenia w astronomii, postanowił zbudować własne obserwatorium. Nie było to wcale tak ekscentryczne, jak mogłoby się dziś wydawać – w XIX w. wielu szanowanych miłośników astronomii trafiało do tej dziedziny z medycyny, prawa czy handlu. A Lowell dysponował ponadto wielką fortuną. Zatrudnił dwóch astronomów z Harvardu, jednego wysłał do odległej Arizony w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca do obserwacji kosmosu. Wybór padł na Flagstaff – miasteczko słynące z krystalicznie czystego nieba. Na wzniesieniu, które z czasem zyskało miano Wzgórza Marsa (Mars Hill), powstała drewniano-płócienna kopuła obserwatorium (dziś znanego jako Lowell Observatory).

Percival sam zaczął przyjeżdżać do Flagstaff i prowadzić obserwacje Czerwonej Planety przez ośmiometrowej długości teleskop. Początkowo nie dostrzegł jednak mitycznych kanałów. Obserwował więc rozległą południową czapę polarną, która cyklicznie kurczyła się, by całkowicie zniknąć wraz z nadejściem ▶

eprasa.pl 1719f564a1

▶ marsjańskiego lata. Był przekonany, że to zamarznięta woda, więc zastanawiało go, co się z nią dzieje po stopnieniu. Podglądanie Marsa wymagało wówczas ogromnej cierpliwości, gdyż obraz w teleskopie nieustannie falował (jak powietrze nad rozgrzanym asfaltem) za sprawą ziemskiej atmosfery. W końcu, podczas bardzo krótkich chwil przejrzystości, zaczął dostrzegać delikatne nici przecinające powierzchnię planety.

Wells straszy, Tesla się łączy

Kompleksową interpretację swoich obserwacji Lowell przedstawił zimą 1895 r. podczas czterech wykładów w Massachusetts Institute of Technology. Przekonywał, że choć marsjańska atmosfera jest rzadka, to nie wyklucza istnienia tam życia. Przedstawił też Czerwoną Planetę jako ewolucyjnie starszą od Ziemi i zmagającą się z dramatycznym deficytem wody. Wyschnięte oceany miały postawić mieszkańców przed wizją śmierci z pragnienia. Jedynym ratunkiem dla tej zaawansowanej cywilizacji stała się więc globalna irygacja. Na dowód tego Lowell zaprezentował ryciny, na których Mars przypominał kulę pokrytą geometryczną siecią krzyżujących się linii. Twierdził, że te tzw. kanały – o szerokości co najmniej 24 km – to szerokie pasy bujnej roślinności czerpiącej wodę z topniejących czap polarnych. W miejscach ich przecięć znajdowały się okrągłe ciemne plamy, czyli rzekome oazy i osady.

Gdy wykłady Lowella trafiły na łamy prestiżowego „The Atlantic Monthly", pierwszy nakład wyprzedał się w zaledwie kilka dni. Choć część środowiska naukowego była bezlitosna wobec jego rewelacji – pewien brytyjski astronom wyliczył, że budowa takiej sieci kanałów wymagałaby pracy 200 mln ludzi i trwała tysiąc lat, a inni badacze oskarżali Lowella o naginanie faktów – opinia publiczna wręcz pokochała jego wizję. Pod koniec 1895 r. do księgarń trafiła pięknie wydana książka Lowella „Mars".

Ten nowożytny mit wzmocnił Herbert George Wells, młody angielski pisarz i dziennikarz. Będąc dawnym studentem wybitnego biologa Thomasa Henry'ego Huxleya, wnikliwie analizował kwestie ewolucji i doboru naturalnego. Zafascynowany koncepcją Lowella, wedle której Mars był planetą ewolucyjnie starszą od Ziemi, oraz obserwacjami Schiaparellego, wywnioskował, że jego mieszkańcy muszą przypominać Ziemian z dalekiej przyszłości. I wykreował przerażających kosmitów – istoty o gigantycznych mózgach i mackach, pozbawione układu trawiennego, które żywiły się krwią ofiar. Tak powstała powieść „Wojna światów", która wywołała po obu stronach Atlantyku ogromne poruszenie (była drukowana w odcinkach w gazetach). Szczególnie za sprawą amerykańskiej tzw. żółtej prasy, czyli dzienników nastawionych na maksymalizację sprzedaży poprzez krzykliwe tytuły, przesadę i emocjonalne tematy.

Jej ulubieńcem był również ekscentryczny wynalazca Nikola Tesla. Kiedy wiosną 1899 r. oświadczył dziennikarzom, że dysponuje aparaturą zdolną do wysyłania i odbierania sygnałów z Marsa, prasa natychmiast podchwyciła temat. Wkrótce sprzęt Tesli zarejestrował słabe regularne impulsy. Wynalazca milczał o tym aż do sylwestra 1900 r., gdy zasugerował światu odebranie pozaziemskiej wiadomości. Następnego dnia „New York Journal" pytał na pierwszej stronie: „Czy Nikola Tesla rozmawiał z Marsem?". I choć poważniejsze gazety niemal całkowicie zignorowały sprawę, śmiałe twierdzenia wynalazcy przez całe tygodnie nie schodziły z łamów.

Branża reklamowa z lubością wykorzystała wizerunek sąsiedniej planety. Na przykład w formie ogłoszeń, w których kosmici wysyłali na Ziemię prośby o dostawę mydła określonej marki albo butelek konkretnego rodzaju whiskey. Marsjańskie szaleństwo wkroczyło też na parkiety i deski teatrów. Orkiestry chętnie grały nowy taniec „A Signal from Mars", a tematykę podchwycił też Broadway, wystawiając z ogromnym sukcesem komedię „A Message from Mars". Widzowie pękali ze śmiechu, oglądając zmagania kosmicznego wysłannika, który próbował nauczyć skrajnie egoistycznego Ziemianina podstaw altruizmu. Fascynacja ta dość naturalnie splotła się też z niezwykle wówczas modnym spirytyzmem.

Narodziny science fiction

Tymczasem nauka coraz brutalniej weryfikowała marsjańskie mity. Ostateczny cios koncepcjom Lowella zadał Eugène-Michel Antoniadi, astronom greckiego pochodzenia, który większość życia spędził we Francji. W 1909 r. przeprowadził przełomowe obserwacje Marsa za pomocą potężnego teleskopu Obserwatorium Paryskiego. Zamiast kanałów ujrzał tylko naturalne, nieregularne formacje. Swoje odkrycia uwiecznił na niezwykle precyzyjnych, pełnych niuansów szkicach, które wysłał do samego Lowella oraz czołowych instytucji naukowych na świecie (m.in. Francuskiej Akademii Nauk i Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego), ostatecznie grzebiąc hipotezę o zaawansowanej cywilizacji.

Jednak Amerykanin ani myślał przyznawać się do błędu i zareagował na tę (niepierwszą zresztą) krytykę z typowym dla siebie uporem. Z czasem coraz bardziej stawał się człowiekiem uwięzionym we własnych iluzjach i opuszczonym przez dawnych zwolenników, na dodatek zmagającym się z nawracającą depresją. Zmarł 12 listopada 1916 r. we Flagstaff w wieku 61 lat, w domu zbudowanym na Mars Hill, w bezpośrednim sąsiedztwie ukochanego obserwatorium.

Choć kariera Lowella jest historią osoby, która do końca życia tkwiła w błędzie określanym przez psychologię poznawczą jako „efekt potwierdzenia" (m.in. selektywne szukanie dowodów, błędne interpretowanie niejednoznacznych danych), to – jak pisze David Baron – trudno nie docenić siły oddziaływania jego koncepcji. Wizja zamieszkanego Marsa rozpalała bowiem wyobraźnię kolejnych pokoleń. Pochodzący z Luksemburga amerykański pisarz, wydawca i wynalazca Hugo Gernsback jako nastolatek zaczytywał się w tekstach Lowella. Na emigracji w USA założył serię magazynów z futurystyczną prozą, tworząc gatunek, który nazwał „scientifiction" (ówczesna pisownia). Prestiżowe coroczne nagrody literackie Hugo, przyznawane za utwory science fiction i fantasy, noszą jego imię. Z kolei amerykański autor Edgar Rice Burroughs (twórca m.in. postaci Tarzana) przeniósł lowellowskiego Marsa wprost na karty przygodowych powieści rozpalających umysły milionów młodych czytelników. Wśród nich przyszłych pisarzy, takich jak Arthur C. Clarke.

A pewien chłopiec z takim zapałem próbował pod wpływem tekstów Burroughsa teleportować się na Marsa, że godzinami stał z wyciągniętymi ramionami na pustym polu. Nazywał się Carl Sagan i wyrósł na słynnego astronoma i popularyzatora nauki. „Nawet jeśli wszystkie wnioski Lowella okazały się błędne – pisał później – to jego wizja przynajmniej miała tę zaletę, że pobudziła pokolenia ośmiolatków, w tym mnie, do myślenia o eksploracji planet jako realnej możliwości".

MARCIN ROTKIEWICZ

eprasa.pl 1719f564a1

Ruch prawdę nam powie

O tym, jak aplikacje prowadzą turystów i uprzykrzają życie mieszkańcom, mówi dr Kamil Smolak, geoinformatyk z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu.

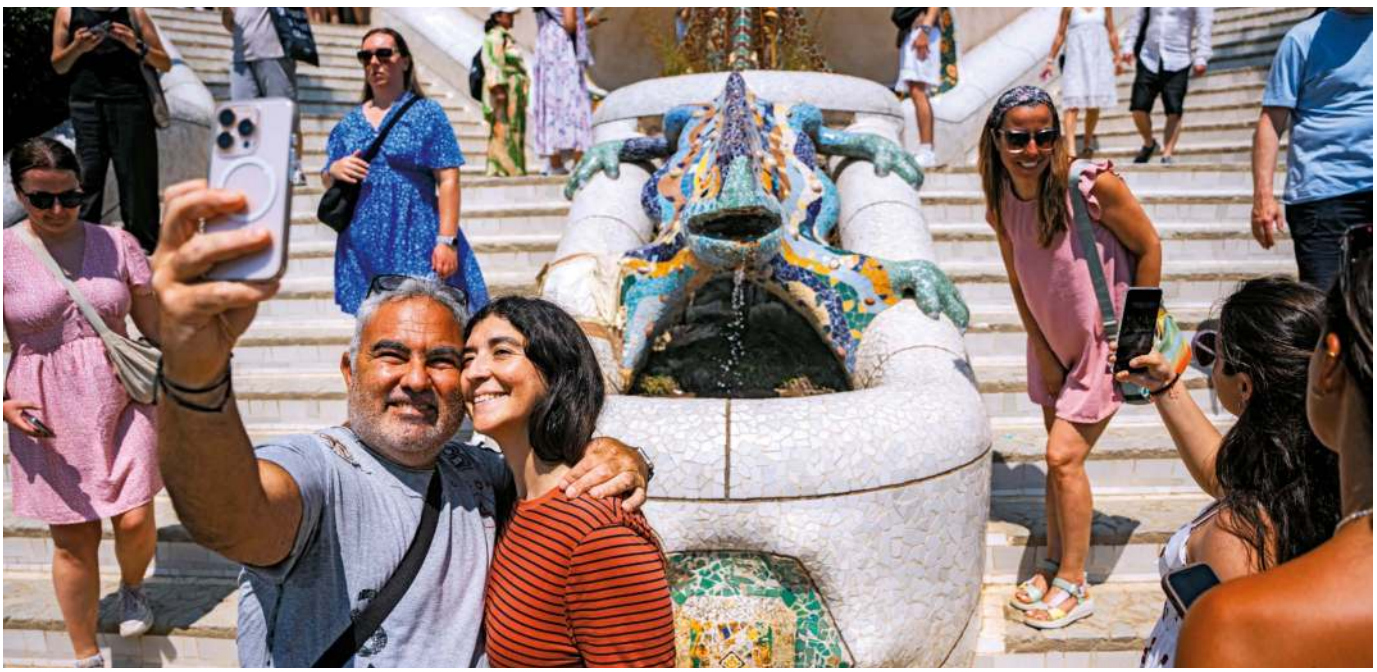

© SHUTTERSTOCK

KATARZYNA KACZOROWSKA: **– Co to jest ekologia ruchu?**

KAMIL SMOLAK: – W polszczyźnie ekologia rozumiana jest jako ochrona środowiska, a tutaj mówimy o czymś, co po angielsku nazywa się *Movement Ecology*. To badanie i opisywanie zależności pomiędzy środowiskiem a ruchem organizmów. Wiedza o tym, jak przemieszczanie się wpływa na otoczenie, jest bardzo ważna, szczególnie z perspektywy zrównoważonego rozwoju. Jednostka oddziałuje na otoczenie w niewielkim stopniu, ale już społeczność w mieście czy na wsi – zdecydowanie silniej. Co więcej, ten ruch jest w ogromnej mierze sterowany przez aplikacje, które mamy zainstalowane w komórkach. I nie zawsze mamy tego świadomość.

Ludzie przemieszczali się zawsze. A o eksplozji ruchu możemy mówić od drugiej połowy XX w. z powodu rozwoju turystyki. Dlaczego więc badania nad mobilnością zaczęły się dopiero na początku XXI w.?

Naszej mobilności jako pierwsi przyjrzeli się sławni geografowie – najpierw, w latach 50. XX w., Torsten Hägerstrand, a nieco później, w latach 60., Waldo Tobler. To im zawdzięczamy podstawy współczesnych badań nad mobilnością, w tym modele opisujące jej grawitacyjny charakter. Zgodnie z nim – mówiąc kolokwialnie – ciągnie nas do miejsc, gdzie jest masa ludzi. Jeśli chcemy coś zjeść w obcym mieście czy dzielnicy, którą słabo znamy, to nie wejdziemy do restauracji, w której jest pusto. Pójdziemy do tej, w której są klienci. I to jest właśnie grawitacja, czyli przyciąganie, które tu ma charakter społeczny, a nie fizyczny.

Temat rozwijał się powoli przez kolejne dekady, głównie z powodu braku odpowiednich danych. Dopiero w latach 2008–10 nastąpiła eksplozja badań [słychać hałas – przyp. aut.] dzięki temu, co mi właśnie wypadło z kieszeni, czyli dzięki telefonom.

Bo nas śledzą?

Bo zostawiamy za sobą ślady lokalizacji, za pomocą których można rekonstruować trajektorie ruchu milionów ludzi na całym świecie. Telefony komórkowe spowodowały, że po raz pierwszy w historii możemy obserwować całe populacje i badać ich mobilność.

Zdajemy sobie sprawę, że analiza przemieszczania się mas to także kontrola jednostki?

Stajemy się tego coraz bardziej świadomi. I większość z nas, przynajmniej w Europie, jest przeciwna kontroli. W Europejskim Obszarze Gospodarczym, obejmującym nie tylko Unię Europejską, mamy RODO, które chroni nasze dane osobowe. A z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że jako naukowiec, który próbuje pozyskać te dane, w UE mam problem. Nie mogę dostać danych indywidualnych, czyli trajektorii pojedynczych osób. Poza granicami Unii jest to możliwe i takie dane mam.

Oczywiście, od razu pojawia się pytanie o kwestie etyczne. Dane z telefonii komórkowej mogą być bowiem gromadzone na poziomie indywidualnym. Są jednak mało dokładne, ponieważ zwykle pozycja człowieka jest uzależniona od najbliższej anteny. To oznacza, że rozmawiamy teraz w pokoju na uczelni, ale nasze telefony są zlokalizowane ok. 200–300 m dalej, w centrum handlowym, bo tam jest antena. W miastach te odległości będą mniejsze, na wsiach jednak – większe. ▶

eprasa.pl 1719f564a1

▶ Dane dotyczące lokalizacji, pozwalające śledzić trajektorię ruchu, to jednak tylko część tej układanki.

Co jeszcze jest gromadzone?

Obecnie badania bazują na informacjach ze wspomnianych aplikacji mobilnych. To dane, które są kombinacją sygnałów naziemnych, pozycji z telefonii komórkowej, GPS-u, Bluetooth i widocznych Wi-Fi. Sygnał jest więc kombinowany, a dokładność o wiele wyższa. Godzimy się, instalując te programy w swoich telefonach, że ich producenci analizują nasze zainteresowania i profilują podsyłane nam reklamy, czyli stosują geomarketing. Zasadniczo dane mobilnościowe są wykorzystywane głównie w takim celu, ale naukowcy, którzy zajmują się tą dziedziną, uznali, że skoro już mamy te dane, to powinniśmy zrobić z nimi coś interesującego.

Na przykład?

Możemy je wykorzystać do lepszego planowania miast czy działań w sytuacjach kryzysowych – np. czy i gdzie wprowadzać obostrzenia w przypadku pandemii. Możemy budować modele symulacyjne, czyli wirtualne bliźniaki miast, które są znacznie bardziej realne niż te, które obecnie mamy. We Wrocławiu – we współpracy z Miejskim Przedsiębiorstwem Wodociągów i Kanalizacji – budowaliśmy kilka lat temu model prognozy zapotrzebowania na wodę. Dzięki danym mobilnym dowiedzieliśmy się, kiedy ludzie są w domu i kiedy rośnie zużycie, a to pozwoliło dostosować ciśnienie w rurach.

Te dane możemy jednak także wykorzystywać do sterowania ruchem turystycznym i do zmniejszania korków ulicznych, a poprzez to wpływać chociażby na jakość powietrza w mieście. Głównym celem badań mobilności, a więc i moich, jest budowanie modeli. To badania podstawowe. Kolejnym krokiem jest aplikacyjność, czyli wykorzystanie tych badań w praktyce. I tu świetnym przykładem jest Barcelona.

Zmagająca się z protestami mieszkańców przeciwko tysiącom turystów zalewających ich miasto.

To problem nie tylko Barcelony. Tu jednak wykorzystano analizy danych mobilności przyjezdnych i mieszkańców w bardzo konkretnych działaniach. Okazało się bowiem, że Barcelończycy nie byli w stanie dojechać do domów czy pracy, bo autobusy na trasach były tak zatłoczone turystami, że nie mogli do nich wsiąść. Władze miasta wystąpiły więc do Google Maps o usunięcie niektórych linii autobusowych z sugestii dojazdu w aplikacji – tak, aby były one niewidoczne dla turystów.



Dr **Kamil Smolak** – pracuje w Instytucie Geodezji i Geoinformatyki UPWr. Prowadzi badania dotyczące użyteczności informacji o mobilności ludzi pozyskiwanych z urządzeń mobilnych. Jako pierwszy na świecie zastosował uzyskane dane do wsparcia prognoz zapotrzebowania na wodę w mieście. Z firmą U+GEO i Spyrosoft zbudował model rozprzestrzeniania się chorób zakaźnych, w tym Covid-19.

Co jeszcze mówią nam te dane?

Najbardziej niesamowite jest to, że niezależnie od tego, czy analizujemy informacje dotyczące Polski, Brazylii czy Chin, to mamy prawa, które działają wszędzie tak samo. Wspomniałem już o grawitacyjnym modelu mobilności. Drugą fundamentalną i uniwersalną zasadą jest prawo preferencyjnego powrotu do miejsc, w których już byliśmy. Podąża ono za tzw. prawem Zipfa, zgodnie z którym miejsce najintensywniej odwiedzane podczas codziennej mobilności jest odwiedzane dwa razy częściej niż kolejne w rankingu. Słowem: dwukrotnie częściej bywamy w domu niż w pracy – a w niej dwa razy częściej niż np. w sklepie czy siłowni.

Długość podróży między lokalizacjami można opisać konkretnym rozkładem prawdopodobieństwa i dla każdego człowieka na świecie to jest bardzo podobny rozkład. Nasza mobilność zamyka się w hierarchicznej strukturze. Poruszamy się po dzielnicy, mieście, regionie i państwie. Co więcej, kiedy badałem przemieszczanie się zwierząt, to okazało się, że zachowują się one tak samo jak my.

Dlaczego zajął się pan mobilnością zwierząt? One z aplikacji mobilnych przecież nie korzystają.

Zaczęło się od zaproszenia do napisania artykułu z dr Uršką Demšar ze szkockiego University of St Andrews. To wizjonerka, która zajmuje się nową dziedziną, łączącą badania nad mobilnością ludzi i zwierząt: Integrated Science of Movement. Realizowaliśmy też badania nad mobilnością dzików w lasach trzebnickich w ramach współpracy z przedstawicielami europejskiej inicjatywy EUROBOAR. Zebraliśmy dane i tak stałem się w Polsce pionierem zintegrowanej mobilności organizmów [śmiech]. Mając perspektywę modelowania mobilności ludzi, pracując z ekspertami z obszaru Movement Ecology, zrozumiałem, że w tej nowej dziedzinie możemy się dowiedzieć dużo więcej niż do tej pory. Oczywiście, mówimy zupełnie innymi naukowymi językami, ale okazało się, że w modelowaniu mobilności ludzi i zwierząt te same pomysły powstały równolegle i niezależnie od siebie.

Magia?

Nie sądzę. Raczej intuicja naukowa, analiza już istniejącego zasobu wiedzy. Kilku naukowców wpadło na ten sam pomysł rok po roku, choć nigdy ze sobą nie rozmawiali. Dzisiaj próbujemy te równolegle powstałe koncepcje scalić, co jest o tyle istotne, że ludzie i zwierzęta wspólnie wpływają na ekosystem mobilności. Dobrze oddaje to unijna koncepcja One Health, zgodnie z którą zdrowie populacyjne zależy od kondycji środowiska, zwierząt i ludzi, bo tworzą one jeden, wzajemnie powiązany system.

Świadomość tego wzrosła – i to gwałtownie – w czasie pandemii Covid-19. Stąd zresztą finansowanie w programach unijnych badań w konkretnych kierunkach, a na poziomie praktycznych realizacji – chociażby dobrze zaplanowane korytarze ekologiczne dla zwierząt, wyznaczane podczas budowy nowych dróg.

Łatwiej jest badać mobilność zwierząt?

Tak, bo nie mają RODO [śmiech]. Trzeba je tylko złapać i zainstalować im nadajniki – oczywiście z zachowaniem procedur weterynaryjnych i odpowiednich zgód. A później już tylko zbierać i analizować dane. Problem mieliśmy tylko z dzikami, bo nie mają szyi, więc trzeba było pogłówkować, gdzie im te nadajniki założyć. Wyniki dołączyliśmy do większej puli danych, które pozyskaliśmy od naukowców z całego świata. W sumie zbadaliśmy 19 gatunków ssaków i ptaków ze wszystkich kontynentów poza Antarktydą.

Publikacja, w której opisujemy te badania, jest w trakcie recenzji. Na tym etapie mogę powiedzieć, że analizowaliśmy fundamentalne prawa mobilności, a więc sprawdzaliśmy, czy zwierzęta stosują

eprasa.pl 1719f564a1

się do tych samych praw co ludzie, a jeśli tak, to w jakim stopniu. Okazało się, że te same zależności co u ludzi występują także u zwierząt, które eksplorują i wracają do znanych sobie miejsc, ale robią to inaczej niż ludzie i niezależnie od gatunku. Są więc zwierzęta bardzo terytorialne, które eksplorują bardzo mało i głównie wracają do znanych miejsc. Jak choćby wilki. Są też zwierzęta bardzo eksploracyjne, np. mewy. Mieliśmy dane z Belgii, z których dowiedzieliśmy się, że codziennie śpią na molo w Ostendzie, ale po jedzenie lecą do Francji i tam przeszukują śmietniki. Ustaliliśmy współczynnik, który określa prawdopodobieństwo eksploracji bądź powrotu do ulubionej lokalizacji. Zakresy były niemal identyczne jak u ludzi.

To, co zwierzęta odróżniało, to *site fidelity* [wierność miejscu]. One są mniej przywiązane do miejsc, zmieniają je częściej niż ludzie. Choć oczywiście możemy też mówić np. o różnicach między Amerykanami czy zachodnimi Europejczykami a mieszkańcami środkowo-wschodniej części naszego kontynentu, bo mobilność tych ostatnich wciąż jest determinowana przez kontekst historyczny i kulturowy.

Ma pan na myśli podążanie za pracą?

Tak. Polacy w tym obszarze powoli ewoluują w kierunku zachodniej kultury. Sam widzę, że coraz więcej osób się relokuje. Mam w recenzji grant na projekt dotyczący ruchu ludzi i jego wpływu na życie codzienne. Chcemy zgromadzić dane z różnych kontynentów, żeby sprawdzić, jak w odmiennych kulturach i warunkach, chociażby geograficznych, ludzie wędrują za pracą, nauką itd. Wiemy już, że z relokacją wiąże się np. segregacja społeczna. Osoby z konkretnych grup mieszkają zwykle blisko siebie, w konkretnych rejonach. Ustalono też, że aplikacje wzmacniają segregację.

W jaki sposób?

Ugruntowują schemat, który z pozoru tworzy się naturalnie: wybieramy mieszkanie w lepszej dzielnicy, posyłamy dziecko do lepszej szkoły, jemy w lepszych restauracjach... Aplikacje wzmacniają ten proces, ponieważ podpowiadają miejsca na podstawie popularności i zachowań osób podobnych do nas. W efekcie osoby z podobnych grup społecznych trafiają wciąż do tych samych miejsc, a inne obszary miasta pozostają rzadziej odwiedzane i mniej rozwinięte.

Jedzie pan na dwa lata do Istituto di Scienza e Tecnologie dell'Informazione w Pizie. Będzie pan badał, jak rekomendacje z aplikacji wpływają na życie miast.

Chcę zbudować wirtualne bliźniaki nie tylko dla Pizy, ale też dla Florencji, Helsinek oraz Wiednia. Będę miał także dane z Brazylii oraz Nowej Zelandii i badał, jak w zależności od tych rekomendacji kształtuje się mobilność. To będą modele symulacyjne, odwzorowujące typowe mechanizmy rekomendacji ze znanych aplikacji w kontekście konkretnego zjawiska, np. funkcjonowania restauracji czy atrakcyjności zabytku. Model mobilności ludzi pozwoli nam wygenerować populację i analizować jej ruch w przestrzeni. Czy i gdzie powstają korki? Czy są miejsca, gdzie ludzi nie ma i takie, gdzie ludzi jest tak dużo, że to wpływa na jakość doświadczenia turysty i mieszkańca? Gdzie występuje niesprawiedliwość przestrzenna i ekonomiczna, bo zbyt mała liczba ludzi to np. niższe dochody sklepów? Czy dochodzi do segregacji społecznej?

Jak widać, obszarów do analizy jest dużo i wszystkie dotyczą szeroko rozumianej jakości życia. Celem jest stworzenie aplikacji oferującej zrównoważone rekomendacje, które wspierają bardziej sprawiedliwe wykorzystanie przestrzeni miejskiej. Choć pewnie trudno będzie przekonać gigantów technologicznych, by zmieniali algorytmy swoich aplikacji. Miasta już jednak takie możliwości oddziaływania mają, co pokazuje przykład Barcelony. Przecież zjawisko *overtourism*, w ogromnej mierze związane z popularnością aplikacji, to typowy przykład niesprawiedliwości przestrzennej.

Co pana skłoniło do takich analiz?

To efekt rozmów z kolegami z instytutu w Pizie, ale też własnego doświadczenia. Pochodzę z Kotliny Jeleniogórskiej. Lubiłem jeździć rowerem Przełęczą Kowarską, ale od jakiegoś czasu jest tam spory ruch samochodowy, w tym także turystyczny. Dla mieszkańców ta zmiana to hałas, zanieczyszczenie, spaliny. Stracili miejsce, które definiowało ich życie, bo bezosobowy algorytm wyznaczył trasę pod ich domami.

ROZMAWIAŁA KATARZYNA KACZOROWSKA

© TOMASZ LEWANDOWSKI/UNIWERSYTET PRZYRODNICZY WE WROCŁAWIU

REKLAMA

26 NAGRODY NAUKOWE POLITYKI

Przez 25 lat wsparliśmy 407 naukowców!

Jesteś młodym ambitnym naukowcem?
Prowadzisz niebanalne, ważne społecznie projekty badawcze?
Wystartuj w konkursie o nasze stypendia naukowe!

Formularz zgłoszeniowy: **polityka.pl/stypendia**

Na zgłoszenia czekamy do 14 czerwca!

Partner Główny Nagród Naukowych POLITYKI 2026
KOPIPOL

Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2026
Dr Irena Eris
CONSULTRONIX
za KS sprzyjamy wyobraźni

Patron honorowy
Marcin Kulasek
Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego

Patroni medialni
tokfm
FORUM AKADEMICKIE

eprasa.pl 1719f564a1



Spełnia się dziś to, przed czym ostrzegał; coraz nam dalej do tego, co postulował. Nie takie Niemcy, nie taka Europa, nie taka Ameryka, nie takie media... A może jednak Jürgen Habermas (1929–2026) odniesie pośmiertne filozoficzne zwycięstwo?

Wiecznie jutrzejszy

ADAM KRZEMIŃSKI

Najważniejszy filozof przełomu wieków chciał być dziennikarzem. Miał 24 lata, gdy w 1953 r. na łamach konserwatywnej „Frankfurter Allgemeine Zeitung" porwał się na samego Martina Heideggera, mentora niemieckiego „bycia w świecie", któremu wypomniał, że w III Rzeszy wykładał o „prawdzie i wielkości" nazizmu. Heidegger nigdy już nie wziął „FAZ" do ręki. Kimże jest ten „bohaterski młodzian"? – zżymał się Carl Schmitt, koronny prawnik Rzeszy i teoretyk autorytaryzmu, czołowy przedstawiciel powojennych „wiecznie wczorajszych", żyjących przeszłością.Najpewniej to ktoś chowany na Marksie – usłużnie dopowiedział bardzo wówczas narodowy tygodnik „Die Zeit". Jednak Habermas, jak spora część pogruchotanego wojną najmłodszego pokolenia, był za zjednoczonymi, neutralnymi, demokratycznymi Niemcami bez alianckiej broni atomowej.

Wszyscyśmy z Hitlerjugend

Urodził się w 1929 r. Ojciec, dyrektor izby przemysłowo-handlowej, w 1933 r. wstąpił do NSDAP i dbał o jej lokalne finanse. Z czasem został też majorem Wehrmachtu. Syn przeszedł Trzecią Rzeszę zaledwie w mundurze Hitlerjugend, a pod sam koniec wojny – pomocniczej służby lotniczej. Roczniki te były pokoleniem szoku, bo klęskę 1945 r., ujawnienie hitlerowskiego

© PAP/EPA/SIMELA PANTZARTZI

eprasa.pl 1719f564a1

ludobójstwa i Norymbergę przeżyli już świadomie. Nie zdążyli być sprawcami najgorszego, więc – często z równą żarliwością jak w dzieciństwie Hitlerowi – byli teraz gotowi zawierzyć zachodniej demokracji albo stalinowskiemu socjalizmowi.

Studenta gaszącego aurę wielkości Heideggera dostrzegli młodzi niemieccy intelektualiści. Dwaj reemigranci ściągnęli go w 1956 r. z Bonn do Frankfurtu nad Menem na asystenta w legendarnym Instytucie Badań Społecznych. Polubił go Theodor W. Adorno, współautor gorzkiej „Dialektyki oświecenia" (1944 r.), ale Maxa Horkheimera rozdrażnił, gdy w 1958 r. na deptaku we Frankfurcie przemawiał przeciwko zbrojeniom atomowym. „Dialektyka pana H. jest na rękę tym panom na Wschodzie" – sarknął.

Napisana już w Marburgu habilitacja Habermasa („Strukturalne przemiany mieszczańskiej sfery publicznej" – od XVIII-wiecznych salonów i początków prasy po współczesne zagrożenia ze strony mass mediów) stała się wydarzeniem 1962 r. U schyłku ery kanclerza Adenauera republika bońska się przepoczwarzała. Mur berliński wymuszał nową politykę wschodnią, a procesy Eichmanna i załogi z Oświęcimia ponownie otwierał oczy na niemiecką winę. „Strukturalna przemiana" stała się kluczowym pojęciem dekady.

Habermas – jak wywodzi jego późniejszy biograf Philipp Felsch – czuł potrzebę utożsamienia się z nurtem myśli niemiecko-żydowskiej: od Mosesa Mendelssohna, poprzez Marksa, Freuda i Kafkę, po Herberta Marcusego czy Gerschoma Scholema. Swego urodzonego w 1956 r. syna nazwał jeszcze z germańska Tilmann (Przydatny), ale córkom, które przyszły na świat w 1959 i 1967 r., dał starotestamentowe imiona Rebeka i Judyta. Uważał, że po katastrofie Auschwitz Niemcy powinni przyjąć perspektywę tych, którzy uniknęli Zagłady. Po latach australijski historyk Anthony Dirk Moses nazwie to swoistym mesjanizmem, „republikanizmem odkupienia".

Długi marsz przez instytucje

O sobie mawiał, że jest wychowankiem powojennej anglosaskiej *reeducation*. I w centrum swych społecznych teorii stawiał „proces uczenia się". Jak wielu z „pogruchotanej generacji" uważał, że Ameryka nadaje intelektualny ton Zachodowi. A Francja? Owszem, ale na drugim miejscu. Filozofa komunikacji społecznej nie pociągał lawirancki egzystencjalizm Sartre'a. Jako 30-latek przemierzył Amerykę. W 1967 r. był tam z rodziną na wykładach w czasie protestów przeciwko wojnie wietnamskiej, Czarnych Panter, Nowej Lewicy, hipisów.

Wracając do Frankfurtu, do Instytutu Badań Społecznych, wpadł w sam środek burzy. Żądający reform studenci zrywali wykłady. Adorno, który w teorii piętnował represywne funkcje państwa, teraz wezwał policję. Na znak protestu oburzone studentki odsłoniły piersi, a on uznał to za akt agresji i uciekł w popłochu. Wkrótce zmarł na zawał. Na jego miejsce w Instytucie Habermas zaproponował wtedy Leszka Kołakowskiego, ale nie zgodzili się na to studenci i asystenci. Autor „Człowieka bez alternatywy" był dla nich – w czasach mody na „Czerwoną książeczkę" Mao – renegatem. W 1977 r. Kołakowski – już po publikacji krytycznych „Głównych nurtów marksizmu" – otrzyma we Frankfurcie prestiżową Nagrodę Pokojową Księgarzy Niemieckich. W 2001 r. jej laureatem zostanie także Habermas.

Mógł być *porte parole* zrewoltowanego pokolenia '68, bo także sprzeciwiał się koalicji socjaldemokratów z chadekami i ustawom wyjątkowym. Sympatyzował jednak z umiarkowanymi. I gdy po pogrzebie studenta zastrzelonego przez policjanta padło wezwanie do tworzenia „partyzantki miejskiej", przestrzegał przed „lewicowym faszyzmem", co wystarczyło, by dla radykałów stał się „zasranym liberałem". Z czasem jednak większość tej formacji przyznała mu rację, wybierając reformy „długiego marszu przez instytucje" zamiast metod terrorystów z Frakcji Czerwonej Armii.

1968 r. zachwiał jednak szkołą frankfurcką, a Habermas wkrótce usunął się do Instytutu Maxa Plancka, gdzie pracował nad teorią późnego kapitalizmu i przewidywaniem coraz częstszych kryzysów zachodnich społeczeństw.

Mroczny, obcy, ale modny

Zwieńczeniem jego dorobku okazała się fundamentalna „Teoria działania komunikacyjnego" (1981 r.), szybko przetłumaczona zarówno w Ameryce, jak i w otwierających się na świat Chinach. W Niemczech rozważania Habermasa nad porozumieniem wyparły z dyskursu młodej inteligencji egzystencjalizm i psychoanalizę. Wprawdzie jego wykłady początkowo wydawały się „mroczne, obce i skomplikowane", z czasem jednak zaczęto „mówić Habermasem" o dyskursie „wolnym od dominacji". Na tej fali powstał modny neologizm *ausdiskutieren* („wydyskutować") – zachęta do teoretycznego gadulstwa, ale i do wypowiadania się w nieformalnych grupach, uczenia się, że kompromisy nie muszą być zgniłe, a konflikty trzeba umieć wyartykułować i wytrzymać...

W 1984 r. znów wrócił na frankfurcki uniwersytet, z rozdrażnieniem obserwując konserwatywny zwrot w republice Helmuta Kohla. W 40. rocznicę zakończenia wojny kanclerz wymusił na prezydencie Reaganie wspólną wizytę na cmentarzu, gdzie pochowano także żołnierzy Waffen-SS, co odebrano jako próbę zastąpienia świadomego przepracowywania niemieckiej winy bezrefleksyjnym „pojednaniem ponad grobami". A gdy latem 1986 r. uznany historyk z otoczenia kanclerza powtórzył, że Auschwitz to skutek Gułagu, a wyjątkiem na tle wcześniejszych ludobójstw były tylko komory gazowe, Habermas eksplodował. W eseju na łamach „Die Zeit" zarzucił konserwatywnym historykom burzenie oświeceniowego projektu Republiki Federalnej, opartej na krytycznej analizie przeszłości i poczuciu odpowiedzialności za przyszłość. Jego zdaniem tradycyjny patriotyzm etniczny Niemcy powinni zastąpić „patriotyzmem konstytucyjnym" – przywiązaniem do uniwersalnych wartości zapisanych w ustawie zasadniczej.

Wtedy Habermas wygrał ten głośny „spór historyków". Pojęcie „patriotyzmu konstytucyjnego" zrosło się z Habermasem i obok „rewolucji nadganiającej" czy „demokracji deliberatywnej" weszło do naukowego i publicystycznego obiegu daleko poza Europą.

Jesień ludów w 1989 r. drastycznie wyostrzyła pytanie „Jakie Niemcy w jakiej Europie?". Jak wielu lewicowych intelektualistów z bońskiej republiki Habermas nie spieszył się do zjednoczenia kraju. Bywał w NRD, udzielił obszernego wywiadu POLITYCE, ale to nie był jego świat. Po upadku muru obawiał się, że przyłączenie do Republiki Federalnej autorytarnych Niemców, którzy nie przeszli zachodniej socjalizacji, może zagrozić niedokończonemu projektowi republiki. Wybitna enerdowska pisarka Christa Wolf wytknie mu „ignorancję", pojawią się też zarzuty „reńskiego separatyzmu" zachodnioniemieckiej lewicy. ▶

eprasa.pl 1719f564a1

▶ W końcu Habermas pogodził się ze zjednoczeniem. Uznał zasługi Adenauera w uwiązaniu Niemiec na Zachodzie oraz zdecydowaną wolę Kohla wpisania ich w jednoczącą się Europę i sojusz atlantycki. Przestrzegał przed bezdusznym „patriotyzmem D-Marki" i wschodnioniemieckim pędem do zjednoczenia dla wyższego standardu życia. Jeśli już, uważał, to powinno się ono dokonać nie w drodze przyłączenia NRD do bońskiej republiki, lecz poprzez uchwalenie nowej, wspólnej konstytucji. Jednak wtedy to Kohl miał rację: trzeba było działać szybko, bo pucz na Kremlu mógł zatrzasnąć „okno historii", a spory konstytucyjne mogłyby się ciągnąć latami.

Niedokończona nowoczesność

Habermas nie ogłaszał po rozpadzie ZSRR „końca historii", globalnego triumfu oświecenia, mówił jedynie o „niedokończonym projekcie nowoczesności". W Ameryce Clintona był rozchwytywany. W Japonii w 2003 r. otrzymał Nagrodę Kioto – azjatyckiego Nobla. Jego wykłady w Pekinie i Szanghaju wywołały intelektualne szaleństwo w Chinach, a sformułowania takie jak „kolonizacja życia" stały się modnym wytrychem. A w Niemczech czerwono-zielonej koalicji 1997–2005 sprawiał wręcz wrażenie „filozofa państwowego".

W eseju „Zachód podzielony" z 2004 r. nadzieję na oświeceniowy projekt obywatelski wiązał z Europą. Protesty przeciwko wojnie Busha z Saddamem powitał jako narodziny europejskiej opinii publicznej. Ale Europa pękała na „starą" i tę „nową", która – od niedawna w NATO – uważała, że powinna stanąć przy amerykańskim hegemonie.

W lgnącej do struktur euroatlantyckich Polsce lat 90. Habermasa traktowano z wielką estymą, a „patriotyzm konstytucyjny" – z nadzieją. Był tłumaczony, czytany i cytowany z równym zapałem jak w Ameryce i Chinach. Zarazem na naszej prawicy narastało zainteresowanie „rewolucją konserwatywną" i adwersarzami Habermasa – Heideggerem i Schmittem. Kilku jego dawnych tłumaczy uzasadniało potem na forum UE słuszność demontażu ładu konstytucyjnego w Polsce w imię „suwerennej demokracji".

Między wiedzą a wiarą

Z zaskoczeniem przyjęto w 2004 r. publiczną debatę „metafizycznie niemuzykalnego" Habermasa z kardynałem Ratzingerem – późniejszym papieżem Benedyktem XVI. Konserwatyści zgryźliwie twierdzili, że wróciła koza do woza, a radykalni racjonaliści – że „wbił oświeceniu nóż w plecy". Ani jedno, ani drugie. Habermas w Akademii Katolickiej mówił, że także ateiści są w stanie przekładać język teologii na ten publicznie zrozumiały.

I takie też było założenie dwutomowej „Także historii filozofii", którą Habermas sprawił sobie prezent na 90. urodziny. Ta analiza przenikania wiary i wiedzy, powiązań między myśleniem teologicznym i filozoficznym od starożytności po XX w. ukazała się w czasie pandemii i była czytana jak komentarz do bezradności świata wobec nowych wyzwań. Nigdy wcześniej – mówił w 2020 r. Habermas w wywiadzie dla „Frankfurter Rundschau" – nie mieliśmy tak głębokiej świadomości własnej niewiedzy, a zarazem tak silnego przymusu działania – już bez wiary w wyraźny postęp czy cel historii.

Pod koniec życia Habermas zamykał krąg swoich ścieżek. Esejem „Strukturalna przemiana opinii publicznej" (2022 r.) wrócił do swej przełomowej habilitacji, ale już w erze mediów cyfrowych i sztucznej inteligencji. Przypominał, że dawny model „mieszczańskiej sfery publicznej", oparty na racjonalnej wymianie argumentów w kawiarniano-salonowej debacie prasowej, uległ erozji pod naporem mass mediów. A internet i media społecznościowe dodatkowo rozbijają wspólną przestrzeń debaty na izolowane bańki komunikacyjne. Zamiast wspólnej opinii publicznej powstaje wiele równoległych mikropubliczności, rzadko się ze sobą komunikujących. Zanika deliberacja – jako rozumna wymiana poglądów. Dominuje podkręcanie emocji, polaryzując i pobudzając szybkie reakcje, a nie refleksję i uzasadnianie stanowisk. Coraz trudniej wypracowywać wspólną wolę polityczną. Słabnie filtr jakości w postaci tradycyjnego dziennikarstwa. A na pierwszy plan wysuwają się platformy cyfrowe, kierujące się nie logiką debaty, lecz algorytmami przyciągania uwagi użytkownika, co sprzyja dezinformacji i destabilizuje sferę publiczną. Ale nie wszystko jest stracone. Demokracja deliberatywna, kończył Habermas, nadal jest możliwa, choć wymaga instytucjonalnej regulacji platform cyfrowych, wzmocnienia jakości mediów oraz utrzymania archipelagu racjonalnej debaty w parlamentach, trybunałach i poważnych mediach. Gorzka konstatacja tego „na starość subiektywnego pesymisty".

Na początku XXI w. przeciwstawiał się neokonserwatywnej fali po obu stronach Atlantyku. Jednak aneksję Krymu w 2014 r. zbagatelizuje, a jawny najazd Rosji Putina na Ukrainę w 2022 r. wprawdzie potępi, ale nakłaniając do negocjacji z Moskwą i przestrzegając przed militarną pomocą dla Kijowa. Wielu tym rozczaruje i oburzy. A po jego śmierci politolog Claus Leggewie przytoczy reprymendę Adama Michnika, wytykającego filozofowi w 1993 r. na naszych łamach to, że nie rozprawiał się ze stalinizmem i mało interesował naszą częścią Europy.

Odtąd musimy iść sami

Ostatni esej Habermasa, opublikowany w „Süddeutsche Zeitung" w listopadzie 2025 r. tekst „Odtąd musimy iść sami", brzmi jak testament. Geopolityczne przesunięcia w świecie Xi, Putina i Trumpa oraz rozpad sojuszu atlantyckiego nasuwają pytanie, czy Europa jest w stanie być niezależnym, sprawnym i zdolnym się utrzymać podmiotem. „Wprawdzie nowe państwa członkowskie na wschodzie UE najgłośniej wzywają do zbrojeń, są jednak najmniej skłonne do ograniczenia własnej suwerenności narodowej na rzecz takiego wspólnego wzmocnienia. Dlatego taka inicjatywa musiałaby wyjść od zachodnich państw unijnych, a przy obecnej słabości Francji i powściągliwości narodowo nastawionego rządu włoskiego – zwłaszcza od Niemiec. Bodźcem mogłyby być rozpoczęte prace nad rozwojem wspólnej europejskiej obrony".

Habermas pozostawił ogromny dorobek. Obok niełatwych w recepcji prac teoretycznych jest kilkadziesiąt tomików przejrzystych „małych pism politycznych", poruszających kluczowe problemy polityki, nauki i kultury. Jego sformułowania przez dziesięciolecia nadawały ton i kierunek publicznym debatom. Jego myśl była żywo odbierana na Wschodzie i na Zachodzie, a jego filozofia komunikacji społecznej znakomicie rezonowała z epoką globalizacji. Co prawda pod koniec życia z irytacją i przygnębieniem stwierdzał, że wahadło wraca w kierunku lat 30., ale to żaden koniec – ani historii, ani demokracji.

ADAM KRZEMIŃSKI

eprasa.pl 1719f564a1

ZAMACH STANU CZY SANACJA?



Wydanie powstało przy współpracy z Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku

Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku

W sprzedaży

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 1719f564a1

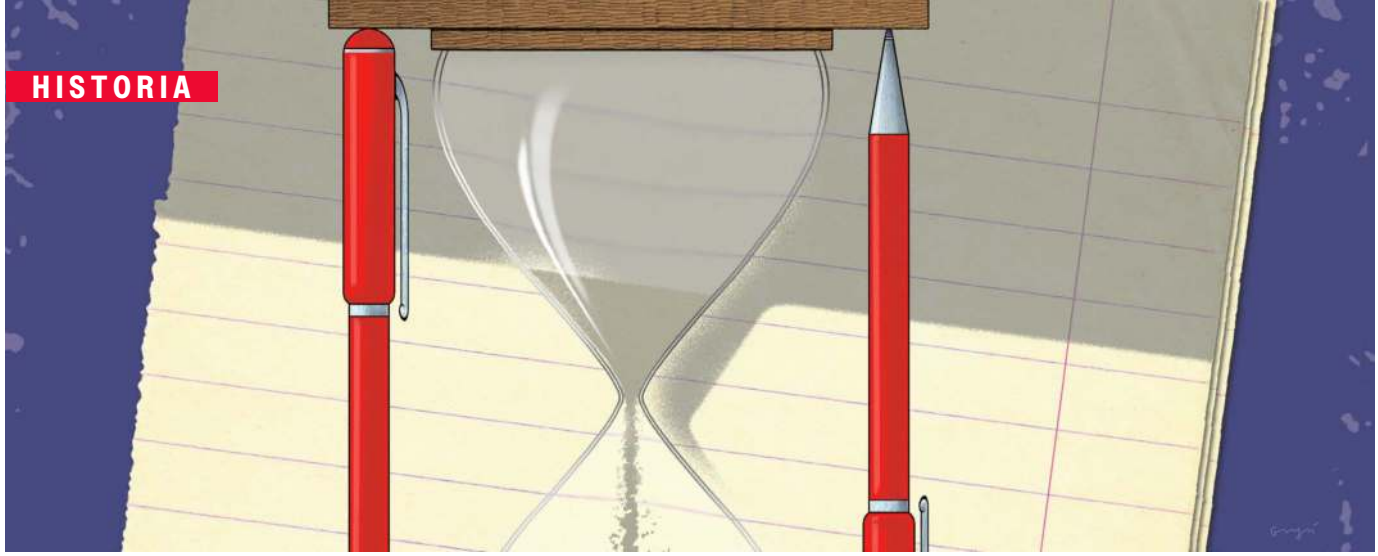

ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

HISTORYCZNE KSIĄŻKI ROKU 2025

Przedstawiamy tegoroczne nominacje do Nagród Historycznych POLITYKI im. Mariana Turskiego za książki wydane w 2025 r.

Gdy na fali postalinowskiej „odwilży" przed polską historiografią zaczęły otwierać się nowe możliwości i szanse na przełamanie socrealistycznych schematów, fałszów i ideologicznych zaklęć, redakcja POLITYKI za namową Mariana Turskiego zaczęła corocznie przyznawać swoje Nagrody Historyczne. Były wręczane za książki poświęcone najnowszej historii Polski, najmocniej zdewastowanej w pierwszej połowie lat 50., w tym dziejom II RP, historii Żydów polskich i Holokaustu.

Od początku, przez 65 lat, na czele kapituły wybierającej najlepsze publikacje stał Marian Turski – aż do swojej śmierci w lutym ub.r. Od tamtej pory Nagrody Historyczne POLITYKI noszą jego imię.

W skład kolejnych kapituł wchodzili wybitni historycy z wielu ośrodków, lista nazwisk jest imponująca. Jak i lista laureatów oraz ich książek. Uskładałaby się wielka wspaniała biblioteka.

Oczywiście – przynajmniej do 1989 r. – koniunktury polityczne na przemian zawężały i poszerzały możliwości badań i swobodnego publikowania. Niemniej Nagrody POLITYKI zawsze cieszyły się uznaniem środowiska naukowców i popularnością u czytelników.

Opisanie tego zasobu, jaki tworzyły i nadal tworzą nasze nagrody, byłoby sporym wkładem w historiografię Polski. Przez lata obserwujemy, jak zmienia się zakres historii najnowszej; 60 lat temu mieściło się w nim powstanie styczniowe, nic więc dziwnego, że w pracach kapituły brał czynny udział prof. Stefan Kieniewicz, autor książki „Powstanie styczniowe". Dzisiaj tę granicę wyznacza początek XX w.

W tym roku kapituła spośród 200 zgłoszonych przez wydawców książek rekomenduje do głównych nagród 13. W tym numerze POLITYKI prezentujemy nominacje w kategoriach: prace naukowe, popularnonaukowe oraz debiuty. Za tydzień przedstawimy nominacje w kategoriach: źródła i pamiętniki. A 13 maja ujawnimy laureatów.

WIESŁAW WŁADYKA

KATEGORIA: PRACE NAUKOWE

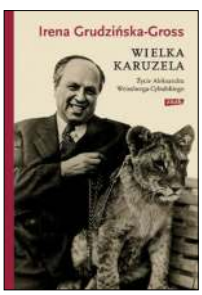

Irena Grudzińska-Gross, **Wielka karuzela. Życie Aleksandra Weissberga-Cybulskiego**, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2025

Lucky man – tak również mogłaby być zatytułowana ta książka. Jej bohater miał bowiem niespotykane szczęście wychodzenia z najgorszych opresji. Aleksander Weissberg-Cybulski urodził się na początku XX w. w Krakowie, po kilku latach jego żydowska rodzina przeniosła się do Wiednia, gdzie studiował matematykę i fizykę. Komunizował, więc w 1931 r. wyjechał do ZSRR. Aresztowany podczas Wielkiej Czystki, przeżył. NKWD wydało go Niemcom w styczniu 1940 r. Peregrynował między więzieniami, by trafić do getta w Krakowie, z którego uciekł. Bezbłędnie władając niemieckim, zbił fortunę na czarnym rynku, handlując z Niemcami. Aresztowany znów trafił na Pawiak. Nie mam więcej miejsca, by streszczać całą jego historię, świetnie opowiedziała ją Irena Grudzińska-Gross, wykorzystując źródła o Weissbergu z archiwów na całym świecie.

MARCIN ZAREMBA

eprasa.pl 1719f564a1



Paweł Machcewicz, **„Partyzanci" Moczara. Narodowy komunizm po polsku**, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2025

Wydawałoby się, że o Mieczysławie Moczarze i jego „partyzantach" napisano już o ile nie wszystko, to wystarczająco dużo. Paweł Machcewicz dowodzi, że jednak nie. Jego książka nie jest tylko rekonstrukcją personalnych zależności (np. Mieczysława Moczara i Władysława Gomułki), walki o władzę oraz politycznych przetasowań, ale przede wszystkim skrupulatną analizą metod oddziaływania „partyzantów" na polską świadomość lat 60. Na sferę idei, symboli i zbiorowych emocji.

To fascynujący i ważny wycinek z długiej historii polskich lęków, politycznego zarządzania pamięcią, nacjonalizmu i antysemityzmu. Ale także historii wykorzystywania książki i nowoczesnych mediów dla celów ideologicznych.

BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA



Karolina Panz, **Chciałabym opowiedzieć jak zginęło miasto... Zagłada żydowskich mieszkańców Nowego Targu**, Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Warszawa 2025

W sklepach cynamonowych można znaleźć ognie bengalskie, szkatułki czarodziejskie i korzeń mandragory. W sklepie Singera w Nowym Targu do kupienia były galanteria żelazna i materiały budowlane. A jednak Karolina Panz, opisując świat podhalańskich Żydów, ociera się o magię. Wydobywa detale, które, wydawałoby się, są nie do odtworzenia, postaci, o których zapomniano. Hania Gutfreud była kobietą silną, drobną i niewysoką. Erna Engländer uwielbiała eleganckie stroje i biżuterię. Żydowski Nowy Targ przed drugą wojną światową tętnił życiem. Miał i ciemną stronę: antysemityzm. Nikt w polskiej historiografii w ten sposób nie wyczarował żydowskiego miasta i nie opisał jego zagłady, jak zrobiła to autorka. Odnosi się wrażenie, że każdą osobę otacza uważnością, śledząc jej losy i śmierć.

MARCIN ZAREMBA

KATEGORIA: PRACE POPULARNONAUKOWE

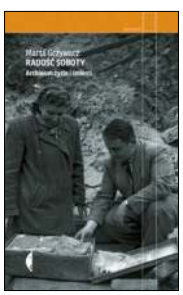

Marta Grzywacz, **Radość Soboty. Archiwum życia i śmierci**, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025

Archiwum getta warszawskiego doczekało się wybitnej książki reporterskiej, która przywraca zbiorowej pamięci sylwetki członków konspiracyjnej grupy Oneg Szabat (Radość Soboty). Spotkali się pierwszy raz prawdopodobnie w szabat 5 października 1940 r. W imię ocalenia pamięci o ginącym żydowskim świecie, w mieszkaniu Emanuela Ringelbluma zasiedli wówczas przy jednym stole ludzie, którym na co dzień było do siebie bardzo daleko. Ortodoksi obok działaczy lewicy i syjonistów. Ci, którzy mówili w jidysz, obok tych, których językiem był polski albo hebrajski. Marcie Grzywacz udała się rzecz bardzo trudna: w poruszający sposób połączyła biografię Emanuela Ringelbluma z biografią zbiorową środowiska, dbając o to, by postać historyka nie przesłoniła losów jego współpracowników i współpracowniczek.

BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA



Kamil Piskała, **Zredukowani. O społecznych skutkach Wielkiego Kryzysu**, Muzeum Historii Polski, Warszawa 2025

Perspektywę autora książki pokazuje zamieszczony na jej początku obraz Wojciecha Weissa „Ecce homo". W centrum opowieści jest człowiek żyjący w rzeczywistości określanej mianem wielkiego kryzysu. Siła tej książki tkwi w nagromadzeniu w niewielkiej przestrzeni – ok. 200 stron – opisów bezsilności, rozpaczy, codzienności bezrobotnych. Ich prób radzenia sobie z biedą, nieudolności państwa, informacji o przestępstwach popełnionych z „nędzy i desperacji" przez uczciwych dotąd obywateli. Gęsty opis daje wyobrażenie wielkości i głębi ekonomicznej zapaści. Ciekawe obserwacje, wciągający sposób pisania pozwalają czytelnikowi poznać także ciemniejsze strony młodej, niepodległej ojczyzny, w której zapałkę dzielono na czworo, „mimo że Gdynia się rozbudowywała".

BOŻENA SZAYNOK



Antonina Tosiek, **Przepraszam za brzydkie pismo. Pamiętniki wiejskich kobiet**, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025

Antonina Tosiek szacuje, że między 1933 a 1995 r. w konkursach pamiętnikarskich wzięło udział ok. 90 tys. kobiet. Najstarsza urodziła się w latach 80. XIX w., a najmłodsza dokładnie sto lat później. Tosiek postanowiła opowiedzieć o życiu kobiet tak, by po pierwsze, nie zagłuszyć ich własnych opowieści, a po drugie – by nie budować obrazu „typowej wiejskiej kobiety". Autorka wykorzystała 812 świadectw – pisanych często w ukryciu, z pomocą dzieci, na podniszczonym papierze – i napisała przejmującą książkę o kobiecym doświadczaniu codzienności oraz praktyce pisarskiego dokumentowania życia. Praktyce, która stanie się jednym z dowodów kobiecej i wiejskiej emancypacji w XX-wiecznej Polsce.

BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA ▶

eprasa.pl 1719f564a1

KATEGORIA: DEBIUTY W PRACACH NAUKOWYCH I POPULARNONAUKOWYCH



Agnieszka Kajczyk, **Kinor. Filmy żydowskie w powojennej Polsce 1945–1950. Geneza, konteksty, znaczenia**, Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 2025

Od kilku dekad poznajemy życie społeczności żydowskiej w Polsce po Zagładzie. Nominowana książka prowadzi nas w przestrzeń, mniej do tej pory poznaną, powojennego filmu żydowskiego. Autorka opowiada także o początkach żydowskiej kinematografii w niepodległej Polsce. Pokazuje losy jej twórców, aktorów i reżyserów w czasie wojny, tych w getcie i tych „na froncie". Dwie biografie: Michała Waszyńskiego (filmowca w armii gen. Andersa) i Aleksandra Forda (w Dywizji Kościuszkowskiej) ciekawie pokazują zróżnicowane żydowskie życiorysy. Książka oprowadza nas po świecie żydowskich filmowców, opisuje ich pracę w cieniu Zagłady.

Tytułowy Kinor to żydowska spółdzielnia, producent filmów o ocalałych ludziach i ich instytucjach. O Żydach na Dolnym Śląsku, Organizacji Rozwoju Twórczości, Towarzystwie Ochrony Zdrowia, o Joincie, czyli amerykańsko-żydowskiej organizacji pomocowej, czy początkach dyplomatycznych relacji między Polską i Izraelem, Filmów, które „nie miały szczęścia" – odłożone na półkę, zostały zapomniane. Nominowana książka przywraca pamięć o nich.

BOŻENA SZAYNOK

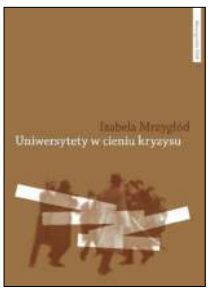

Izabela Mrzygłód, **Uniwersytety w cieniu kryzysu. Nacjonalistyczna radykalizacja studentów Warszawy i Wiednia w okresie międzywojennym**, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, seria: Monografie Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, Toruń 2025

Autorka wzięła na warsztat uniwersytety w Wiedniu – po 1918 r. zdegradowanym z pozycji centrum imperium do stolicy niewielkiego kraju – oraz w Warszawie, która z poziomu miasta gubernialnego awansowała na stolicę państwa o mocarstwowych zapędach. Przez całe międzywojnie zarówno Austria, jak i Polska znajdowały się w kryzysie łagodniejącym jedynie na krótko. Soczewkami skupiającymi jego skutki były uniwersytety, a zwłaszcza studenci, podatni na radykalizmy zarówno lewicowe, jak i skrajnie prawicowe. Na obu analizowanych uczelniach dominującą pozycję zyskała nacjonalistyczna prawica, której przyświecał podobny cel – wykluczenie Żydów. Izabela Mrzygłód wirtuozersko opisuje proces radykalizacji studentów, jego narzędzia i metody, od haseł i kreowania bohaterów po brutalną przemoc fizyczną. Ta debiutancka praca jest nie tylko dojrzałym dziełem naukowym, ale też ważnym *memento*.

JERZY KOCHANOWSKI

Nominowało jury w składzie:
dr hab. Barbara Klich-Kluczewska, prof. dr hab. Jerzy Kochanowski, prof. dr hab. Dariusz Stola, dr hab. Bożena Szaynok, prof. dr hab. Wiesław Władyka (przewodniczący), dr hab. Marcin Zaremba.

Partner Główny Nagród Historycznych POLITYKI

Enea

Partner Nagród Historycznych POLITYKI

Deutsches Historisches Institut Warschau
Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie

Mecenasi Nagród Historycznych POLITYKI

Dantex

zaKS sprzyjamy wyobraźni

ABUR Systemy automatyki

eprasa.pl 1719f564a1



© MUZEUM CZARTORYSKICH W KRAKOWIE/GETTY IMAGES

Portret Anny Jagiellonki wykonany w warsztacie Lucasa Cranacha Młodszego w 1555 r. pokazuje jej podobieństwo do pradziadka Władysława Jagiełły

Twórczyni królów

Płacz, kłótnie o pieniądze i słaba frekwencja. Ślub oraz koronacja Anny Jagiellonki i Stefana Batorego 450 lat temu były dalekie od królewskiego ideału.

TOMASZ TARGAŃSKI

W katedrze wawelskiej 1 maja 1576 r. Anna Jagiellonka wyszła za mąż za księcia Siedmiogrodu Stefana Batorego, a następnie oboje zostali koronowani na władców Polski. Po raz drugi i ostatni w naszych dziejach na króla koronowano kobietę (pierwsza była Jadwiga Andegaweńska). Jagiellonka włożyła na tę okazję wspaniałą białą suknię, obszytą i obwieszoną niezliczonymi klejnotami. Samej uroczystości daleko było jednak do królewskiej pompy.

Wszystko działo się w atmosferze skandalu i w samym środku kryzysu konstytucyjnego. W Rzeczpospolitej wciąż panował chaos. Po ucieczce z kraju króla Henryka Walezego ogłoszono bezkrólewie, które zakończyło się podwójną elekcją w 1575 r. Prymas Jakub Uchański i senatorowie – bez zgody zgromadzonej na polu elekcyjnym szlachty – ogłosili władcą Maksymiliana II Habsburga.

Doszło do tumultu, w odpowiedzi szlachta pod kierownictwem Jana Zamoyskiego wybrała na króla Annę Jagiellonkę. Za jej współmałżonka obrała zaś wojewodę siedmiogrodzkiego Stefana Batorego. Tego wyboru nie uznały Litwa i Prusy Królewskie. Nie było wiadomo, kto dokona koronacji, ponieważ wedle tradycji ceremonii tej zawsze przewodniczył prymas, a Jakub Uchański jako stronnik Habsburgów ani myślał wkładać koronę na głowę Węgra.

Awantura o kasę

Pod koniec kwietnia, kiedy Anna i Stefan zjechali do Krakowa, problemy zaczęły się piętrzyć. Sprzeciw prymasa spowodował, że strażnik skarbca koronnego na Wawelu odmówił wydania insygniów koronacyjnych. Anna ratowała sytuację, oddając Batoremu na ten cel prywatną koronę Jagiellonów, tzw. koronę węgierską, którą otrzymała w spadku po bracie Zygmuncie Auguście. Jakby tego było mało, szlachta postawiła Annie jeszcze jeden warunek. Miała się zrzec reszty spadku po ostatnim Jagiellonie, a majątek króla miał przejść na własność państwa.

Ów spadek obejmował zarówno liczne dobra ziemskie na Podlasiu, jak i cenne kosztowności. Nuncjusz papieski Berardo Bongiovanni podawał, że najdroższe klejnoty króla warte były ok. 1,13 mln srebrnych skudów, czyli ponad 150 tys. ówczesnych złotych. Bongiovanni wspominał też o 5 tys. lub 15 tys. funtów pozłacanego srebra zdeponowanego w skarbcu w Tykocinie. Do tego dochodziły królewskie zbroje, z których wiele miało bajeczne zdobienia, oraz bogata garderoba monarchy, który za życia znany był wśród rodaków jako ikona renesansowej mody.

Wartości tych ruchomości nie sposób wycenić – historycy szacują je na 250 do 430 tys. zł – nie wspominając o dziesiątkach tysięcy złotych rocznego dochodu z dóbr ziemskich (dla porównania kontrybucja, jaką Batory ściągnął z Gdańska, wynosiła 200 tys. zł, co wystarczyło na sfinansowanie ▶

eprasa.pl 1719f564a1

▶ zaciągów na wojnę z Moskwą). Cały ten spadek po bracie czyniłby Jagiellonkę najbogatszą osobą w królestwie. A szlachta bała się, że mając w ręku taki majątek, zechce ona odgrywać rolę polityczną i tworzyć swoje stronnictwo.

Nerwowe dni poprzedzające koronację poprzedziły więc targi o pieniądze. Szlachta domagała się dopełnienia formalności jeszcze przed uroczystością. Pamiętnikarz Świętosław Orzelski zapisał, że Jagiellonka początkowo ani myślała ustępować: „miotana gniewem i żalem [...] zalała się łzami". Koronację odsunięto. Minął dzień, potem drugi, szlachta trwała przy swoim. Wreszcie Jagiellonka uległa. Lecz podsunięcie jej dokumentu do podpisu pod taką presją, tuż przed obrzędem koronacji, do tego publicznie, na oczach wszystkich, jakby jej nie dowierzano, zapamiętała do końca życia jako niewybaczalną zniewagę.

Również frekwencja w Krakowie okazała się marna. Spośród 140 senatorów stawiło się tylko 38. W pewnej chwili sam Batory zaczął się wahać. Obawiał się, że koronacja pod nieobecność prymasa i wielkiej części dostojników może zostać uznana za nielegalną. Ostatecznie zdecydował się zaryzykować. Korony na głowy królewskiej pary włożył biskup kujawski Stanisław Karnkowski. Wbrew tradycji obyło się bez hucznych uczt, festynów, turniejów i tysięcy gości.



Stefan Batory przedstawiony na posążku z XIX w.

Samotna królewna

Nie da się powiedzieć, by Anna Jagiellonka miała szczęście w miłości. Najpierw planowano jej ślub z Henrykiem brunszwickim, ale ostatecznie wydano za niego jej siostrę Zofię. Historia powtórzyła się w przypadku księcia Finlandii Jana Wazy. Gdy jego posłowie przyjechali do Polski, obejrzeli zarówno liczącą wówczas niemal 40 lat Annę, jak i jej trzy lata młodszą siostrę Katarzynę. Ostatecznie Szwedzi wybrali tę drugą. Były jeszcze nadzieje na wydanie Anny za innego Wazę – Magnusa, ale szwedzki król przestraszył się, że jego bracia dzięki małżeństwom z polskimi królewnami zbytnio zyskają na znaczeniu.

Anna została więc w Polsce sama. Problemem w znalezieniu kandydata na męża był nie tylko wiek, ale i kwestia posagu. Król Zygmunt August nie miał zamiaru wyposażyć sióstr, jak przystało na kobiety ich urodzenia. W pewnym momencie jej stosunki z bratem tak się zepsuły, że przeniosła się z Krakowa na Mazowsze. Hołdująca surowym zasadom moralnym królewna nie mogła ponoć znieść swobodnego stylu życia brata. Jego małżeństwo z Barbarą Radziwiłłówną i późniejsze romanse budziły jej zgorszenie.

Wydawałoby się, że śmierć Zygmunta Augusta była dla niej uśmiechem losu. Z miejsca stała się najbardziej atrakcyjną partią w Europie, ponieważ ślub z nią był warunkiem objęcia polskiego tronu. Jagiellonka gorąco wsparła kandydaturę 23-letniego francuskiego księcia Orleanu Henryka. Jej poparcie w dużej mierze przechyliło szalę zwycięstwa na jego korzyść na polu elekcyjnym. Walezemu, kiedy zjawił się już w Polsce, niespieszno było jednak do ślubu ze starszą o 28 lat kobietą. Szlachta – zadowolona, że ma króla – również niespecjalnie go do tego nagliła.

W listach kierowanych do siostry Zofii, księżnej brunszwickiej, Anna dawała upust swoim frustracjom i poczuciu osamotnienia w tamtym czasie. Skarżyła się na spychanie jej na margines, a nawet wyolbrzymiała swoją trudną sytuację, pisząc dramatycznie, że „nie ma co jeść". Z drugiej strony wyłania się z tej korespondencji obraz Jagiellonki jako wnikliwej obserwatorki życia dworskiego. Szczegółowo relacjonowała postępowanie Walezego. Opisywała, o której godzinie król wraca do zamku oraz kto i jakimi drogami wkrada się w jego łaski. Jej upokorzenie osiągnęło szczyt, gdy w czerwcu 1574 r. – na wieść o śmierci brata i pustym francuskim tronie – Henryk Walezy wyjechał z Polski. Annie uciekł sprzed nosa kolejny narzeczony.

Matrymonialne niepowodzenia doprowadziły kronikarzy, a w ślad za nimi historyków do wniosku, że Jagiellonka nie była fizycznie atrakcyjna. Zdaniem prof. Marii Boguckiej, autorki biografii królowej, królewna była bardzo podobna do swojego pradziadka Władysława Jagiełły. Miała wysokie czoło, spiczasty podbródek, wąskie zaciśnięte usta. Znany portret wykonany w 1555 r. w warsztacie Lucasa Cranacha Młodszego zdaje się potwierdzać te cechy. Zaprzecza jednak pomówieniom o brzydotę. Głównym powodem niepochlebnych opinii o jej wyglądzie niemal na pewno było staropanieństwo. Kobiety, które pozostały niezamężne – nawet jeśli cieszyły się wysokim statusem – tradycyjnie przedstawiano wówczas w jak najgorszym świetle.

Król niemalowany

Daleki od ideału ślub ze Stefanem Batorym okazał się zapowiedzią jeszcze mniej udanego małżeństwa. Pieniądze były pierwszą, ale niejedyną kwestią, która zepsuła nowożeńcom miodowy miesiąc. Kilka tygodni po ślubie Batory udał się do Tykocina, aby obejrzeć i w imieniu Rzeczpospolitej objąć w posiadanie skarby po Zygmuncie Auguście. Niedługo potem wszystko zapakowano na 20 ciężkich wozów, z których każdy zaprzężony był w 10 koni, i wywieziono do Warszawy. W zamian za zrzeczenie się spadku Jagiellonka miała otrzymać oprawę w postaci dóbr ziemskich. Okazało się jednak, że dzierżawcy tych majątków ociągali się z zapłatą należnych królowej części dochodów. Co więcej, sejm przez całe cztery lata nie wyznaczył dokładnie, jakie majątki wchodzą w skład oprawy. Dokument w tej sprawie Batory wydał dopiero w styczniu 1580 r., ale uwzględnione w nim dobra królowa uznała za niewystarczające. Wniosła oficjalny protest. Król

© MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

eprasa.pl 1719f564a1

tłumaczył się, że bez zgody sejmu niewiele może zrobić, ale w końcu uległ i rozszerzył oprawę o kilka bogatych starostw.

Królewskim małżonkom nie układało się również w sypialni. Po ślubie młodszy o dekadę Batory spędził z Anną dwie lub trzy noce, ale na tym koniec. Dwór huczał od plotek. Królowa chciała wziąć sprawy w swoje ręce i sama chodziła do monarszej alkowy. Ale wierni dworzanie uprzedzali króla o jej wizytach i Batory się tam nie pojawiał. Zdarzało się, że małżonka czekała na niego kilka godzin, co znów naraziło ją na śmieszność.

Nawet pod względem politycznym król i królowa nie stanowili zgranego tandemu. Formalnie Anna zajmowała pozycję równorzędną wobec męża. Początkowo próbowała nawet uzyskać nad nim przewagę – prosiła zagranicznych posłów, aby to jej w pierwszej kolejności przedstawiali swoje legacje. Poczynania królowej bez ogródek ocenił Jan Hlebowicz, kasztelan miński, pisząc: „O pannie Annie nic dobrego spodziewać się nie należy. Widzę jako chłopa dopadła, gębę nosi wysoko i hardo, ale widzę po samym [Batorym – przyp. aut.], że go rządzić nie będzie, bo prawy chłop i nie byle trwoga, widzi mi się, że sobą nie dał tak bardzo rządzić".

Faktycznie Batory nie dał sobą rządzić. Ani żonie, ani szlachcie. Podczas sejmu w Toruniu w 1576 r. ostro przywołał do porządku posłów, mówiąc: „jestem królem waszym – ani urojonym, ani malowanym". Vincenzo Lauro, nuncjusz papieski w Rzeczpospolitej, zapisał, że królowa była bardzo niezadowolona, „nie mając takiego, jak się spodziewała, autorytetu oraz będąc mało zaspokojona przez towarzystwo małżonka".

Król wciąż podróżował po kraju i toczył wojny. Najpierw zmusił do uległości Gdańsk, a podczas wojny o Inflanty nie dopuścił Iwana Groźnego do Bałtyku. Dał się poznać jako reformator armii. Zrezygnował z pospolitego ruszenia, werbował wojsko zaciężne, szczególnie pułki piechoty, które były przyszłością na europejskich polach bitew. Polacy i Litwini chowali urazę, że król nawet nie próbował uczynić wobec nich jakiegoś gestu, jak pisał prof. Tadeusz Korzon, „nie zbratał się ani mową, ani sercem, ani zażyłem obcowaniem". Batory rzeczywiście nie nauczył się polskiego, porozumiewał się po łacinie, a na dworze otaczał się głównie rodakami. Szlachta zarzucała mu, że myśli jedynie o wojnie z Turcją, którą zamierzał wykorzystać do zjednoczenia swoich ojczystych Węgier. Zmarł w grudniu 1585 r. w wieku zaledwie 53 lat i przeszedł do historii jako jeden z najlepszych polskich królów elekcyjnych.

Ostatnia z rodu

Jego śmierć oznaczała dla Jagiellonki szansę na odegranie – po raz kolejny – kluczowej roli politycznej. Małżeństwo z Batorym pokazało, że miała ambicję, by być kimś więcej niż tylko żoną władcy. Miała wówczas 63 lata, o kolejnym małżeństwie nie mogło być mowy. Ale ponieważ znów znalazła się w centrum uwagi, zrobiła wszystko, by zrealizować wielkie marzenie osadzenia na polskim tronie szwedzkiego królewicza Zygmunta, swojego siostrzeńca i Jagiellona po kądzieli. Natychmiast po śmierci Batorego wysłała na dwór szwedzki swoich dworzan, aby zawiadomić Zygmunta o całej sytuacji. W międzyczasie starała się o poparcie dla przyjazdu młodego królewicza do Polski i promowała jego kandydaturę. Dzięki temu, że miała zapewnione znaczne dochody, nie żałowała pieniędzy. W końcu dopięła swego i Zygmunt królem został, choć nie bez problemów i kolejnej podwójnej elekcji.

Annę Jagiellonkę długo przedstawiano jako dewotkę, nieurodziwą i mało inteligentną. Dziś wydaje się, że jest to obraz niezasłużony. Konsekwentnie przez lata walczyła o swoje „miejsce przy stole". Lekceważona i upokarzana, w końcu zdobyła autorytet, niezależność finansową i potrafiła zrobić z nich użytek, czego tak bardzo obawiała się szlachta. Być może nie była w pełni tego słowa „twórczynią królów" (ang. *kingmaker*) – odegrała jednak kluczową rolę w wyborze trzech pierwszych monarchów elekcyjnych. Kiedy umarła 430 lat temu, w 1596 r., zdano sobie sprawę, że odeszła osoba, która była symbolem ciągłości państwa. Ksiądz Piotr Skarga, wygłaszając mowę pożegnalną na jej pogrzebie, miał powiedzieć, że dała „piękny koniec i zamknięcie domowi jagiellońskiemu".

TOMASZ TARGAŃSKI

Bibliografia: Maria Bogucka „Anna Jagiellonka"; Emil Kalinowski „Walka o spadek. Anna Jagiellonka i Podlasie w latach 1572–1581"; Beata Maciejewska i Mirosław Maciorowski „Władcy Polski: historia na nowo opowiedziana"



KUP TERAZ

Więcej o potędze i zmierzchu dynastii w Pomocniku Historycznym **„JAGIELLONOWIE"**. Wydanie papierowe – **sklep.polityka.pl.** Wersja cyfrowa – **subskrypcja serwisu polityka.pl.**

REKLAMA



Zachęcamy do zapisywania się do nowego newslettera historycznego Polityki

Jakie pytania stawia nam historia dziś?

W każdą środę zaprasza Jakub Halcewicz

polityka.pl/newslettery

eprasa.pl 1719f564a1



film

Wizja księgowych 2/6

Michael, reż. Antoine Fuqua, USA, Wielka Brytania, 127 min, już w kinach

Jeśli ktoś wyjdzie z kina z myślą, że niczego nowego się o Michaelu Jacksonie nie dowiedział – o to mogło chodzić realizatorom najnowszego, gładkiego, płaskiego i nijakiego filmu o gwieździe. Śledzimy w nim karierę króla muzyki pop od dzieciństwa po triumfalną trasę promocyjną płyty „Bad" pod koniec lat 80. Dramat doświadczony scenarzysta John Logan i reżyser Antoine Fuqua budują na trudnej figurze ojca, który trenował swoje dzieci na gwiazdy estrady, a nad Michaelem miał się znęcać fizycznie i psychicznie. Prawdziwymi twórcami filmu wydają się reprezentanci spadkobierców gwiazdy, którzy wyczekali na brak sprzeciwu Josepha Jacksona, hutnika i niedoszłego boksera, a przede wszystkim skutecznego menedżera zespołu The Jackson 5 – bo zaczęli pracę nad filmem dopiero po śmierci ojca rodziny. Bohaterską rolę prawniczego zawadiaki wpisano za to dla zarządzającego majątkiem prawnika Johna Branki (gra go Miles Teller), który wcześniej uciszył konkurencję z HBO Max, doprowadzając do zdjęcia z małego ekranu dokumentalnego serialu „Leaving Neverland" stawiającego Michaelowi zarzuty pedofilskie. To skądinąd ponure, że po raz kolejny – podobnie jak w „Bohemian Rhapsody" o Queen, gdzie mieliśmy postać menedżera Jima Beacha – wykonawca testamentu gwiazdy opłaca laurkę dla samego siebie.

„Michael" przynosi też oczywiście hagiograficzną wizję życia Jacksona, w której nie ma miejsca na złożoność. Dobrze w tej roli wypada Juliano Valdi, grający 10-letniego Michaela. Starszego gra **Jaafar Jackson**, prywatnie bratanek Michaela, który świetnie portretuje ruchy bohatera, ale aktorsko wypada sztucznie – zapewne za sprawą efektów specjalnych i stylizacji (trzeba pokazać zmieniającą się twarz gwiazdora). Twórcy całkiem poświęcają tło: zbiorowa praca nad genialnym „Thrillerem" staje się pracą indywidualną, solowy dziecięcy debiut Jacksona trzeba zignorować dla dobra fabuły, a siostrę Janet wygumkować z filmowej rodziny, skoro prawdziwa Janet nie życzyła sobie siebie na planie. Sceny rekonstruujące estradowe wyczyny Jacksona mają imponować, ale po co komu drogie efekty, skoro można sobie puścić oryginał koncertu czy wideoklipu?

BARTEK CHACIŃSKI

serial

Żar par 3/6

Awantura 2, twórca serii: Lee Sung Jin, 8 odc., Netflix



Dobrze przyjęty i nagrodzony Emmy pomysł sprzed trzech lat – opowieść o potężnych skutkach drobnego zajścia na parkingu wywołującego drogową złość i życiową batalię – przeobraził się w serialową antologię. W drugiej odsłonie oglądamy nową scenerię i nowych bohaterów. Śledzimy konsekwencje groźnie wyglądającej kłótni małżeńskiej menedżera klubu golfowego (Oscar Isaac) i jego żony, projektantki wnętrz (**Carey Mulligan**), których przypadkiem podgląda – i nagrywa – para drobnych pracowników klubu (**Cailee Spaeny** i **Charles Melton**). W tle historii intryg dwóch par, napisanej ponownie przez urodzonego w Seulu Amerykanina Lee Sung Jina, mamy koreańską korporację kupującą klub golfowy i załatwiającą swoje, nie zawsze czyste, interesy. Czarna komedia o eskalującym potoku przypadków (trochę jak „Fargo", tyle że sprowadzone do obyczajowej warstwy) przeobraża się tu coraz mocniej w satyrę w typie „Białego lotosu", co niespecjalnie serialowi służy. Zidentyfikować się z bohaterami trudno, pogoń za pieniędzmi jako miernikiem sukcesu dla ludzi z różnych klas społecznych to motyw mocno już wyeksploatowany w kinematografii koreańskiej i amerykańskiej. Można więc oglądać dla aktorów (Isaac i Mulligan spotkali się już na ekranie w filmach „Drive" i „Co jest grane, Davis?"), śledzić odniesienia do poezji i literatury feministycznej w tytułach odcinków, ale motywacji stopniowo zaczyna brakować. BCH

© GLEN WILSON, NETFLIX, ROBERT CLARK/APPLE TV, KRZYSZTOF BIELIŃSKI, NATALIA KABANOW

eprasa.pl 1719f564a1

serial

Zatoka koszmarów 4/6

Wdowia Zatoka, twórczyni serii: Katie Dippold, reż. Hiro Murai, 10 odc., Apple TV

Nowy serial ze świetnym **Matthew Rhysem** w roli głównej jest wciągającą, choć może nie do końca oryginalną mieszanką horroru i komedii, z ekscentrycznymi bohaterami i wątkami trochę w klimacie „Piratów z Karaibów", a trochę – gotycko podkręconych opowieści o pierwszych osadnikach. Do tego z malowniczymi plenerami. Tytułowa Wdowia Zatoka to niewielka wyspa u wybrzeży Nowej Anglii. Tracą tam zasięg telefony komórkowe, od stałego lądu często odcina ją gęsta mgła, a mieszkańcy jak z rękawa sypią krwawymi historiami i hołdują mnóstwu dziwnych przesądów – na czele z tym, że opuszczenie wyspy grozi śmiercią. Brzmi jak idealny materiał na kolejną turystyczną atrakcję – o co w osamotnieniu i przy sprzeciwie części mieszkańców walczy burmistrz Tom Loftis (Rhys). Jedni widzą w nim nieudacznika, w dodatku tylko o częściowo lokalnych korzeniach, inni przestrzegają przed nieodpowiedzialnym igraniem z ogniem. On jednak ignoruje kolejne czerwone lampki, bo stawką jest lepsza przyszłość kolejnych pokoleń, w tym jego buntującego się, nastoletniego syna. Kiedy w końcu się udaje i zapomniana przez wieki wyspa staje się modna, zapyziałe bary obsiadają turyści, zachwyceni m.in. widokiem telefonów stacjonarnych, budzi się Zło i zaczynają się dziać dziwne rzeczy. Burmistrz musi stanąć do walki, co wymaga zmierzenia się ze swoimi lękami, wejścia w nieoczekiwane alianse. Oraz uwierzenia w duchy.

ANETA KYZIOŁ





scena

Bardzo gorzka komedia 5/6

Giuseppe Verdi, **Falstaff**, reż. Marek Weiss, kier. muz. Patrick Fournillier, Teatr Wielki – Opera Narodowa

Tym przedstawieniem – 153. w swojej intensywnej karierze – reż. Marek Weiss żegna się ze sceną. Tak przynajmniej twierdzi. „Falstaffa" wymyślił sobie na to pożegnanie, ponieważ bohaterem jest tu człowiek odchodzący, który co prawda pragnie dobrze się bawić, a nie odchodzić, ale ostatecznie musi pogodzić się z wystrychnięciem na dudka przez „wesołe kumoszki z Windsoru". Już samo dzieło Verdiego z librettem opartym na sztukach Szekspira jest komedią gorzką; ma w sobie wiele lekkości i dowcipu, ale i agresję. Weiss jeszcze sprawę wyostrzył: choć to właśnie Falstaff intonuje finałową fugę o tym, że świat jest żartem, a człowiek kpiarzem, jednak w trakcie tej fugi umiera, a tym samym z postaci komediowej staje się tragiczną. Spektakl jest bardzo atrakcyjny wizualnie (scenografia: Wiesław Olko, projekcje: Bartek Macias), a także wokalnie – obie obsady właściwie nie mają słabych punktów, choć postać Falstaffa jest w każdej z nich inna: Sergia Vitalego możemy wręcz polubić, Mateusz Michałowski jest bardziej nadęty i ponury. Ta różnica generuje zresztą nieco inny odbiór całej intrygi. Spektakl jest też ostatnią w tym teatrze premierą pod batutą kończącego swoją kadencję Patricka Fournilliera, ale brzmienie orkiestry nie zawsze satysfakcjonuje (zwłaszcza wybijanie się instrumentów dętych blaszanych) i to jest chyba jedyny minus tej realizacji, ogólnie bardzo udanej.

DOROTA SZWARCMAN

scena

W pętli znużenia 2/6

Requiem dla snu, na podstawie powieści Huberta Selby'ego Jr., reż. Jakub Skrzywanek, Studio Teatrgaleria w Warszawie i Stary Teatr w Krakowie

Rozsławiona przez rozedrganą ekranizację Darrena Aronofsky'ego z 2000 r. – dla wielu pokoleniową – starsza o ponad dwie dekady powieść Huberta Selby'ego to obraz stopniowego pogrążania się w nałogu z tragicznym finałem. Wtedy rzecz dotyczyła głównie narkotyków i jednostek, dziś – jak zauważają autorzy scenariusza, reż. Jakub Skrzywanek i Jan Czapliński – uzależnienie obejmuje wszystko i wszystkich. Jego mechanizmy są wpisane w kapitalizm, a najnowszym – czy może tylko obecnie najgłośniejszym – przykładem jest działanie mediów społecznościowych. Myśl tyleż prawdziwa, co dość oczywista, a jej sceniczna realizacja nie porywa oryginalnością. Zapełnianie pustki, uśmierzanie poczucia samotności, odrzucenia i rozczarowania, podtrzymywanie złudzeń, zabijanie nudy, dostarczanie wrażeń – za pomocą tabletek na odchudzanie albo jedzenia, Mefedronu,

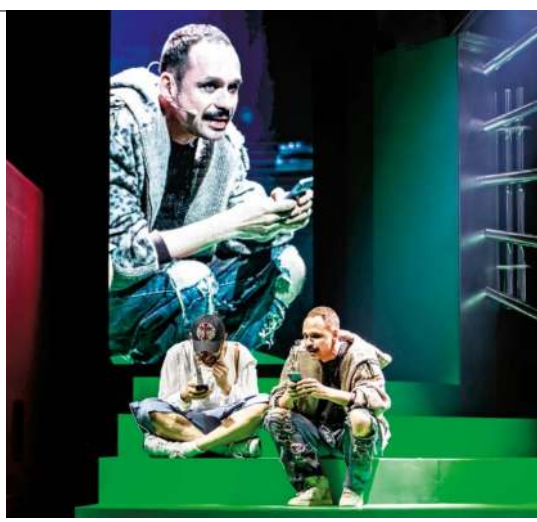

seksu, sado-maso upokorzenia itd. W campowej estetyce, w sznurowanych gorsetach, w lateksie. Spektakl nuży – co może być zamierzone, nałóg, jak każdy przymus, jest nużący. Gorzej, że razi również naiwnym tonem edukacyjno-interwencyjnym. Jak w improwizowanej scenie, w której grający w spektaklu kumpli dilerów **Rob Wasiewicz** i **Daniel Dobosz** wychodzą z ról, żeby zademonstrować, jak łatwo można dziś dostać Mefedron w Warszawie. Wystarczy kilka kliknięć albo telefonów i kilkanaście minut później towar jest nam dostarczany pod drzwi. AK

eprasa.pl 1719f564a1

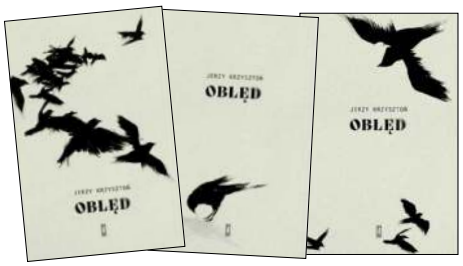

Z demonami 6/6

Jerzy Krzysztoń, **Obłęd**, PIW, Warszawa 2026, t. I, s. 342, t. II, s. 498, t. III, s. 457



To niewątpliwie jedna z najważniejszych i najlepszych polskich powieści, jakie powstały w XX w. Pierwsze wydanie z 1980 r. rozeszło się błyskawicznie, choć można było sądzić, że historia cierpiącego na schizofrenię dziennikarza to nie temat na hit wydawniczy. Jerzy Krzysztoń genialnie otworzył jednak swoją opowieść na szczególny typ lektury opartej na empatii. Momenty grozy w walce bohatera z „prześladownikami", czyli de facto z demonami osaczającymi go ze wszystkich stron, sąsiadują z osobliwie śmiesznymi scenami z codziennego życia mieszkańców szpitala psychiatrycznego. Chwile ulgi przeplatają się z koszmarnymi powrotami utraty kontaktu z rzeczywistością, wreszcie znakomicie oddany zostaje koloryt obyczajowy epoki PRL-u – co w pełni zauważyłem właściwie dopiero teraz, czytając kompletną, pozbawioną ingerencji cenzorskich wersję. Jak Krzysztoniowi udało się zuniwersalizować tak bardzo osobisty opis osuwania się w otchłań choroby? Może po prostu odkrył to, co nazwano kiedyś „współczynnikiem humanistycznym" nadającym sens ludzkiemu życiu? Warto podkreślić, że jego książka ukazała się osiem lat po dziele Antoniego Kępińskiego „Schizofrenia" i stała się literackim dopełnieniem naukowego studium, które stanowiło przełom (po pracach Lainga i amerykańskich antypsychiatrów) w rozumieniu tej wciąż tajemniczej choroby, którą Kępiński niechętnie chorobą nazywał. Inna rzecz, że w latach 70., kiedy czytelnicza młodzież zachwycała się Stachurą i jego „życiopisaniem", śledzenie mrocznych ścieżek obłędu było swoistą modą, czego nie zmieniły ani śmierć Stachury w 1979 r., ani samobójstwo autora „Obłędu" trzy lata później.

MIROSŁAW PĘCZAK



Nie tylko pomarańcze 5/6

Jeanette Winterson, **Po co ci szczęście, jeśli możesz być normalna?**, przeł. Kaja Gucio, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2026, s. 256

Przy ogromie dramatu nie ma w tej książce ani grama melodramatu. Jeanette Winterson pisze o sobie samej – wiele jej książek ma ten autobiograficzny posmak, zwłaszcza debiutanckie „Nie tylko pomarańcze", do których często tu nawiązuje. „Po co ci szczęście…" to autobiografia w sensie ścisłym. W Polsce ukazuje się po latach w nowym przekładzie (Kaja Gucio to gwarancja jakości) i działa jeszcze mocniej. Winterson, gwiazda brytyjskiej literatury feministycznej i queerowej, jest adoptowanym dzieckiem. Apodyktyczna matka, „pani W.", czeka tylko na apokalipsę, nie lubi ludzi, siebie najwyraźniej też nie, małej Jeanette każe całymi dniami stać na progu domu i gnać codziennie do kościoła. Nie uznaje też jej orientacji seksualnej. Winterson ucieka z domu w wieku 16 lat. Wybiera szczęście, ale pewnych braków czy defektów nie da się łatwo wygumkować: „Są ludzie, którzy nigdy nie popełniliby morderstwa. Ja do nich nie należę". Ta książka to nie tylko biografia własna, ale i biografia Manchesteru z brytyjską klasą robotniczą na pierwszym planie. Ludzie ukiszeni w szeregowcach, pracujący w fabrykach bez dostępu do światła, żyjący dla mitycznego „przyrostu", dopuszczają się przemocy. Z drugiej strony świetnie rozumieją Szekspira (Winterson wyjaśnia ten paradoks). Książki, baśnie, mity mają moc uzdrawiającą, ale trzeba się uprzeć, żeby chcieć się ocalić.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Szpiedzy za biurkami 5/6

Mick Herron, **Tajne godziny**, przeł. Robert Kędzierski, Anna Krochmal, Wydawnictwo Insignis, Kraków 2026, s. 472

Mick Herron tak bardzo zżył się ze światem zepchniętych na margines agentów znanych jako kulawe konie, że nawet powieść spoza serii umieścił w tym samym uniwersum. Bohaterowie „Tajnych godzin" są nowymi postaciami – przede wszystkim dwoje pracowników agencji Monochrome, badającej nadużycia popełniane przez tajne służby, oraz emerytowany szpieg, który niespodziewanie staje się celem brutalnego ataku. Na drugim planie pojawia się kilka znajomych postaci, choć często w okolicznościach, w których jeszcze nie mieliśmy z nimi do czynienia. Zwłaszcza że część akcji toczy się w Berlinie zaledwie kilka lat po upadku muru, a to, co się tam wówczas wydarzyło, jak zwykle u Herrona, do dziś wywołuje sejsmiczne wstrząsy, które są w stanie obalić rząd, a przynajmniej zaszkodzić kilku wysoko postawionym politykom. „Jak zwykle" to klucz do prozy brytyjskiego autora. „Tajne godziny" nie różnią się aż tak bardzo od regularnego cyklu o kulawych koniach. Może postaci są nieco mniej charakterne (ale kto może dorównać takim indywiduom jak Jackson Lamb czy Roddy Ho), za to częściej przykute do biurek i zawalone biurokratyczną papierologią. Gdy jednak trzeba, Herron potrafi akcję gwałtownie przyspieszyć, nie rezygnuje też ze smoliście czarnego humoru i zjadliwej ironii wymierzonej w skorumpowanych polityków. A nawet dyskretnie dystansuje się do własnej popularności, odnosząc się do określeń, którymi chętnie opisują go recenzenci. Pojawiającą się w powieści autorkę kryminałów nazywa „następczynią le Carrégo – jedną z, trzeba przyznać, długiej listy domniemanych spadkobierców". „Jak zwykle" oznacza w przypadku książek Herrona „na bardzo wysokim poziomie".

JAKUB DEMIAŃCZUK

© DANUTA B. ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS, ANNA REZULAK/KFP, CZESŁAW CZAPLIŃSKI/FOTONOVA, MP (4)

eprasa.pl 1719f564a1





galeria

Święty spokój 4/6

Kiejstut Bereźnicki. Harmonia mundana, Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie, do 24 maja

Kiejstut Bereźnicki pozostaje jednym z najważniejszych twórców sztuki powojennej, związanych z Trójmiastem. Kolejnym tego dowodem jest wystawa zorganizowana w PGS z okazji 90. rocznicy urodzin. Wśród zebranych prac dominuje oczywiście malarstwo, z którym to twórca ten jest najbardziej kojarzony. W osobnej sali pokazano prace na papierze. Poza tym zaprezentowano także kilka gobelinów autorstwa Bereźnickiego. Mniej znany, ale interesujący wątek twórczości. Mamy do czynienia ze sztuką, z której emanuje spokój. Nie ma w niej miejsca na tanie efekciarstwo. W czasach, gdy gust dyktuje rynek, tu dominuje kontemplacja stojąca w kontrze do bezmyślnej konsumpcji, wszechobecnego pędu i zgiełku. Tym bardziej więc warto wejść w świat trójmiejskiego artysty. Na chwilę się w nim zanurzyć, wyciszyć i po prostu odciąć. Kuratorkom PGS udało się pokazać zjawisko, jakim ten artysta jest. Nie da się jednak ukryć, że wystawa zostawia pewien niedosyt. Artyście tego pokroju można było przecież oddać dwa piętra galerii zamiast jednego i dać możliwość pokazania większej liczby prac z ogromnego dorobku obejmującego tak wiele dekad. Kierunek był więc dobry, tylko skala mogła być większa.

ALEKSANDER ŚWIESZEWSKI

muzyka

Szymanowski z przytupem 4/6

Szymon Nehring, Polish National Radio Symphony Orchestra, Marin Alsop, **Szymanowski, Symphony No. 4, Mazurkas,** Rubicon



Nowy album z muzyką Karola Szymanowskiego wydany przez brytyjską firmę Rubicon wart jest odnotowania z paru powodów. I nie tylko dlatego, że to kolejna udana płyta z muzyką polskiego kompozytora opublikowana za granicą (była już chwalona na antenie BBC 3), a przy tym kolejna płyta Szymona Nehringa (którego nowe chopinowskie nagrania ukazują się równolegle nakładem NIFC). Ale też dlatego, że jest pierwszą, na której NOSPR występuje pod batutą swojej obecnej szefowej artystycznej Marin Alsop. Z jednym z jej poprzedników Alexandrem Liebreichem orkiestra nagrała serię płyt z utworami Szymanowskiego, nie było jednak wśród nich IV Symfonii „Koncertującej". Nehring interpretuje ją ciekawie: lekko, przestrzennie (w nagraniu wyraźnie fortepian wysunięty jest na pierwszy plan, w rzeczywistości w tym utworze orkiestra często zagłusza solistę), a rytm oberka w finale jest bardzo wyraziście podkreślony, z silnym przytupem. Podobnie w szybszych oberkowych Mazurkach; te powolniejsze są koronkowo delikatne. Dziesięć tych solowych miniatur, czyli połowa op. 50, potraktowanych tu zostało jako kontekst symfonii. DS

REKLAMA

AI Algorytmy Iluzji
Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu
wystawa 21.03 — 12.07. 2026
ckzamek.pl



Organizatorzy
CENTRUM KULTURY ZAMEK
POZnań
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Mecenas
ORLEN
Sponsor
asseco

eprasa.pl 1719f564a1



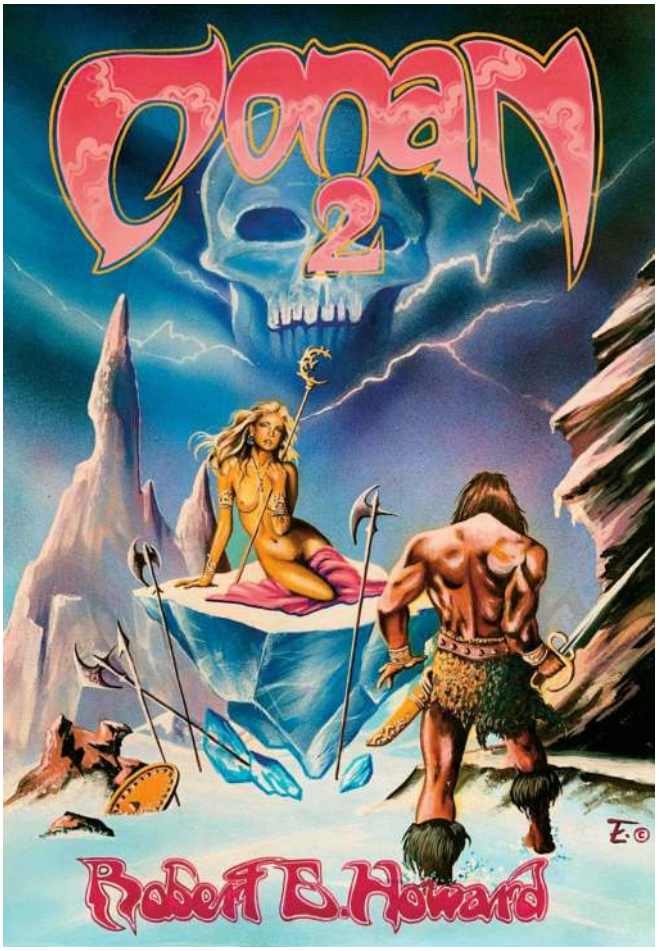

Od lewej: **kultowy „Conan", okładkowa ilustracja Roberta Burego z 1988 r. i niewdrożony projekt Tadeusza Łuczejki z pierwszej połowy lat 90.**

Ofiary eksplozji

Czy estetyka fantastyki i horroru czasów transformacji to była straszna szmira? W tomie „Conan sp. z o.o." Patryk Mogilnicki przygląda się okładkom książek z tamtych czasów i dostrzega więcej niż memiczność i brzydotę.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Okładki popularnych książek z początku lat 90. można ułożyć w opowieść o polskiej transformacji. O tym, czego przez lata nie można było pokazywać, a nagle wszelkie ograniczenia zniknęły. Sporo przemocy, niewiele mniej nagości, herosi wymachujący mieczami bądź karabinami. I dużo dosłowności, nawet gdy mowa o powieściach fantastycznych i horrorach. Statki kosmiczne, zombie, wampiry, cmentarze, potwory rozszarpujące ludzkie szczątki. Ewentualnie kulturysta w typie Arnolda Schwarzeneggera (koniecznie z filmów o Conanie Barbarzyńcy) w ogniu walki. Podróbka Conana mogła sprzedać prawie wszystko, więc zdarzało się, że umięśnieni tytani pojawiali się nawet na okładkach książek, które nie miały nic wspólnego ani z cymeryjskim barbarzyńcą, ani z jego twórcą Robertem E. Howardem, ani nawet z fantasy jako gatunkiem.

Nic dziwnego, że ten bohater patronuje również nowej książce Patryka Mogilnickiego „Conan sp. z o.o.". Jej podtytuł – „Polscy ilustratorzy i projektanci okładek książek fantastycznych w Polsce okresu transformacji (1985–1995)" – z miejsca wprowadza w temat. Uwaga: dzisiejszym 50-latkom lektura grozi nagłym

© WYDAWNICTWO WYDAŁEM (6)

eprasa.pl 1719f564a1

wzmożeniem nostalgii. „Projekty okładek, o których opowiada niniejsza książka, bronią się także dzięki sentymentowi, jakim darzymy je my, czytelnicy, którzy w dobie transformacji byliśmy jeszcze nastolatkami. Stanowią zapis minionej epoki, tego czasu, kiedy wszystko było wolno. Są też świadectwem młodzieńczej energii, często bowiem tworzyli je pasjonaci, będący wówczas na początku swojej artystycznej drogi", pisze Mogilnicki.

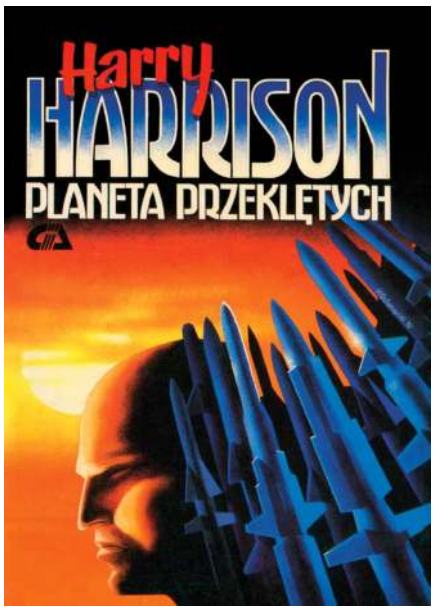

Nie taka znów szmira

Fantastyka we wszelkich odmianach bywała w czasach Polski Ludowej obecna w księgarniach. Ukazywały się nie tylko powieści Stanisława Lema czy Janusza A. Zajdla, lecz również książki publikowane w ramach serii, takich jak „Fantastyka i Groza" Wydawnictwa Literackiego (klasyka gatunku), zasłużona „Fantastyka-Przygoda" Iskier i „SF" (czyli tzw. seria ze słonecznikiem) Wydawnictwa Poznańskiego. To było jednak za mało, by zaspokoić czytelniczy głód.

W latach 80. pojawił się magazyn „Fantastyka" i całkowicie zmienił reguły gry. Spragnieni ulubionych gatunków literackich czytelnicy zaczęli regularnie dostawać treści poświęcone science fiction, a później również fantasy. Mogli czytać nowe opowiadania i powieści oraz publicystykę, podziwiać galerie prac artystów tworzących sztukę fantastyczną (nie szkodzi, że były reprodukowane na marnej jakości papierze) i choć odrobinę bardziej nadążać za światowymi trendami. Zaczął kształtować się fandom z prawdziwego zdarzenia i pojawiło się nowe pokolenie autorów: debiutowali wówczas m.in. Andrzej Sapkowski, Marek S. Huberath i Rafał A. Ziemkiewicz. A do tego wydawnictwa zaczęły chętniej publikować literaturę fantastyczną. Pojawiły się nowe cykle wydawnicze, a co za tym idzie, większe zapotrzebowanie na nowe okładki i ilustracje.

Patryk Mogilnicki świadomie wraca do czasów późnego PRL, bo to wtedy zaczęła rozkwitać fantastyczna grafika, która przykuwała wzrok jaskrawymi kolorami i nieposkromioną wyobraźnią. W przeszłość odeszły minimalistyczne projekty peerelowskich wydawnictw, a projektanci, tacy jak Wiktor Żwikiewicz (jednocześnie jeden z czołowych pisarzy fantastycznych tamtego okresu), Józef Petruk czy Janusz Gutkowski, przecierali szlaki kolejnemu pokoleniu. „Może na tamte czasy to się podobało, bo lepszych nie było. Dopiero później zabrali się za to ludzie po studiach artystycznych", wspomina w książce Żwikiewicz. A swoją własną twórczość nazywa bez wahania „straszną szmirą".

Eksplozja propozycji gatunkowych przyszła wraz z transformacją. Oficyny, takie jak Amber, Phantom Press i Prima, zasypały czytelników literaturą, która wcześniej nie była dostępna. W księgarniach, na bazarowych stolikach i w „szczękach" zaroiło się od horrorów, romansów, thrillerów i fantastyki. Obok uznanych autorów, takich jak Stephen King czy Robert Ludlum, pojawiły się zastępy pisarzy trzecioligowych, którzy nagle ▶



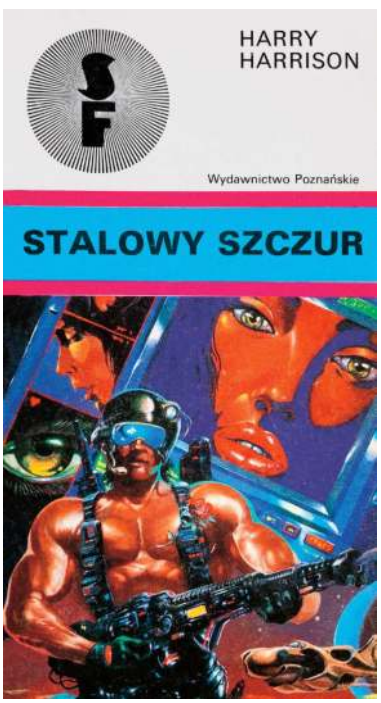

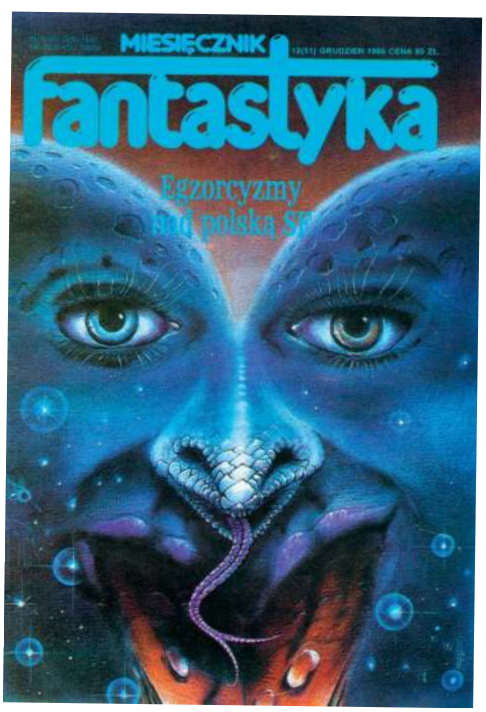

Od lewej: **okładki książek z początku lat 90. – ilustracje Klaudiusza Majkowskiego i Piotra Łukaszewskiego. Popularny miesięcznik z 1986 r. – okładka autorstwa Marka Zalejskiego.** Powyżej: **projekt Marcina Cholaszczyńskiego z 1991 r.**

eprasa.pl 1719f564a1

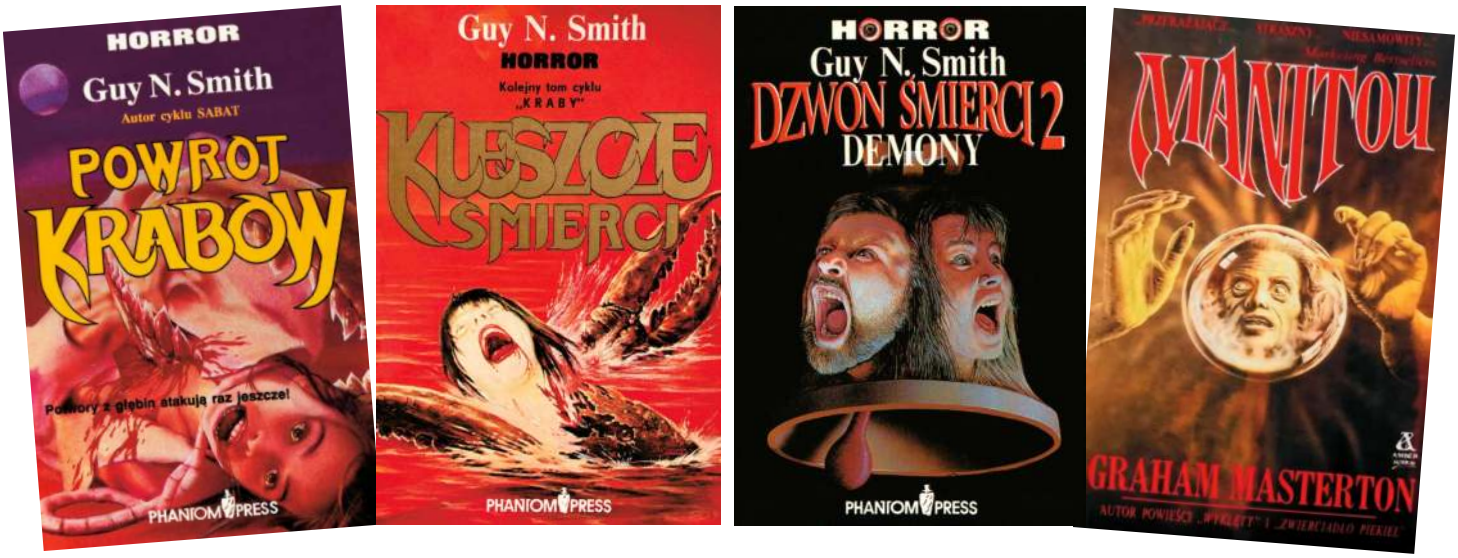

Okładki książek z przełomu lat 80. i 90. Od lewej: **dwie zilustrowane przez Radosława Dylisa oraz kolejne autorstwa Krzysztofa Izdebskiego i Steve'a Crispa.**

▶ podbili serca czytelników. Książki sprzedawały się w niewyobrażalnych z dzisiejszego punktu widzenia nakładach, przekraczających 100 tys. egzemplarzy. Nawet jeśli przywołane przez Żwikiewicza słowo „szmira" dotyczyło często nie tylko okładek, lecz również treści.

Patryk Mogilnicki, który jest nie tylko badaczem designu, lecz także ilustratorem i projektantem, absolwentem poznańskiej ASP, nie ukrywa, że „Conan sp. z o.o." był pisany także z sentymentu. Wspomina pierwszą lekturę „Manitou" Grahama Mastertona i wrażenie, jakie na młodocianym czytelniku robiły okładki horrorów publikowanych przez Amber: z zaskakującymi grafikami (choć w przypadku tej oficyny często kupowanymi od zachodnich autorów), fantazyjnym liternictwem, złoceniami i tłoczeniami. To na polskim rynku była nowa jakość, do której zresztą większość wydawców nie próbowała nawet doskoczyć.

Mogilnicki jednocześnie próbuje obalić mit „brzydkich" okładek. Chciał poznać ich twórców, sprawdzić, kto się krył za fantazyjnymi projektami. – *Nazwiska projektantów i ilustratorów okładek książek gatunkowych doby transformacji nie zawsze łatwo dziś znaleźć, czasami nie pojawiają się nawet w stopkach redakcyjnych, kiedy indziej występują pod pseudonimami lub podpisywani są z błędami* – opowiada. – *Ludzie ci nie mają często kont w social mediach, odnalezienie ich nie należało do najłatwiejszych. To fascynująca historia, dlatego też zatrzymanie się wyłącznie na aspekcie memicznym tych okładek wydaje mi się po prostu dosyć powierzchowne.*

Chcieć to więcej, niż potrafić

„Conan sp. z o.o." poświęcony jest fantastyce i horrorowi, a tu nigdy nie było trudno o projekty kontrowersyjne, dyskusyjne czy najzwyczajniej kiczowate. Mogilnicki ma jednak dla nich sporo wyrozumiałości. Nawet w ilustracjach bliższych bazarowej tandecie dostrzega zamysł, pasję, artystyczny warsztat. Do swojej książki porozmawiał z kilkunastoma artystami, którzy projektowali nie tylko okładki powieści fantastycznych, lecz również magazynów takich, jak „Nowa Fantastyka" czy „Feniks". Wśród jego rozmówców znaleźli się m.in. Piotr Łukaszewski, Robert Bury (twórca ikonicznych okładek książek o Conanie), Andrzej Brzezicki oraz Marek Zalejski (który pełnił także funkcję redaktora graficznego „Nowej Fantastyki"). Nawet jeśli te nazwiska nic państwu nie mówią, wystarczy rzut oka na projektowane przez nich okładki, by w pamięci otworzyły się odpowiednie szufladki, emocje związane z konkretnymi lekturami.

Mogilnicki zauważa, że artyści, z którymi się spotykał, często czuli się zaskoczeni, że ktoś pamięta o ich pracy: – *Z większością nikt na ten temat nigdy nie rozmawiał. Wszystko sprowadzało się do drwin. Czuli się onieśmieleni, kiedy się z nimi kontaktowałem, bo nie ma w nich zadufania. Dzisiaj tworzą zupełnie inne rzeczy lub w ogóle nie pracują w branży projektowej, więc zdarza się, że wstydzą się tych okładek lub podkreślają, że były to jedynie projekty przynależne ich młodzieńczym latom.*

Autor książki widzi w nich przede wszystkim rękę ludzką, ze wszystkimi niedoskonałościami. – *Czyli coś, co dzisiaj w dużej mierze jest wypierane przez perfekcyjne narzędzia i maszyny, a tym samym pozbawione ducha. Często w tych starych projektach bardzo widoczne jest podejście, najczęściej bardzo młodego ilustratora czy ilustratorki, że chcieć znaczy nieraz więcej niż potrafić. I to moim zdaniem jest bardzo fajne* – mówi.

To twórcy, którzy mają świadomość, że ich projekty często balansowały na granicy kiczu. – *Maria Dylis, dyrektorka artystyczna wydawnictwa Phantom Press w latach największej dla oficyny prosperity, opowiadała mi, że skoro tytuł książki brzmiał „Kraby", to co mieli dać na okładkę, Mona Lisę?* – relacjonuje Mogilnicki. – *To miała być graficzna wizytówka książki, w zgodzie z treścią i duchem tekstu – do osobliwej ilustracji dodawano równie dziwaczne, powykręcane liternictwo, często ze swadą kaligrafowane ręcznie. Tu nie chodzi o to, że te projekty okładkowe były wspaniałe, tylko o to, że były żywe i intrygujące. Nie były nudne jak spora część dzisiejszych, zdobiących fantastykę czy horrory, frontów okładkowych, które najczęściej są miałkie, generyczne, bo wszyscy korzystają z tych samych programów, stosują te same sztuczki albo, co gorsza, korzystają z systemów sztucznej inteligencji. Wszystko jest raczej średnio odważne, podczas gdy kiedyś szło się po bandzie!*

eprasa.pl 1719f564a1

– *To nie zawsze była literatura wysokich lotów. Więc ilustracje okładkowe też musiały być takie* – ocenia dyplomatycznie Mogilnicki, podkreślając, jak ważna była w takich publikacjach koherentność okładki i treści. – *Dla mnie, także jako projektanta, najważniejsze jest, żeby do każdej książki dobrać odpowiedni klucz wizualny. Jeśli weźmiesz np. Dostojewskiego, Camusa czy Manna i dasz na okładkę nieudolny, pokraczny rysunek, w którym ktoś ewidentnie nie radzi sobie z proporcjami ludzkiego ciała, nijak nie będzie on korespondował z treścią dzieła. Inaczej rzecz ma się z popem, pulpem, fantastyką czy horrorem, gdzie stylizacja jest istotną częścią kreowanego świata, w którym wyobraźnia ilustratora i projektanta nie jest tak ograniczana* – dodaje. I przypomina, że działa to w obie strony i równie mało sensu ma wydawanie powieści Grahama Mastertona czy Guya N. Smitha w twardych eleganckich oprawach.



Patryk Mogilnicki, **Conan sp. z o.o. Polscy ilustratorzy i projektanci okładek książek fantastycznych w Polsce okresu transformacji (1985–1995)**, Wydałem, Warszawa 2026

Potęga pulpy

„Conan sp. z o.o." to także wyimek szalonej historii polskiej branży wydawniczej, która w latach 90. stała się zjawiskiem trudnym do okiełznania. Na uwolnionym rynku zaczęły działać setki nowych wydawnictw – szacuje się, że tylko w 1989 r. pojawiło się ok. 200 nowych oficyn, ale dziś nie sposób ustalić, ile z nich istniało tylko na papierze, a ile rzeczywiście publikowało nowe tytuły. Zdarzały się książki bez stosownych licencji, wydawane i tłumaczone byle jak, a o redakcji czy korekcie już w ogóle nie warto wspominać.

Po większości oficyn ślad dawno zaginął, nawet w internecie ich nazwy pojawiają się jedynie przy opisach książek, które za grosze można kupić w serwisach aukcyjnych. Inne, jak Amber, działają z powodzeniem do dziś. Patryk Mogilnicki przypomina, że Amber odniósł tak olbrzymi sukces (sprzedaż niektórych tytułów sięgała 300 tys. egz.), że jego właściciele próbowali sił w innych biznesach: wydawali kasety wideo z filmami rysunkowymi, założyli biuro architektoniczne i planowali publikację czasopism. Ich niezrealizowany ostatecznie plan obejmował nawet utworzenie prywatnych linii lotniczych.

Pierwsza połowa lat 90. to wydawnicza bonanza. „Nie trzeba było mieć żadnego rozeznania rynku. Trzeba było wydawać, co podleci, wszystko się sprzedawało w ogromnych nakładach. Do czasu, niestety", wspominała w wywiadzie dla „Dwutygodnika" Ewa Penksyk-Kluczkowska, niegdyś redaktorka naczelna wydawnictwa Phantom Press, które w szczycie popularności wydawało 48 nowych tytułów miesięcznie.

Dziś fantastyka i horrory od dawna są częścią wydawniczego mainstreamu, z szalonych lat potransformacyjnych pozostały wspomnienia oraz sympatia, jaką wciąż darzymy w Polsce np. powieści Grahama Mastertona. Projekty okładek również nie przypominają tych sprzed trzech dekad: świadome nawiązania zdarzają się wyjątkowo rzadko.

Patryk Mogilnicki zauważa za to, że okładkowe ilustracje sprzed lat często nie różnią się tak bardzo od tego, co pokazują dziś galerie sztuki. Wśród artystów, w których pracach dostrzega podobieństwo do designu okładek sprzed lat, wymienia m.in. Krzysztofa Gila, Hannę Krzysztofiak, Jagodę Dobecką i Kornela Nurzyńskiego. – *Wystarczy przejść się na którąś z edycji Warsaw Gallery Weekend albo do jednej z modnych warszawskich galerii, żeby zobaczyć, że oniryczne, baśniowe, surrealistyczne obrazy wielu młodych artystek i artystów przypominają czasami okładki horrorów albo powieści science fiction z lat 90. Na te obrazy wyrobił się pewien snobizm i jest na nie moda, podczas gdy z okładek sprzed 40 lat ludzie się śmieją – i to jest interesujące otwarcie do dyskursu.*

Dodatkowo – zauważa Mogilnicki – te nowe prace łączy z ówczesnymi to, że są wykonywane za pomocą tego samego, wyciągniętego z lamusa narzędzia: aerografu. Współcześni autorzy są zbyt młodzi, żeby pamiętać literaturę popularną sprzed kilkudziesięciu lat, ale od czego są biblioteczki rodziców? – *A wiadomo, czym skorupka za młodu nasiąknie...*

JAKUB DEMIAŃCZUK

© WYDAWNICTWO WYDAŁEM (4)

REKLAMA

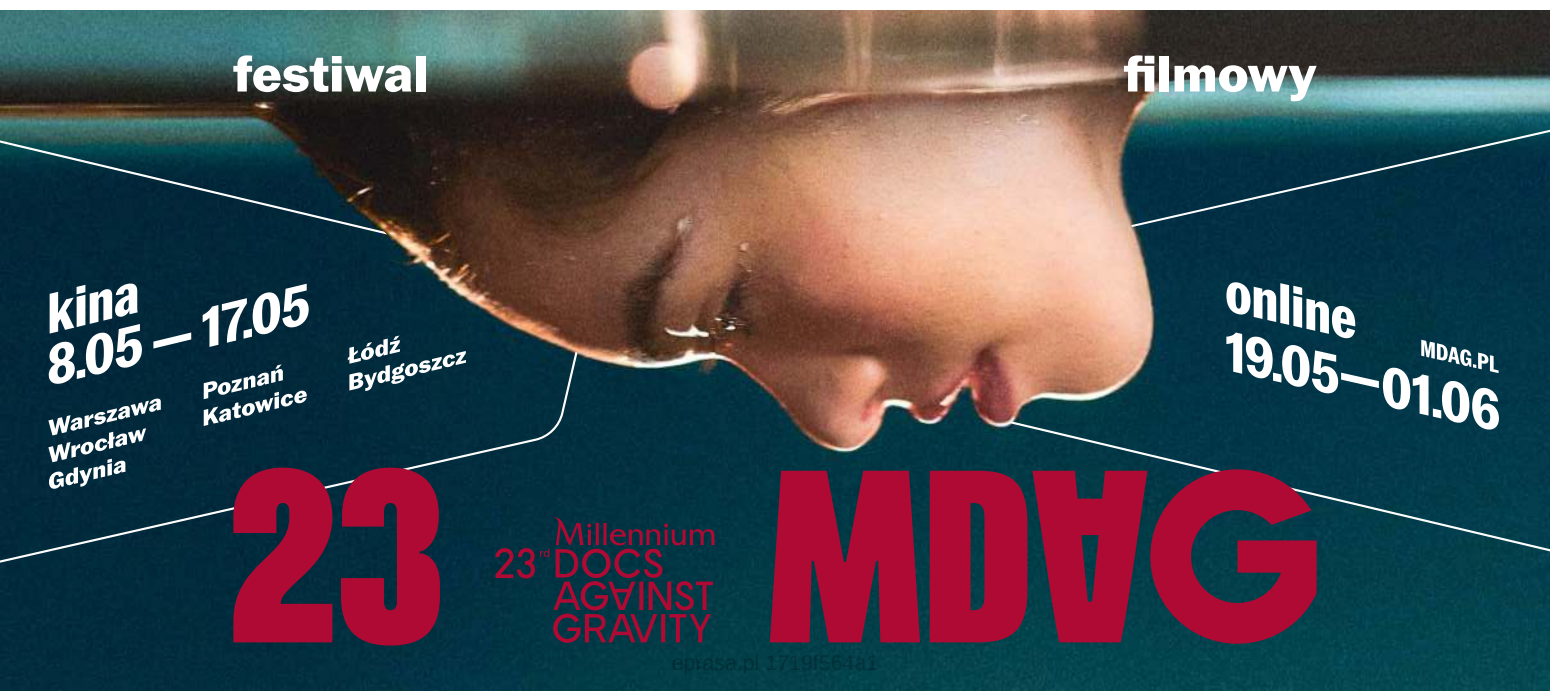



„Wchodzi Duch" Weroniki Szczawińskiej – koprodukcja Teatru im. Jaracza w Olsztynie i Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego

Być albo być bardziej

Hamlet był polskim księciem? Starsze inscenizacje i wiosenny wysyp nowych dowodzą, że sztuką Szekspira wciąż można wiele powiedzieć i o kraju, i o sobie.

ANETA KYZIOŁ

Ostatnio taka kumulacja „Hamletów" zdarzyła się w 2012 r., gdy na przestrzeni całego roku odbyło się siedem wystawień. W tym wpisująca się w posmoleńskie podziały inscenizacja z Teatru Współczesnego w Warszawie w reż. Macieja Englerta. Hamlet Borysa Szyca miał w niej rys ówczesnych ról aktora w kinie sensacyjnym, wrażliwca z maską twardziela, rozgrywanego przez cynicznych polityków.

Z okazji tej premiery oraz „Zjazdu polskich Hamletów", podczas którego z inicjatywy Andrzeja Wajdy dawni Hamleci recytowali na gdańskim Długim Targu fragmenty swoich monologów, Zdzisław Pietrasik przypomniał najważniejsze wystawienia (POLITYKA 22/12). „Tylko oczami wyobraźni zobaczyć można zjazd wszystkich polskich Hamletów, ale musiałoby to być spotkanie z duchami, co wszakże mieści się doskonale w szekspirowskiej poetyce" – pisał.

Listę otwierał „Hamlet" z 1956 r. z krakowskiego Starego Teatru w reż. Romana Zawistowskiego, z Leszkiem Herdegenem w tytułowej roli. Jan Kott w głośnej recenzji w „Przeglądzie Kulturalnym" zauważał: „Jest zbuntowany jak młodzi chłopcy z »Po prostu«, ale jednocześnie ma w sobie coś z wdzięku Gérarda Philipe'a. Ma niewygaszoną pasję. Jest chwilami dziecinny w swojej gwałtowności. Jest niewątpliwie prymitywniejszy od wszystkich dawnych Hamletów. Jest cały w działaniu, nie w refleksji. Jest wściekły. To młody skandalista, który się upaja własnym oburzeniem. Ale odzyskał zdolność do czynu. To Hamlet po XX Zjeździe. Jeden z wielu".

Bo Hamlet był Polakiem. Symboliczne obywatelstwo nadał mu na początku XX w., w czasach, gdy Polska oficjalnie nie istniała, Stanisław Wyspiański. Poproszony przez krakowskiego aktora Kazimierza Kamińskiego o pomoc w rozpracowaniu roli duńskiego księcia napisał „Studium o »Hamlecie«". „W Polsce zagadką Hamleta jest to, co jest w Polsce do myślenia" – nauczał w nim,

© BARTEK WARZECHA, NATALIA KABANOW

eprasa.pl 1719f564a1



„Very very Hamlet" Dominiki Knapik w poznańskim Polskim

obsadzając smutnego księcia w roli papierka lakmusowego stanu polskiego narodowego ducha.

Chamlet i Duch Ojca

Tym sposobem np. 25-letni Daniel Olbrychski, grający Hamleta w 1970 r. w spektaklu wystawionym w Teatrze Narodowym przez Adama Hanuszkiewicza, był zbuntowanym wrażliwcem w skórzanej kurtce, jednym z rzeszy studentów pałowanych przez ZOMO podczas demonstracji Marca' 68. A ważne rzeczy o Polakach mówiły też inscenizacje nieuznawane za wybitne, jak te z lat 90.: oddający emocje walki na teczki i szalejących teorii spiskowych pierwszych lat transformacji „Hamlet" w reż. Andrzeja Domalika z warszawskiego Dramatycznego, z cedzącym słowa o zdradzie Mariuszem Bonaszewskim, czy zanurzony w estetyce „Psów" Pasikowskiego spektakl Krzysztofa Nazara z gdańskiego Wybrzeża, z Mirosławem Baką, przezwany przez widzów „Chamletem".

Po nich przyszły inscenizacje bardziej intymne, skupione na jednostce i granicach wolności, na czele ze spektaklem Krzysztofa Warlikowskiego z warszawskich Rozmaitości (1999 r.), z Jackiem Poniedziałkiem jako Hamletem odkrywającym własne żądze i ciemne siły drzemiące w człowieku; na kolejnym planie była to też opowieść o Innym – geju w już wolnorynkowym, ale wciąż konserwatywnym kraju. Pięć lat później, chwilę przed dojściem do władzy PiS, Jan Klata wystawił „H." w zrujnowanych halach Stoczni Gdańskiej. Hamlet Marcina Czarnika grał w turbogolfa, pałał żądzą zemsty na nowych elitach (z utworem The White Stripes: „I'm gonna fight 'em off/ A seven nation army couldn't hold me back" w tle) i czytał katechizm.

W późniejszej o dekadę inscenizacji Krzysztofa Garbaczewskiego ze Starego Teatru w Krakowie Hamletów było trzech, mówili tekstem Szekspira, Heinera Müllera i Marcina Cecki. „Być albo nie być" przechodziło w „być może", bohaterowie przymierzali do siebie kwestie różnych postaci, oddające ich myśli, przeżycia i emocje.

W 2019 r. Maja Kleczewska rozdała widzom słuchawki i kazała samym wybierać, jakiego „Hamleta" (Teatr Polski w Poznaniu) obejrzą. Umieszczona w przestrzeni Starej Rzeźni, symbolu skompromitowanej, zagubionej i wymierającej Europy, akcja była rozgrywana symultanicznie w kilku miejscach. Główną rolę zagrał ukraiński aktor Roman Łucki, a w Fortynbrasa, który przybywa z zagranicy i staje się świadkiem samounicestwienia lokalnych elit, wcielało się troje młodych artystów o azjatyckich i afrykańskich korzeniach. „Mam prawo do tej ziemi" – stwierdzali spokojnie.

W ubiegłorocznym „Wchodzi Duch" Weroniki Szczawińskiej (koprodukcja Teatru im. Jaracza w Olsztynie i Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego) Duch Ojca Hamleta posłużył zaś jako inspiracja do teatralnego seansu grupowej psychoterapii. Zrobione z białych prześcieradeł kostiumy i scenografia są ekranami, na których każdy może wyświetlić własne obrazy na temat dziedzictwa, dziedziczenia, figury ojca, autorytetu, władzy oraz uwalniania się od nich.

Very very pogrzebowy

Ponad 13 mln plus dwa, jeśli liczyć „Króla lwa" i ich – na tyle ironicznie szacują liczbę wystawień „Hamleta" bohaterowie spektaklu Patrycji Kowańskiej i Dominiki Knapik „Very very Hamlet", który miał właśnie premierę w poznańskim Polskim. Po tylu razach „Hamlet" jest już martwy, ▶

eprasa.pl 1719f564a1

▶ umarł jak większość jego bohaterów, a w Poznaniu ekscentryczna grupa pracowników zakładu pogrzebowego „Very Hamlet", w kostiumach inspirowanych zespołami metalowymi, dokonuje swoistej sekcji zwłok. Twórcy kolejnych premier wydają się znacznie mniej radykalni w ocenach żywotności dzieła Szekspira.

„Hamlet" Jacka Jabrzyka z Teatru Zagłębia w Sosnowcu dzieje się na styku świata rzeczywistego i wirtualnego. Inspiracją były m.in. historie nastolatków w kryzysie psychicznym, szukających pomocy w rozmowach ze sztuczną inteligencją. – *Kontekst nowych technologii jest kluczowy, wszyscy się z tym konfrontujemy, a młodzi ludzie szczególnie* – tłumaczy reżyser. – *Postać Horacja, powiernika Hamleta, bywa rozmaicie odczytywana, my w nim zobaczyliśmy odpowiednik ChatGPT. Spotkanie z Duchem Ojca też może być odczytywane jako efekt błądzenia po świecie wirtualnym. Ale tematem są też rozmyte granice między prawdą a kłamstwem w dobie AI* – dodaje.

Hamlet po śląsku

Robert Talarczyk, reżyser i dyrektor Teatru Śląskiego w Katowicach, swoją „Tragedyję Hamleta, ksiyncia Dynymarku" – pierwsze w historii tłumaczenie „Hamleta" na śląski (autorstwa Mirosława Syniawy, premiera przedstawienia 15 maja) – umieszcza w „uniwersum Silesia". – *Hamlet stał się „synkiem z naszego placu", jednym z nas. Śląski nadaje surowość, rdzenność, ale też pokazuje, że to nasze śląskie plemię może się porozumiewać Szekspirem* – zauważa reżyser.

Jedyną postacią mówiącą w spektaklu po polsku będzie Fortynbras, grany przez Krzysztofa Głuchowskiego, dyrektora Teatru im. Słowackiego w Krakowie. – *Jeśli wszyscy mówiący po śląsku się nawzajem mordują, a na koniec wchodzi ikona teatru polskiego z Krakowa, to łatwo te tropy rozczytać* – śmieje się Talarczyk. – *Ale żeby nie było tak jednoznacznie, to mamy jeszcze jeden finał, poza tekstem, który trzeba zobaczyć, i wtedy ten obraz się dopełni* – zastrzega. Zapowiada też, że w role grabarzy wcielą się profesorowie Tadeusz Sławek i Ryszard Koziołek, czyli były i obecny rektor Uniwersytetu Śląskiego. – *Trochę jest przewrotności w tym pomyśle, bo nieczęsto można usłyszeć profesorów godojących po śląsku. Ale jest też głębsza myśl: grzebią cały świat, wiedzą, że śmierć jest nieuchronna, pod ich łopaty wpadła już Ofelia, zaraz wpadnie Hamlet, a może i sama śląskość...*

Kamil Białaszek, reżyser z pokolenia Z, autor brawurowego „Nowego Pana Tadeusza, tylko że rapowego" z poznańskiego Polskiego i adaptacji na scenę stołecznego Narodowego „Niewyczerpanego żartu" Davida Fostera Wallace'a, a przy tym świetny raper – tu znany jako Koza – swojego „Hamleta" wystawi w warszawskim Powszechnym 16 maja. – *Dla mnie najważniejszą sprawą w tej sztuce jest dziedziczenie, w które Hamlet, student, zostaje wplątany* – opowiada. – *W systemie feudalnym nie może po prostu odejść, dziś, jako np. syn CEO korporacji, teoretycznie mógłby, ale pojawia się uzależnienie od komfortu i statusu. I strach, że nie odnajdzie się poza systemem.*

– *Tragedia Hamleta to z jednej strony tragedia uprzywilejowanego chłopca, który widzi niesprawiedliwość, ale nic z tym nie zrobi. Drugą kwestią jest, czy jednostka w ogóle może się zbuntować w świecie, w którym władza jest sprzęgnięta z technologią inwigilacyjną na niespotykaną dotąd skalę? Jaki jest sens rewolucji, jeśli druga strona ma technologiczne narzędzia kontroli?* – mówi Kamil Białaszek. U niego też grabarzy zagrają aktorzy nieprofesjonalni. A do tego będą piosenki.

Zaś na finał tego wiosennego wysypu „Hamletów" Paweł Demirski, przez ostatnie lata zajmujący się pisaniem scenariuszy seriali i filmów, powróci do teatru sztuką „Mam coś w głębi nie do przedstawienia. HAMLET" w reż. Remigiusza Brzyka. Premiera 23 maja w krakowskim Starym Teatrze.

– *W „Hamlecie" zawsze najciekawszy mi się wydawał pierwszy akt o żałobie, o tym, jaka pustka za nią stoi i jak powinno się ją przeżywać* – opowiada Demirski. – *Ale zaczęło się od tego, że miałem pomysł na tekst o człowieku w moim wieku, po czterdziestce, szukającym mężczyzny, który by go zaadoptował. Mój ojciec zmarł, gdy byłem nastolatkiem, i okazuje się, że ta nieprzeżyta wtedy żałoba do mnie teraz wraca. Dopiero sam będąc ojcem, zrozumiałem, co straciłem, nie posiadając ojca, i stąd też ten pomysł na casting na niego.*

Tytuł odnosi się do słów Hamleta o tym, że nosi w sobie ciemność i pustkę. – *Przyglądam się temu. To jest konsekwencja opuszczenia przez rodzica, ale też opuszczenia przez państwo, przez wspólnotę* – tłumaczy Demirski. Ważny był dla niego felieton publicysty Davida Brooksa, którym ten żegnał się z łamami „The New York Timesa". – *Pisał o Ameryce, ale jego myśli są uniwersalne: dlaczego nie możemy już wierzyć w dobre intencje ludzi władzy, staliśmy się podejrzliwi, straciliśmy bezpieczną bazę, moralność się sprywatyzowała. Będzie w tym przedstawieniu dużo o płaczu jako o społecznym geście żałoby po rzeczach, które mijają: świat, który nas wychował, odchodzi, a nie bardzo mamy narzędzia, by skonstruować nowy* – zapowiada autor.

Popyt na Szekspira

Słynne powiedzenie Jana Kotta, autora zbioru esejów „Szekspir współczesny", że „Hamlet" jest jak gąbka, wchłania w siebie – i objaśnia – współczesność, zdążyło się zbanalizować. Ale sama sztuka nie. Napisana na przełomie XVI i XVII w., łączy wątki polityczne, egzystencjalne i psychologiczne, opowiada o rodzinie i o państwie, pozwalając twórcom dowolnie rozkładać akcenty i tworzyć portrety kolejnych epok. A zestaw najnowszych, właśnie powstających, inscenizacji dowodzi, że dziś każdy z nas żyje w nieco innej epoce i świecie.

Tę rozpiętość dobrze oddają dwie ubiegłoroczne, najgłośniejsze od lat interpretacje „Hamleta". Pierwsza to oczywiście „Hamnet", filmowy hit Chloé Zhao: luźno inspirowany biografią Szekspira, sugerujący, że najgłośniejszy dramat autora ze Stratfordu ma podłoże osobiste, sugestywnie portretujący żałobę po stracie dziecka, umieszczający kobiecą bohaterkę i przyrodę w centrum, wreszcie – niestroniący od popularnej dziś estetyki fantasy. Druga to inscenizacja Jana Englerta z Teatru Narodowego, wyniesiona daleko poza sceniczną rampę przez kontekst osobisty: gorzkie pożegnanie Englerta z dyrekcją narodowej sceny po 22 latach oraz obsadzenie w roli Ofelii gościnnie swojej córki Heleny, co wywołało medialne oskarżenia o nepotyzm. Efekt: bilety wyprzedane na pół roku do przodu i organizacja dodatkowych pokazów, by sprostać popytowi.

Właśnie ogłoszono nową inicjatywę: „Szekspir pod gwiazdami", czyli cykl plenerowych inscenizacji sztuk Szekspira w Ogrodach Zamku Królewskiego w Warszawie, który 11 lipca zainauguruje premiera „Snu nocy letniej" w reż. Jakuba Krofty, z Anną Dereszowską, Anitą Sokołowską, Grzegorzem Małeckim, Bartoszem Bielenią, Anną Smołowik czy Dobromirem Dymeckim w obsadzie. I to ogłoszenie to ostateczne potwierdzenie trendu: Szekspir znów jest hot.

ANETA KYZIOŁ

eprasa.pl 1719f564a1



Wszyscy jesteśmy hipokrytami

Teraz, gdy każdy jest manipulowany przez swój własny algorytm, wspólne zrozumienie zanikło. Nie istniejemy już w tym samym świecie – mówi Tobias Lindholm, duński filmowiec, autor m.in. serialu „Dochodzenie”.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Jak pan siebie postrzega: bardziej jako reżysera czy scenarzystę?**

TOBIAS LINDHOLM: – Nie potrafię wyznaczyć ostrej granicy. Najprościej mówiąc, należę do plemienia opowiadaczy historii. Coraz częściej myślę o sobie jako o twórcy, który po prostu pisze i reżyseruje własne filmy i seriale.

Zdarza się, że jedna osoba pisze i reżyseruje, częściej te role są rozdzielone. Dobry reżyser powinien wspierać scenarzystę czy raczej podważać jego pomysły?

Świetne pytanie. Zawsze powtarzam młodym twórcom: bez względu na to, kim chcesz zostać w branży, naucz się pisać scenariusze. Dla reżysera to najbardziej użyteczna umiejętność. Wtedy najlepiej rozumie się intencje i niuanse. Zdziwiłbyś się jednak, jak wielu reżyserów nie potrafi prawidłowo czytać ani odpowiednio konstruować dramaturgii. Oczywiście są to dwie różne kompetencje. Kiedy piszę dla kogoś innego, np. dla Thomasa Vinterberga, moim celem jest stworzenie najlepszego możliwego filmu w jego stylu. A jak robię to dla siebie, tworzę dokładnie to, co sam chcę nakręcić.

Pisanie pomaga zrozumieć świat czy raczej uświadamia jego złożoność?

Pisanie stanowi w gruncie rzeczy naiwną próbę narzucenia ładu chaosowi, jakim jest świat. Wybieramy elementy rzeczywistości i układamy je, nadając im znaczenie – w przeciwieństwie do codzienności, rzadko przypominającej gotową fabułę. Życie nie serwuje nam przesadnie wyrazistych punktów w trakcie jego trwania. Czasami, patrząc wstecz, odnosisz wrażenie, że istniał jakiś plan doprowadzający cię do miejsca, w którym obecnie się znajdujesz. Lecz kiedy przeżywasz daną chwilę, nie czujesz tej „fabuły”. Nie masz poczucia, że cokolwiek konkretnego się dzieje. Scenariopisarstwo jest więc typowo ludzkim sposobem nadawania sensu bezmiarowi otaczającego nas każdego dnia chaosu.

Jak każda twórczość. Co jest najtrudniejsze w pracy scenarzysty?

To samo, co w pracy dziennikarza: lęk przed czystą kartką. Każdorazowe przełamywanie się, by zacząć od zera i uwierzyć, że ma się coś wartościowego do przekazania – to jest najcięższe. Do tego dochodzi nawigowanie wśród mnóstwa uwag od aktorów, producentów czy finansistów. Każdy ma własną wizję ulepszenia twojej historii. Ktoś kiedyś powiedział, że scenariopisarstwo to bardzo trudny sposób na łatwe życie – i coś w tym jest. To ciężka praca, ale im więcej godzin spędzisz przed komputerem, tym lepsze przynosi to efekty.

Tematy, którymi się pan zajmuje – brutalna przemoc, ludzka uległość, wojenna trauma – skąd się biorą w pana głowie? ▶

© PER ARNESEN

eprasa.pl 1719f564a1

▶Jako mały chłopiec szybko zrozumiałem, że moja wyobraźnia mi nie wystarcza. Zabawkom, którymi się bawiłem, brakowało emocji, plastikowe żołnierzyki nie posiadały duszy. Pisanie stało się grą w ożywianie rzeczywistości. Interesują mnie ekstremalne wersje ludzkiego doświadczenia, w nich kryje się prawda, z której możemy się czegoś nauczyć. Czuję odpowiedzialność za czas widza – jeśli mam komuś zabrać dwie godziny z życia na film lub sześć na serial, musi to być coś fascynującego i przerażającego, a nie prozaiczny obrazek codzienności.

Porozmawiajmy o serialu „Dochodzenie". To historia perfidnego morderstwa dokonanego na dziennikarce Kim Wall, przedstawianego w mediach w sposób niezwykle sensacyjny. Dlaczego zdecydował się pan do niej wrócić?

Początkowo w ogóle nie chciałem dotykać tego tematu. Miałem wrażenie, że potworna zbrodnia, która wydarzyła się na morzu niedaleko mojego domu w Kopenhadze, została przemielona przez dziennikarzy na wszelkie możliwe sposoby. Nie zaglądałem do mediów społecznościowych, chorobliwie zafascynowanych jej okrucieństwem. Odciąłem się od tego, dopóki nie spotkałem głównego śledczego Jensa Møllera. Jego opowieść wydawała się zupełnie inna – nie było w niej fascynacji sprawcą. Koncentrowała się na metodycznej, naukowej drodze, prowadzącej do rozwiązania zagadki. Nikt jeszcze nie opowiedział jej od tej strony. Tytuł nie kłamie: to serial o żmudnym śledztwie, nie o popełnianiu sadystycznego czynu.

Należy go czytać jako próbę sprzeciwu wobec żerujących na sensacji mediów, które często podchodzą do przestępców jak do celebrytów?

Zdecydowanie tak. Zaczęło się od studiowania pracy policji, natomiast po konsultacjach z rodzicami Kim Wall doszła jeszcze kwestia moralnej odpowiedzialności przed nimi. Chciałem uczynić z Kim prawdziwą osobę, żeby nie była tylko figurą ofiary. To miało być antidotum na falę *true crime*, gdzie dominuje niezdrowa ekscytacja zabójcami. Mając w pamięci opowiadania o Sherlocku Holmesie, czułem, że lepiej dotknąć trudnego tematu, skupiając się na dobru i inteligencji wymiaru sprawiedliwości zamiast na mroku.

Jako autor zbliżył się pan do granicy, której nie chciał przekroczyć?

Tak, podczas pisania stale musiałem się kontrolować, by nie ulec tej samej fascynacji złem, którą zarzucałem innym. Pomocny okazał się fakt, że Jens Møller nigdy osobiście nie przesłuchiwał sprawcy. Postanowiłem więc całkowicie wymazać mordercę z tej historii. Nie chciałem, by ktokolwiek, oglądając serial, spodziewał się w nim ilustrowania makabry; interesowały mnie głównie upór i humanizm ludzi, którzy szukali odpowiedzi dla przeżywających katusze rodziców Kim.

W serialu pada zdanie: „Im bardziej jesteśmy cywilizowani, tym bardziej ciągnie nas do mroku". Może pan rozwinąć tę myśl?

Pięć lat temu, kiedy tworzyłem „Dochodzenie", mieliśmy za sobą w Europie długi czas pokoju i dobrobytu. W tak bezpiecznym, komfortowym świecie chętnie zapomina się, czym jest bestialstwo, i pojawia się pokusa, by się nim bawić. Fascynacja seryjnymi mordercami wynikała właśnie stąd, że nasz świat był tak jasny, tak wygodny, iż mogliśmy sobie pozwolić na zaglądanie w jądro ciemności dla samej rozrywki. Zauważyłem, że choć statystycznie świat staje się bezpieczniejszy – w Kopenhadze popełnia się o jedną piątą mniej morderstw niż w roku mojego urodzenia – to przez media nieustannie krzyczące o zabijaniu i bombardujące nas sensacyjnymi doniesieniami czujemy się coraz mniej pewnie. Myślę jednak, że i to się zmienia. Dziś, gdy prawdziwa brutalność znów puka do naszych drzwi, potrzeba opowiadania historii zapewne częściej będzie dryfować w stronę bohaterstwa i nadziei.

Czuł się pan usatysfakcjonowany odbiorem serialu?

Zależało mi, by Ingrid i Joachim – rodzice Kim – oraz śledczy Jens rozpoznali swoje emocje i uznali, że niczego nie przekłamałem. To się udało, są zadowoleni z naszej wspólnej pracy. Chciałem też, by widzowie w Danii zastanowili się nad własnym „głodem krwi" w trakcie trwania tej sprawy. Fakt, że bez pokazywania drastycznych szczegółów, a także twarzy sprawcy, serial zyskał wielką widownię również w Polsce, potwierdza, że miałem rację.

Wspomniał pan o Thomasie Vinterbergu. Jak opisałby pan waszą relację zawodową?

Zanim dostałem się do szkoły filmowej, Thomas robił już filmy w stylu Dogmy, był idolem mojej młodości. Mogę powiedzieć, że zawsze go podziwiałem. To, że w końcu pracujemy razem, stanowi dla mnie olbrzymią satysfakcję. Wiele się od niego nauczyłem, cieszę się, że nasze prace odniosły spory sukces, co świadczy, że udało się uniknąć błędów. Dziś jest moim najbliższym przyjacielem i mam nadzieję, że jeszcze wiele filmów przed nami.

Nad czym pan obecnie pracuje?

Piszę i reżyseruję amerykański serial „9/12", z Jeremym Strongiem w roli głównej. To opowieść o prawnych i zdrowotnych skutkach zamachów z 11 września – o ludziach, którzy zachorowali przez toksyczny pył, i o systemie, który im nie pomógł. Można to nazwać „amerykańskim Czarnobylem". Zdjęcia ruszą jesienią, po zakończeniu projektu pewnie znów usiądziemy z Thomasem do wspólnego filmu.

W dramacie „Polowanie" Vinterberga pokazaliście, jak działa mechanizm kozła ofiarnego. Czy w dobie mediów społecznościowych jesteśmy na ten rodzaj stygmatyzowania bardziej podatni?

Ludzka natura zawsze szuka kozła ofiarnego, by obarczyć go odpowiedzialnością za własne nieszczęścia. Na ogół szukamy winnych na zewnątrz, a nie pośród swoich. To się jednak zmienia. W „Polowaniu" chcieliśmy się skonfrontować z mitem skandynawskiej filozofii hygge. Jesteśmy świetni w tworzeniu wspólnoty, niestety – równie dobrzy w wykluczaniu. Wystarczy fałszywy krok albo rzucone podejrzenie, by grupa się odwróciła. Ważne, by pamiętać, że pod maską egalitaryzmu, miłego celebrowania codzienności, radosnej uprzejmości niekoniecznie kryją się dobre intencje.

Czy każda wspólnota, nawet najbardziej idealistyczna jak ta w „Komunie", musi ostatecznie zderzyć się z ciemną stroną ludzkiej natury?

Sądzę, że tak. Pisząc „Polowanie", dopiero co zostałem ojcem i uświadomiłem sobie, że gdyby skrzywdzono mojego syna, byłbym zdolny do czynów, o które bym siebie nawet nie podejrzewał. Ten film pokazuje, jak niewiele trzeba, by pod wpływem impulsu czy podejrzeń zmienić się w agresora.

Często opowiada pan, że wartości, w które głęboko wierzą ludzie, zmieniają się pod presją – widać to też w głośnym serialu „Rząd" czy nominowanym do Oscara dramacie „Wojna".

eprasa.pl 1719f564a1

Dorastałem w socjaldemokratycznej Skandynawii, gdzie uczono mnie, że świat jest czarno-biały. Moja matka, dumna socjalistka, powtarzała, że bogaci żyją w luksusie tylko dlatego, że ukradli pieniądze biednym. Zdawało się panować przekonanie, że jeśli nie masz majątku, bliżej ci do bycia dobrym człowiekiem. A fortuny rodzą się kosztem mniej uprzywilejowanych. Zawsze interesowało mnie sprawdzanie, czy to prawda. W „Rządzie" wywodząca się z niższych sfer bohaterka pod wpływem ambicji staje się „lodową królową", choć sama się tego wypiera lub nie do końca zdaje sobie z tego sprawę. To jest właśnie demaskowanie pozorów człowieczeństwa. Wszyscy jesteśmy do pewnego stopnia hipokrytami. Lubimy schematy porządkujące myślenie: jasne – ciemne, dobre – złe, a świat przecież tak nie wygląda, więc historie o skomplikowaniu moralnym raczej nigdy mi się nie znudzą.

W „Wojnie" stawia pan widza w roli sędziego mającego wydać werdykt w wyjątkowo trudnej sprawie dotyczącej zbrodni wojennej popełnionej w Afganistanie. Celowo unika pan jednoznacznych odpowiedzi?

Tak, bo nie wierzę w istnienie jednej, klarownej prawdy. Przy pracy nad tym filmem zależało mi, by moja własna matka, pacyfistka, kibicowała zbrodniarzowi wojennemu. Osiągając to, wiem, że zbliżyłem się do istoty złożoności. Nie chcę, by ludzie czuli dyskomfort dla samej zasady, zależy mi, by konfrontować ich z własnym wizerunkiem, przekonaniami.

W oscarowym „Na rauszu" mamy kolejną dwuznaczną postać. Nie rozczarowało pana, że wielu odebrało ten film jako przyzwolenie, wręcz celebrację picia, a scena tańca stała się memem?

Mój ojciec zapił się na śmierć, jednak nie był nieszczęśliwy przez całe życie, po prostu za bardzo lubił świętować. Prawda o alkoholu nie jest oczywista; picie daje też wyzwolenie i inspirację, dlatego m.in. ludzie tracą kontrolę. Taniec Madsa Mikkelsena jest pomostem do dawnego, beztroskiego życia postaci przez niego kreowanej, choć nie wiemy, czy uda się jej do niego wrócić. Wszyscy znamy takich ludzi i oczywiście osoby wolne od uzależnienia. Można im zazdrościć, ale to nie jestem ja. Swoje przeżyłem i muszę to zaakceptować. Chcieliśmy tym filmem rzucić wyzwanie skandynawskiemu samozadowoleniu oraz czystości, przypominając, że jesteśmy jednym z najbardziej pijących narodów. Tylko hipokryta twierdziłby, że to nieprawda. No i oczywiście stało się to przedmiotem zabawy, czystą rozrywką, bo każdy, kto kiedykolwiek próbował pić, identyfikował się z naszymi postaciami-błaznami, przechodzącymi przez osobliwy eksperyment.



Tobias Lindholm (ur. 1977 r.) – jeden z najciekawszych europejskich scenarzystów i reżyserów. Znany z realistycznego stylu narracji i poruszania tematów społecznych. Współtworzył scenariusze do nagradzanych filmów Thomasa Vinterberga, m.in. „Polowania" i „Na rauszu". Jako reżyser zasłynął thrillerem „Porwanie" (2012 r.) oraz nominowanym do Oscara w kategorii najlepszego filmu nieanglojęzycznego dramatem „Wojna" (2015 r.). Tworzył także cenione seriale, w tym „Mindhunter" oraz „Dochodzenie" (2020 r.) – ten ostatni można obejrzeć na bezpłatnym kanale ARTE.tv.

Mając doświadczenie w obu formatach, myśli pan, że serial daje więcej przestrzeni na zgłębianie ludzkich zachowań? Zastanawiał się pan, czy nie lepiej byłoby zamienić jeden ze swoich filmów w serial?

Wszystkie seriale mogłyby być bardzo dobrymi filmami, lecz wtedy mnóstwo wątków pozostałoby nieopowiedzianych. I na odwrót – w zasadzie każdy film kinowy nadaje się do przerobienia na świetny serial. Zawsze patrzę na to w ten sposób: w fabule chodzi o pytanie, jaka jest najlepsza wersja danej historii. Niektóre przypominają podróż z jednym bohaterem lub grupą osób z punktu A do punktu B lub C. Śledzimy ich w tej wędrówce i to kończy opowieść. Film kinowy musi zawierać atrakcyjne tło oraz przemianę głównych postaci. W serialu przyglądamy się wszystkiemu z wielu stron, jak w akwarium – każdy odcinek to inny punkt widzenia na ryby. One nie muszą wędrować, wystarczy, że pływają w tej samej wodzie. Więc są to dwa dosyć różne sposoby analizowania ludzkich losów. Co do moich projektów, wydaje mi się, że podjęte decyzje okazały się trafne. „Wojna" i „Na rauszu" są najlepsze jako filmy. „Dochodzenie" sprawdza się jako serial. „Polowanie" prawdopodobnie byłoby zbyt długie jako serial, ale to świetny film. Nie jestem zadowolony ze wszystkiego, co w nich jest, są rzeczy, które chciałbym poprawić, niemniej wyboru między formatem serialowym a filmowym raczej bym nie korygował.

W serialu jest więcej miejsca na psychologizację?

Można tak powiedzieć, ale jest też mnóstwo seriali, które w ogóle nie interesują się psychologią, więc nie wiem, czy to ogólna prawda.

A w pańskiej twórczości?

W serialu mam okazję przyjrzeć się wszystkiemu, także psychologii, pod różnymi kątami i dzięki temu zbudować dłuższą, może bardziej autentyczną relację z publicznością. Kino opiera się raczej na jednej idei dotyczącej ewolucji postaw, z której wszyscy możemy się czegoś nauczyć. To prawie tak, jakbym przekonywał, że film jest moją osobistą prawdą, a serial był jej poszukiwaniem.

Platformy streamingowe i ich algorytmy zmieniły pracę scenarzysty?

Mojej nie, widzę jednak skutki tej rewolucji w branży. Algorytmy są odtwórcze i nudne; jeśli pozwalasz im wybierać, stajesz się niewolnikiem tego, co już było. To zabija istotę bycia artystą – my mamy dzielić się z widzem czymś wyjątkowym, czego ani ja, ani publiczność wcześniej nie znaliśmy. Zwrot w stronę opowiadania historii sterowanych algorytmami czyni nas głupszymi i mniej świadomymi świata, w którym żyjemy.

Czy filmy i seriale są w stanie kształtować kierunek dyskusji o ważnych tematach?

Zdecydowanie tak. Na tym polega ich kulturowa rola. Wierzę, że gdybyśmy wszyscy od czasu do czasu oglądali te same historie, tak jak to bywało w przeszłości, mielibyśmy szerokie pole do rozmowy i wspólne tematy. Teraz, gdy powstaje zbyt dużo treści i są bardzo rozproszone, a każdy jest manipulowany przez swój własny algorytm, wspólne zrozumienie zanikło. Nie istniejemy już tak naprawdę w tym samym świecie, a przynajmniej nie w tym samym świecie kina czy opowieści. Mimo to wciąż wierzę, że obowiązkiem demokracji i zachodniej cywilizacji powinno być dzielenie się opowieściami i słuchanie się nawzajem, zamiast zamykania się w swojej bańce i utwierdzania jedynie we własnej wersji wydarzeń. Naszą odpowiedzialnością jako twórców jest wzbogacanie debaty publicznej, a nie tylko produkowanie „błyskotek", które można oglądać przy składaniu prania.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

© MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1719f564a1

W USA uznano, że światowy gigant rynku koncertowego Live Nation stosuje nielegalne praktyki monopolistyczne. W Polsce UOKiK nałożył na spółkę karę 15 mln zł. Przełom?

Występki na żywo



Nowojorski koncert zespołu Kiss

BARTEK CHACIŃSKI

Warszawskie biuro Live Nation od siedziby Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów dzieli odległość nieco ponad 300 m, do pokonania w kilka minut. Ale amerykański gigant koncertowy – organizator występów największych gwiazd takich jak The Rolling Stones, U2 czy Beyoncé, często z kontraktami na wyłączność – dość długo wydawał się poza zasięgiem UOKiK-u. Skargi na politykę polskiej filii koncernu numer jeden w tej branży napływały od lat, ale ostatecznie potknął się na sprawie z pozoru banalnej: na koncerty organizowane przez firmę nie można było wnosić wszelkiego rodzaju bagażu, bez względu na rozmiar, a za depozyt trzeba było dodatkowo płacić, co okazywało się dla wielu osób niejasnym regulaminowo zaskoczeniem. I sprawa numer dwa: gdy ktoś chciał zwrotu pieniędzy za odwołany koncert, Live Nation utrudniała mu to, wymagając złożenia osobnego wniosku w ciągu sześciu miesięcy – inaczej pieniądze przepadały.

Kara? 15,3 mln zł oraz rekompensaty dla osób, które kupiły bilety na odwołane imprezy albo oddały bagaż do depozytu po 8 maja 2024 r. Wysokość wynika z sumy sześciu zakwestionowanych postanowień regulaminowych. – *W decyzji wskazano konkretne kwoty przypisane do każdej z klauzul, a podstawą ich wyliczenia był obrót spółki osiągnięty w 2024 r.* – wyjaśnia Bartosz Klimczuk z zespołu prasowego UOKiK. Na wymiar kary wpłynął też brak okoliczności łagodzących, umyślność naruszenia oraz znaczny zasięg terytorialny. – *Datę 8 maja 2024 r. przyjęto dlatego, że właśnie od tego dnia obowiązywała wersja regulaminu, której dotyczy decyzja.*

Decyzja nie jest prawomocna, firma się do niej nie odniosła do momentu zakończenia pracy nad tym tekstem, nie odpowiedziała też na wysłane przez POLITYKĘ pytanie. Trudno się jednak dziwić, bo w szlachetne intencje w tej branży (Live Nation Entertainment chwali się rocznym przychodem w wysokości 25 mld dol.) mało kto już wierzy.

Historia zatargów Live Nation z polskimi fanami jest długa. I narzekali nie tylko na rosnące ceny biletów. Fani Depeche Mode zbuntowali się (już 13 lat temu), gdy na występ ich ulubionej grupy oprócz biletów Golden Circle – upoważniających do wejścia do strefy najbliżej sceny – sprzedawano droższe bilety Golden Circle Early Entrance. Czyli trzeba było dopłacić ponad 100 zł za samą możliwość wcześniejszego wejścia pod scenę do tej samej strefy! Tymczasem w etos fana wyścig pod barierkę wpisany jest tak samo jak w wielki koncertowy biznes – idea, by doić w pierwszej kolejności właśnie najzagorzalszych fanów.

Rok później skandal wywołał koncert Morrisseya w Stodole, przerwany przez artystę po kilku utworach – polski oddział Live Nation, owszem, zaproponował rozgoryczonym słuchaczom rekompensatę, ale kilkakrotnie niższą niż cena biletu. Kolejne kontrowersje wywoływały wprowadzone także w Polsce dynamiczne ceny biletów: im większy jest popyt, tym wyżej w górę idzie cena. Krajowi fani narzekali na ten proceder podobnie jak światowa publiczność – problem jest bowiem globalny, ostatnio wywołał skandal podczas sprzedaży wejściówek na wielką trasę reaktywowanej grupy Oasis. Fani stojący w wirtualnej kolejce do zakupu w momencie dojścia do „kasy" dowiadywali się, że bilet na płytę stadionu będzie ich kosztował nie wyjściowe 148, tylko 355 funtów. I zastanawiali się głośno, jak to możliwe, że coś takiego w ogóle jest legalne (wyjaśniliśmy cały mechanizm w POLITYCE 16/23). Reklamowanym przez koncern celem była eliminacja tzw. koników. Osiągniętym rezultatem: przejęcie funkcji koników przez legalnych sprzedawców.

W Polsce dynamiczne ceny też są stosowane. I mogą stanowić pole do dalszych nadużyć. Na świecie raportowano już sztuczne nakręcanie koniunktury: firma nie wprowadzała od razu do sprzedaży wszystkich wejściówek, robiąc wrażenie, że zainteresowanie jest większe niż w rzeczywistości. A taki mechanizm robi nawet z bardzo drogiego koncertu samonapędzającą się maszynę: decyzję o zakupie podejmujemy szybko i nieracjonalnie, mając wrażenie, że to ostatnia chwila, żeby cokolwiek kupić. Jest w Polsce niedozwolony – w poradniku koncertowym

© KEVIN MAZUR/GETTY IMAGES/LIVE NATION

eprasa.pl 1719f564a1

opublikowanym właśnie przez UOKiK czytamy, że organizator „nie może wprowadzać w błąd co do liczby biletów ani ich dostępności". Co więcej, zakazane są często stosowane w praktyce praktyki tzw. drip pricingu, gdy dopiero przy kasie dowiadujemy się, że cena nagle urosła ze względu na nieujawnione wcześniej, obowiązkowe opłaty.

Najtrudniej zakazać aktów rynkowej bezczelności. Takich jak ten, gdy – znów za sprawą Live Nation – w 2023 r. pojawiły się w cenniku bilety na koncert bez widoku sceny. Firma zaczęła je sprzedawać w cenach 221–251 zł na koncert The Weeknd. Miało być tylko słychać, co – biorąc pod uwagę fakt, że Stadion Narodowy warunków do słuchania muzyki nie oferuje – w praktyce oznaczało co najwyżej wrażenia zapachowe. Ewentualnie uczucie niesmaku, że w świecie zmonopolizowanego rynku można sobie pozwolić na wszystko.

Ten monopol stał się przedmiotem postępowania w macierzystym kraju Live Nation, czyli w USA. Tam przepisy są mniej restrykcyjne, więc sytuacja zrobiła się poważniejsza – Live Nation Entertainment, spółka matka LN, posiada zarazem kontrolę nad największą elektroniczną biletерią (Ticketmasterem) i zarządza lub posiada ponad 150 sal koncertowych. Kontrolowanych przez spółkę jest łącznie – jak pokazało federalne postępowanie – 70 proc. największych sal w USA. System cen dynamicznych działa tam dłużej, efekty są potężniejsze (raportowano ceny biletów sięgające kilku tysięcy dol.), a sprzedaż biletów firmy Ticketmaster w skali światowej okazuje się 10 razy większa niż w wypadku największego z konkurentów. Trudno znaleźć lepszy opis sytuacji rynkowego monopolisty.

Wiele z tych danych pochodzi z dochodzenia, które Departament Sprawiedliwości rozpoczął jeszcze za kadencji Joe Bidena. Zarząd spółki Live Nation Entertainment przesłuchiwano w senacie, ale administracja Trumpa naciskała na błyskawiczną ugodę – miała opiewać na 200 mln dol., wiązać się z otwarciem części sal dla innych promotorów oraz udostępnieniem Ticketmastera konkurencyjnym firmom biletowym. 33 stany zignorowały jednak rządowe naciski, część prokuratorów stanowych uznała kompromis za niedopuszczalny i proces został zakończony werdyktem dziewięcioosobowej ławy przysięgłych, która Live Nation i Ticketmaster uznała za nielegalny monopol. Miał działać wbrew interesom artystów, ograniczać poczynania konkurencji, a wreszcie – zawyżać ceny usług.

Podczas procesu wypłynęło dużo niekorzystnych dla firmy faktów. Do obiegu medialnego trafiły fragmenty wewnętrznych rozmów pracowników koncernu o tym, że fani to głupki, których „prawie żal wykorzystywać". A wewnętrznie mierzony poziom zadowolenia klientów Ticketmastera z usługi biletowej miał w 2023 r. spaść – jak ustalono w sądzie – do 1 proc.

Dokładne środki zaradcze dla LNE w Ameryce ma jeszcze ustalić sąd. W grę może wchodzić nawet zwrotny podział na dwie spółki: Live Nation i Ticketmaster (które fuzji dokonały ostatecznie w 2010 r.). Co więcej, ława przysięgłych orzekła, że ceny biletów – od dawna obiekt krytyki fanów, bo często zawierają ukryte opłaty dodatkowe – były przez koncern zawyżane w latach 2020–24 o 1,72 dol. Co to oznacza? Załóżmy, że w tym czasie firma mogła sprzedać na samym tylko rynku amerykańskim ok. 600 mln biletów (a to rozsądne szacunki). Miałaby wtedy nie 200 mln, tylko aż miliard dolarów rekompensaty do wypłacenia.

Przy tym werdykcie polska kara wydaje się skromna. Należy jednak pamiętać, że postępowania o nieuczciwą konkurencję toczą się przeciwko LN także na innych rynkach. Choćby w Irlandii, gdzie miejscowy regulator rynku wpłynął na zmiany w umowach na wyłączność z salami zawierane przez miejscowy oddział Ticketmastera, a teraz prowadzi dochodzenie w sprawie biletów na wspomnianą już trasę Oasis.

Dlaczego dopiero teraz urzędy antymonopolowe i sądy zajęły się dominującą pozycją koncernu? Wpłynęła na to pandemia: cały biznes koncertowy uległ zamrożeniu, mali promotorzy padali, mniejsze sklepy biletowe słabły, podwykonawcy wycofywali się z niemal zamkniętej branży. Tymczasem ceny akcji Live Nation Entertainment na amerykańskiej giełdzie utrzymywały przez większą część pandemii tendencję wzrostową, bo inwestorzy „obstawiali" przetrwanie największej firmy w show-biznesie. Wyszła z tego samospełniająca się przepowiednia: gdy tylko rynek się ruszył, LNE zanotowało wzrosty wręcz rekordowe, a przy tym ceny biletów poszły w górę, tyle że zarabiali na nich tylko najwięksi – właśnie kosztem mniejszych promotorów i klubów.

Ważnym powodem jest też to, że artyści nie byli stroną mocno wspierającą walkę z Live Nation. Ci najwięksi są w stanie negocjować dobre warunki finansowe. Anthony Jouet z Fource Entertainment mówił podczas zeszłorocznego Music Week Poland, że ich menedżerowie sami proszą o wprowadzanie dynamicznych mechanizmów cenowych: chcą zwiększyć zysk i zmniejszyć biletową szarą strefę. Wcześniej zdarzało się, że gwiazdy sceny muzycznej – tu ważnym przykładem była grupa Pearl Jam, walcząca z Ticketmasterem jeszcze w latach 90. – najpierw deklarowały bojkot giganta, a później i tak z nim współpracowały.

Najgłośniejszym artystą, który zeznawał podczas amerykańskiego procesu LNE, był więc Ben Lovett z grupy Mumford & Sons. A dziś odzywają się ze wsparciem dla decyzji przysięgłych głównie mniejsi, drugoligowi muzycy – bo to im, a nie Madonnie czy Harry'emu Stylesowi, monopol odebrał najwięcej. I to dla nich najlepszą wiadomością byłby sprawiedliwszy podział rynku.

Przede wszystkim jednak procesy i decyzje urzędów antymonopolowych mogą poprawiać poziom ochrony konsumentów i sprawiać, że warunki ofert będą bardziej przejrzyste. A także zmienić świadomość widowni. W Polsce na ostatniej decyzji z 15 kwietnia zapewne się nie skończy. Prezes UOKiK prowadzi dziś trzy kolejne postępowania dotyczące rynku sprzedaży biletów i organizacji wydarzeń: jedno o charakterze szerszym, obejmujące warunki oferowania biletów i informowanie o cenach, drugie dotyczące działalności podmiotów prowadzących serwis mojbilet.eu, a trzecie odnoszące się do działań przedsiębiorców uczestniczących w oferowaniu, organizowaniu lub dystrybucji biletów na wydarzenia rozrywkowe, w tym m.in. odwołanego w ostatniej chwili Fest Festivalu 2023. – *Na razie są to postępowania wyjaśniające: służą wstępnemu ustaleniu, czy istnieją podstawy do postawienia zarzutów i wszczęcia dalszych działań* – komentuje Bartosz Klimczuk.

Może więc bliższy jest na tym rynku koniec dyktatury sprzedawcy, na którym zmiany regulaminu i zmiany cen przyjmuje się bez słowa. W końcu każdy artysta wie, że najgorsza publiczność to milcząca publiczność. ■

eprasa.pl 1719f564a1

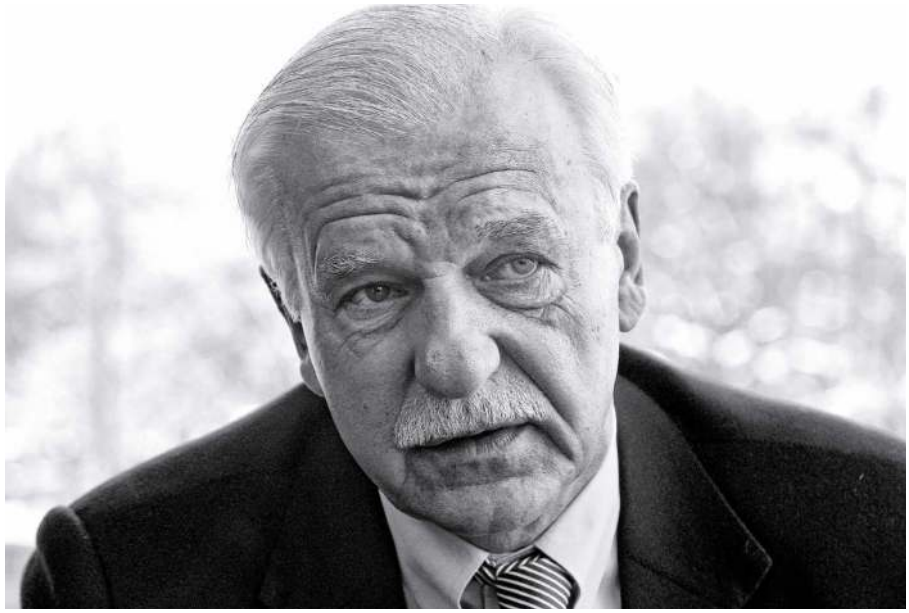

Światowiec

Wspominamy i żegnamy Andrzeja Olechowskiego, działacza państwowego, ekonomistę, ministra i niegdyś kandydata na prezydenta, twórcę i uczestnika wielu inicjatyw obywatelskich, edukacyjnych i dobroczynnych. Miał 78 lat.

Mówił, że zainteresowanie państwem, działaniem na rzecz wspólnego dobra zostało mu zaszczepione w rodzinie jako obowiązek „taki sam jak chodzenie do kościoła"; nie obnosił się ze swoją wiarą, ale rzeczywiście cenił religię – otwartą na świat i obcych. Miał babcię wychowaną jeszcze w tradycji powstania styczniowego, która uparcie i irytująco pytała go, młodego ekonomistę-naukowca: „A co z tego będzie dla Polski?". Wspominał, że mu to weszło w krew, by każdą rozprawę kończyć wskazówkami dla polityki gospodarczej.

Jeszcze w latach 80., już z doktoratem SGPiS (dzisiejsza SGH), zdobywał doświadczenie, pracując w agendach ONZ i Banku Światowym. U progu transformacji był jednym z niewielu Polaków świetnie przygotowanych do wprowadzania w Polsce reguł i standardów gospodarki rynkowej. Wypatrzył go Lech Wałęsa i uczynił swoim doradcą do spraw gospodarczych. Sam Andrzej, choć potem krytycznie oceniał jego prezydenturę, przez całe życie darzył Wałęsę niezwykłym szacunkiem i lojalnością. Z poręczenia Wałęsy Andrzej Olechowski był ministrem finansów w rządzie Jana Olszewskiego (1992 r.), a potem spraw zagranicznych (1993–95, w rządzie Waldemara Pawlaka), czyli w kluczowym momencie początku integracji Polski z Unią Europejską i otwarcia polskiej drogi do NATO.

Przez całe życie podkreślał potrzebę zakotwiczenia naszego kraju w Europie, cytował nawet obawy Mrożka, że „Polska to kraj na wschód od Zachodu i na zachód od Wschodu". „Kiedy Europa jest zjednoczona – pisał – jesteśmy w jej sercu, kiedy jest podzielona – jesteśmy w próżni, w strefie cienia. Tak w skrócie wygląda szansa Polski i jej pułapka". W jego bodaj najważniejszej publikacji „Wygrać przyszłość", poprzedzającej założenie Platformy Obywatelskiej w 2001 r. – słowa „obywatel" i „uczestnictwo" pojawiają się wiele razy. Wcześnie zwracał uwagę, że rozwój technologii, wzrost siły sektora prywatnego, niestabilność globalnego rynku postawią wyzwania przekraczające możliwości poszczególnych społeczeństw.

W 2000 r. wystartował w wyborach prezydenckich; był prawdziwym kandydatem obywatelskim, nie popierała go żadna partia, jedynie grupa znanych osób. Zajął drugie miejsce z wynikiem ponad 17 proc. (Aleksander Kwaśniewski wygrał wtedy w pierwszej turze). Ten kapitał wyborczy Olechowskiego stał się fundamentem, na którym powstało PO. Wespół z Donaldem Tuskiem i Maciejem Płażyńskim jako „trzej tenorzy" tworzyli pierwsze kierownictwo nowej formacji.

Jego rozstanie z PO w 2009 r. wynikało m.in. z nie dość energicznego europejskiego kursu partii, odchodzenia – jego zdaniem – od ideowości, demokratycznego liberalizmu, w stronę marketingu politycznego, partii władzy. Sam był ponad intrygami i przepychankami partyjnymi – mówią przyjaciele Andrzeja. Może brakowało mu tej bezwzględności w rozgrywkach personalnych, bez czego w naszych konfliktowych czasach polityk ląduje na marginesie? Był aktywny jako komentator, mentor, autorytet, ale pozostawał politycznie osobny.

Był – jak to się kiedyś mówiło – człowiekiem światowym. Gdyby AI miała zbudować obraz idealnego kandydata na prezydenta, byłby to ktoś bardzo podobny do Andrzeja Olechowskiego: jasna wizja świata i interesu narodowego, dobre wykształcenie ekonomiczne, znajomość języków, prezencja, głęboka kultura humanistyczna, bardzo szerokie horyzonty, bezpośrednie kontakty z wieloma znaczącymi osobistościami zagranicznymi, łatwość klarownego i prostego formułowania myśli, słowem – wielka klasa.

Był światowcem także w tym sensie, że rozumiał potrzebę rzetelnego udziału Polaków w nieformalnych gremiach refleksji międzynarodowych. Był w kierownictwie Komisji Trójstronnej zrzeszającej „liderów opinii" z USA, Europy i Japonii, założonej przez Henry'ego Kissingera, Zbigniewa Brzezińskiego i Davida Rockefellera. Także prywatnie Olechowski z żoną tworzyli dom otwarty, który odwiedzali wpływowi ludzie światowego biznesu i polityki. Potrzebę włączenia naszego kraju do takich szerszych refleksji Olechowski próbował rozwinąć, organizując regionalne spotkania w Warszawie w postaci dorocznych Victoria Meetings.

Ci, którzy go osobiście znali, podkreślają jego niebywałe poczucie humoru, zainteresowanie kulturą, sztuką, a zwłaszcza muzyką wyniesione z młodości, kiedy był didżejem w radiowej Trójce. Żegnamy jednego z współtwórców III Rzeczpospolitej, wspaniałego Przyjaciela, mądrego, dobrego, uroczego Człowieka.

REDAKCJA POLITYKI

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 1719f564a1

FELIETON

Orliński



Między nami, wigami

Zwolennicy liberalnej demokracji przeżywali ostatnio rollercoaster. Prosto z euforii („hura, nasi górą na Węgrzech!") wpadliśmy w depresję („jerum, jerum, populiści w Bułgarii"). Odkurzyłem sobie z tej okazji książki pisane ponad 30 lat temu, w tej słodkiej epoce, gdy się wydawało, że zimna wojna przyniosła triumf liberalnej demokracji na wieki wieków. W głośnym wówczas „Zderzeniu cywilizacji" Samuela Huntingtona wyczytałem prognozę, że wojny między Rosją a Ukrainą nie będzie, bo oba te narody są „słowiańskie i prawosławne, z bliskimi relacjami ciągnącymi się przez stulecia".

Cóż, bywają tezy tak bezdennie głupie, że wygłosić je może tylko światowej sławy filozof. W odróżnieniu od niego pan Ziutek walący piwo na ławce ma dość mądrości życiowej, by wiedzieć, iż stulecia bliskich relacji z Rosjanami niekoniecznie sprawiają, że się ich lubi, a nawet wprost przeciwnie. Na swoim blogu ekskursje.pl w krótkich żołnierskich słowach napisałem, co myślę o Huntingtonie. Od tego są media społecznościowe, żeby „mówić wprost", a nawet „jaśniej się nie da!". W felietonie dla szanującego się tygodnika wypadałoby jednak sformułować głębszą refleksję z lekturowego repetytorium. Cóż, spróbuję.

Przekonanie, że na dalszą metę liberalna demokracja jest skazana na wygraną, ma w świecie anglojęzycznym pejoratywne określenie „mitu wigowskiego" albo „wigowskiej historiografii". Nazwa pochodzi od nieistniejącej już brytyjskiej partii, która w XIX w. stanowiła połowę duopolu razem ze swoimi niegdysiejszymi arcyrywalami – torysami. Koniec zimnej wojny zaskoczył niemal wszystkich intelektualistów, zwłaszcza na Zachodzie. U nas pan Ziutek, wciąż tkwiący na tej samej ławce, wiedział swoje o tym, jak realny socjalizm funkcjonuje w rzeczywistości, więc nie był tak naiwny jak „kremlinolodzy" z Langley czy z Berkeley.

> Uzasadnienia wyższości demokracji nad dyktaturą szukam w banalnej wyższości Volkswagena nad Trabantem.

50 lat temu na Zachodzie powszechnie odrzucano „mit wigowski". Uważano go za coś niegodnego prawdziwego intelektualisty. Dominowała „teoria konwergencji", zgodnie z którą blok radziecki miał się stopniowo liberalizować, a blok zachodni – stopniowo socjalizować. Model ten przepowiadał, że nikt nie wygra zimnej wojny. Po prostu w miarę zacierania się różnic ideowych postępować będzie odprężenie i rozbrojenie.

Amerykanie trzymali się tego modelu z uporem godnym lepszej sprawy – wbrew pozorom także za Reagana i Busha. To nie oni rozbili ZSRR, sam się rozleciał. Wbrew amerykańskim politykom, którzy usiłowali go ratować do końca. 1 sierpnia 1991 r. prezydent Bush przybył do Kijowa, żeby namawiać ukraińskich polityków, by nie organizowali referendum o wystąpieniu z ZSRR. Wygłosił przemówienie, w którym zniechęcał do niepodległości, bo „nie jest tym samym co wolność". Cóż, Ukraińcy mają długą tradycję niesłuchania się obcych w tej materii, za co ich bardzo szanuję.

Za symboliczny koniec zimnej wojny uważa się upadek muru berlińskiego (9 listopada 1989 r.). Razem z nim powinna była wreszcie upaść teoria konwergencji, ale gdzie tam. O dalszym losie NRD miały zadecydować wybory wyznaczone na 18 marca 1990 r. Przez kilka miesięcy zachodni intelektualiści wypisywali niestworzone farmazony, przewidując, że wschodni Niemcy będą chcieli zachować swoje odrębne państwo dla jego zdobyczy socjalnych.

Gdyby ktoś na Zachodzie zapytał naszego pana Ziutka, dowiedziałby się od niego, że wynik wyborów „czy chcesz jeździć Trabantem, czy Volkswagenem" jest oczywisty dla każdego, kto nie skończył Oksfordu. Ale nie pytali, więc byli zaskoczeni wynikiem. Wybory przyniosły miażdżące zwycięstwo opcji szybkiego zjednoczenia poprzez samolikwidację NRD pod hasłem „Nigdy więcej socjalizmu".

Co do mnie, nazwałbym swoją orientację wigizmem-ziutkizmem. Owszem, bliski jest mi „wigowski model historii". Jeśli to ściąga na mnie potępienie ze strony intelektualistów wierzących w przyszłość ZSRR, NRD czy Jugosławii, to tym lepiej. Uważam, że ludzkość nie wymyśliła niczego lepszego od liberalnej demokracji. To nie znaczy oczywiście, że wyborcy – zmęczeni korupcją, powaleni apatią albo po prostu ogłupieni – nigdy nie zagłosują na kogoś, kto ją zlikwiduje. Twierdzę tylko, że szybko tego pożałują, bo dyktatura nie rozwiązuje żadnych problemów (a już zwłaszcza z korupcją!), ale wtedy będzie już za późno. Ludzie głosujący w ostatnich wolnych wyborach rzadko mają świadomość, że następnych mogą nie dożyć. Gdyby ją mieli, głosowaliby inaczej. Polacy w 1928 r. nie wiedzieli, że następne wolne wybory parlamentarne będą w roku 1991.

W odróżnieniu od większości wigów nie szukam uzasadnienia wyższości demokracji nad dyktaturą w materializmie historycznym, nauce społecznej Kościoła ani fenomenologii ducha, tylko w mądrości życiowej pana Ziutka. W banalnej wyższości Volkswagena nad Trabantem. Miękkiego papieru toaletowego nad kawałkiem gazety. Albo, cóż, zimnego piwa nad ciepłym. Liberalna demokracja wygrywa, bo przeciętnemu człowiekowi zazwyczaj żyje się w niej przyjemniej. To jej siła i słabość – biada demokratycznym politykom, gdy o tym zapomną.

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 1719f564a1

FELIETON

Chutnik Plebanek



Polskie nadgodziny

Piękna pani z Poznania podeszła do Grażyny po spotkaniu autorskim i zapytała, w jaki sposób piszą z Sylwią felietony: „Spotykacie się i rozmawiacie o tym, co ważne?". To wzruszające założenie, bo o ile wiemy, prawie nikt dziś nie ma czasu na zejście się w tym samym miejscu, o jednej godzinie, a tym bardziej by omówić coś, co ma sens.

Życie składa się ze ścinków przypadkowych dialogów i ekspresowych spotkań o ściśle określonym celu. Nawet randkowanie odbywa się błyskawicznie: kliknął w telefonie, przyjechał, odjechał i tyle go widzieli. Już sama idea aplikacji definiuje rodzaj relacji. Ma być szybko i wydajnie, bo satysfakcja klienta przekłada się na większe wpływy z reklam. Użytkownicy wspomagają ten przemysł własnymi ciałami, płacąc w ten sposób za mniej lub bardziej niezręczny seks. Bo trudno, żeby pierwszy (i zazwyczaj ostatni) raz z obcym człowiekiem nie rozczarował. Na horyzoncie majaczy moda na randki analogowe, tylko jak tu kogoś poznać, skoro chodzimy z nosami w telefonach?

Dziś rozmowa, celowa czy przypadkowa, to rzadkość. Coraz trudniej też o kontakt wzrokowy. Opiekunowie małych dzieci pchają wózki zapatrzeni w TikToka, a gdy dziecko może utrzymać w ręku telefon, wręczają mu go z ulgą. Nawet pytanie o drogę staje się podejrzanym procederem. Mamy Google, to po co zaczepiać spokojnych przechodniów? Każdy sobie rzepkę skrobie, porady są w telefonie, i to sprawdzone, bo mają gwiazdki i linki.

Dziś rozmowa, celowa czy przypadkowa, to rzadkość. Nawet pytanie o drogę staje się podejrzanym procederem.

Inaczej się komunikujemy, inaczej wychowujemy dzieci, inaczej ze sobą obcujemy. Szkody widać gołym okiem. Nie umiemy się skupić dłużej niż parę minut, co odbija się na jakości rozmów, liczbie lektur, nie mówiąc już o zanikaniu mięśnia samodzielnego myślenia. Przytomni obywatele próbują przeciwdziałać tej komunikacyjnej, emocjonalnej i intelektualnej katastrofie. Rodzice podejmują inicjatywy, by zabronić dzieciom i młodzieży używania telefonów. W Australii i we Francji wprowadzono już zakaz zapisywania się na media społecznościowe nieletnim do 15. roku życia. Ale wystarczy wejść do jakiegokolwiek środka lokomocji, by zauważyć, że wszyscy krzywią szyje nad ekranami. Niektórzy nawet chcieliby z tego zrezygnować, ale twórcy komórek zadbali o to, żeby nie dało się ustrojstwa odłożyć. Jeśli zerkniemy, która godzina, to potem sprawdzamy, kiedy przyjedzie tramwaj, a skoro dopiero za cztery minuty, to wchodzimy na maile, a w nagrodę – chlup w bagienko soszali!

Efekt kasyna powoduje, że nie sposób komórki odłożyć. Nawet państwowe instytucje zmuszają obywateli do zakładania aplikacji, które mają rzekomo ułatwić im życie. Tymczasem zmieniają one użytkowników w mrukliwych niewolników. Na szczęście w USA nastąpił przełom. Rodzice już wcześniej podawali do sądu firmy będące właścicielami mediów społecznościowych, oskarżając o unieszczęśliwianie dzieci, ale Zuckerberg, Musk i inni zasłaniali się prawem do wolności wypowiedzi. Tym razem wreszcie udało się udowodnić, że chodzi o coś poważniejszego, mianowicie o używanie mechanizmu uzależnienia do przyciągnięcia i utrzymania klientów. A ten jest żywcem wzięty z gier hazardowych.

Wygrana w tym procesie budzi nadzieję, że uda się powstrzymać dezintegrację więzi międzyludzkich, do czego walnie przyczyniają się nie tylko media społecznościowe, ale też skupienie wielu funkcji w małym przedmiocie zwanym wciąż telefonem. Paradoksalnie, mało kto już dzwoni, bo coraz więcej osób cierpi na fobię telefoniczną. Komunikatory pozwalają na ograniczenie kontaktu z rozmówcą, pisze się więc, zamiast rozmawiać, ale jakże pokracznie! Zsuwamy się po równi pochyłej w stronę pisma obrazkowego, tracąc bezpowrotnie bogactwo słów. Nie wypada wysyłać obszernych wiadomości, żeby nie wyjść na starca.

Bezpowrotnie tracimy też związki frazeologiczne, spłaszczane w tłumaczeniu przez modele językowe sztucznej inteligencji. Maszyna przekłada zwroty dosłownie, pomijając ukryte znaczenie. A to właśnie frazeologizmy są kapsułami, w których przechowuje się historia, dawne obyczaje: „adwokat diabła", „afera rozporkowa", „babcia klozetowa", „czapkowanie", „iść na czyimś pasku"... Stracić je to pozbawić się różnorodności kulturowej, informacji o własnym pochodzeniu. To jak podcinać gałąź, na której się siedzi, skoro już jesteśmy przy powiedzeniach.

Ale są i dobre wieści (jak zawsze). Po kolejnym spotkaniu autorskim Grażyna dostała esemesa: „Wczoraj jeszcze długo siedzieliśmy z przyjaciółmi na nocnych Polaków rozmowach o Poli i literaturze". Jak „nocne Polaków rozmowy" przetłumaczyłaby AI? Pewnie jako zebranie członków zarządu prowadzone po godzinach pracy. Polskie nadgodziny. Grażyna chętnie by w tej dyskusji uczestniczyła, ale siedziała już w pociągu, jadąc na kolejne spotkanie autorskie. Żałowała też, że nie mogła spotkać się z Sylwią, ale ta podróżowała właśnie po Włoszech. I tak ważne rozmowy muszą się odbywać na odległość lub telepatycznie.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 1719f564a1



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Zawodnik UFC Mateusz Gamrot stwierdził, że gdyby doszło do pojedynku pięściarskiego Marcin Najman kontra Karol Nawrocki, to prezydent by wygrał. Wiadomo nawet jak. Nie powołałby sędziego.

Vito Bambino wyznał, że w 49 proc. jest Niemcem. Ciekawe, czy z jego perspektywy to on tę drugą wojnę światową wygrał, czy przegrał.

„Jestem bardziej wypromowana niż Coca-Cola w tym kraju, więc nie potrzebuję takich podkastów". Tak Doda tłumaczy swoje wyjście w trakcie wywiadu. Fakt. Coca-Cola też ma na koncie sporo procesów.

Zenek Martyniuk wystąpił na otwarciu Piri-Piri Kebab w Galerii Olimp w Lublinie. „Piri-Piri" brzmi jak refren Zenka – tak dobry tytuł jak cała biografia.

Główny Inspektorat Farmaceutyczny zdecydował, że Taco Hemingway musi usunąć z utworu „Zakochałem się pod apteką" nazwę leku Solpadeine. Teraz czas na Perfect i nielegalną promocję pieców martenowskich.

„Mam wiedzę, jak będzie wyglądać następne sto lat" – to Edyta Górniak w podkaście Cypriana Majchera. Edyta ma dopiero 53 lata. Chyba mam wiedzę, jak będzie wyglądać następne kilkanaście lat.

Kasia Sokołowska została współwłaścicielką i kuratorką estetyki platformy z biżuterią fettejewel.com. Brawo. W dziale męskim znalazłem łańcuszek wielofunkcyjny Spicy Disco. Bez kuratora bym w nim nie wyszedł.

Robert Bernatowicz odwiedził TVN, gdzie oznajmił *urbi et orbi*: „Jesteśmy nieśmiertelni". Czyli „Sylwester Polsatu" już zawsze z Marylą.

W plotkarskim serwisie Jastrząb Post materiał sponsorowany: „Jakie sandały trzeba wybrać, by wyglądać jak ikona mody". To rzadki przykład, gdy poziom reklamy dostosowuje się do poziomu treści.

W Sądzie Rejonowym w Opolu rozpoczął się proces Mariusza Pudzianowskiego oskarżonego o nielegalną reklamę gry hazardowej. Karol Nawrocki wziął ostatnio na klatę 150 kilo. Udźwignie i to.

Koncert Malika Montany na festynie rodzinnym w Grudziądzu został odwołany. Szkoda. Dzieci nie wysłuchają jego lekcji przedsiębiorczości: „Ko ko kosi kosi łapci. Kosi kosi fanty. Jak się nie ma, co się lubi, to się kradnie, co popadnie".

Janusz Palikot szuka inwestorów do uruchomienia telewizji internetowej. Nie dziwię się. Musi liczyć na siebie. Awarie monitoringu w zakładach karnych zdarzają się coraz częściej.

Muzyk Kultu Piotr M. został skazany za wyłudzanie odszkodowań od firm ubezpieczeniowych za sfingowane zgony w rzekomych wypadkach samochodowych w USA. Czyli jednak zespół otarł się o karierę zagraniczną.

Ojciec Viki Gabor został oskarżony o udział w zorganizowanej grupie przestępczej wyłudzającej pieniądze metodą „na policjanta". Jest to ostatnio, obok Blika i szybkich przelewów, najpopularniejsza forma płatności.

Rafał Brzozowski będzie producentem muzyki country na rynek amerykański. Powodzenia. Mam takie nieodparte wrażenie, że gdyby Rafał otworzył zakład pogrzebowy, to ludzie przestaliby umierać.



© DZIENDOBRY.TVN.PL

W „Dzień Dobry TVN" Monika Jarosińska zaprezentowała na prowadzących, jak przebiega zdejmowanie uroku za pomocą jajka. Nowy właściciel TVN ma dobre kontakty z Donaldem Trumpem. I to już widać.

eprasa.pl 1719f564a1



Motocyklizm kontra hitleryzm

Do czyhających na Polaków zagrożeń, takich jak genderyzm, postkomunizm, liberalizm i homoseksualizm, w tych dniach dołączył hitleryzm. O zagrożeniu poinformował na Jasnej Górze abp Jędraszewski, który zwracając się do motocyklistów przybyłych na Zlot Gwiaździsty w ramach Motocyklowego Rajdu Katyńskiego, skrytykował polską szkołę próbującą „zrobić naszej młodzieży to samo, co chciał Hitler: nauczyć tylko dodawania i odejmowania, by powstała bezwolna masa do pracy na niemieckich polach szparagowych".

Jeśli dobrze arcybiskupa rozumiem, dla wyprodukowania jak największej ilości masy zwolennicy metody Hitlera przeniknęli do polskiego szkolnictwa i wykonują tam krecią robotę, polegającą na nauce dodawania, odejmowania oraz na wprowadzaniu edukacji seksualnej zamiast lekcji religii.

Trochę dziwi to, że rodzimi hitlerowcy nie zakazali dodawania i odejmowania; uważam, że bez tej umiejętności uzyskana przez nich masa byłaby jeszcze bardziej bezwolna. Może kombinują, że niech ta masa sobie dodaje i odejmuje, bo to odwraca jej uwagę od mnożenia, dzielenia i wyciągania pierwiastków kwadratowych – działań, po opanowaniu których osiągnęłaby taki poziom rozwoju, że straciłaby ochotę do zbierania szparagów.

O tym, że hitlerowski zamysł jest przez MEN skutecznie realizowany, zdaniem arcybiskupa świadczą badania, z których wynika, „że 13 proc. Polaków nie kocha Polski, a dla dwudziestu kilku kolejnych sprawy Polski są obojętne". Ludzie ci potrafią poprawnie dodawać i odejmować, ale nie ma w nich miłości do Polski, do polskiego Kościoła, hierarchów i wartości, jakie ci hierarchowie sobą reprezentują.

Mimo dramatycznej sytuacji Jędraszewski zaapelował, żeby nie popadać w pesymizm, gdyż oprócz prohitlerowskiej szkoły i proniemieckiego rządu są w kraju także rzeczy piękne i bardzo polskie, np. Rajd Katyński szukający „nowego języka, by zarazić ludzi nie tylko tym, co się odczuwa, jadąc motocyklem, ale i pewną ideą, którą poprzez motocykl można przekazać dalej".

To dobrze, że umysł Jędraszewskiego, mocno zarażony motocyklem, usiłuje nam poprzez ten motocykl przekazać niepokojący komunikat o odradzaniu się hitleryzmu w polskich szkołach. Miejmy nadzieję, że zaproponowana przez tego hierarchę idea narodowego motocyklizmu będzie odtrutką na znajdujące się pod wpływem Hitlera polskie szkolnictwo. I że donośny ryk motocykli, który ożywił go umysłowo i ideowo, ożywi także uczniowską masę, zaczadzoną dodawaniem, odejmowaniem i wizją pracy przy zbieraniu szparagów.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Prinit Leipa

eprasa.pl 1719f564a1

Czytaj mądrze

Żyjemy w ciekawych czasach (nawet za bardzo), a na pewno szybkich jak nigdy. Zdajecie sobie sprawę, że jedna dzisiejsza gazeta zawiera tyle treści i wiedzy, co wszystkie średniowieczne pisma razem wzięte? I ciągle tych treści przybywa, tego już się nie zatrzyma. Są media tradycyjne i są media społecznościowe. Są fakty i są fake newsy. Są informacje i są dezinformacje. Coraz trudniej je od siebie odróżnić, zaufać własnym oczom i uszom. Skoro wszystko brzmi wiarygodnie, to co jest prawdziwe?

Dlatego właśnie uczciwe, pogłębione, staranne i rzetelne dziennikarstwo jest tak ważne. Na szczęście nadal jest uprawiane, z pasją i misją. Można je jeszcze rozpoznać: po charakterystycznym tonie (niesensacyjnym), objętości (to nie są szybkie, lapidarne materiały), nazwisku (zwykle od razu widać, czy autor lub autorka mają odpowiednie kompetencje) i samym medium (ma swoje wartości, reputację, doświadczenie). Czytelnik, który chce się lepiej orientować i wyrobić sobie zdanie, takie dziennikarstwo na pewno wytropi i doceni.

Dziś obie strony – i dziennikarze, i czytelnicy – muszą włożyć nieco więcej wysiłku, żeby czegoś się dowiedzieć. Ale jest nagroda: wszyscy trochę więcej z tego świata rozumiemy. Dobrze czytać mądrze.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA,
REDAKTORKA NACZELNA POLITYKA.PL

Subskrybuj:
polityka.pl/powitalna



Nauka jest spotkaniem

Rozmowa, którą zainaugurowaliśmy cykl „Podróż po wiedzę", była jak sama nauka: poszukiwaniem odpowiedzi, w trakcie którego ujawniają się kolejne pytania.

W jaki sposób rozmawiać o zmianach klimatu, żeby nie przekarmić nikogo strachem? Jak dać mądrą, opartą na racjonalnych przesłankach nadzieję, że także my sami mamy wpływ na to, w jakim świecie będziemy za jakiś czas żyli? Jakimi słowami przekonywać, żebyśmy podejmowali proekologiczne decyzje czy wymagali od swoich władz konkretnych działań zapobiegających katastrofom klimatycznym?

Wskazówki dały nam trzy znakomite badaczki. Kolejne padną z ust naukowców zajmujących się różnymi obszarami wiedzy, którzy przyjęli nasze zaproszenie do Gdyni (21 maja, godz. 18, Centrum Nauki Experyment) i do Krakowa (6 czerwca, godz. 16, Galeria UFO), a także – po wakacjach – do Warszawy, Lublina, Szczecina i Katowic.

Serdecznie na rozmowy z nimi zaprasza portal popularnonaukowy POLITYKI pulsar (projektpulsar.pl), bo – parafrazując tekst Wojciecha Młynarskiego – „Nauka to podróż, kolego, nauka to spotkanie, kolego".

Sponsorem cyklu jest Enea.



© ŁUKASZ GDAK/ENEA (2)

Od prawej: **Dalida Gepfert, wiceprezeska ds. korporacyjnych Enea SA, oraz Jerzy Baczyński, redaktor naczelny POLITYKI**



Od prawej: **dr Dominika Czerniawska-Szejda z Interdyscyplinarnego Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego UW, Dominika Zaremba z Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN i Uniwersytetu SWPS, dr Julia Wahl z Wydziału Biologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, Katarzyna Czarnecka, wicenaczelna pulsara**

eprasa.pl 1719f564a1



TREND

Jak dobrze się pożegnać

Po tym, jak Nicole Kidman ogłosiła, że szkoli się na doulę umierania, zaczęliśmy pytać, kto to taki. A przecież zwyczaj pomagania w odchodzeniu jest niemal tak stary jak kultura.

„Gdy odchodziła moja mama, była w tym bardzo samotna – rodzina mogła ją wspierać tylko do pewnego stopnia i pewnego momentu. Pomyślałam, że chciałabym, aby były z nią osoby, które mogłyby spokojnie i bez narzucania się zapewnić pocieszenie i opiekę” – powiedziała niedawno Nicole Kidman i dodała, że szkoli się na kogoś właśnie takiego. *Death doula* (dosł. doula śmierci) pomaga stawiać ostatnie kroki umierającym.

Deklaracja Kidman wywołała poruszenie, podobnie jak jej dalsze wyjaśnienia. Aktorka płynęła jednym z weneckich kanałów, aby odebrać nagrodę na prestiżowym festiwalu za swoją odważną rolę w filmie „Babygirl”, gdy dotarła do niej wieść o śmierci matki. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, nie mając siły na podróż lotniczą, wróciła do hotelu i leżała sama w łóżku. Z perspektywy czasu oceniała, że przydałoby się jej wtedy wsparcie kogoś, kto niesie w takiej sytuacji pocieszenie – tym także zajmuje się doula umierania. „Z czasem dowiedziałam się, że jest taka osoba, i taki rodzaj osobowości, który jest w tej pracy potrzebny. I że ja ją mam” – spuentowała aktorka. Nie jest jeszcze jasne, czy australijska gwiazda szkoli się, aby podjąć tę pracę, czy raczej chce bardziej profesjonalnie wspierać bliskich. Pewne jest to, że Kidman jest najbardziej znaną postacią, która chce towarzyszyć odchodzącym, chociaż niejedyną – nawet w branży filmowej.



Ola Salwa
– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

Przyszłą doulą umierania jest także nominowana w tym roku do Oscara reżyserka Chloé Zhao – jej „Hamnet” w dużej części zresztą opowiada o żałobie po stracie dziecka. Nie kierowała się jednak chęcią zgłębienia tematu filmu. Swoją decyzję o przejściu szkolenia tłumaczyła na początku roku w rozmowie z „The New York Times”: „Całe życie bałam się śmierci. I być może dlatego nie żyłam na całego. Nie potrafiłam kochać całym sercem, bo bałam się utraty tej miłości – wszak to jedna z form śmierci”. Na liście jest też Riley Keough, aktorka znana z „Dziewczyny z doświadczeniem” i wnuczka Elvisa Presleya.

Jak można zostać doulą umierania? Trzeba skończyć specjalistyczny kurs, który może trwać od 2 do 12 tygodni, w zależności od miejsca szkolenia i jego intensywności. Zawód ten jest nowy – pojawił się na początku tego tysiąclecia. Wcześniej słowo „doula” – które pochodzi z greki i oznacza niewolnicę – kojarzyło się z przeciwnym biegunem życia, czyli z narodzinami. Kobiety (i niewielka grupa mężczyzn) wykonujące ten zawód wspierają rodzące, przede wszystkim podczas porodów w domu. Dawniej mówiliśmy o takich osobach „akuszerki” – i to słowo też początkowo było używane przez towarzyszki umierania. Szybko jednak pojawiły się protesty stowarzyszeń położnych i nazwę zmieniono.

Pojawienie się douli umierania jest elementem szerszego zjawiska, które w pierwszej chwili wywołuje gęsią skórkę, czyli „śmierciopozytywności”. Nie chodzi tu jednak o osławiony kult cywilizacji śmierci, ale o ponowne dostrzeżenie i docenienie wagi śmierci, a także zdjęcia tabu z procesu odchodzenia. Na pobieżne nawet przedstawienie zwyczajów z nim związanych nie ma tutaj wystarczająco miejsca, ale warto pamiętać, że jeszcze kilkadziesiąt lat temu, także w polskiej kulturze, śmierć była traktowana jako naturalna część życia. Pozostawianie ciała zmarłego lub zmarłej w domu, mycie go i przygotowanie do pochówku było czymś zwykłym.

Dziś i odchodzenie, i odejście przechodzi ponowny proces normalizowania, zapraszane z marginesów, na które wygnał je kult młodości. Nie musimy daleko szukać – w Polsce od lat działa choćby Instytut Dobrej Śmierci. Prowadzi szkolenia i spotkania na temat umierania i tematów z tym związanych – od tego, jak rozmawiać z dzieckiem o stracie, jak oswoić się z własnym odchodzeniem, aż po koncert ludowych pieśni żałobnych. Kultura wszak zawsze była blisko śmierci, czego dowodem jest znana i trafna w tym kontekście myśl profesor Marii Janion: „Żyjąc, tracimy życie”. ■

© STEPHANE CARDINALE/CORBIS/GETTY IMAGES, ARCHIWUM PRYWATNE, GRZEGORZ WAJDA/REPORTER, AMA/SHUTTERSTOCK AI

eprasa.pl 1719f564a1

WIRAL

Dziki i robot



Sukces polskich wynalazców: przerobili chińskiego androida na stuprocentowego Polaka. Oto świat rodem z gorzkich fantazji Philipa K. Dicka – irytujący robot zaprogramowany w celach marketingowych przemierza ulice polskich miast: tańczy, śpiewa, kibicuje, straszy dziki i konwersuje. To właśnie filmik, na którym **„Edward Warchocki”** goni stadko dzikich zwierząt, wołając: „Sio!”, stał się wiralem, o którym piszą światowe media.

Dlaczego? Jest prawdziwy, co w czasach podobnych filmów (np. króliki na trampolinie) generowanych przez AI jest rzadkością. Do tego używa uniwersalnego języka slapsticku, podobnie jak pies przebrany za pająka z historycznego już wirala internetowego błazna Sylwestra Wardęgi. No i bohater jest androidem. Ale inne maszyny rozwożą jedzenie, witają klientów (jak słynny Kerfuś) albo pracują w fabrykach, a Edward Warchocki to model rozrywkowy – proponuje wprawdzie, że zaniesie zakupy staruszce, ale w praktyce jest imprezową atrakcją. I „influencerem”, choć przecież sam sobie konta na TikToku nie założył. Stoi za nim polska firma MERA Robotics, czyli Radosław Grzelaczyk i Bartosz Idzik. Ten pierwszy nabył chińskiego robota Unitree G1, ten drugi zmodyfikował jego oprogramowanie.

Obecność Edwarda w przestrzeni publicznej sprawia wrażenie zbiorowej cyberpsychozy. Wystarczyło, że ChatGPT zyskał ciało i zupełnie zmieniło się podejście do niego. Oczywiście treści na TikToku „influencera” są dobierane tak, by budować pozytywny przekaz. Ale ciepło na Warchockiego reagują kibice, celebryci, przechodnie, a nawet politycy. Cieszą się też Chińczycy – wiral sławi potęgę robotyki Państwa Środka, pracując na jego soft power.

Tylko dzików żal: trwa właśnie bezprecedensowa (i krwawa) nagonka związana z obecnością zwierząt w mieście. Edwardowi tymczasem daleko do zakochanego w przyrodzie bohatera filmu „Dziki robot” – bliżej mu do psychopatycznych androidów Dicka mordujących zwierzęta z czystej złośliwości. Wiralowy filmik jest testem na empatię – i nie wszyscy go zdali.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Znak szlopu



O zjawisku *AI slop* pisaliśmy tu już rok temu (POLITYKA 28/25), a w rubryce Wiral co rusz opowiadamy o jakimś slopie, posługując się też polskim określeniem: breja AI. Podobno w zeszłym roku łączna długość tekstów wygenerowanych przez AI przekroczyła tę stworzoną przez ludzi, co jeden z komentatorów na platformie X skwitował: „Zaleje nas breja AI slopu, na powierzchni którego będą dryfować tylko nieliczni, używający własnego rozumu”. Hasło „breja” przyjmuje się jednak powoli i doczekało się konkurencji: słowa „szlop”, w którym spolszczenia angielskiego terminu dokonaliśmy, zamieniając „s” na „sz” (jak sztuczna inteligencja), choć zarazem wygląda trochę jak „slop” zapisany po węgiersku (a wszyscy jesteśmy ostatnio trochę bardziej Węgrami).

W social mediach już się pojawia, w zdaniach takich jak „Nie no, gra wygląda jak szlop”. Hasło weszło też do słownika miejski.pl z definicją „Uwłaczające określenie na sztuczną inteligencję lub treść przez nią wygenerowaną”. Ten, kto definicję napisał, nie sprecyzował, komu ma to słowo uwłaczać: samej AI, jej twórcom czy ludziom, którzy efekty jej działania puszczają dalej – jak Donald Trump, bo amerykański prezydent wydaje się jednym z najbardziej zaangażowanych w promocję efektów działania najdroższej amerykańskiej technologii, czyli np. obrazków ze sobą w roli Chrystusa.

To, co uprawia Trump, ma jednak inną nazwę: *boomertrap*. Chodzi o treści generowane za pomocą AI, ale na tyle prymitywne i niewiarygodne, że przekazują je dalej osoby o niższych kompetencjach cyfrowych, czyli w dużej mierze np. rówieśnicy amerykańskiego prezydenta. Serwis Spider’s Web wyjaśniał, że „boomertrap to każdy AI slop, na który zareagowałaby przeciętna babcia czy długo niewidziany wujek spędzający emeryturę na rybach i przewijaniu Facebooka na kanapie”.

I jest to uogólnienie nieco krzywdzące, bo np. znającemu się na internecie Kanałowi Zero zdarzyło się bezkrytycznie podać dalej antyeuropejski szlop pochodzący z kanałów z rosyjską propagandą. Jak zwykle więc *boomer* jest określeniem opisującym nie tyle grupę pokoleniową, ile stan umysłu. A w *boomertrap* wpadają nie tylko starsi, ale i ci od dawna specjalizujący się w danej dziedzinie. Jest to, najkrócej mówiąc, pułapka na dinozaury.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Poznałem świata ciężar, jak niosłem go na barach,
Mijam zarobasa, co chce umrzeć za dolara.

Koza & Kuba Więcek, Dekada, 2026 r.

Zarobas – człowiek z pieniędzmi, często chwalący się, szastający nimi

eprasa.pl 1719f564a1



Miłość do czytania

W Buenos Aires działa księgarnia, której zazdrości Argentynie cały świat.

Argentyńczycy kochają tango, popijanie naparu yerba mate, wołowe steki, ale też czytanie. Mało tego: argentyńska stolica jeszcze do niedawna była miastem mogącym poszczycić się największą liczbą księgarń w przeliczeniu na jednego mieszkańca – na każde 100 tys. osób przypada tam 25 sklepów z książkami (teraz palmę pierwszeństwa przejęła Lizbona ze wskaźnikiem 35,97). Najsłynniejszą z 734 księgarń działających w Buenos Aires jest **El Ateneo Grand Splendid.** „Najpiękniejsza księgarnia świata" – pisał o niej National Geographic. Z kolei brytyjski „The Guardian" w swoim rankingu uplasował ów obiekt na zaszczytnej drugiej pozycji, tuż za ulokowaną w XIII-wiecznym kościele księgarnią w holenderskim Maastricht. Fasada El Ateneo od strony ulicy zupełnie nie wróży tego, co można zobaczyć w środku. Ot, elegancka, wielopiętrowa kamienica z ładnymi balkonami, przypominająca te z warszawskich Alej Ujazdowskich. Za to w środku czeka na nas księgarnia w teatrze. Prawdziwym, bo kiedy w 1919 r. budynek oddano do użytku, urządzono w nim teatr, na którego widowni mogło zasiadać 1050 osób. W latach 20. budynek El Ateneo mieścił też stację radiową i studio nagraniowe, aż w końcu przerobiono je na kino, w którym Argentyńczycy po raz pierwszy mogli obejrzeć film z głosowymi dialogami. Księgarnia powstała w grudniu 2000 r. Trzeba było pozbyć się kinowych foteli, ale atmosferę dawnego teatru szczęśliwie zachowano. Widownię zastawiono regałami z książkami, pozostawiono zdobiące sufit freski wykonane sto lat temu przez pochodzącego z Italii malarza Nazareno Olrandiego, a także różnorakie ornamenty, pozłacane zdobienia oraz kurtyny sceniczne. Dawna scena to obecnie kawiarnia, w której – o ile znajdziemy miejsce – można napić się dobrego cappuccino i zjeść tiramisu, bo ze względu na dawną imigrację argentyńska stolica jest mocno przesiąknięta włoskimi wpływami. Uważa się nawet, że włoskie korzenie ma aż 62 proc. Argentyńczyków. Jeśli chcemy, możemy zaszyć się w jednej ze starych lóż teatralnych, żeby spokojnie poczytać. Z kolei jeśli interesuje nas historia El Ateneo, warto zajrzeć na jego najwyższy poziom, gdzie w lożach zorganizowano niewielkie interaktywne muzeum.

Rozlokowaną na powierzchni 2000 m kw. wielopoziomową księgarnię w skali roku odwiedza prawie milion osób. Zaledwie mały ułamek stanowią turyści – autokarowe grupy wycieczkowe raczej tu nie przyjeżdżają.

Tłumy, jakie tutaj są chyba zawsze, to Argentyńczycy przychodzący na zakupy albo po prostu poczytać. W większość dni, włącznie z niedzielą (mimo że Argentyna to kraj zdecydowanie katolicki), można tu przebywać do godz. 22, w piątki i soboty zaś – aż do północy. W końcu nie bez powodu mówi się o „boskim Buenos", że to miasto, które nie zasypia, choć nie tylko klasyczne rozrywki mają na to wpływ.

Miłość do książek widać na każdym kroku – Argentyńczycy czytają w parkach, w metrze, w autobusach (zwłaszcza tych na dalekich trasach), przy czym wyraźnie preferują wydania papierowe. Podczas gdy w Polsce przeczytaniem co najmniej jednej książki w roku może pochwalić się zaledwie 41 proc. społeczeństwa (dane z ostatniego raportu Biblioteki Narodowej), w Argentynie jest to mocne 56 proc. To skutek również tego, że tam książki są traktowane w sposób szczególny pod względem podatkowym. Choć standardowa stawka VAT w Argentynie wynosi 21 proc., książki często korzystają ze zwolnień lub preferencyjnych stawek VAT. Jest jednak pewne „ale". Jest nim ogólna niestabilność nie tylko polityczna, ale przede wszystkim ekonomiczna kraju.

W szczytowym momencie, w lipcu 2024 r., stopa inflacji w Argentynie wynosiła 263,4 proc. I choć teraz wskaźniki są już lepsze, to pozostają bardzo wysokie. Na razie Argentyńczycy książki jeszcze kupują, ale pytanie, czy te przyzwyczajenia wkrótce nie będą musiały zostać ograniczone. Właściciele księgarni, zwłaszcza tych mniejszych od El Ateneo, nie kryją pesymizmu.■



Monika Witkowska – himalaistka, żeglarka, podróżniczka. Autorka książek (m.in. „K2. Ostatnia szansa" i „Kurs Arktyka"). Prowadzi stronę na Facebooku: Monika Witkowska – Podróże małe i duże.

© SHUTTERSTOCK (2), LESZEK ZYCH, RAFAŁ MASŁOW

eprasa.pl 1719f564a1

Targowisko próżności



WINO

Co czeka targi winiarskie? I czy opłaca się na takie targi wybrać?

Pozdrawiam państwa z Werony, gdzie tydzień temu zakończyły się największe targi włoskiego wina – Vinitaly. Ja wciąż leżę w moim Airbnb, wyczerpany po niesamowitym maratonie: w ciągu czterech dni spróbowałem 500 win. Ostatnie – o drugiej w nocy pod kultową winiarnią Bottega Vini, gdzie wśród miliona ludzi, na stojąco, osusza się półtoralitrowe butelki magnum najlepszych szampanów. Całe miasto pulsuje niesamowitą winiarską atmosferą, w zależności od energii i koneksji każdego wieczoru do wyboru mamy lans nowych roczników Brunello di Montalcino w galerii sztuki, specjalnie dobrane dania do primitivo w restauracji z gwiazdką Michelina albo picie prosecco pod gwiazdami w pięknej winnicy za miastem (bezpłatne busiki odjeżdżają co pół godziny).

Wedle informacji organizatorów Vinitaly odwiedziło w tym roku blisko 90 tys. gości, co daje imprezie światową palmę pierwszeństwa. Winiarską branżę od dwóch lat rozpala rywalizacja dwóch innych imprez: ProWeinu w Düsseldorfie oraz Wine Paris. Do niedawna światowym hubem wymiany handlowej, gdzie po prostu trzeba było się wystawiać, była ta pierwsza, odbywająca się marcu, przed Wielkanocą. Ale od covidu branża jest w kryzysie, konsumpcja niemal na całym świecie spada, koszty rosną i winiarze – jak o tym nieraz pisałem – są w nie lada kłopotach. Zwłaszcza ci, którzy są na musiku, czyli eksportują lwią część swojej produkcji i często konkurować mogą jedynie ceną (Australia, Chile, RPA, Hiszpania, Mołdawia...).

Producenci, zwłaszcza narodowe i regionalne agencje promocji, które są największymi klientami targów, znalazły się w paradoksalnym położeniu. Przy rosnącej konkurencji o coraz mniejsze kawałki tortu powinni zwiększać nakłady na marketing, ale jednocześnie mają na to coraz mniej pieniędzy.

No i zaczęły się cięcia. W 2025 r. agencja Wine Australia zdecydowała się po raz pierwszy nie wystawiać na ProWeinie, zamiast tego wybierając Wine Paris. W ciągu minuty z Düsseldorfu wyparowało 100 stoisk. Za Australią poszły kolejne kraje Nowego Świata. Niewątpliwie przyczyniła się do tego ogólna irytacja niemieckim miastem, ciasnym, zimnym i potwornie drogim: na czas targów hotelarze podnoszą ceny sześciokrotnie... A stolik w sześciu sensownych restauracjach trzeba rezerwować dwa lata naprzód.

Efekt: 60 tys. odwiedzających w Paryżu (plus 25 proc. wobec poprzedniego roku) kontra 30 tys. w Düsseldorfie. W 2025 r. tamtejsze hale świeciły pustkami, do sekcji z winami z Grecji i Słowenii nie zajrzał pies z kulawą nogą. W tym roku skomasowano wystawców w mniejszej liczbie hal, tworząc sztuczny tłok, ale przecież winiarze nie są głupi i widzą, że po trzech dniach pracy, ubożsi o kilka tysięcy euro, przydatnych kontaktów handlowych mają niewiele. W komunikacie prasowym ProWeinu pojawił się jedynie spin o „strategicznej reorientacji" imprezy: liczy się nie ilość, tylko jakość kontaktów i rozmów...

No właśnie, wielu winiarzy zadaje sobie pytanie, po co w ogóle uczestniczyć w tak wielkich imprezach tak znacznym kosztem. Znajomy producent z Barolo wyliczył mi kiedyś swój udział (prawda, że spory, bo 100-hektarowe przedsiębiorstwo na dużym stoisku reprezentuje zespół złożony z 10 osób) na 25 tys. euro. Jeśli te same spotkania z kontrahentami można odbyć taniej i sprawniej – online albo choćby zapraszając ich do siebie, to pokusa zarzucenia targów rośnie. Stąd coraz większy problem – widoczny również w Polsce na takich imprezach jak EnoExpo czy Warsaw Wine Experience – z mobilizacją branżowych gości. Ten, kto wymyśli nową, trwałą formułę handlowych spotkań, zarobi fortunę.

Na tle tych wszystkich problemów Vinitaly może mówić o sukcesie. Co prawda wspomniana 90-tysięczna frekwencja to spadek o 10 proc. wobec poprzedniego roku, ale ci, którzy do Werony zawitali, z pewnością zapamiętali pozytywną energię i doskonałą jakość win. Co jednak dalej z targami? Tego nie wie nikt. ■



Wojciech Bońkowski – dziennikarz i krytyk winiarski od 1999. Od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine.

Największe emocje targów Vinitaly:

Cenatiempo Ischia Bianco Superiore Kalimera 2022, 30 euro (internety zagraniczne)
Ferrari Trento DOC Perlé Bianco Riserva Brut, 40 euro (internety zagraniczne)
Lunae Bosoni Colli di Luni Vermentino Etichetta Nera 2023, 79,90 zł (magiadelvino.pl)
Tenuta delle Terre Nere Etna Bianco Calderara Sottana 2020, 224 zł (wine-express.pl)
Fratelli Alessandria Barolo San Lorenzo di Verduno 2022, 476 zł (winezja.pl)

eprasa.pl 1719f564a1

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Z Kwaśniewskim o wszystkim



Dlaczego Donald Trump wychodzi z NATO we wtorki, środy i piątki, a w inne dni chce w nim zostać? Czy Steve Witkoff ma jakieś pojęcie o negocjacjach pokojowych? Jaki jest Wołodymyr Zełenski i o czym marzy Władimir Putin – o to wszystko pytamy Aleksandra Kwaśniewskiego w podkaście „Świat na zakręcie". „Pracowałem z Clintonem i Bushem" – przypomina. Ma porównanie, więc nie szczędzi Trumpowi złośliwości.



Europa chybotliwa

W ostatnich tygodniach załamały się rozmowy koalicyjne w Słowenii i Danii, realny jest upadek rządu w Rumunii, kryzys trawi też gabinet brytyjskich laburzystów. Europejskimi państwami najwyraźniej coraz trudniej zarządzać – pisze Mateusz Mazzini. **Na polityka.pl wyjaśniamy, dlaczego wielopartyjne rządy się chwieją i czy grozi nam nad Wisłą to samo** (Polska 2050 bardzo się o to stara).

Matura po majówce



Maturzyści, którzy mają plany na majówkę, muszą dobrze zaplanować podróż powrotną, żeby się nie spóźnić. Egzaminy ruszą już w poniedziałek 5 maja. Były prośby o przesunięcie terminu – nieskuteczne. Ale dla uczniów to i tak najmniejszy problem. **„Matura jest przedpandemiczna, a zdający są postpandemiczni", ostrzega Dariusz Chętkowski. Cieszą się tylko korepetytorzy. Szczegóły na polityka.pl.**



Kulturalnie o pieniądzach

W kulturalnym podkaście POLITYKI tym razem nie mówimy o filmie, muzyce czy literaturze, ale o wszystkim naraz. Ministra Marta Cienkowska wyjaśnia, dlaczego nie wpuściłaby do Polski Kanyego Westa, ale przede wszystkim opowiada o losach długo wyczekiwanych projektów. Co z ustawą o zabezpieczeniu socjalnym artystów? Czy rynek książki zostanie uregulowany? I kto za to zapłaci? Pyta Bartek Chaciński.

Uczciwie o terapii



Czego można oczekiwać od terapii, a czego nie warto? Ustalamy w naszym podkaście psychologicznym. Czy naprawdę „każdy powinien choć raz spróbować" i czym grozi „przeterapeutyzowanie", wyjaśnia w rozmowie z Joanną Cieślą Kama Wojtkiewicz, psycholożka, autorka książki „Sobą zajęci. O pułapkach samorozwoju i kultury terapeutycznej". Nowe odcinki i zawsze kompetentni goście – co poniedziałek na YouTube i polityka.pl.

© ANNA AMAROWICZ (2), SHUTTERSTOCK, ARKADIUSZ WOJTASIEWICZ/POLSKAPRESS/EAST NEWS, LESZEK ZYCH

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 1719f564a1

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 1719f564a1



Albatros 40 lat

Nowy Rok z Albatros travel

Nowy Rok w Rzymie

Powitaj Nowy Rok w wiecznym mieście – Rzymie. Poznaj jego największe atrakcje i daj się uwieść niepowtarzalnemu urokowi tego wspaniałego miasta.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Rzymu. **Dz. 2** Zwiedzanie Rzymu pieszo z przewodnikiem. Ołtarz Pokoju, Schody Hiszpańskie, Fontanna Barcaccia i Fontanna di Trevi oraz Panteon, czas wolny i kolacja w hotelu. **Dz. 3** Wycieczka do Castelli Romani, w programie wizyta w Castel Gandolfo i Frascati z lekkim obiadem (dodatkowo płatna). Wieczorem kolacja Sylwestrowa. **Dz. 4** Dzień wolny w Rzymie. Możliwość odwiedzenia Bazyliki św. Piotra lub podziwianie noworocznych skoków do Tybru z Ponte Cavour. **Dz. 5** Spacer po Watykanie z przewodnikiem. Wylot z Rzymu do Warszawy.

5 dni | Wylot z Warszawy 29/12 2026

od 5.798,-

Sylwester w RPA

Przywitaj Nowy Rok w Południowej Afryce i poznaj ten fascynujący kraj podczas safari z Wielką Piątką Afryki oraz wizyt w historycznej Pretorii oraz Soweto.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Johannesburga i zwiedzanie Pretorii. Przejazd do rezerwatu Entabeni Game Reserve i zakwaterowanie w Ranger camp, należącym do Alabtros Travel. **Dz. 3** Entabeni Game Reserve, Ranger Camp. Przygoda na safari. **Dz. 4** Entabeni Game Reserve, safari piesze w buszu. **Dz. 5** Safari i tradycyjne braai (grill) nad wodą przy prywatnej tamie Albatros Travel. Wieczorem kolacja Sylwestrowa i wspólne przywitanie Nowego Roku pod rozgwieżdżonym afrykańskim niebem. **Dz. 6** Entabeni Game Reserve. Safari na górnym płaskowyżu rezerwatu. **Dz. 7–8** Entabeni Game Reserve: Safari oraz relaks przy basenie. **Dz. 9** Entabeni Game Reserve – Johannesburg. Wizyta w Soweto i wylot do Polski. **Dz. 10** Powrót do domu.

10 dni | Wylot z Warszawy 27/12 2026

od 13.498,-

Słoneczny Sylwester na Malcie

Poczuj wyjątkową atmosferę Malty w świątecznej odsłonie i odkrywaj jedne z najstarszych i najbardziej imponujących skarbów dziedzictwa kulturowego na świecie.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Valletty i kolacja powitalna. **Dz. 2** Zwiedzanie Valletty wpisanej na listę UNESCO z katedrą Św. Jana i miasto Vittoriosa (Brigu). **Dz. 3** Półdniowa wycieczka na południe Malty: megalityczna świątynia Ħaġar Qim, Błęktina Grota i wioska Marsaxlokk. Wieczorem uroczysta kolacja sylwestrowa. **Dz. 4** Całodniowa wycieczka do Mdiny – pierwszej stolicy Malty i pełnego historii Rabatu. **Dz. 5** Całodniowa wycieczka na Gozo: bazylika Ta' Pinu, megalityczna świątynia Ġgantija wpisana na listę UNESCO oraz cytadela w Vittoria. **Dz. 6** Powrót do domu.

6 dni | Wylot z Warszawy 29/12 2026

od 6.598,-

Sylwester na Florydzie i rejs po Karaibach

NOWOŚĆ

Wyjątkowa podróż sylwestrowa z pobytem w słonecznym Fort Lauderdale – nazywanym Wenecją Ameryki – oraz wliczoną w cenę uroczystą kolacją noworoczną. Nowy Rok rozpoczniemy wspaniałym rejsem po Karaibach, pełnym słońca, morza i nastrojowych portowych miast z kolonialną historią i rajskimi plażami.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy i przyjazd na Florydę. **Dz. 2** Czas wolny w Ft. Lauderdale i kolacja Sylwestrowa. **Dz. 3** Pobyt w Ft. Lauderdale. **Dz. 4** Przedpołudniowe zwiedzanie Miami, rozpoczęcie rejsu. **Dz. 5–6** Dni na morzu na Morzu Karaibskim. **Dz. 7** St. Maarten. **Dz. 8** Basseterre, St. Kitts. **Dz. 9** St. Thomas, Amerykańskie Wyspy Dziewicze. **Dz. 10** Amber Cove, Dominikana. **Dz. 11** Na Morzu Karaibskim. **Dz. 12** Miami i podróż do domu. **Dz. 13** Powrót do domu.

13 dni | Wylot z Warszawy 30/12 2026

od 14.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL15**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 1719f564a1